



ALEXANDRA BURT



A gdyby się okazało, że jesteś  
największą ze zbrodni  
popętnionych przez twoją matkę?

DOBRA  
CÓRKA

Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Prolog

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Epilog

ALEXANDRA BURT

**DOBRA  
CÓRKA**

Z angielskiego przełożyła  
Małgorzata Szubert

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
The Good Daughter

Wydawca  
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący  
Tomasz Jendryczko

Redakcja  
Sylwia Ciuła

Korekta  
Ewa Grabowska  
Jolanta Spodar

Copyright © 2017 by Alexandra Burt, 2017  
Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Szubert, 2017

Świat Książki  
Warszawa 2017

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
Akces, Warszawa

Dystrybucja  
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl), tel. 22 733 50 10  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-728-4

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

„We wszystkich wspaniałych opowieściach  
występuje jakaś czarownica”.

Autor nieznany

# Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność wielu osobom, które towarzyszyły mi podczas pisania tej książki; wszystkim tym, którzy wspaniałomyślnie poświęcali mi swój czas, dawali wsparcie, robili uwagi i pozwalali je wykorzystywać.

Dziękuję mojej redaktorce, Michelle Vega, oraz Berkeley Publishing Group i wszystkim, którzy pracowali przy redakcji, korekcie i projekcie graficznym tej książki. Jak zawsze dziękuję mojej agentce, Laurze Longrigg.

Dziękuję mojemu mężowi, córce i pozostałym członkom rodziny, którzy wspierali mnie i dodawali mi otuchy, mimo że tak wiele czasu spędziłam z dala od nich.

Dziękuję tym, których nazwisk tu nie wymieniłam. Wam również należy się wdzięczność.

# Prolog

Zatrzymały się na noc w Albuquerque. Nazwa miasta zaintrygowała dziewczynkę, zajrzała więc do encyklopedii, którą nosiła zawsze ze sobą. Była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadała.

*Albukirkee...* Bezgłośnie powtarzała to słowo, aż w końcu przestało cokolwiek znaczyć. Dziewczynka zapadła w jakiś paranoiczny sen na jawie, straciła poczucie czasu, nie wiedziała, dokąd zmierzają. Nigdy nie jechały tak długo ani tak daleko, nigdy nie musiały tak często tankować benzyny.

Powieki miała ciężkie, była oszołomiona od snu, gdy matka zatrzymała się przed hotelem. Rodeside Inn, tak się nazywał. Z tamtego czasu w pamięci pozostało jej tylko zielsko rosnące w szczelinach wybetonowanego parkingu.

Następnego rana matka kupiła pączki w sklepie dla kierowców i ruszyły w drogę. Dziewczynka zasnęła, a gdy się obudziła i spojrzała przez szybę, wszystko wokół wydawało się takie samo. Po dniach spędzonych na szosie czuła się tak, jakby ulatywała z niej energia. Czas się ciągnął, a ona żałowała, że matka wrzuciła jej walizkę do bagażnika lincolna – tęskniła do swojego magazynu „American Girl” i owocowej pomadki do ust.

Otworzyła torebkę żelków truskawkowych, possała kilka przez chwilę, a potem delikatnie wcierała je w wargi, dopóki nie zrobiły się szkarłatne.

Przebiegła palcami po spękany grzbiecie encyklopedii – brakowało pierwszych stron, dlatego nigdy nie dowiedziała się, jakie hasła znajdowały się przed: „akordeon, instrument muzyczny w kształcie pudła, w którym dźwięk wywołuje prąd

powietrzny wytwarzany przez miech; potocznie zwany harmonią” – po czym w skupieniu wsłuchiwała się w dźwięk przerzucanych stron postrzępionej księgi, szeleszczących niczym stary pergamin.

Matka nazywała ją Pet. Dziewczynka nie lubiła tego imienia, zwłaszcza gdy matka, przedstawiając ją, mówiła z uśmiechem: „To jest Pet. Jest bardzo nieśmiała”. A potem szybko zmieniała temat, jakby powiedziała już za dużo.

W encyklopedii było napisane, że „pet” to zwierzę domowe lub oswojone, trzymane dla towarzystwa, otaczane opieką i rozpieszczane.

Dziewczynka otworzyła encyklopedię na chybił trafił. Pamiętała czas, gdy książka była nowa i nie otwierała się tak łatwo. Zastanawiała się wtedy, czy kartki zaczną w końcu wypadać. Próbowwała się skupić na jakimś słowie, lecz kołysanie samochodu przyprawiało ją o mdłości. W końcu się poddała, siedziała po prostu z otwartą książką na kolanach.

– Zmarzły mi stopy. Czy mogę wziąć skarpetki z bagażnika? – zapytała, gdy przekroczyły granicę Nowego Meksyku i Teksasu.

– Nie teraz – odparła matka i spojrzała na zegarek.

Dziewczynka znów zasnęła, obudziło ją trzaśnięcie drzwi samochodu. Przetarła oczy i zobaczyła mur z czerwonej cegły, a na nim duży napis: „Midpoint Café” oraz matkę stojącą przy budce telefonicznej kilka kroków dalej i szukającą w torebce drobnych. Było południe. Na widok reklamy frytek i koktajli mlecznych w witrynie restauracji dziewczynka poczuła wilczy głód.

– Jestem głodna! – krzyknęła do matki.

– Tylko jedz szybko, bo musimy gdzieś zdążyć – odparła kobieta, a dziewczynka pośpiesznie wsunęła stopy w sandały.

W mrocznej, nędznej restauracji ich kolana stykały się pod wąskim stolikiem. Matka otworzyła gazetę pozostawioną w sąsiednim boksie i przeglądała nagłówki.



W głowie dziewczynki kłębiło się mnóstwo pytań. „Dlaczego tak się śpieszymy? Do kogo dzwoniłaś? Dlaczego jedziemy z Kalifornii do Teksasu?” Zaplanowała całą rozmowę, wiedziała dokładnie, w jaki sposób powinna to rozegrać – będzie zadawała krótkie, bezpośrednie pytania, niepozostawiające miejsca na mętne i wymijające odpowiedzi. W restauracji było głośno i tłoczno, goście musieli się przekrzykiwać.

Zamówiły lunch – francuskie frytki i koktajl truskawkowy dla dziewczynki, kawę i kanapkę z wołowiną konserwową, bez kwaśnej kapusty, dla matki – i gdy czekały na jedzenie, kobieta powiedziała przepaszającym tonem:

– Muszę jeszcze raz zadzwonić. Zaraz wracam.

Dziewczynka jadła, obserwując gości. Matka wróciła po kilku minutach; wydawała się ożywiona, podekscytowana, jakby niecierpliwie na coś wyczekiwała, oczy jej błyszczały.

– Zagrajmy – powiedziała, otwierając gazetę. – Podaj mi jakąś liczbę między jeden a dwadzieścia dwa.

Dziewczynka kochała liczby. „Numerologia; wiara w boskie, mistyczne i inne szczególne związki między liczbą a mającym nastąpić wydarzeniem”. Najbardziej lubiła cyfrę siedem. Oznaczała ona poszukiwanie, myślenie, dążenie do poznania ukrytej głęboko prawdy.

– Siedem – rzuciła, a bezgłośnie powtórzyła sobie: siedem cudów świata, siedem dni tygodnia, siedem kolorów tęczy.

Jadły w milczeniu. Dziewczynka delektowała się frytkami, potem koktajlem mlecznym, uważnie przyglądając się ludziom dookoła, podczas gdy jej matka przeglądała siódmą stronę gazety. Zastanawiała się, na czym polega gra w wybieranie numeru strony, matka jednak rzadko odpowiadała na zadawane jej pytania, dlatego postanowiła nie pytać.

Matka uregulowała rachunek, kelnerka wydała resztę.

Gdy dziewczynka próbowała właśnie rozszyfrować nagłówek artykułu w gazecie, usłyszała, że matka woła do niej:

– Pośpiesz się, Petl!

Posłuchała.

Matka opuściła szybę w samochodzie, a dziewczynka obserwowała, jak przygląda się swojej twarzy w lusterku wstecznym. Na dźwięk syreny matka oblizwała usta, nastroszyła ręką włosy i zatrzymała się na poboczu, gdzie znajdowało się wejście zbudowane z trzech drewnianych belek, z krowią czaszką przybitą na szczycie. Przy samochodzie pojawił się policjant.

– Ma pani zepsute przednie światła – powiedział, lustrując wzrokiem wnętrze wozu.

Policjant miał smukłą sylwetkę, krótko ostrzyżone włosy i cerę koloru gałki muszkatołowej. Matka wysiadła z samochodu i mocniej zawięła czerwony szal wokół głowy. Wiatr rozwiewał jej włosy, ubranie przylgnęło do ciała, obejmowała się ramionami.

Dziewczynka zauważyła chłopca na tylnym siedzeniu radiowozu.

– Co on robi? – zapytała policjanta.

– Nic nie robi. To mój syn, Roberto – odparł. – Po prostu jedzie ze mną.

Gdy dziewczynka znów się odwróciła, matka i policjant stali w cieniu wielkiego dębu. Dobiegający do samochodu dźwięk jej głosu przypominał szmer pereł delikatnie pocieranych jedna o drugą. W pewnym momencie policjant przechylił się do tyłu i roześmiał się – rozbawiły go jej słowa.

Potem matka pojechała do motelu, gdzie dziewczynka od razu mocno zasnęła. Następnego rana, po darmowej kawie i wczorajszych pączkach wyszły z komisariatu policji w Aurorze z papierami w rękach. Dziewczynka przeczytała dokument, w którym pisano, że Memphis Waller i jej córka Dahlia Waller zostały obrabowane na poboczu drogi; łupem rabusiów padły między innymi portfel i dowód tożsamości pani Waller.

„Dalia; kwiat symbolizujący oddanie i wieczną więź”.

Dziewczynka nie zadawała pytań. Cieszyła się, że wreszcie ma ładne imię i nikt, nawet matka, nie będzie już nazywał jej Pet.

Zapamiętała, że niebo było wówczas zachmurzone i z każdą minutą stawało się ciemniejsze.

# Część pierwsza

„Dokądże tak śpieszycie? Co was tak zapala?”

Iris do Trojan, Homer, *Iliada*,  
tłum. F.K. Dmochowski

# Rozdział pierwszy

## Dahlia

Wszystko zaczęło się od świerszczy.

Moja matka za każdym razem wymiata je z werandy, lecz na próżno. Mnożą się w postępie geometrycznym. „Panoszą się tu”, powtarza matka melodramatycznie i spryskuje preparatem o zapachu cytrynowym wszystkie zakamarki i każdą szczelinę, aż w końcu sztuczny zapach cytryny przesyca jej teksański bungalow i staje się częścią naszego życia, podobnie jak paskudne pudła w jej pokoju, których przez lata nie zdołała rozpakować.

Kwiecień i maj przynoszą duże deszcze, a wraz z nimi pojawia się jeszcze więcej świerszczy. W czerwcu ganek jest pokryty dziwaczными istotami pełzającymi po drewnianych słupkach do poziomej belki pod daszkiem, tylko po to, by spaść na podłogę werandy. W lipcu matka jest przekonana, że jakaś chmara świerszczy natrafi na ceglane ściany bungalowu i odkryje dziurki i pęknięcia. „W końcu najadą na dom”, mówi.

Tłumaczę, że w zeszłym roku były żaby, rok wcześniej komarnice, a przedtem – nie pamiętam, lecz coś naprędce wymyślałam – stonka ziemniaczana.

– W przyszłym roku będzie coś innego. Uspokój się – mówię, lecz to nic nie daje.

– Po prostu nie mogę znieść tych świerszczy – odpowiada i z każdym machnięciem szczotką popada w coraz większą irytację.

– Pójdę pobiegać. Jak wrócę, coś wymyślę – obiecuję, czując

ogarniające mnie zniecierpliwienie.

W ostatnich miesiącach osiągnęłam mistrzostwo w unikaniu utarczek, ale im lepiej mi szło, tym mocniej matka dramatyzowała. Świat zawsze kręci się wokół niej, liczy się wyłącznie jej zdanie, nie trafiają do niej żadne tłumaczenia oprócz tych, które mają sens dla niej i tylko dla niej.

Schodzę z werandy i rozciągam łydki, matka jednak nie ustępuje, chce kontynuować rozmowę o świerszczach.

– Nienawidzę dźwięku, który wydają – mówi i wychodzi za mną na ulicę.

– Jakiego dźwięku? – pytam. Jeśli zostanę trochę dłużej, zrobi się za gorąco na bieganie.

– Jakby ktoś drapał gwoździami po twardym drewnie – wyjaśnia i przyciska rękę do ucha, próbując pokazać, że fale dźwięku wpadają prosto do środka. – Nie rozumiesz, Dahlio... – Przerywa, jakby właśnie przydarzyło jej się coś ważnego. – Chrzęszczą, gdy się na nie nastąpi. Ale przynajmniej dzięki temu nikt nie wejdzie niezauważony – dodaje. Robi wrażenie przekonanej, że rzuciła niezwykle odkrywczą uwagę.

– Wezwę kogoś do dezynsekcji – obiecuję i wybiegam, zanim matka zdąży jeszcze coś powiedzieć.

Żałuję powrotu do Aurory.

Kilka miesięcy temu stałam przed drzwiami jej domu i miałam wrażenie, że nic się tu nie zmieniło – te same przekrzywione lampy solarne, wbite przed piętnastu laty w spękaną ziemię i trwające niczym latarnie uliczne. Te same bure zasłony, łuszcząca się farba, brak dzwonka u drzwi. Zapukałam, matka otworzyła. Gdy się obejmowałyśmy, wyczułam wahanie. Byłam do tego przyzwyczajona. Wciąż wyglądała doskonale – w sukience i makijażu, bez jednego siwego włosa – lecz wydawała się ponura i podminowana, rzadko widywano ją bez papierosa w dłoni. A teraz popadła w obsesję na punkcie świerszczy.

Wybiegam z osiedla, w którym mieszka matka, i ruszam wiejską drogą w stronę lasów. Jest lipiec, słońce, godzinę temu pomarańczowe, zaraz robi się oślepiająco żółte. Jeszcze godzina i wszystko będzie się gotowało.

Po jakichś trzech kilometrach biegu dociera do mnie, że nie rozciągnęłam mięśni wystarczająco dobrze. Za lewym kolaniem nadal czuję lekkie pieczenie, pozostałość po starym urazie, który ostatnio znów dawał o sobie znać. Gdy docieram na szczyt wzgórza prowadzącego do lasu, zatrzymuję się. Z rękoma na biodrach próbuję złapać oddech. Gorąco daje mi się we znaki, słońce pali skórę i świeci prosto w oczy. Ignoruję rojące się wokół mnie nieznośne owady, wycieram tylko pot spływający po plecach. Przyglądam się nieznannej linii drzew po prawej stronie – czy wcześniej ich nie zauważyłam, czy może obfite deszcze występujące w Północnym Teksasie w ostatnich kilku miesiącach zmieniły roślinność? – i tęsknię za cieniem, w którym będę mogła rozciągnąć nogę.

Przemykam pomiędzy drzewa i jestem w lesie, gdzie temperatura mocno spada. Prażące słońce traci swą moc, powietrze robi się wilgotne i parne. Zaskakuje mnie piękno tego lasu. To nie tylko skupisko drzew, są tu także ścieżki prowadzące do czegoś, co wygląda jak starożytne miasta drzew; niektóre z nich wciąż stoją, po innych pozostały tylko szkielety. Sprężyste podłoże z liści i kawałków zbutwiałego drewna na czarnej, wilgotnej ziemi przynosi moim stopom ulgę.

Biegnę ścieżką dla jeleni, gałązki jeżyn wczepiają się w siateczkę na moich reebokach. Opieram się dłońmi o sękaty teksański dąb, aby rozciągnąć mięśnie łydek. Kora jest szorstka, zostawia bolesne odciski na moich dłoniach. Pieczenie w nogach ustępuje, a gdy pochylam się, by zdjąć jeżyny z butów, kątem oka dostrzegam w ziemi coś w kształcie półksiężyca, co przypomina czubek zagrzebanego buta. Obok widać plamkę czerwieni w odcieniu bliskim szkarłatu. Nie rozumiem, co właściwie widzę.

Czuję się tak, jakby mój mózg próbował wpasować sześcienną kostkę w okrągły otwór.

Robię krok i dociera do mnie, że czerwona plamka to paznokieć z obwódka brudu, leżący wśród liści, kawałków kory i gałęzi. Błada dłoń o paznokciach w lubianym przez nastolatki kolorze o głupawej nazwie w stylu „cajuńska krewetka”. Ręka jest nieruchoma, po prostu tam leży, goła i bezradna niczym dziwny intruz naruszający układ warstw poszycia lasu.

Przyglądam się ziemi. Połyskuje na niej coś srebrnego – może moneta, większa niż dziesięciocentówka, ale mniejsza od pięciocentówki. Słońce pada prosto na nią, dlatego od razu ją zauważyłam. Błyszczący, jakby chciała zostać znaleziona. Ta ręka i ten błysk wśród brązów i zieleni lasu muszą być wytworem mojego mózgu, niedotlenionego po długim biegu.

Nachylam się, żeby spojrzeć z bliska. Patrzą na mnie oczy otoczone warstwą gąbczastych igieł sosnowych.

Sześcienna kostka wciąż nie pasuje do okrągłego otworu. Zmętniałe oczy wpatrują się w coś ponad wysokimi jak kolumny w katedrze drzewami. Powieki lekko trzepocą.

A potem ręka się porusza.

Biegnij.

Moje ciało posłusznie zrywa się do biegu. Dziesięć kroków i potykam się, tracę równowagę i przewracam się na ziemię, na lewe ramię. Staczam się po zboczu wzgórza, ostre gałęzie ranią mi skórę. Spadam i spadam, tak obolała, że nie potrafię się zatrzymać. W końcu mi się to udaje, a wówczas dopada mnie gwałtowny ból między oczami. Zapadam w ciemność.

Gdy dochodzę do siebie, wokół panuje cisza, słyszę tylko bicie swojego serca. Przełykam wodę. Tonę. W głowie mi dudni, daję radę jednak trochę unieść się na rękach. Leżę w strumieniu, twarzą do dołu. Przed oczami staje mi obraz dłoni. Musiałam się pomylić, mówię do siebie.

Łapię oddech, otrząsam się i klękam, czując, że palą mnie



ramię, twarz i szyja. Cała drzę, jakby przebiegały przeze mnie iskry elektryczne. W nozdrza uderza mnie zapach czegoś... nieprzyjemnego... niepasującego do lasu pełnego świeżej zieleni. Zapach jest mdląco słodki, przez chwilę nikły, a potem wyraźny. Coś kapie mi na kolana – ciepłe krople rozpryskują się na moich nagich udach – i nagle dociera do mnie, że z nosa leci mi krew. Moje drżące ręce są całe we krwi.

Pogrzebane ciało, mówię do siebie w myślach, jakbym w końcu rozwiązała zagadkę, nad którą przez chwilę się zastanawiałam. W głowie mam zupełny zamęt. Coraz mocniej czuję zapach ziemi i zbutwiałych liści, powietrze robi się gęste. Popadam w jakąś paranoję, wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje. Nie, nie wydaje mi się, wiem, że ktoś mnie obserwuje.

Przyglądam się drzewom dookoła. Jestem pewna, że ktoś na mnie poluje. Raz po raz wyrywa mi się z piersi cichy szloch.

Nic nie widzę, nic na to nie wskazuje, ale wiem, mówi mi to intuicja. Dostrzegam wąską ścieżkę wśród splątanych korzeni. Biegnij, powtarzam sobie, a moje ciało jak zawsze słucha.

Docieram do drogi i macham na ciężarówkę pełną mężczyzn w kombinezonach. Z samochodu wystaje wielka drabina z plamami farby. Krzyczę, pokazując linię drzew, a mężczyźni ruszają w tamtym kierunku.

Jeden z nich zostaje w tyle i mówi do mnie po hiszpańsku, ale ja nie rozumiem.

\*

Czuję się tak, jakbym podróżowała wehikułem czasu. Pamiętam dobrze tę klinikę – trzykondygnacyjny budynek, stary i brzydki, tanie wykładziny, zdezelowane automaty telefoniczne na obitych płótnem ścianach.

Przypominam sobie oddział pomocy doraźnej, każde zapalenie gardła, gorączkę, która nie chciała spaść, każdą skręconą kostkę, ranę wymagającą szycia – wszystko to kończyło się kłótnią z pielęgniarkami i administracją. Matka odmawiała podpisania papierów, podania jakiegokolwiek informacji oprócz naszych imion i nazwiska.

Gdzieś w środku jestem wściekła na matkę i wołałabym mieć krótką pamięć. Pamiętam jednak jej grzechy, jeden po drugim, ze wszystkimi szczegółami. Wspomnienia czekają w pogotowiu, a ostatnio wiele z nich wróciło do mnie i żadne nie było przyjemne. Teraz pamięć przywołuje tylko obraz, zapach, mgliste wspomnienie, ale tama zaczyna pękać. Obrazy z przeszłości zaczynają mnie zalewać, bezlitosne w swej klarowności.

Mówi się – zbadalam tę kwestię – że ludzie są zaprogramowani na przechowywanie złych wspomnień, to kwestia przetrwania.

„Przetrwanie; przeżycie w niesprzyjających lub niezwykłych warunkach”.

## **El Paso, Teksas, 1987 rok**

Opuszczam szybę w samochodzie, aby wpuścić do środka noc. Słyszę ciężarówki pozostawione na biegu jałowym. Wsłuchuję się w warkot ich silników, obserwuję, jak manewrują, wjeżdżają na parking i z niego wyjeżdżają. Syczą i piszczą, czasami silniki milkną. Z kabin wyskakują mężczyźni.

– To ich dom na kółkach – mówi matka.

Mój dom jest na tylnym siedzeniu samochodu. Stamtąd obserwuję nieustanny ruch ciężarówek i ludzi. Układam sobie właśnie poduszki i koce. Nauczyłam się to robić. Mam leżeć schowana pod tymi kocami.

– To tylko zabawa – zapewnia matka. Nikt więc nie wie, że tam jestem.

Słucham radia z ciężarówki, dopóki nie zaczyna trzeszczeć, potem wszystko milknie. Spod koców dociera do mnie głos matki rozmawiającej z kierowcami.

– Widziałem czarnego psa, więc zjechałem na pobocze – oznajmia jeden z mężczyzn.

Boję się czarnego psa. Od czasu do czasu zerkam na drogę, spodziewając się, że zwierzę stanie pośrodku, będzie się śliniło i szczyrzyło zęby.

Rozkładałam kredki na siedzeniu. Gdy kończy mi się papier, przerzucam swoje rysunki i w końcu znajduję czystą stronę.

Myjemy się w umywalce w pobliskim budynku. Podłoga jest zimna, moje białe stopy zostawiają wilgotne, brudne ślady na białych płytkach. Wiercę się i podryguję, żeby szybko wydostać się z tego zimna, od którego dostaję gęsiej skórki.

– Czy czarny pies przyjdzie po mnie? – pytam matkę.

Śmieje się tylko.

– Czarnego psa tak naprawdę nie ma. Pojawia się wtedy, gdy jedzie się zbyt długo i człowiek zaczyna widzieć zjawy. To wszystko.

Znam to uczucie, gdy widzi się rzeczy, których nie ma. W każdym razie będę miała oko na czarnego psa. Na wszelki wypadek.

Mama wychodzi, a gdy wraca, pachnie jedzeniem. Daje mi pączka, zjadam go w samochodzie. Rozsypuję wszędzie cukier puder, ale mamie to chyba nie przeszkadza.

Te dni wydają się nierealne. Zupełnie jakbym podróżowała we śnie. Gdy się budzę, jestem w innym miejscu, ale wciąż w samochodzie.

Kocham ten samochód. Są tu wszystkie moje zabawki.

# Rozdział drugi

## Dahlia

W poczekalni oddziału pomocy doraźnej jest cicho, słychać tylko hipnotyczne tykanie starego, plastikowego zegara ściennego. W powietrzu unosi się zapach lateksu i środków dezynfekujących.

Bobby ubrany jest schludnie. Jego niebieska koszula z przypinanymi rogami kołnierzyka i granatowe spodnie są idealnie wyprasowane. Wieki temu Bobby i ja chodziliśmy razem do liceum, ale on pozostał w mieście, ja zaś wyjechałam z Aurory wkrótce po ukończeniu szkoły. Po raz pierwszy od mojego powrotu mieliśmy okazję porozmawiać.

– Nie do wiary – mówię i próbuję pozbierać myśli. Moje ubranie jest mokre, włosy także.

Bobby się uśmiecha.

– Jesteś w mieście od... kilku miesięcy i widzę, że tak samo jak dawniej sprawiasz kłopoty.

Przez ułamek sekundy znów jestem nastolatką, która włóczyła się po mieście, wokół opuszczonych domów, zaliczając po drodze skaleczenia, siniaki, skręcone kostki.

– Na to wygląda, prawda? – mówię w końcu.

– Machałem na ciebie któregoś dnia, na stacji benzynowej. Chciałem za tobą pojechać i skłonić cię, żebyś zjechała na pobocze.

Poczułam zakłopotanie. Wiele lat temu w taki właśnie sposób się poznaliśmy. Jego ojciec zmusił moją matkę, by zjechała na pobocze. Bobby siedział na tylnym siedzeniu radiowozu swojego

ojca, a ja na tylnym siedzeniu samochodu matki i patrzyliśmy na siebie.

Zignorowałam Bobby'ego na stacji benzynowej z powodu okoliczności, w jakich wyjechałam przed piętnastu laty, a także dlatego, że w moim życiu nie ma nic, z czego mogłabym być dumna. Bałam się rozmowy z nim, wspominków, opowieści o naszym życiu.

– Ile to już lat? – pyta Bobby. – Piętnaście? – dodaje, jakby wszystko pamiętał.

Liczę. Przyjechałam do Aurory tuż przed trzynastymi urodzinami. Chodziłam przez rok do podstawówki, potem poszłam do liceum. Oszczędzałam każdy zarobiony dolar; pakowałam zakupy w sklepie spożywczym, pracowałam w myjni samochodowej, odkładałam nawet swoje kieszonkowe. Nie było pieniędzy na college, nie miałam żadnej motywacji ani wielkich marzeń oprócz wyjazdu z miasta. Tymczasem Bobby przeżywał trudne chwile. Jego matka cierpiała na raka, przez lata czuła się dobrze, ale potem choroba wróciła. Było jeszcze coś innego; zajmowały go sprawy, o których nic nie wiedziałam i o których on nie chciał mówić. Wyjechałam z Aurory jako osiemnastolatka. Dokładnie piętnaście lat temu.

Ostatni raz rozmawialiśmy późnym wieczorem przed moim wyjazdem.

– Jeśli o tym myślisz, dlaczego nie przeprowadzisz się do Kolorado czy Kalifornii? Skoro chcemy wyjechać, równie dobrze możemy wyjechać daleko – powiedziałam. Od lat mówiliśmy o wyjeździe z Aurory, w ogóle z Teksasu; wiele razy sobie to wyobrażaliśmy.

– Chcesz wiedzieć, co myślę? – zapytał w końcu.

Wyczułam sarkazm. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, że patrzymy na sprawy z różnych punktów widzenia i może powinnam być wdzięczna za to, co mam, zamiast narzekać, że czegoś nie mam. Tego wieczoru Bobby wypił w szybkim tempie

sześciopak piwa, przy ostatniej puszcze nie myślał już jasno. Bez końca rozprawiał o tym, że jedni ludzie mają wybór, a inni go nie mają. Czy nie rozmawialiśmy o wyjeździe z Aurory od dziesiątej klasy, czy nie wyobrażaliśmy sobie, jakie mogłoby być życie gdziekolwiek indziej? Wygłaszał krytyczne sądy, robił złośliwe uwagi, a ja nie tego wówczas potrzebowałam. Rozstaliśmy się; on był pijany, a ja rozgniewana.

W domu okazało się, że moja matka nawet nie kiwnęła palcem, żeby wypełnić formularze potrzebne do tego, abym otrzymała zasiłek. Wrzuciłam ubrania i kilka książek do worka marynarskiego i czekałam na wschód słońca. Gdy usłyszałam, że matka tłucze się w kuchni, zesłam na dół.

– Wciąż nie wypełniłaś tych papierów – powiedziałam, celowo ostrym tonem. Całe moje życie tam to zgubione lub niekompletne dokumenty. – Ciągłe to samo? Znowu nie mamy potrzebnych dokumentów?

Papiery ginęły, kiedy byłam dzieckiem – teraz wiem, że chodziło o świadectwa szczepień i kartę stałego pobytu – a źródłem największych kłopotów była szkoła. Matka nigdy nie pozwoliłaby mi wyjechać, gdyby to od niej zależało, przykułaby się do mnie łańcuchem, aby mieć pewność, że nigdy nie stanę się kimś więcej niż ona.

Pokłóciłyśmy się. Powiedziałam jej, że wyjeżdżam. Ona na to, że zapłaci za dwuletni college przygotowujący do studiów. Oznajmiłam, że chcę wyjechać ze stanu. Kłótnia zamieniła się w awanturę. W końcu matka zamilkła, zaczęła mnie ignorować.

Tego wieczora wyjechałam z Aurory. Miałam około pięciuset dolarów, piętnastoletni samochód i świadectwo ukończenia liceum – niezbyt wiele na początek samodzielnego życia. Było mi przykro, że wyjeżdżam po kłótni z matką i bez pożegnania z Bobbym.

Jadąc autostradą, czułam narastającą panikę, wszystko wokół wydawało mi się obce, parłam jednak do przodu. Zatrzymałam

się dopiero w Amarillo. Miasto było przygnębiające, tylko pył i pożółkła trawa, położone z dala od wszystkiego, na zupełnym odludziu. Już następnego dnia znalazłam pracę i kwaterę. Na motelach, których było mnóstwo przy dwóch głównych drogach biegnących przez miasto, wisiały tabliczki: „Potrzebny pracownik”, a matka uczyła mnie, że wystarczy dobry motel i dobry właściciel i mogę zaoferować tydzień darmowej pracy w zamian za pokój. W każdym miesiącu jeden tydzień pracy za darmo, następne trzy za gotówkę. Wiedziałam, że wielu pracodawców bez problemu przymyka oko na to, że upieram się przy braniu pensji pod stołem.

Drugie zajęcie dostałam w pobliskim hotelu i po roku oszczędzania każdego centa nabrałam pewności, że jestem w dobrym miejscu. Pewnego dnia, w czasie jazdy do drugiej pracy, stukanie i pukanie spod maski zmusiło mnie do zjechania na pobocze. Samochód, teraz już szesnastoletni, nie nadawał się do kolejnej naprawy. Następnego dnia poszłam załatwić pożyczkę samochodową na subaru, używane, stare, ale i tak lepsze od tego, które miałam. Musiałam podać numer ubezpieczenia społecznego.

– Przykro mi, nie możemy przyjąć tego wniosku – powiedział sprzedawca samochodów. – Ma pani przy sobie kartę ubezpieczenia?

– Chyba ją zgubiłam – skłamałam.

Przejrzał papiery.

– Mogłaby pani udać się do biura administracji ubezpieczenia społecznego, jest w śródmieściu.

– A gdybym zapłaciła panu za samochód gotówką?

Nie znosiłam wydawać choćby centa z oszczędności, potrzebowałam jednak środka transportu. Potargowałam się trochę i zapłaciłam za samochód. Nigdy nie poszłam do miejscowego biura administracji ubezpieczeń społecznych z powodu starej, dobrze mi znanej przeszkody – braku

dokumentów.

Chwytałam się dodatkowych zajęć, aby zaoszczędzić więcej pieniędzy, i w końcu wyprowadziłam się z motelu. Wiedziałam, że nie mam co starać się wynająć mieszkanie, lepiej poczekać i podnając coś odpowiedniego, żeby obyło się bez sprawdzania zdolności kredytowej, dokumentów, umów do podpisania. Zamieszkałam z dwiema innymi kobietami, stewardesą i studentką farmacji z Ekwadoru, w trzypokojowym mieszkaniu.

Zastanawiałam się nad założeniem firmy sprzątającej mieszkania, wiedziałam jednak, że nigdy nie dostanę pozwolenia na prowadzenie działalności. Znowu dokumenty. Przez te lata mogłam dostać lepszą pracę – na statkach wycieczkowych odpływających z Galveston – ale potrzebowałam paszportu. Nie wychylałam się, nigdy nie zawarłam trwałych przyjaźni, z nikim się na poważnie nie związałam. Minęło piętnaście lat, a ja samotnie zmierzałam donikąd ślepym zaułkiem, pracując na dwie zmiany za najniższą płacę.

Czasem zastanawiałam się nad powrotem do Aurory, ale szybko zarzucałam ten pomysł. Bardzo często rozmyślałam jednak o swoim dzieciństwie. Z najmłodszych lat pamiętałam niewiele, nie potrafiłabym wymienić swojej ulubionej potrawy, pluszowego zwierzątka, gry planszowej, przyjaciółki, miejsca czy osoby. Pojawiały się przebłyski pamięci, ale niczego nie mogłam zweryfikować; nie było strychu z kuframi i pudłami pełnymi lalek i innych zabawek ani starych rowerów. Gdy się przeprowadzałyśmy, jak zwykle zaczynałyśmy od początku. Obywało się bez pożegnalnych telefonów do przyjaciół, listów, kartek na Boże Narodzenie. Wszystko było skończone. Bezpowrotnie.

Wyobraziłam sobie, co będzie za dwadzieścia lat, i wpadłam w panikę. Aby skończyć z ponurą egzystencją bez perspektyw, potrzebowałam numeru ubezpieczenia społecznego, świadectwa urodzenia i innych dokumentów.



Gnana tymi myślami ruszyłam z Amarillo tą samą autostradą, którą tam przyjechałam, i wróciłam do Aurory. W bagażniku wiozłam niewiele więcej niż piętnaście lat wcześniej. Na autostradzie podniosłam osłonę przeciwsłoneczną i zobaczyłam w lusterku swoją zaczerwienioną twarz. Zamierzałam znów pojawić się w życiu matki dosłownie na chwilę.

Miałam pytania. Tego rodzaju pytania, raz postawione, domagają się odpowiedzi.

\*

Siedząc w poczekalni oddziału pomocy doraźnej, chcę przeprosić Bobby'ego za to, że ignorowałam go przez te wszystkie miesiące.

– Wszystko w porządku? – Jego słowa wyrywają mnie z otępienia.

Próbuję mówić, lecz mój głos zamienia się w niezrozumiały skrzek.

Słyszę bulgotanie automatu z wodą, Bobby mocno trzyma moją dłoń i stawia na niej kubek zimnej wody.

– Wypij to. – Odgarnia mokre włosy z mojej twarzy.

Woda rozlewa mi się na rękę. Przypominam sobie strumień. Czuję zapach, taki sam jak w lesie. Słodki i gryzący, przywołuje na myśl zwierzęta zabite przez samochody, przywołuje wspomnienie wędrownki i mijanych zwłok jelenia, od tygodni rozkładających się w upale. Z twarzy odpływa mi cała krew, ściskam papierowy kubek tak mocno, że prawie go zgniatam.

– Może powinnaś zostać na noc w szpitalu. Wyglądasz okropnie. Coś jest z tobą nie w porządku.

– Czuję się dobrze, naprawdę. Jak się miewa twój tata? – pytam, aby zmienić temat. Chciałabym trochę lepiej się prezentować, wziąć prysznic, uczesać się, zrobić makijaż.

– Wiesz, że jest stary. – Bobby przerywa na chwilę, na jego

twarży wyraźnie widać smutek. – Nie jest takim samym człowiekiem jak kiedyś.

Pielęgniarka za kontuarem podkręciła głoś w telewizorze wiszącym na ścianie. Oboje z Bobbym spoglądamy w górę, zadowoleni, że możemy przerwać tę rozmowę.

Podano wiadomość z ostatniej chwili o dziewczynie znalezionej w lesie. Natychmiast pojawia mi się przed oczami widok linii drzew, a mój umysł rozpada się z trzaskiem jak przegrzana żarówka. Ręka martwej kobiety i jej czerwone paznokcie. Nie ma sensu walczyć z obrazem palców wystających z ziemi, dłoni, która zanurzyła się na chwilę w krainę cienia.

– Cała drżysz. – Bobby pomachał ręką, jakby chciał powachlować mi twarz. – Wyglądasz tak, jakbyś miała za chwilę zemdleć.

– Czy ona żyje? – Bałam się o to zapytać, ale musiałam wiedzieć.

– Tak, ledwie. Jest w śpiączce.

Znów jestem w lesie, nachyliłam się nad jej ciałem. Ktoś wykopał dół i nasypał na tę kobietę ziemię. Pogrzebał ją żywcem. Kiedy to było? Dzień wcześniej? Godziny? Może nawet minuty? Możliwość, że ktoś widział, jak ją znalazłam – stał w pobliżu za drzewem, buty miał pobrudzone ziemią, pot spływał mu po czole, a on z bijącym sercem patrzył na mnie – wręcz mnie paraliżuje. Udaje mi się wymazać ten obraz, jakbym zdecydowanym ruchem wycierała zaparowane lustro w łazience.

– Masz rację. Wyglądam okropnie – mówię. Moje odbicie w szklanych drzwiach wejściowych na oddział pomocy doraźnej mówi samo za siebie.

– A jak masz wyglądać po upadku do strumienia i rozbiciu sobie nosa?

– Muszę zadzwonić do matki. Wyszłam pobiegać kilka godzin temu, na pewno teraz szaleje.

– Wysłano do niej policjantki. Była trochę... No cóż, była trochę

zdeenerwowana, że policja przyszła do jej domu. Długo musiały ją przekonywać, aby otworzyła drzwi. O co tu chodzi?

Ignoruję to pytanie. Wyobrażam sobie dzwonek do drzwi, podejrzliwe: „Kogo szukacie?”, dopytywanie: „Czy to pani Memphis Waller?”, milczenie po drugiej stronie, policjantki próbujące nakłonić ją do otwarcia drzwi. Czy „Chodzi o pani córkę” osłabiło jej czujność? Czy rozmowa odbyła się przez zamknięte drzwi, czy może matka niechętnie wpuściła policjantki do środka, a potem żałowała, że była tak nieostrożna?

– Wiesz, kim jest ta kobieta? – pytam.

– Ciągle jest nieprzytomna. Nie możemy jej przesłuchać – odpowiada Bobby. – Ani ustalić jej tożsamości. – Bobby trochę się waha i pochyla do przodu. – Czy kogoś zauważyłaś? – Na jego twarzy widać wyraźne napięcie.

– Biegłam szlakiem. Nogi zaczęły mnie boleć, musiałam rozciągnąć mięśnie. Wbiegłam do lasu. Czysty przypadek, że znalazłam się w tamtym miejscu.

– Czyli nikogo sobie nie przypominasz? Innych biegaczy? Ciężarówek? Turystów? Jakiegoś przejeżdżającego samochodu? Niczego? – wyrzuca z siebie zdyszczanym głosem, ale zaraz się uspokaja. – Niewiele dotąd mamy, co? – Patrzy na zegarek. – Będziesz musiała złożyć oficjalne zeznanie, gdy poczujesz się lepiej. A więc... ktoś się z tobą skontaktuje, zanim wyjedziesz. Wróć i załatwię ci transport do domu. Zawiadom mnie, jak będziesz gotowa stąd wyjść, dobrze?

Przytakuję skinieniem. Głowa mi pęka, w żyłach mam ołów, moje nogi są ciężkie i słabe. Patrzę, jak Bobby naciska stalowy przycisk windy i połykają go wielkie drzwi. Znika niczym duch z przeszłości.

Lekarz bada mnie i stwierdza, że jestem „trochę poobijana i posiniaczona”, następnie pielęgniarka pomaga mi zdjąć przemoczone ubranie i włożyć szary kitel chirurga. Siedzę w poczekalni z plastikową torbą mokrych rzeczy na kolanach

i czekam na Bobby'ego.

W telewizji wciąż nadają wiadomości lokalne. Najpierw reporter informuje o zamknięciu drogi, objeździe i pracy ekipy technicznej w lesie, a później, ściskając w jednej ręce mikrofon, pokazuje trzymaną w drugiej kartkę. „Jak podaje anonimowe źródło ze szpitala, kobieta trafiła do lasu bardzo krótko przed jej znalezieniem”. Anonimowe źródło? Brzmi tajemniczo, lecz prawdopodobnie to jedna z pielęgniarek podsłuchiwała czyjąś uwagę lub przeczytała akta. W miasteczku takim jak Aurora to niezwykle proste.

Reporter uśmiecha się i obiecuje informować widzów na bieżąco. Nie dowiaduję się niczego ponad to, co już wiem.

Czuję dziwną więź z kobietą, którą znalazłam w lesie, myślę też, że policja nie wystąpi z prośbą o pomoc w jej identyfikacji, ponieważ spodziewa się, iż w każdej chwili może odzyskać przytomność i sama powie, jak się nazywa.

Nagle na ekranie pojawia się czarno-biały rysunkowy portret kobiety. Wyłapuję kilka wyrażen – „podobny przypadek”, „tajemnicza kobieta”, „blisko trzydzieści lat temu”, „rysownik”, „sprawa nierozwiązana”. Zaginięcie kobiety zgłosił mężczyzna, który nie miał jej zdjęcia, stąd portret pamięciowy wykonany przez policyjnego rysownika. Staroświecki portret, taki jak na listach gończych, różni się znacząco od podobizn cyfrowych tworzonych dziś za pomocą programów komputerowych. Po chwili reporter podaje wyniki meczu futbolowego drużyn licealnych.

Pojawia się pielęgniarka i informuje mnie, że funkcjonariusz de la Vega czeka na mnie przy wejściu na oddział pomocy doraźnej. Wstaję, świat wokół mnie wiruje, a po chwili wszystko wraca na swoje miejsce.

Zamiast wyjść przez duże szklane drzwi, kieruję się na schody. Trzymając się poręczy, wchodzę dwa piętra. Zanim opuszczę szpital, muszę odwiedzić jeszcze jedno miejsce.

\*

Drugie piętro jest opustoszałe. Idąc korytarzem, widzę tylko sylwetkę ochroniarza, który wkrótce niknie za rogiem. Na tablicy informacyjnej na pierwszych drzwiach na prawo napisano ścieralnym markerem: „Jane Doe”[1]. Moja Jane, mówię do siebie, jakby fakt, że ją znalazłam, dawał mi prawo do niepokojenia jej.

Wchodzę do sali. Zamykam za sobą drzwi i rozsuwam zasłony, żabki przy karniszu powarkują cicho.

Przychodzę do Jane z konkretnego powodu – chcę odzyskać spokój, a jednocześnie niczego nie zaniedbać. Najpierw jej powierzchowność, waga, wzrost, kolor skóry: około sześćdziesięciu trzech kilogramów, nieco ponad metr siedemdziesiąt, blada, sinawa cera. Włosy ciemny blond, może jasnobrązowe, zaczesane do tyłu, więc trudno powiedzieć.

Monitor nad jej łóżkiem pracuje bez wytchnienia; bicie serca Jane pokazuje neonowo zielona postrzępiona linia, nierówna i chwiejna jak na rysunku dziecka. Dwie inne linie, czerwona i żółta, pokazują, jak przypuszczam, ciśnienie i saturację krwi, ale nie mam pewności. Wydaje mi się jednak, że aparaty wskazują właśnie to. Ciało potrzebuje krążenia krwi, tlenu i bicia serca.

Z trzech rurek jedna jest wbita w lewe ramię, druga biegnie pod kołdrą do woreczka na mocz, trzecia to rurka intubacyjna. Respirator, posykując raz głośniej, raz ciszej, tłoczy przez tę trzecią rurkę powietrze do płuc. Piersi Jane unoszą się i opadają w równym rytmie. Boczne poręcze łóżka są podniesione, jakby nie można było wykluczyć, że pacjentka nagle wstanie i spróbuje wyjść.

Zaskakuje mnie liczba sprzętów koniecznych do utrzymania Jane przy życiu. Czuję desperacką energię emanującą z jej pozbawionego świadomości ciała, pragnącego przezwyciężyć skutki aktu przemocy, którego padła ofiarą.

Dostrzegam w dużym oknie odbicie Jane, dziewczyna przypomina na nim zjawę, a w dole leży rozświetlona Aurora, swego rodzaju nieziemskie tło wydarzeń.

Podchodzę bliżej, mimowolnie wyciągam rękę w kierunku dłoni Jane. Są teraz umyte, ale pod paznokciami pozostało trochę brudu. Paznokcie są połamane, jakby chciała wydrapać sobie nimi wyjście z grobu, do którego ktoś ją wrzucił. Dotykam jej dłoni, jest ciepła, żywa, niemal reaguje na mój dotyk.

W powietrzu rozchodzi się dziwny zapach. Odchylam głowę do tyłu i wężę jak pies. Czy to cynamon? Mój umysł ślizga się, traci grunt niczym stopy na zbyt śliskiej podłodze, potem ucisk za oczami staje się nie do zniesienia. Nie potrafię zrozumieć, jaką wiadomość Jane mi przekazuje, ale wiem, że próbuje się ze mną porozumieć. Na pewno – bo jak inaczej wytłumaczyć drżenie mojej dłoni powoli rozchodzące się na ramię? Potem dygot ogarnia całe moje ciało, w ustach pojawia się metaliczny posmak. Zanurzam się w jakieś szaleństwo, widzę drzewa, gałęzie, które próbują mnie schwytać. Ktoś obrócił przełącznik, sprawiając, że rzeczywistość staje się trudna do rozpoznania; miesza się z obrazami Jane w lesie, kopiącej dół gołymi rękoma. Czuję zapach zimnej wody strumienia, czuję, jak wlewa mi się do nosa. Czy to przytrafiło się Jane, czy to ja przeżywam na nowo upadek do strumienia i utratę przytomności? Nagle stajemy się jednością, jestem w ciele Jane, to ja jestem w lesie, nie ona.

Nie wiem, w którym momencie to się dzieje, ale upadam na podłogę, najpierw na kolana, potem całym ciałem. Do rzeczywistości przywraca mnie chłód linoleum przenikający przez cienki kitel lekarski. Z góry dochodzi jakiś głos, zupełnie jakbym leżała na dnie studni i ktoś do mnie mówił. Gdzieś znikąd pojawia się plamka światła wielkości główki od szpilki. Plamka zamienia się w snop, a snop w coś bardziej jaskrawego niż słońce, tak jaskrawego i gorącego, że pali mnie w oczy.

– Dobrze się czujesz?

Znam ten głos. „Dahlia, Dahlia, Dahlia”. Raz za razem. Chcę odpowiedzieć, lecz nie mogę. Gryzący zapach cynamonu uwiązł w moim nosie, gorzki i ostry. Ktoś chwyta mnie mocno za ramiona, potem w pasie. Jestem bezwładna, mimo to Bobby’emu udaje się ułożyć moje ciało na czymś dość miękkim i wygodnym.

Po tym wszystkim pozostają mi tylko pulsujący ból głowy i obolałe kolana. Jestem okropnie głodna.

– Co się stało? Nikomu nie wolno tu przebywać. Zemdlałaś?

Odzyskuję głos.

– Ona chyba chciała coś mi powiedzieć.

Bobby przekrzywia głowę w lewo, jego oczy łagodnieją.

– Spójrz na nią – mówi. – Czy ona wygląda jak ktoś, kto chce porozmawiać?

Długo jej się przyglądałam. Wiem, że to wydaje się dziwne.

– To ty tak pachniesz? – pytam.

– Czym pachnę?

– Cynamonem – wyjaśniam.

– Niczym nie pachnę. Chodźmy – rzuca Bobby.

Jak to możliwe? Ten zapach unosi się w całej sali, wdziera mi się do nosa.

– Poczekaj. Naprawdę nie pachniesz? – dopytuję się i opieram mu się, gdy próbuje popchnąć mnie w stronę drzwi. – Powąchaj tylko.

– Nie pachnę żadnym cynamonem, Dahlio. Ale będziemy mieli duże kłopoty, jeśli ktoś nas tu znajdzie. Zabieram cię do domu. Teraz.

Zapach pozostaje we mnie, gdy wychodzimy przez rozsuwane szklane drzwi i nawet wtedy, gdy zapinam pas w radiowozie Bobby’ego. Patrzę prosto przed siebie, z głową opartą na zagłówku. Coś wydaje się inne, jakby w sali Jane część mnie samowolnie się oddaliła. Czym została zastąpiona, trudno powiedzieć.

Radio policyjne chrypi i trzeszczy, dopóki Bobby nie zmniejszy

głośności. Teraz słyhać tylko jednostajny szum.

– Będzie dobrze. Po prostu spróbuj się rozluźnić – mówi i kładzie mi ręce na trzęsących się kolanach.

Znam jego muskularne ręce o dużych dłoniach i krótkich palcach. Opuszczam szybę i pozwalam włosom rozwiewać się na wietrze. Milczenie między nami jest czymś naturalnym, uspokaja. Przywykliśmy do niego, obojgu nam odpowiadało. Czuję się już spokojniejsza, zupełnie jakbyśmy rozstali się na jeden dzień, a nie na piętnaście lat.

\*

Piętnaście minut później widzę dom matki na ulicy Lipowej, jak na ironię obsadzonej morwami. Zapach się utrzymuje, choć wyraźnie słabszy, mniej gryzący, trzeba się postarać, żeby wyczuć tę ostrość. Słodycz ustąpiła teraz ziemistej, orzechowej nucie, która przypomina mi coś czystego, nieskażonego, różnego od lepkiego, sztucznego zapachu unoszącego się w centrum handlowym, gdy mija się stoisko z cynamonem w dziale spożywczym.

– Ona jest w śpiączce? – pytam Bobby’ego po raz kolejny, sięgając do drzwi samochodu. – Wiesz to na pewno?

Bobby kiwa głową.

– Mówią o tym we wszystkich wiadomościach.

Próbuję wytłumaczyć sobie, że po prostu zbyt wiele przeszłam – znalazłam Jane, uderzyłam się w głowę, wpadłam do strumienia, widziałam ją w stanie śpiączki, patrzyłam na aparaturę – i mam prawo źle się czuć. To naprawdę nic dziwnego, że nie jestem sobą.

Przytakuję Bobby’emu skinieniem głowy, a gdy suniemy podjazdem, widzę uchylone frontowe drzwi i matkę klęczącą na werandzie. Dostrzega nas, wstaje i wchodzi do środka, z hukiem



zamykając za sobą drzwi.

– Będzie dobrze – mówi Bobby. Nie jestem pewna, czy ma na myśli mnie, czy moją matkę. – Odpocznij trochę i zadzwoń do mnie, jak się obudzisz, zgoda?

Ufam Bobby’emu. Bezgranicznie. Wsiadam więc i znów mówię:

– Ona próbowała mi coś powiedzieć. – Właśnie tak było. Nie potrafię w inny sposób ująć tego, co przydarzyło mi się w szpitalu.

Bobby nie zgadza się z tym, ale nie komentuje moich słów.

– Nie wchodzi ze mną – mówię. – Jest w złym humorze. – W domu mojej matki nie ma czegoś takiego jak odpoczynek, nie ma wytchnienia od jej humorów. W najlepszym razie matka jest nieprzewidywalna.

Bobby patrzy na mnie, jakby zamierzał się sprzeczać, ale po chwili się poddaje. Patrzę na światła radiowozu, kiedy odjeżdża. Trzy razy naciska klakson, a ja się śmieję. To samo robił wieki temu.

Znów czuję zapach cynamonu. Odwracam głowę, żeby znaleźć jego źródło, ale wiem swoje. A jeśli to jest to? Wkrótce ja też będę wszędzie widziała świerszcze. Czyżbym była łatwym celem, ofiarą pomyłonej matki i uszkodzonego DNA?

Na progu omijam świerszcza, który wygląda jak miniaturowy czarny kruk leżący na plecach. Ale świerszczy jest dużo, nie mogę wszystkich ominąć, rozdeptuję je więc i wtedy słyszę matkę.

– Gdzie ty byłaś? – Wydaje się spokojna, lecz jej głos jest o wiele wyższy, bardziej piskliwy niż zwykle. Jest umalowana, w sukience, włosy ma o kilka tonów jaśniejsze niż rano. I stoi bosy, jakby zapomniała dokończyć dzieła tworzenia iluzji osoby panującej nad wszystkim.

– Słyszałaś, co się stało? – pytam.

Odkręca kran w kuchni, woda leje się strumieniami. Kuchenka

mikrofalowa pika na znak, że skończyła pracę. Zapach spalonego popcornu i dymu papierosowego szczypie mnie w nos. Papieros między palcami matki jest tak krótki, że może ją poparzyć. Matka nachyla się i gasi go w popielniczce pełnej niedopałków.

– Słyszałaś, co się stało? – powtarzam głośniejszym głosem, niżbym chciała.

– Miałaś jakiś wypadek. Tylko tyle mi powiedzieli.

– Znalazłam ciało w lesie. Kobietę. Żyje, ale jest w śpiączce. – Przechodzi mnie dreszcz na myśl o Jane przysypanej ziemią i igliwiem.

Matka wierci się, jakby próbowała ustawić się w najlepszej pozycji na wypadek ataku.

– Powinnaś była zostać w domu i zająć się tymi świerszczami. Nigdy mnie nie słuchasz.

Staję obok niej, podaję płyn do mycia naczyń i obserwuję jej dłonie wirujące w strugach wody.

– Biegałam, ale bolała mnie noga, weszłam do lasu i...

– Gdzie ją znalazłaś?

– Daj mi opowiedzieć od początku. – Wciąż próbuję znaleźć w tym wszystkim jakiś sens, przypomnieć sobie tę chwilę. Gdyby matka pozwoliła mi wrócić do tamtych wydarzeń, mogłoby to pomóc uporządkować wszystko, oddzielić prawdę od imaginacji. Ale jak zwykle tak się nie stało.

– Jaką kobietę i gdzie? – Matka zgarnia brudne sztućce i wkłada je do pieniącej się wody.

– Trochę cierpliwości – mówię i zniżam głos. – Gdybyś pozwoliła mi opowiedzieć wszystko bez...

Matka tupie nogami na linoleum, a mnie zdumiewa jej głupie zachowanie. Patrzę na wodę i widzę, że piana robi się różowa. Po kilku sekundach dociera do mnie, co się stało.

– Mamo – mówię łagodnie – skaleczyłaś się. – Chwytam ją za rękę, woda spłukuje krew. Czubek środkowego palca jest głęboko rozcięty, krew nie przestaje płynąć.

– Nie rozumiem – mówi i nagle zaczyna płakać.

Obejmuję ją, ale ona stoi sztywno, z rękoma przy sobie. Nigdy nie okazywała czułości, zupełnie jakby uściski ją paraliżowały. Głaszczę ją po ramionach jak małe dziecko potrzebujące pociechy po przebudzeniu się ze złego snu. No już, już, wszystko będzie dobrze.

Mówię krótkimi zdaniem, może ona potrzebuje właśnie lakoniczności.

– Znalazłam kobietę. Nic jej nie jest. Czuję się dobrze. Wszystko w porządku.

Owijam jej palec czystą ściereczką kuchenną.

– Policja przyszła do mojego domu. – Matka odsuwa się ode mnie, rzuca zakrwawioną ściereczkę na podłogę. – Wiesz, że nie lubię policji w swoim domu.

– Chyba nie rozumiesz. Ta kobieta omal nie umarła. Znalazłam ją podczas biegnięcia, zabrano ją do szpitala. Gdybym...

– Jesteś tu już dostatecznie długo – mówi i zaczyna wrzucać naczynia do zlewu, jak popadnie. Po policzkach spływa jej tusz do rzęs. – Przyjechałaś z wizytą i ciągle tu jesteś.

– Mamo. – Ona nie chciała być okrutna, to tylko zły humor, myślę. Nie wiem, co się z nią dzieje, ale nie mogę nawet jasno myśleć, chcę tylko iść do łóżka i zasnąć. – Nie denerwuj się, proszę.

– Nie możesz po prostu... nie zwracać na siebie uwagi?

Cień sympatii, jaki do niej poczułam, zniknął. Przypomniałam sobie, jak raz zwróciłam na siebie uwagę, wiele lat temu, zaraz po tym, jak rozpoczęłam naukę w szkole w Aurorze. Był koniec lata, problem z zapisaniem mnie do szkoły został wreszcie rozwiązany. Zastanawiałam się, jak udało jej się tego dokonać, jakim cudem nagle zdobyła dokumenty. „Ale pamiętaj – powiedziała matka – trzymaj się z daleka od sąsiadów. Nie chcę nikogo obcego w moim domu”. Dziewczynka z sąsiedztwa – nie pamiętam jej imienia, ale przypominam sobie, że była piegowata, a jej przednie zęby zachodziły na siebie – miała na podwórku

kasztanowiec. Pewnego dnia zaproponowałam, żebyśmy wdrapały się na drzewo. Gdy sięgnęłam po kasztan, kolce skorupki poraniły mi dłoń, szarpnęłam się. Spadłam z drzewa i nie mogłam poruszyć ramieniem. Następnego dnia nauczycielka wysłała mnie do pielęgniarki szkolnej. Zawiadomiono telefonicznie moją matkę – nadal się nie poddawałam, nie powiedziałam nikomu, co się stało. Upierałam się, że spuchło mi ramię, bo nagle zaraziłam się jakimś wirusem. Godzinę później, z powodu mojego dziwnego zachowania, przepytano matkę w sprawie tych obrażeń. Gdy w końcu się przyznałam, jej oczy były zimne i nieruchome.

Niezwracanie na siebie uwagi wciąż jest dla niej ważne.

– Co twoim zdaniem powinnam zrobić? – pytam drwiącym tonem. – Gdyby nie ja, ta kobieta by umarła.

Choć prawie na mnie nie patrzy, widzę łód w jej oczach. Przekrzywia na bok głowę, jakby zastanawiała się nad właściwą ripostą. Riposty są zazwyczaj szybkie, natychmiastowe, tym razem jednak matka odpowiada z rozmysłem.

– Nie potrzebuję żadnych kłopotów z policją.

– A więc o to chodzi? O policję? Co miałam zrobić? Zostawić ją w lesie, bo moja matka nie chce mieć kłopotów? Nie mówisz poważnie.

– Mówię bardzo poważnie, Dahlio. Bardzo.

– Muszę się położyć. Jestem wykończona. Nie możemy porozmawiać później?

– Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia.

Chwilę później leżę w łóżku i patrzę w sufit. Nie chcę myśleć, choćby przez kilka godzin. Nie chcę myśleć. Zazdroszczę Jane, że jest w śpiączce. Zastanawiam się, czy zostawiła swoje ciało, wróciła do lasu i na nowo przeżywa to, co jej się przydarzyło? I czy słyszała, co do niej mówiłam? Czy można wymknąć się z własnego ciała i wrócić do przeszłości, znaleźć się poza czasem i przestrzenią?

Ostatnio umysł płata mi figle – wszystkie te wspomnienia z dzieciństwa pojawiające się w najmniej odpowiednich momentach; wspomnienia, o których nie wiedziałam nawet, że istnieją. Nie zaczęłam jeszcze zadawać mojej matce pytań wymagających odpowiedzi.

„Aurora, zorza polarna; zjawisko świetlne wywołane schwytaniem przez pole magnetyczne Ziemi naładowanych cząstek wyrzucanych przez Słońce”.

Jestem wyczerpana, ale sen nie przychodzi. Nie sądziłam, że powrót do Aurory tak bardzo wytrąci mnie z równowagi. Nie ma innego wytłumaczenia. To musi być to miasto.

---

<sup>1</sup> Tak określa się osobę o nieznanym tożsamości (po polsku NN).

# Rozdział trzeci

## Quinn

Stary garaż od lat wymagał odmalowania. Warstwy farb, wielokrotnie nakładanych na drewno brzozone, łuszczyły się i przybrały trudny do określenia odcień.

Quinn zabijała czas na frontowej werandzie; huśtała się na ławeczce, słuchając bolesnych zgrzytów wydawanych przez metalowe pręty przy każdym opadaniu. Garaż najpierw tam stał, potem zniknął. To był, to zniknął. Chciałaby, żeby wszystko było takie proste, żeby można było sprawić, aby rzeczy zniknęły. Zrobiła w myślach listę zbędnych rzeczy. Wychowanie fizyczne we wtorki i w czwartki – bo była zbyt ciężka i bardzo się pociła – choć lubiła patrzeć na chłopców grających w piłkę nożną i uwielbiała dźwięk gwizdka. Zaraz potem kościół w niedzielę. Mogła się obejść bez drapiących rajstop i skórzanych butów cisnących ją w stopy, bez opiętej sukienki, bez zapachu wody kwiatowej dla dzieci, plotek i starych śpiewników ze złoconymi na brzegach stronami. Najbardziej jednak chciała, aby zniknęła ta kobieta – kobieta, na którą teraz czekała na werandzie.

Jeszcze jej nie poznała; dowiedziała się o niej dopiero wczoraj. Ojciec czekał, aż zejdzie na śniadanie – nie pamiętała, kiedy ostatni raz jedli razem rano – i nie dał jej nawet szansy na zjedzenie tego śniadania.

– Poznałem bardzo miłą panią – powiedział i odstawił kubek z kawą. – Mam nadzieję, że pokochasz ją tak bardzo jak ja.

I już. W domu będzie inna kobieta. To, że robił interesy w innym mieście, było kłamstwem. Wyjeżdżał, żeby szukać

żony.

Quinn pomyślała o ich wspólnych planach, o letniej wyprawie. Ojciec obiecał nawet zabrać ją jesienią do Galveston, mieli zatrzymać się w hotelu Galvez. Opowiadał jej, że dawniej gośćmi hotelu byli tylko bogaci i sławni ludzie, a także amerykańscy prezydenci, Roosevelt i Eisenhower, aktorzy tacy jak Jimmy Stewart czy Frank Sinatra i miliarder Howard Hughes. Apartamenty dostały po nich nazwy. Quinn nie mogła doczekać się tego wyjazdu.

– A co z Galveston? – zapytała. – Z hotelem? Ze spa? Pojedziemy?

– Nie martw się. – Pan Murray poklepał ją po ramieniu. – Pojedziemy wkrótce, obiecuję. Naprawdę niedługo.

– My dwoje?

– Pewnie. A może pojedziemy wszyscy?

Obiecał jej wszystko, ale nie to, że pojedą tylko we dwoje; obiecał spa, teatr i restauracje, gdzie podają rybę w całości, z głową, i że nauczy ją posługiwać się tymi nożami do ryb w kształcie łopatki, które oddzielają ości od mięsa. W chwili jasności umysłu przyznała przed sobą samą, że musi dać sobie spokój z Galveston, bo nigdy tam nie pojedą.

Quinn wciąż się huśtała, bardzo szybko, jak w transie, przeciągając palcami po włosach. Były puszyste, mocno się kręciły i niezależnie od tego, jak często używała maszynki do prostowania, zawsze wracały do poprzedniego bezładu, gdy tylko wyszła na wilgotne powietrze teksańskiego lata.

Umysł Quinn zaczynał błyskawicznie pracować, a ręce szybko się poruszać, gdy recytowała przepisy z książki kucharskiej. Stare, pachnące talkiem damy z kościoła były pod wrażeniem.

– Jakie jest ulubione danie twojego tatusia? – zapytały, a Quinn próbowała nie patrzeć na ich ręce pokryte ciemnymi plamkami, z żyłami niczym niebieskie rzeki.

– Stek wołowy panierowany – odparła i szczegółowo opisała,

jak wykrawała gruby kawałek polędwicy, biła go metalowym tłuczkiem do mięsa, potem obtaczała w mące z przyprawami, smażyła na patelni i podawała z sosem ze smażenia zaprawionym śmietanką.

Wciąż się huśtając, Quinn marzyła o kolacji, niemal czuła na czubkach palców aromat rozmarynu i szczypiorku oraz dochodzący z domu zapach mięsa duszonego z jarzynami, tłuczonych ziemniaków i idealnie ugotowanej okry. Uwielbiała podnoszący na duchu zgrzyt widelców na porcelanowym talerzu, gdy zeskrobywała resztki jedzenia.

Zmusiła się do porzucenia kulinarnych marzeń, czekała przecież na werandzie na swojego ojca i chciała zobaczyć nową matkę. Ojciec nie powiedział, kiedy to nastąpi, obiecał tylko, że ją przywiezie, Quinn czekała więc na werandzie już drugi dzień na samochód podjeżdżający w kłębach pyłu krętą drogą do domu.

Patrzyła na popękane deski podłogowe. Pomyślała, że w szczelinach są smugi rozlanej farby, lecz gdy przyjrzała się bliżej, zobaczyła maszerującą wzdłuż nich zdyscyplinowaną armię mrówek, które nosiły jedzenie w tę i z powrotem. Wkrótce będą ich setki i tysiące, wyniosą wszystko z domu i choć są bardzo małe, niepozorne, poruszenie gór wydawało się jedynie kwestią czasu. Nie cierpiała owadów, pluskiew, chrząszczy, wszystkie to szkodniki. Nie lubiła nawet motyli.

Uklęka i uświadomiła sobie boleśnie, że jej brzuch napiera na płuca, wskutek czego oddech zrobił się świszczący. Skądś nadleciał ku niej nagły niepokój, niczym koliber trzepoczący skrzydłami, czuła go w środku.

Mijały godziny, niepokój rozgościł się w niej na dobre. Nie miała niczego do oglądania, z wyjątkiem ściany z odpadającą farbą, zatopiła się więc w nieprzyjemnych wspomnieniach o tym, jak ostatnim razem czekała na tej werandzie, aż ktoś się pojawi.

Rozdała w szkole zaproszenia na swoje dwunaste urodziny i też się huśtała, gdy przyszły jej koleżanki, niosąc torebki



z prezentami. Quinn wiedziała, że nie przychodzą z przyjaźni, lecz ze zwykłej ciekawości.

Podczas przyjęcia urodzinowego dzieciaki biegały po całym domu, trzaskały drzwiami, wchodziły do pokoi, w których nie miały czego szukać. „Co tam jest?“, pytały i tak gwałtownie otwierały drzwi, że te z hukiem uderzały o ścianę.

Quinn mówiła, że to gabinet i nie wolno tam wchodzić, ale one i tak weszły, chichocząc i zostawiając otwarte drzwi. Z daleka słyszała gwar rozmów, nie rozróżniała słów, lecz dochodził do niej głośny, nieprzerwany śmiech.

Hałas wywabił ojca na schody. Wszystkie koleżanki patrzyły na niego, na rozpięty ostatni guzik koszuli frakowej, odsłonięty brzuch. Wszystkie podśmiewały się i drwiły z jego kaczego chodu, ze sposobu, w jaki przelewał się z nogi na nogę całym ciężarem ciała.

Po wyjściu gości zostały tylko okruchy i resztki lukru z trzywarstwowego ucieranego ciasta Victoria, którego upieczenie zajęło Quinn cały ranek. Nikt nie podziwiał doskonałości wypieku, jego lekkości i bogactwa lukrowej dekoracji. Żadne z dzieci nie powiedziało ani słowa, zeskrobywały tylko lukier i robiły bałagan na swoich talerzykach.

\*

Teraz miała zamieszkać z nimi ta kobieta, jej nowa matka. Przez ułamek sekundy Quinn miała ochotę wspiąć się na jedno z drzew od frontu, aby widzieć dłuższy kawałek drogi. Ku ogólnemu zdumieniu pomimo swoich rozmiarów doskonale się wspinała. Była silna, nie bała się spaść i uważała, że mimo zadrapań na nogach i zdartej skóry na kolanach warto zajrzeć do gniazda – nigdy by go nie poruszyła, przecież ptasia mama opiekowała się

tam pisklętami – i rzucić okiem na znajomą okolicę, która z tej wysokości wyglądała zupełnie inaczej.

Nowa matka pojawiła się dopiero po zmierzchu. Miała na sobie jedną z najładniejszych zielonych jedwabnych sukienek, jakie Quinn kiedykolwiek widziała – koloru fasolki szparagowej wrzuconej na czas do lodowatej wody, zanim zdążyła się rozgotować. Włosy nowej matki pachniały pomarańczami i bergamotką, w jasnym świetle ich kolory przypominały jesienne liście; odcienie bursztynu zlewały się niczym w koronie na głowie księżniczki. A jej oczy były jak dwa jeziora, ciemnozielone i głębokie. Quinn mimowolnie zaczęła sobie wyobrażać, jaka byłaby piękna, gdyby obdarowano ją choć połową urody nowej matki.

Quinn doszła do perfekcji w ukrywaniu swoich uczuć, lecz jej serce działało na przekór. Zabiło raz czy dwa, podskoczyło nawet, zmuszając ją do wzięcia głębokiego oddechu. Nie wiedziała, co powiedzieć, stała więc tylko, patrząc na ojca, starannie wycierającego świecąca twarz chusteczką do nosa. Wydawał się szczęśliwy, w oczach miał niecierpliwe wyczekiwanie i stał blisko tej kobiety, tak drobnej, że wydawała się trzy razy od niego mniejsza. Quinn wystarczyło popatrzeć na nią, by wiedzieć, że nigdy go nie kochała. Była zbyt piękna, by kochać mężczyznę takiego jak jej ojciec.

– Mów mi Sigrid – powiedziała kobieta i wzięła Quinn za zwisającą bezwładnie rękę. Rzuciła jej przelotny uśmiech. – Dużo o tobie słyszałam – dodała, ale zabrzmiało to jak zwykłe kłamstwo.

Quinn czuła wzrok kobiety wędrujący od jej okrągłej twarzy przez pulchne ciało do stóp i z powrotem. Nowa matka miała zaróżowione policzki, lecz poza tym była blada, jakby ciepło uciekło z niej w chwili, gdy zdała sobie sprawę, że Quinn nie jest kimś, kogo się spodziewała.

– Mam mówić do ciebie Sekret? – zapytała Quinn, przeciągając

pierwszą sylabę.

- S-i-g-r-i-d. – Kobieta przeliterowała swoje imię.
- Skąd jesteś? – Quinn wychwyciła obcy akcent.
- Z Austrii.

Nie wiedziała, czego się spodziewać od życia z matką czy kimś, kto pełniłby jej funkcję, ponieważ nigdy kogoś takiego nie miała. Z pewnością czuła coś w rodzaju bólu i tęsknoty za własną matką, której nigdy nie poznała i o której się nie mówiło, jeśli Quinn sama nie poruszyła tego tematu. Ten ból był jednak w najlepszym razie mało konkretny, trudny do nazwania, jakby nie potrafiła przypisać prawdziwego znaczenia komuś, kogo utraciła, choć tego kogoś nigdy przy niej nie było.

Okazało się, że Sigrid nie jest wielką domatorką. Rano całe godziny zabierało jej zejście na dół i nigdy nie miała czasu, aby przygotować śniadanie czy lunch. Często jeździła do miasta, do miejscowego salonu piękności, i zawsze wracała w świetnym humorze, z mnóstwem toreb i paczek w rękach. Gromadziły się sterty rzeczy do prania, po kilku miesiącach postanowiono więc, że wróci pani Holmes i znów będzie dbała o dom.

Sigrid weszło w zwyczaj pozostawanie w swym pokoju. Pani Holmes przynosiła jej herbatę na srebrnej tacy; zastawę z delikatnej, wytwornej chińskiej porcelany ojciec Quinn sprowadził z Austrii w prezencie dla Sigrid, która jadła wszystkie posiłki z talerzy ozdobionych wzorem z ptaków przypominających pawie oraz pomarańczowych i niebieskich kwiatów. Talerze przysły wraz z filiżankami, spodkami, cukierniczką, dzbanuszkami do śmietanki, wazą do zupy, półmiskami, pucharkami do deserów, talerzykami na chleb, paterami i sosjerkami.

– Skąd masz te talerze z pawiami? – zapytała Quinn, zafascynowana faktem, że na wszystko były osobne naczynia.

– To nie jest paw, dziecko – powiedziała Sigrid, głaszcząc z czułością lśniący cieniutki talerz. – To rajski ptak. Ten wzór

nazywa się „Raj”.

– „Raj”? Jak ten, gdzie byli Adam i Ewa? – dopytywała Quinn, którą bardzo kusilo, żeby dotknąć talerza, poczuć jego gładkość i lekkość, ponieważ pani Holmes dostała polecenie, aby podawać jej potrawy na zwykłych talerzach z pyreksu, z grubą czerwoną obwódką.

– Adam i Ewa? Nie całkiem. Raczej jak miejsce wiecznego szczęścia, wiesz, takie gdzie jesteście wy i ja.

Quinn wiedziała, że to kłamstwo – nie było żadnego rajy ani nawet czegoś podobnego do rajy. Był natomiast Człowiek z cadillaca.

Niecały rok po tym, jak jej ojciec ożenił się z Sigrid, na podjazd wtoczył się ciemnoniebieski cadillac. Quinn, która huśtała się na werandzie, z piskiem zatrzymała ławeczkę i włożyła buty. Z samochodu wysiadł mężczyzna, wysoki, w szarym garniturze i butach lśniących bardziej niż świeżo wybita dwudziestopięciocentówka. Wyjął z bagażnika teczkę i podchodząc do drzwi frontowych, skinął głową Quinn, po czym zapukał. Pani Holmes miała przyjść dopiero za dwie godziny, ale Sigrid musiała czekać za drzwiami, ponieważ otworzyła je prawie natychmiast.

– Idź się pobawić, dziecko! – krzyknęła Sigrid, a Quinn zastanawiała się, w co, zdaniem Sigrid, bawią się nastolatki w dzisiejszych czasach. Przez chwilę została na werandzie od frontu, potem przemknęła się do kuchni. Zjadła resztki placka z owocami, zastanawiając się, jakie ciasto i lody poda pani Holmes po obiedzie. Nie powinna jeść przed obiadem ani wałęsać się po domu i szpiegować Sigrid, była jednak ciekawa i gdyby zachowała ostrożność, nie nastąpiła na niewłaściwą deskę w podłodze, gdyby nic nie zaskrzypiało, może udałoby się jej zerknąć do pokoju macochy.

Quinn szła na palcach najciszej, jak tylko zdołała, unikając wystających krawędzi desek. Cicho przekręciła gałkę, puściła ją

i lekko pchnęła drzwi do środka, zostawiając szparę. Czekala.

Najpierw poczuła unoszącą się w pokoju woń perfum Sigrid. Wdychała ten bogaty owocowo-kwiatowy aromat, przypominający zapach słodkich gruszek rosnących za domem. Zasłony były zaciągnięte, lecz przez dwucentymetrową szparę wpadało trochę światła. Gdy jej oczy się przyzwyczyły, zauważyła męską marynarkę powieszoną na oparciu krzesła. Taca z resztkami śniadania stała na stoliku nocnym; oblepiony dżemem nóż leżał obok okruchów bułeczki.

Człowiek z cadillaca klęczał na łóżku przy Sigrid. Musiała zemdleć, bo leżała płasko na plecach z jedną nogą zwisającą z materaca, ale mężczyzna nie potrząsał jej za ramiona, nie wachlował, nie podsuwał soli trzeźwiących pod nos. Quinn patrzyła, jak jedną ręką odpina górny guzik bluzki Sigrid, a drugą zadziera jej spódnicę do góry.

Quinn wyprostowała się, jakby obudził ją głośny gong, serce jej waliło, w uszach szumiało. Człowiek z cadillaca jednym ruchem, bez wysiłku, ściągnął Sigrid spódnicę. Spadła na podłogę. Szpiczaste buty mężczyzny uderzyły o deskę. Sigrid podniosła się, oparła na łokciach i obserwowała go. Jej sylwetka miała kształt skrzypiec, a patrząc na nią, Quinn wyobrażała sobie swoje własne duże ciało próbujące wykonywać tak nieśpieszne, rozmyślne ruchy.

Człowiek z cadillaca powoli rozpiął wszystkie guziki bluzki Sigrid. Przeciągnął czubkami palców od jej podbródka do mostka, ledwie dotykając szyi, mimo to na jasnej skórze Sigrid pozostała czerwona linia. Bluzka była rozpięta, a on studiował jej ciało. Trzymał ją za lewą pierś, początkowo delikatnie, potem przycisnął tak mocno, że stała się niewidoczna. Uniósł rękę, musnął jej sutki, przesunął dłoń po jej brzuchu i z powrotem, do mostka. Pchnął Sigrid na plecy – przez chwilę Quinn zastanawiała się, dlaczego macocha z nim nie walczy, skoro uciekł się do przemocy, popchnął ją tak mocno, że odbiła się od materaca.

Człowiek z cadillaca gwałtownie ściągnął z niej bieliznę, podarł rajstopy. Zsunął się z łóżka na kolana. Całował ją tuż nad kością łonową, a jego palec zniknął w Sigrid.

Poruszała się rytmicznie, dopóki nagle nie przestał i nie wyjął palca. Gdy znów oparła się na łokciach, Człowiek z cadillaca wstał i rozpiął suwak w swoich spodniach. Chwycił Sigrid za tył głowy, owinął jej włosy wokół swoich palców, tak że musiała się naprężyć, aby na niego patrzeć. Ich ciała wyglądały jak posągi, lecz coś się w nich wyzwoliło, jak w koniach po otwarciu bramek startowych. Quinn obserwowała, jak się poruszali, wtórował im odgłos pocierania ciała o ciało, przerywany plaskami uderzeń mężczyzny o brzuch Sigrid. Raz po raz zamieniali się miejscami, aż w końcu krążyły tyłek Człowieka z cadillaca podniósł się i opadł ostatni raz. Słyszeć było już tylko ciężkie oddechy.

Quinn patrzyła skamieniała niczym zając przerażony widokiem orła. W pokoju rozchodził się obcy zapach, nie potrafiła go nazwać. O wiele silniejszy niż zapach red velvet cake z lukrem śmietankowo-serowym, sięgający głębiej niż do żołądka, przenikający ją całą i zostawiający z uczuciem pulsowania i pragnienia.

Odeszła tak samo, jak przyszła; cicho i niepostrzeżenie wróciła na ławeczkę na werandzie i zaczęła się huścić. Przez chwilę utrzymywała tempo, lecz wkrótce pozwoliła huśtawce się zatrzymać. Wciąż drżała. Nie mogła wymazać obrazu lśniących butów Człowieka z cadillaca, ich czubków skierowanych do góry, w niebo. Podobnie jak jej ojciec, on także nie pasował do Sigrid – był mężczyzną, który się pojawiał, zostawał na godzinę czy dwie, a potem po prostu znikał.

Quinn straciła apetyt. Nie dlatego, że nie czuła głodu, lecz uświadomiła sobie, że jedzenie nie jest już dla niej ważne. Myśl o duszonym w piecyku mięsie czy o grzechotaniu kostek lodu w szklance mrożonej herbaty przyprawiała ją o mdłości, nie przynosiła ulgi. To wszystko nie miało dla niej w tej chwili

żadnego znaczenia. Czuła tylko smutek, tak wielki jak nigdy wcześniej. Ludzie z taką łatwością wzajemnie się odrzucają. Wiedziała, że przyjdzie czas, kiedy będzie wyglądała jak jej ojciec i też będą się z niej śmiali. Na myśl o ojcu poczuła pieczenie pod powiekami – nie z powodu drwin, których był obiektem, nic z tych rzeczy – ale ponieważ bez wahania odsunął się od córki dla pięknej kobiety, która nigdy go nie kochała.

Taka właśnie była Quinn Murray, która przestała rosnąć, osiągnąwszy metr sześćdziesiąt pięć, miała twarz, którą ludzie zapominali, jeszcze zanim przestawali na nią patrzeć; dziewczyna, która od piętnastych urodzin przytyła piętnaście kilogramów, a wszystkie było widać na biodrach.

Zaspokajanie głodu nagle wydało jej się bez sensu. Czuła, że już tego nie pragnie, i miała pełną świadomość swojego jedyne go celu. Chciała być taka jak Sigrid, mieć figurę w kształcie skrzypiec, być adorowana przez mężczyzn i nigdy nie zostać porzucona dla kogoś innego. W środku dręczył ją jednak nieokreślony strach, nie wiedziała, skąd się brał i co oznaczał, był jak sen, którego nie potrafiła zinterpretować. Chciała być silna jak Sigrid, jakby ten świat był instrumentem, na którym się gra. Chciała być silna, ale miała też w sobie wrażliwość, zbyt podobną do rozedrgania. To ją przerażało.

# Rozdział czwarty

## Dahlia

Na parkingu hotelu Barrington po raz ostatni zerkam we wsteczne lustro; siniaki wokół mojego nosa są wciąż zauważalne, natomiast opuchlizna zupełnie znikła. Przejeżdżam językiem po nadłamanym przednim zębie. Ubytek ledwie widać, ale czubek języka jest podrażniony od ciągłego wędrowania po ostrej krawędzi. Należę do zespołu kobiet sprzątających pokoje dla gości hotelu. Zatrudniono nas na okres próbny i płacono pod stołem. Byłyśmy niezauważalne – polecono nam nigdy nie nawiązywać kontaktu wzrokowego ani nie rozmawiać z gośćmi – lecz mimo to obowiązywały nas takie same standardy, jak pokojówki w czarnych mundurkach i białych fartuszkach. Były od nas o szczebel wyżej, pomagały rozpakować bagaże i służyły pomocą we wszystkim, czego gość mógł potrzebować, ale nie czyściły toalet i nie zmieniały pościeli. Wsiadam z samochodu, poprawiam grzywkę i sprawdzam swoje odbicie w oknie. Mój jasnoniebieski uniform jest wykrochmalony, wyprasowany i leży na mnie nienagannie, zgodnie z wymaganiami kierownictwa. Niedopuszczalne są plamy, zagniecenia, obcisłe spódnice i niedbale przyszyte guziki. W Barrington nawet nielegalnie pracujące sprzątaczkę nie mogą sobie odpuścić.

Ileokroć mój obolały język natrafi na wyszczerbioną krawędź zęba, przypominam sobie, ile czasu upłynęło od znalezienia Jane w lesie. Siedem dni – cały tydzień – i nadal jej tożsamość pozostaje nieznaną; Jane jest w śpiączce, a jej nazwisko wciąż stanowi zagadkę. Oglądając wiadomości lokalne, jestem



zaskoczona brakiem apeli o pomoc do telewidzów i w ogóle nieśpiesznym rozwiązywaniem tej sprawy. Potrafię pozbyć się obrazu Jane na łóżku szpitalnym, przywiązanej do monitorów, nie umiem jednak zapomnieć o tym, co mi się wówczas przytrafiło.

Od dnia, gdy po raz ostatni widziałam Jane, przydarzył mi się inny epizod. Postanowiłam pozostać przy określeniu „epizod”, dopóki nie znajdę odpowiedniego słowa.

To stało się dziś, wczesnie rano, pod prysznicem – ciśnienie wody lecącej przez zwapniałe sitko natryskowe było w najlepszym razie mizerne, mimo to czułam mrowienie w rękach, które zaczęło się od czubków palców, a następnie przeszło na ramię, na szyję, do oczu i nosa. Czułam nie tylko wodę bębniącą o moje ciało, lecz także zapach i smak, jakby paczka Pop Rocksów eksplodowała mi na języku. Każda kropla uderzała z hukiem o ścianę kabiny – pojedynczo i wszystkie naraz – jakby świat się powiększał, a jednocześnie najeżdżał na mnie i nie obchodziło go, jak to sobie wytłumaczę. Upadłam na posadzkę, zanim kolana zdążyły się pode mną ugiąć. Skończyło się równie szybko, jak zaczęło. Zostałam z uczuciem nerwowego wyczekiwania, mrowieniem przechodzącym po mnie jak iskry elektryczne, jakbym ustawiała się w blokach startowych przed wyścigiem. Leżałam w kabinie dłuższą chwilę, wstałam dopiero wtedy, gdy dotarło do mnie, że spóźnię się do pracy.

Sprzątaczkom nie wolno wchodzić przez drzwi frontowe, jestem jednak spóźniona. Jeśli się pośpieszę, a mój kierownik, pan Pratt, nie złapie mnie między drzwiami a szatnią, odbiję kartę zegarową i uniknę kazania.

Drzwi obrotowe wydają cichy szmer, a pan Pratt czyha za marmurową kolumną i każe mi podejść, kiwając zakrzywionym palcem, jakby przyłapał dziecko biegające po domu w zabłoconych butach.

Idę za nim do jego gabinetu. Nie proponuje, bym usiadła.

Kazanie jest krótkie.

– Musimy panią zwolnić – mówi i na tym samym oddechu zapewnia, że Barrington współczuje mi z powodu tego, przez co przeszłam po znalezieniu w lesie Jane. – Ale ciągle się pani spóźnia i nie jest w stanie wykonywać przydzielonych obowiązków. Na pełen etat zatrudniamy tylko najlepszych, została pani o tym poinformowana. Odprowadzę panią, aby mogła pani zabrać swoje rzeczy.

Później Pratt obserwuje mnie, stojąc w drzwiach szatni, a ja wrzucam do torby cały swój dobytek – ubranie na zmianę, szczotkę do włosów, batoniki z muesli. Waham się na widok pluszowej żyrafy na dnie szafki; myślałam, że zginęła, a znalazłam ją kilka dni temu. Jedno oko żyrafy wisi na nitce, próbuję wcisnąć je na miejsce.

– Ostatni czek wyślemy pani pocztą. Miałem nadzieję, że zaoferujemy pani pełen etat, ale nie bez powodu wprowadziliśmy okres próbny. Przykro mi, że się nie udało.

I tak wiedziałam, że się nie uda. Pełen etat wymaga wypełniania formularzy, dokumentów, których nie mam. Odkąd pamiętam mniej niż osiemset dolarów miesięcznie – takie płace zwolnione są od podatków – zawsze było dla mnie cudowną liczbą.

Wychodzę z Barrington tylnymi drzwiami. Docieram do samochodu i opieram się o maskę, żeby się uspokoić. Gdy wrzucam żyrafę do najbliższego kosza na śmieci, nagle przypominam sobie matkę budzącą mnie w środku nocy i wpychającą mi w ramiona pluszowe zwierzątko, lawendowego królika. To jedno ze wspomnień o jej tajnych operacjach porzucania wszystkiego – bierz te papiery, wszystko, na czym jest nasze nazwisko – i wyjazdu do nieznanego miasta, kolejnego wynajętego mieszkania z łóżkiem, do jakiego nie byłam przyzwyczajona. Nie mam zbyt wielu wspomnień, ale to jest jasne jak słońce. Zastanawiam się, co się stało z lawendowym

królikiem.

Nade mną ćmy zlatują się do latarni ulicznych.

Odchylam się do tyłu, patrzę w górę; ćmy wirują dookoła niczym płatki śniegu. Setkami kręcą się bez celu w surowej bieli światła ledowego.

Śnieg. Zadymka. To także wspomnienie, którego nie mogę umieścić w czasie ani przestrzeni.

# Rozdział piąty

## Aella

Pojawili się u drzwi Aelli o zmierzchu. Były znaki; najpierw pies podniósł głowę i zastrzygł uszami, a potem zaczął szczekać niskim, gardłowym głosem. Atlas był mieszańcem, pół psem, pół wilkiem, ufała mu bezgranicznie.

Otworzyła drzwi, wyszła na zewnątrz. Atlas poszedł za nią, stanął bez ruchu przy jej lewej nodze i szczeknął. To było tylko ostrzeżenie, dawał jej w ten sposób znak: „Patrz na mnie. Powiem ci, jeśli pojawią się kłopoty”.

Mężczyzna z potarganą brodą i zębami zbyt idealnymi, by mogły być jego własne, zrobił krok naprzód; wiedziała, że to on zapukał do drzwi. Było ich więcej, z ciemności dochodziły przytłumione głosy; stali po lewej stronie, a po prawej znajdowała się droga, która przywiodła ich do jej przyczepy w lesie.

Oczy Aelli przyzwyczyły się do ciemności, mogła więc zobaczyć, że byli to sami mężczyźni, brodaci, w brudnych ubraniach; zaparkowali swoje samochody przy drodze, nie zamykając drzwi. Kręcili się dookoła, palili papierosy, rozmawiali, przeciągali się.

Atlas utrzymywał dystans w stosunku do nich, trzymał się przy Aelli, od czasu do czasu rzucał się do przodu, lecz zaraz natychmiast się cofał. Złe nowiny, owszem, lecz nie niebezpieczne. Pies potrafił dobrze oceniać ludzi, dlatego Aella się nie bała.

– Trochę za późno na wizyty – powiedziała, obserwując parę

kotów, które czmychały w ciemność.

– Po prostu przejeżdżaliśmy tędy i zastanawialiśmy się, czy można rozbić obóz w tym buszu.

Buszem nazwali pole porośnięte kikutami cedrów uwięzionych między krzewami i drzewami, z których przy każdym wietrze z północy ulatywały pomarańczowo-czerwone tumany pyłku kwiatowego. Pyłek wbijał się w nos i w zatoki niczym haczyk w ryby. To nie było miejsce na obóz, dla Aelli nie miało to jednak znaczenia. Nie pierwszy raz tędy przejeżdżali – nie ci sami mężczyźni, ale tego samego rodzaju.

– Jest nas dwunastu. Tylko na jedną noc.

– Umiem liczyć – rzuciła Aella, choć panowały zupełne ciemności, a ona ledwie widziała sylwetki mężczyzn. – Ale kim jesteście?

Mężczyzna milczał przez chwilę, przyglądał brodę. W świetle dochodzącym z przyczepy Aella zauważyła mocne dłonie, bez blizn, czyste. Może ten człowiek pracował w rękawiczkach? Ramiona i twarz miał opalone, dzinsy przetarte na kolanach.

– Jesteśmy koczownikami – powiedział w końcu mężczyzna.

– Rozumiem. – Włóczęgami, pomyślała Aella. Irlandzkimi koczownikami poszukującymi pracy. – Jeśli chodzi o mnie, jedna noc może być.

Mężczyzna wymamrotał coś, czego Aella nie zrozumiała, a jeden z grupy zawołał do niego. Rozmawiali w jakimś języku o miękkich samogłoskach, używając słów, których Aella wcześniej nie słyszała.

– Dlaczego tu jesteście? – zapytała. Atlas uspokoił się, lecz nadal utrzymywał dystans.

– Naprawiamy dachy po jesiennych burzach.

– Ale dlaczego tu przyjechaliście? Do mojego domu? Możecie zaparkować gdziekolwiek i zostać na kilka dni. Kto wam o mnie powiedział?

– Cóż – mężczyzna podrapał się po brodzie – słyszeliśmy od

koczowników, że czasami tu przejeżdżają, a pani pozwala im obozować na swojej ziemi.

Mówił prawdę. Włóczędzy przejeżdżali tędy cały czas. Głównie paskudne typy, oszukiwali starych ludzi, naciągali wszystkich na pieniądze i zanim miejscowi się zorientowali, wyjeżdżali z miasta.

Aelli nie obchodziły ich wyczyny, nie chciała jednak, by ludzie w mieście wiedzieli, że koczownicy zatrzymują się na jej ziemi, nie chciała być z nimi kojarzona. Aurora nigdy nie uznała jej za swoją, ludzie plotkowali. Kobiety takie jak ona nie chciały być tematem rozmów. Za wiele osób przychodziło węszyć, a jeszcze ci bezczelni nastolatkwie; wszystko mogło się łatwo wymknąć spod kontroli.

Miejscowi byli niechętnie do niej nastawieni, na jej widok kręcili głowami, a niektórzy spluwali na ziemię, gdy przechodziła. Kobiety się niepokoiły. Pytały: „Jak możesz mieszkać na takim odludziu zupełnie sama? Nie boisz się?”, a Aella po prostu się uśmiechała. „To ja jestem tu najgorsza”, odpowiadała, a one patrzyły na nią i zaczynały nerwowo chichotać.

Mimo to mieszkańcy Aurory ściągali do niej: nieśmiali chłopcy marzący o ślicznych dziewczynach, mężczyźni, którzy nie potrafili utrzymać w łóżkach pięknych kobiet, bo brakowało im pieniędzy i jurności. Prosiłi o mikstury i balsamy, o buteleczki z dziwnymi rzeczami. Mężczyźni szukali najczęściej sposobów na niewierność kobiet – na to nie mogły pomóc kość czarnego kota czy magnetyt – a kobiety potrzebowały środków na dolegliwości. Szczególnie dokuczliwe było dzwonięcie w uszach. Żaden lekarz nie potrafił temu zaradzić, żadne kropelki ani pigułki nie mogły zapobiec rozmowom zmarłych o tobie, skoro byłeś dla nich zły, gdy chodzili po ziemi. Niektóre kobiety chciały zatrzymać przy sobie mężczyzn, przywiązać ich, aby nigdy nie odeszli; nie myślały wówczas o przyszłości, o tym, że mogą kiedyś

zapragnąć, by ci mężczyźni sobie poszli. Gdy tak się stało, wracały, a rozerwanie więzi kosztowało trzy razy więcej. Matki przychodziły z powodu przypadłości swoich dzieci: rozszczepu podniebienia, trzęsącej się głowy, co budziło wstręt innych dzieci, niezdolności czytania lub pisania, niemożności nawiązania kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. Matki były najbardziej ze wszystkich zdesperowane.

Aella wytrzymała spojrzenie tego mężczyzny i przekrzywiła głowę, jakby chciała zapytać: „Ile to jest dla was warte?”. Mężczyzna wyciągnął do niej rękę, na co Atlas zawarczał. Tym razem go nie uciszyła. Koczownik cofnął się o krok i znów wyciągnął rękę, pokazując wnętrze dłoni. Leżał tam pokaźny zwitek spiętych gumką banknotów. Aella sięgnęła po pieniądze.

– Chwileczkę – powiedział. – Jest jeszcze coś. Jedna z nas musi zostać tutaj na kilka tygodni. Zabierzemy ją, wracając.

Ją. Gdy przyglądała się grupie mężczyzn, z tylnego siedzenia jednego z samochodów wysunęła się nieduża kobieta i powłócząc nogami, ruszyła w stronę Aelli i jej rozmówcy. Atlas podszedł do niej i zaczął węszyć. Kobieta przystanęła przy mężczyźnie, w świetle księżyca, a wtedy Aella zobaczyła duży brzuch, bardzo duży, wręcz nienaturalnie duży, zważywszy na drobną budowę kobiety. I jeszcze jej wiek – wydawała się młoda, zbyt młoda, żeby być w ciąży, a gdy ochronnym gestem kładła ręce na brzuchu, jej oczy były puste.

– Nie czuje się najlepiej. Pomyśleliśmy, że chwila odpoczynku dobrze jej zrobi.

Aella chwyciła zwitek banknotów i przeliczyła pieniądze. Kwota była więcej niż szczodra, dwa razy większa niż ta, którą zwykle jej płacono za obozowanie na ziemi za przyczepą. I choć trudno było się do tego przyznać, tęskniła za towarzystwem, zwłaszcza w porze burz, które na całe dni zatrzymywały ją w przyczepie.

– Możecie przenocować na polu. Ona zostanie ze mną. – Aella

wskazała ciężarną kobietę, a potem swoją przyczepę. Popatrzyła na brzuch obciążony brudną koszulą wystającą spod rozpiętej kurtki, którą musiał jej dać jeden z mężczyzn. Ta dziewczyna miała w oczach coś – a właściwie nie tyle miała, ile czegoś w nich brakowało – co sprawiło, że Aella przyglądała jej się dłużej niż innym kobietom. Atlas niezmordowanie węszył, tropił niewidoczne zapachy, obracając się to w lewo, to w prawo. Podszedł do kobiety i położył nos na jej ręce, a potem schował się za swoją panią.

To był znak.

– Co jest z nią nie w porządku? – zapytała Aella.

– Nic. – Mężczyzna podrapał się po głowie i wzruszył ramionami.

Gdy mężczyźni przenieśli już swoje namioty i cały dobytek na pole, Aella w przyczepie uważnie przyjrzała się kobiecie. Nie, ona nie była przecież kobietą, tylko dziewczyną, ledwie dojrzałą. Gdyby nie wyraźne oznaki ciąży, brzuch i nabrzmiałe piersi, można by ją wziąć w najlepszym razie za szesnastolatkę.

Dziewczyna siedziała na krześle, jej kołyszące się w przód i w tył nogi omiatały podłogę. Twarz kobiety wyglądała niezdrowo, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się w pustą ścianę. Błada cera tworzyła osobliwe tło dla czarnych włosów i gęstych brwi.

– Jak masz na imię? – zapytała Aella.

Dziewczyna, milcząc, mocniej przywarła do oparcia krzesła.

– Tain – powiedziała w końcu; można było odnieść wrażenie, że to słowo wypadło z jej ust przez przypadek.

– Możesz zostać u mnie do ich powrotu.

Z brązowych oczu zniknęła pustka, zrobiły się okrągłe i bardziej błyszczące. Twarz wykrzywiła się w grymasie, oddech zatrzymał się na chwilę, po policzkach popłynęły łzy.

– O co chodzi? Dlaczego płaczesz? U mnie jesteś bezpieczna, jeśli tym się denerwujesz.



– Zaraz zaczną się burze – powiedziała dziewczyna. – Boję się.

– Będzie dobrze – uspokajała Aella. – To nie jest takie nieprzewidywalne. Jeśli zwraca się uwagę na pewne rzeczy, można dokładnie określić, kiedy nadejdzie burza.

– Na przykład jakie? – Tain wydawała się zafascynowana faktem, że Aella potrafi przepowiadać pogodę.

– Obserwuj pszczoły. I konie, wciąż kręcą głowami, a w trawie jest mnóstwo pajęczyn. Ale najważniejsze są różowe chmury wieczorem.

– Zawsze bałam się grzmotów i błyskawic.

– Nie ma się czego bać. Latem to normalne, ale burze są naprawdę gwałtowne na wybrzeżu, nie tu, w głębi lądu. Nie ma powodu do strachu. Po prostu trochę popada i zagrzmie. – Te słowa chyba nie uspokoiły dziewczyny, która owinęła się kurtką, wsunęła ręce do zbyt dużych kieszeni i znów zapatrzyła się przed siebie. Wydawała się zmarznięta. – Zrobię ci herbatę.

Twarz Tain pozostała bez wyrazu. Aella pomyślała o rumianku, który zbierała na pobliskich polach, i o tym, że zaparzy kwiaty, nastawi je na bardzo długo, aby napar był dostatecznie mocny i uspokoił dziewczynę. I może doda korzeń waleriany.

Zaparzyła ziółka i podała kubek Tain, ich palce lekko się zetknęły. Dziewczyna miała zimne dłonie, wręcz lodowate, jakby była duchem lub wkrótce miała się nim stać. Aella widywała już wcześniej coś takiego; ludzi, którym nie zostało zbyt wiele czasu, będących jedną nogą na tamtym świecie. Obserwowała, jak Tain otacza dłońmi gorący kubek i wtedy coś drgnęło, jakby deska podłogowa się przesunęła. Dziewczyna zadygotała, Aella złapała się stołu. Nie denerwowała się, choć wszystko wokół niej na chwilę zalała poświata – las, drzewa, przejeżdżający drogą samochód, nawet Atlasa i czerwone kardynały w zaroślach – ponieważ zawsze tak było, gdy zbierało się na silną burzę. Dziewczyna słusznie się bała. To będzie nawałnica.

Później, gdy Tain spała na kanapie, na boku, aby brzuch nie przeszkadzał jej oddychać, Aella przyjrzała jej się uważnie. Dziewczyna miała zarumienione od snu policzki, a jej ciemne oczy przeświecały przez cienkie, ciężkie powieki.

Wydawała się eteryczna, jakby namalowano ją delikatnymi muśnięciami pędzla; z każdym pociągnięciem kolory bladły tak szybko, że zniką na oczach Aelli. Wiedziała, że to znak, iż dziewczyna nie zabawi już długo na tym świecie. A może jej dziecko szybko skończy życie, nie miała pewności.

Próbowała zrozumieć tę dziewczynę, zdumiona, jak łatwo ludzie, którzy jej nie znali, mogli paść jej ofiarą. Tain była jak nieśpieszne zbieranie się ciężkich chmur w bezwietrzny dzień, ale potem rozległ się daleki huk, zwiastując to, co od początku zapowiadały gromadzące się chmury – potężną burzę.

Aella obserwowała Atlasa. To prawda, że tego psa nie obchodził nikt oprócz jego pani, zawsze pozwalał jednak obcym, zwłaszcza kobietom, na pieszczoty. Od Tain przez cały czas trzymał się z daleka, nawet nie próbował się do niej zbliżyć.

To też był znak.

# Rozdział szósty

## Quinn

Quinn przeskoczyła trzeci stopień od góry, ten, który piszczął jak rozzłoszczona stara kobieta. Zatrzymała się u dołu schodów. Kątem oka zauważyła ruch po drugiej stronie korytarza, w ciemnej kuchni. Nieokreślony, niewyraźny jak cień, ledwie uchwytny. Wiedziała, że to tylko jej wyobraźnia. Uspokoila się, gdy przypomniała sobie, że Sigrid śpi na górze i że to tylko strach przed zdemaskowaniem sprawia, iż widzi cienie i jakieś zjawy. Deski na podłodze nie wydały ani jednego skrzypnięcia, gdy Quinn przemykała się przez kuchnię do tylnych drzwi.

Ciemność na dworze zaniepokoiła ją, jakby czały się w niej jakieś potwory szczerzące kły, postanowiła jednak zwalczyć to uczucie, nie była już przecież dzieckiem, które można łatwo przestraszyć. Gdy maszerowała ścieżką w stronę pól i lasu, owiewał ją lekki wiatr, spódnica przywarła jej do ud. Szła szybciej niż zwykle, bardziej sprężystym krokiem; była teraz zwinna jak tancerka. Quinn nie musiała dłużej wyobrażać sobie, że wymyśla przepisy, ani gawędzić ze starymi paniami w mieście, nie zajmowała się już zbieraniem warzyw z ogródka za domem i planowaniem posiłków.

Nazywała to „wzięciem kochanka”. Zastanawiała się nad tym wyrażeniem i doszła do wniosku, że właśnie ono uczyni ją bez porównania silniejszą. „Wziąć” sugeruje władzę, mimo że jej kochanek miał tylko kilka lat więcej od niej i daleko mu było do Człowieka z cadillaca. Mimo to Quinn nie widziała świata poza nim.

Od kiedy zobaczyła macochę i Człowieka z cadillaca w sypialni jej ojca – a obserwowowała jeszcze wiele takich schadzek przez szparę w drzwiach – zaczęła rozmyślać o tym wszystkim. Mogło się wydawać, że mężczyźni mają słabość do pewnego rodzaju piękna, nie taniego, biorącego się ze swobodnego zachowania i obcisłych bluzek, lecz wynikającego z siły kobiet, jak Quinn lubiła je nazywać – „tajemniczych”. Im mniej mężczyzna wiedział o kobiecie, tym bardziej zdawał się ją uwielbiać. Człowiek z cadillaca, na przykład, nic nie wiedział o prawdziwej Sigrid, o tym, że cierpiała na niestrawność i często bekała po dużych posiłkach, że budziła się z czerwonymi i zapuchniętymi oczami, że przed południem była nieznośna. Dobrze się jednak bawił w jej towarzystwie, gdy już się wykąpała, ubrała i zakręciła włosy. Quinn czytała o gejszach; uchodziły one za artystki i potrafiły uwieść mężczyznę widokiem skrawka swej szyi, ale tylko wtedy, gdy same tego chciały, jakby cała siła była w nich, siła tak złożonej natury, że Quinn miała trudności z jej zrozumieniem. Ponoć można odróżnić prostytutkę od gejszy po ubraniu; prostytutki zawiązują swe kimona z przodu, natomiast gejsze – przy pomocy służby – na plecach.

Myślała o gejszach, gdy obserwowowała mężczyzn gapiących się na Sigrid; pożerali wzrokiem jej macochę w dyskretnym makijażu, gustownie ubraną, zawsze z nogą założoną na nogę. Robiła wrażenie tak bezradnej kobietki, że nieznanymi mężczyźni rzucali się zanieść jej zakupy do samochodu, nosili za nią paczki i nalewali benzynę. Niektórzy byli nawet w towarzystwie innych kobiet, ale nie mogli powstrzymać się od patrzenia na nią; w ich oczach widać było pytanie, jak by to było, gdyby należała do nich. Może sądzili, że posiadanie takiej istoty automatycznie przeniesie ich do jakiejś wyższej kategorii.

„Sztuczki”, tak nazywała to Sigrid. Kobiecte sztuczki.

W zeszłym roku ojciec Quinn dostał zawału serca podczas zebrania w ratuszu. Chwilę po tym, jak na jego czole pojawił się

pot, a on wyjął z kieszeni wykrochmaloną chusteczkę do nosa, zgromadzeni ujrzeni go upadającego z hukiem na podłogę.

– Odszedł, nie wiedząc nawet, co się dzieje – zapewnił później lekarz Sigrid i zaczął opowiadać, jak sześciu dorosłych mężczyzn podnosiło jej męża i układało na ozdobnym biurku, gdzie doktor przeprowadził sztuczne oddychanie, niezwykle trudne, zważywszy na rozmiary jego ciała.

– Nie martw się, dziecko – powiedziała później Sigrid do Quinn, gdy lekarz przekazał im wieści. – Zostaniesz ze mną. On z pewnością by tego chciał – dodała, zdejmując nogę z nogi.

– Bardzo chorował, od dawna. Miasto będzie go pamiętało. Był dobrym człowiekiem – powiedział lekarz, ujmując twarz Sigrid pod jej nowym toczkiem z woalką; do kapelusza miała dobrane rękawiczki.

Co dziwne, w pierwszych dniach po śmierci ojca Quinn wyobrażała sobie, że on wciąż żyje i wydawało się to całkiem prawdopodobne, ponieważ jej ojca, póki jeszcze żył, nigdy nie było w domu, nie spędzał z nią wiele czasu, mógł więc być gdzieś w pobliżu, tylko poza domem. Woląла tak go pamiętać – nieobecny, lecz wciąż gdzieś żyjący. Podobnie jak w przypadku odejścia matki, to dziwne słowo sugerowało przejście z jednego stanu w drugi, choć dokładnie nie wiadomo, co to oznaczało. Tak więc Quinn często wspominała ze smutkiem swojego ojca i rozmyślała o nim. Był naprawdę schorowany. Cukrzyca wywołała u niego wrzody na nogach, powinien przejść na emeryturę przed wielu laty, bardziej dbać o siebie, chodzić do lekarzy – z cukrzycy nie można się wyleczyć siłą woli – lecz on wydawał się zadowolony z życia. Quinn często się za niego modliła i przechowywała jego zegarek w kasetce z biżuterią. Płacząc, najczęściej myślała o wyprawie do Galveston, na którą nigdy się nie wybrali. Bardzo chciałyby mieć takie wspomnienie o ojcu, o leżakach nad basenem, kolacjach w eleganckich lokalach, spacerach po przystani z widokiem na Spoil Island.

O tym, jak trzymała go za rękę. Chciała mieć takie wspomnienie, ale może kiedyś ono w końcu zbladnie. Z czasem rozmyślenia o tej straconej szansie stawały się coraz bardziej bolesne, Quinn próbowała więc się nad tym nie zastanawiać.

Tej nocy szła na spotkanie z kochankiem, wiedząc, że jej zadbane ciało jest silne; jadła teraz tylko dwa małe posiłki dziennie, była jednak szczupła głównie dlatego, że tak postanowiła. Nowe ciało było wyłącznie świadectwem jej panowania nad głodem. Rano stała przed lustrem, podziwiając linię bioder i ud, dołeczki w pośladkach, wyraźnie zarysowane obojczyki. Żaden jej fragment nie krył się pod warstwą tłuszczu. Czując siłę swojego nowego ciała, szła pewnym krokiem przez jasną noc, w świetle księżyca, i wyobrażała sobie ręce kochanka na całej sobie, choć on jeszcze nie ośmielił się nawet jej dotknąć.

\*

Quinn nazywała go Benito, a poznali się, gdy Benito i jego wuj przywieźli bele siana do użyczenia ziemi pod krzewami róż. Po śmierci męża Sigrid nalegała na hodowanie róż i choć krzewy wyglądały mizernie, były pokryte plamkami przypominającymi czarny pieprz, nie chciała się poddać.

– Siano jest dobre dla ziemi, użyźnia ją. Zobaczysz – powiedziała i poleciła Benito i jego wujowi zrzucić bele obok zmarniałej rabaty. Wuj zbadał ziemię, roztarł grudkę palcami i obiecał wrócić nazajutrz, żeby zająć się rabatą i rozrzucić siano.

Tego dnia Benito nie patrzył na Quinn, lecz następnego zaczęli rozmawiać, mimo że wuj zerkał na nich z ukosa. Odtąd Quinn czekała na werandzie, dopóki nie usłyszała dudnienia silnika starej ciężarówky, coraz głośniejszego z każdą mijającą sekundą, im bardziej samochód zbliżał się do domu, i wyobrażała sobie rury wypluwające dwie smugi czarnego dymu. Wuj zajmował się

rabatami, a Benita wysyłał raz po zapomniane narzędzie, innym razem z kubłem, z którego chłopak miał wysypać wykopane z ziemi kamienie. Quinn siedziała na frontowych schodkach i przyglądała się, jak Benito wskakiwał na pakę ciężarówki, a mięśnie jego długich, chudych ramion drżały pod brązową skórą, gdy podnosił drewno, torby ze ściółką i narzędzia ogrodnicze.

– Gdzie chodzisz do szkoły? – zapytała.

– Nie chodzę – odparł Benito. – Jestem z Palestiny, tam chodziłem do szkoły. – Sięgnął po ręczny kultywator i przesunął go na krawędź paki. Zeskoczył zręcznie jak gimnastyk. Quinn widziała coś takiego w szkole. Potem, pozornie bez wysiłku, podniósł ciężki kultywator i ostrożnie postawił go na ziemi. Jego lśniące, ciemne włosy miały odcień mahoni, szeleściły cichutko na wietrze i falowały przy każdym wypowiedzianym przez Benita słowie.

– Palestyna? Gdzie to jest? – zapytała Quinn z czystej uprzejmości. Założyła nogę na nogę, tak jak robiła to Sigrid, choć obawiała się, że nawet w połowie nie wygląda na tak wyrafinowaną jak macocha.

– Niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd. Małe miasteczko.

– Zawsze pracujesz z wujem?

– Dużo pracuję dla wielu osób – odparł i wytarł czoło grzbietem dłoni. – Oszczędzam, bo chcę założyć własną firmę.

Wkrótce wuj Benita miał dość chłopaka zajmującego się tylko zbieraniem narzędzi czy opróżnianiem wiader i zaczął przerywać ich rozmowy; chodził tam i z powrotem, wrzucał na pakę ciężarówki co popadnie, a potem oddalał się, mrużąc coś pod nosem. Po tygodniu takiego protestu wuj zaczął wołać z ogródka swojego pomocnika co kilka minut, praktycznie uniemożliwiając jakiegokolwiek rozmowy.

– *Ven aquí!* – krzyknął najpierw wuj, potem ryknął: – *Me estas escuchando?!* – A pod koniec trzeciego tygodnia, gdy ziemia była

przygotowana, siano rozłożone, krzaki róż zasadzone i pozostało tylko przymocować kratownice na werandzie od ogrodu, Benito już z nim nie pracował.

– Gdzie jest Benito? Proszę mi powiedzieć. – Quinn patrzyła błagalnie na wuja trzymającego w ręce gwóźdź.

– *No hablo inglés* – odparł tylko, a Quinn przyglądała się, jak mężczyzna przykłada gwóźdź we właściwym miejscu, chwytając młotek i uderza mocno i celnie. Kilka uderzeń i zrobione. – *Todo ha terminado* – oznajmił i odwrócił się od niej plecami.

Kilka dni później Benito czekał na Quinn po szkole, przy sklepie z artykułami żelaznymi, obok którego przechodziła codziennie w drodze do domu. Wyjeżdżali za miasto i parkowali w ustronnych miejscach, mając świadomość, że ludzie będą gadać o córce zmarłego skarbnika miasta i meksykańskim robotniku rolnym, ale to tylko dodało Quinn siły, ten fakt, że postąpiła tak, jak jej się podobało. Siedzieli w ciężarówce Benita, a on opowiadał jej o swym rodzinnym mieście, w którym mieszkał przed przyjazdem do Teksasu. W Meksyku jest mesa, Mesa de Sagrado, wyniesiony kawałek lądu o płaskim szczycie, a na jednym ze stromych zboczy mesy jego rodzina miała małe gospodarstwo, hodowali kozy i kurczaki. Prowadziła je nadal babka Benita ze swymi kuzynami. Babka żyła tylko dla jednego dnia w roku, gdy otwierały się bramy nieba i dusze zmarłych jednoczyły się ponownie ze swymi rodzinami.

– Jest taki dzień? – Zdumiona Quinn zastanawiała się, czy jest to prawda, czy coś, w co wierzą ludzie przesądni, przekonani, że można przepowiedzieć przyszłość.

– *Día de los Muertos* – potwierdził Benito i przeżegnał się.

– Co to znaczy? – zapytała i spróbowała jak najdokładniej powtórzyć te słowa. – *Dijoz dejla merde* – wydusiła w końcu. Oboje się roześmiali i przysunęli bliżej do siebie.

– To jest Dzień Zmarłych i jedyna noc w roku, gdy moja *abuela* śpi w łóżku.



– Gdzie ona śpi, jeśli nie w łóżku?

– Na podłodze.

– Ale przecież jest starą kobietą. Dlaczego to robi? – Quinn pomyślała o Sigrid, jej szerokim łóżu i wytwornej bieliźnie pościelowej.

– Gdy zmarł mój dziadek, przyrzekła, że nigdy nie położy się do ich łóżka, chyba że z nim. Ona wierzy, że w tę jedną noc on jest z nią. Gotuje dla niego jedzenie i nakłada na talerz, pierze jego ubrania i kładzie je na łóżku.

Quinn próbowała nie myśleć zbyt dużo o opowieści Benita, ponieważ przypominała sobie wówczas ojca. Sigrid bardzo rzadko bywała na cmentarzu, by zostawić kwiaty na jego grobie.

– Czy jej mąż kiedyś się pokazał? – zapytała, lecz przed oczami miała obraz nie starej kobiety czekającej na męża, lecz swojego ojca w niebieskim garniturze, z głową spoczywającą na atłasowej poduszce w trumnie z drzewa wiśniowego, zamówionej w Domu Pogrzebowym Mitchella w mieście. Twarz ojca wydawała się woskowa i nalana, zupełnie siebie nie przypominał.

– To wy tak myślicie. Zmarli się nie pokazują, to znaczy, nie naprawdę, widzi się ich w duszy. W ten sposób oddaje się im cześć – wyjaśnił Benito.

Uzgodnili dzień i godzinę najbliższego spotkania, po czym Quinn, z dala od ciekawskich oczu, wysiadła z ciężarówki Benita. W najbliższą niedzielę spacerowali po polach nieopodal lasu, a Benito pokazał jej, jak wybrać trawę o najszerszych i najostrzejszych źdźbłach. Umieścił źdźbło między kciukami, napiął je, zacisnął usta i dmuchnął. Zależnie od tego, w jaki sposób trzymał je w dłoniach, wydawało różne dźwięki. Powiedział, że trawa w jego rodzinnym mieście rośnie wyżej niż gdziekolwiek w Teksasie. Wkrótce zaczęli spotykać się po zmroku i z każdym mijającym dniem, z każdym kolejnym krokiem zrobionym w jego stronę Quinn miała poczucie, że zaczyna panować nad swoim życiem. Czuła się jak dziewczyna

idąca ku swemu przeznaczeniu, opowieści o gejszach wydawały jej się teraz głupie i bezsensowne i wyobrażała sobie, że wyjeżdża z Aurory z Benitem, aby zacząć nowe życie gdzieś, gdzie nikt ich nie zna.

\*

Tej nocy Quinn, rozmyślając o wspólnej przyszłości, szła przed siebie zauroczona światłem księżyca, jasnym i srebrzystym – nigdy wcześniej takiego nie widziała – i choć potykała się na wybojach, nie przestawała patrzeć w nocne niebo. Niektóre gwiazdy świeciły słabo, migotały tylko od czasu do czasu, ale inne miały dość mocy, by rozświetlać ciemności. Quinn szła polną drogą, potem przez pole, w końcu dotarła do ścieżki prowadzącej do lasu. Gdy weszła, nisko zwisające gałęzie lekko połaskotały ją w policzek, aż podskoczyła.

Tej nocy las wydawał się inny, jakiś nieznan. Pnie były pochylone, a ścieżki znikły; drzewa, wyższe niż w świetle dziennym, wyciągały gałęzie w stronę czegoś poza ich zasięgiem, do nieba, prawie dosięgały księżyca. Na temat tych lasów krążyło wiele opowieści. Zawsze tak było. Te drzewa szepczą, mówili miejscowi; w niektóre noce można usłyszeć głosy i wtedy najlepiej pójść w innym kierunku i nie odwracać się. Quinn wiedziała, że rosło tu mnóstwo topoli amerykańskich, których liście, płasko ułożone na boki, poruszały się na wietrze w szczególny sposób, i to wszystko, musiała jednak przyznać, że gdy zrywał się wiatr i szeleścił liśćmi, nawet jej poziom hałasu wydawał się nienaturalny. Gdy w końcu dotarła do ich sekretnego miejsca, owalnej polany w najciemniejszej części lasu, usiadła na powalonym drzewie i czekała na kochanka.

– *Mi corazón.* – Bardziej wyczuła, niż usłyszała te słowa.

Uściskali się, jego mokre włosy łaskotały ją w policzek.

Pognieciona koszula pachniała mydłem i jakimś nieznanym Quinn jedzeniem. Cała rodzina mówiła na niego Benito. Miał dziewiętnaście lat i ciało silne od ciężkiej pracy przy stawianiu ogrodzeń, ścinaniu drzew, pomocy przy znakowaniu bydła i budowaniu stodół. Miał szeroką twarz o delikatnej cerze, prawie bez zarostu, i haczykowany nos.

Rozłożyli na ziemi koc i zostali kochankami. Quinn była dziewczicą, Benito miał już pewne doświadczenie, był delikatny i szeptał po hiszpańsku słowa, których Quinn nie rozumiała, lecz dla niej brzmiały jak muzyka. Gdy dotknął jej twarzy, zmuszając ją tym samym, by spojrzała mu w oczy, jego dłonie, mimo że stwardniałe i szorstkie, wydawały się delikatne. Leżeli na miękkim poszyciu w cudownej ciszy i choć on jeszcze w niej nie był, stanowili jedność. Ich ciała drżały, a Quinn poczuła, że coś zaczyna się w niej dziać, coś mocno do niej przylgnęło, coś bliskiego i dobrze znanego. Benito znalazł jej usta i całował ją powoli, poruszając się z nią. Wstrzymała oddech, gdy uniósł się trochę i wsuwał w nią. Poczuła lekki ból i krzyknęła. Benito przestał się poruszać. W końcu Quinn wypuściła powietrze i znów wzięła oddech. Wszystko, w co dotąd wierzyła, okazało się nieprawdą. To nie było prostackie i wulgarne, nie miała żadnej władzy nad Benitem, było inaczej niż z Sigrid i Człowiekiem z cadillaca; siła była w niej i przechodziła z niej na niego. To było jak zaćmienie księżycy, które obserwowała wraz z ojcem wiele lat temu, wydarzenie tak ważne, że za każdym razem, gdy o nim myślała, przeżywała je na nowo. Tę chwilę będzie przeżywać całą wieczność.

Benito wyciągnął rękę i pogładził Quinn po zarumienionym policzku. Przyciągnął ją do siebie i obsypał jej twarz pocałunkami. Eldorado było naprawdę, powiedział Benito, kraina złota, której króla obsypywano złotym piaskiem tak szcudrze, że wyglądał jak zrobiony z litego złota. Quinn nie była pewna, czy to legenda, czy może w tej opowieści kryje się jakaś część prawdy,

nic jej to jednak nie obchodziło. Pomyślała, że Benito jest księciem, który wkrótce stanie się mężczyzną i będzie rządził takim czy innym królestwem. A ona będzie jego królową.

– Muszę iść – powiedział Benito. – Wcześniej rano zaczynam z wujem pracę.

– Przyjedziesz w poniedziałek po szkole? Spotkamy się przy sklepie żelaznym?

– Tak, *mi corazón*, spróbuję, ale to duża robota. Taras. Zajmie cały weekend i może cały poniedziałek. – Pomógł jej wstać. – Odwiozę cię do domu.

– Zostanę jeszcze trochę. Chcę zobaczyć wschód słońca.

Nachylił się i pocałował Quinn, a ona patrzyła, jak jej kochanek znika między topolami. Słyszała słaby odgłos otwieranych drzwi, potem trzaśnięcie, a po nim warkot silnika. Wyobraziła sobie Benita zręcznie manewrującego po wyboistej gruntowej drodze.

Podłożyła ręce pod głowę i wpatrywała się w nocne niebo. Wiatr osłabł, a ona leżała pod gwiazdami, wciąż czując delikatny oddech Benita i bicie jego serca. Była zupełnie inna niż Sigrid i na czymkolwiek polegały kobiece sztuczki, nie miały zastosowania do chłopców takich jak Benito. Słuchała serca, nie głowy, więc wszelkie rady, jakich udzieliła jej Sigrid, straciły już znaczenie, a może nawet nigdy go nie miały. Pragnęła na zawsze zapamiętać tę chwilę, gdy została kochanką Benita. Quinn zamknęła oczy i zapadła się w atramentową ciemność.

Obudził ją daleki odgłos wystrzału. Na moment podniosła powieki, ale wokół panowała cisza, pomyślała więc, że coś jej się wydawało, i znów zasnęła.

Ostatnim obrazem, jaki zapamiętała, był wiszący wysoko księżyc przypominający kształtem róg myśliwski.

# Rozdział siódmy

## Dahlia

Po wyjściu z Barrington zadreżam się pytaniem, o ile niżej może jeszcze upaść sprzątaczką hotelowa. Na ulicy, przy której mieszka moja matka, widzę jej dom stojący spokojnie, bez śladu życia. Świecąca jaskrawo goła żarówka oświetla nienagannie czystą werandę. W oślepiającym świetle nie widzę ani jednego świerszcza.

Gdy przekraczam próg, pod stopami coś trzeszczy, jakbym nastąpiła na krakersa lub popcorn. Robię kolejny krok i znów słyszę trzeszczenie. Następny krok i następny trzask. Zapalam światło. I widzę dywan z martwych świerszczy, ułożonych w równych odstępach od siebie, niczym ciasteczka na blasze.

– Mamo?! – wołam, ale nikt nie odpowiada.

Tylne drzwi są uchylone, otwarte na tyle, że można się przez nie prześliznąć. Sprawdzam dom, szukam liściku zostawionego na chybił trafił na stosie gazet i czasopism. Wychodzę na podwórko za domem. Furtka w ogrodzeniu jest szeroko otwarta.

Dom matki stoi w rzędzie identycznych bungalowów bez podpiwniczenia, o małych oknach nad wąską werandą frontową i kwadratowych oknach wykuszowych. Posesje różnią się tylko stanem trawników, a domy wiszącymi gdzieś doniczkami kwiatów, ale w zasadzie są jednakowe. Wołam matkę raz po raz, po czym mówię sobie, że wyszła na spacer, zapomniawszy zamknąć tylne drzwi. I furtkę. I zapomniała zostawić liścik.

Gdy dochodzę do pobliskiego parku, niecały kilometr od domu, zastaję opuszczony parking. Tabliczka przy wejściu głosi,

że wstęp po zmierzchu jest zabroniony, ale tutaj nikt się tym nie przejmie. Alejki są wybetonowane, a klony srebrzyste, zasadzone wiele lat temu, osiągają teraz wysokość latarni ulicznych. Nie ma najmniejszego śladu płynącego niedaleko strumyka, nie tego lata, nie w Teksasie. Idę alejką, mijam ławki i małą sadzawkę. Czuję woń dochodzącą z pojemników na śmieci w strefie dla psów po lewej stronie i uśmiecham się, przynajmniej tym razem pewna, że to nie wytwór mojej wyobraźni ani złudzenie węchowe. Jakies osiemset metrów dalej słyszę płaczliwe pokrzykiwania dochodzące z placu zabaw. A potem kwilenie, jakby niemowlęcia.

– Mamo? – Idę w kierunku źródła tego odgłosu, zatrzymuję się i czekam, aż rozlegnie się ponownie. – Mamo? – powtarzam głośniej, nagłaco. Słyszę dźwięk przypominający syk węża, koło mnie przebiega kot i znika w krzakach.

Wracam do domu i wybieram numer komisariatu w Aurorze. Proszę funkcjonariusza Roberta de la Vegę i zostawiam mu wiadomość na poczcie głosowej.

– Moja matka wyszła gdzieś i zaginęła w ciemnościach. – Dociera do mnie, jak melodramatycznie to brzmi. – Oddzwoń do mnie. Nie wiem, czy powinnam czekać w domu, czy jej szukać. Ani gdzie jej szukać. Nie wiem nawet, czy powinnam się martwić. Tylne drzwi są otwarte, a jej nie ma w domu. – Próbuję nie sprawiać wrażenia zbyt przerażonej, to nie pogotowie, ale jest środek nocy. – Nie zostawiła żadnej wiadomości.

Jestem wyczerpana, opieram nogi na stoliku do kawy i zapadam w sen.

Budzi mnie jaskrawe światło w kuchennym oknie. Rozsuwam zasłony i widzę radiowóz parkujący na ulicy przy wjeździe na podjazd. Widzę wpatrujące się we mnie twarze i Bobby'ego, który wskazuje frontowe drzwi. Otwieram, Bobby szarpie się z radiem przymocowanym do ramienia.

– Cześć, rozrabiaczko – rzuca z uśmiechem. I dodaje

poważniejszym tonem: – Odsłuchałem twoją wiadomość. Szuka jej kilka wozów patrolowych. Masz jakiś pomysł, gdzie ona może być?

– Matka wychodzi, nic mi nie mówiąc, ale nigdy w środku nocy. Prosiłam, żeby zawsze zostawiała karteczkę, abym wiedziała, gdzie ona jest. Sprawdziałam w parku, często tam chodzi.

– Czy była zdenerwowana albo dziwnie się zachowywała? – pyta Bobby.

Zasłaniam sobą widok na pokój i świerszcze na podłodze. Wychodzę na zewnątrz i zamykam drzwi. Nikt nie musi wiedzieć o świerszczach, jeszcze nie teraz.

– Nic o tym nie wiem – mówię. – Wróciłam do domu, tylne drzwi były otwarte. Gdyby nie te drzwi, nie wiedziałabym, że wyszła. Myślałam, że jest na górze, w łóżku. Zwykle śpi, gdy wracam.

– Cóż, czekaj tu. Znajdziemy ją. Zadzwonisz do mnie, jeśli się pojawi?

– Jasne.

Idę za Bobbym do radiowozu, patrzę, jak powoli rusza ulicą. On się nigdy nie śpieszy. A teraz zatrzymuje się i wrzuca wsteczny bieg. Wychyla się przez okno od strony pasażera.

– Właśnie dostałem wiadomość. Znaleźli ją.

– Gdzie?

– Przy drodze powiatowej 2410 do Elroy.

– Elroy? To całe kilometry stąd.

Bobby nie odpowiada. Patrzy w przenośny komputer i nie odwracając wzroku, mówi:

– Zabierają ją.

– Zabierają? Za co? Obrabowała stację benzynową czy coś w tym rodzaju? – pytam, starając się, by zabrzmiało to bez troski.

– Jest w porządku, ale ma kilka zadrapań. I nie chce podać policjantom swojego nazwiska. Mówi, że wyszła na spacer.

Droga 2410 biegnie przez wyludnione tereny wiejskie i o ile wiem, nie ma przy niej żadnych domów. Od czasu do czasu pojawia się skrzynka pocztowa lub dojazd prowadzący do jakiegoś gospodarstwa, najczęściej opustoszałego. Spacer po tej drodze to rzeczywiście dziwna sprawa. Niepodanie policji nazwiska to z kolei coś nowego, nawet jeśli chodzi o matkę. I jeszcze te starannie ułożone świerszcze w domu. Głos w mojej głowie szepcze mi, że właściwie nie powinnam się dziwić, skoro ostatnio bez przerwy, bez wytchnienia mówiła i mówiła, ale teraz mogę myśleć tylko o tym, że się cieszę, że nic jej się nie stało.

– Zabierają ją do szpitala – wyjaśnia w końcu Bobby. – Zadzwoń do ciebie.

Dodaje coś jeszcze, lecz już go nie słucham. Nie chodzi mi o to, żeby przestał gadać, ale nie mogę pozbyć się obrazu matki maszerującej ciemną wiejską drogą. Wyobrażam sobie, jak arogancko ignorując policjantów, próbuje odejść: „Nie muszę podawać swojego nazwiska, chodzenie drogą nie jest nielegalne”.

Resztę dnia spędzam, wymiatając świerszcze z domu i robiąc długo odkładane pranie. Gdy na koniec składam ręczniki, dzwoni doktor Wagner. Jest spokojny, lecz oschły. Pozbawiony emocji. Aby zapisać jego numer, muszę trzy razy prosić go o powtórzenie cyfr i dopiero potem pytam o matkę.

– Pani matka jest trochę zdezorientowana – mówi, a ja się zastanawiam, czy lekarz ma obowiązek w ten właśnie sposób określać stan umysłowy pacjenta. – Dostała łagodny środek uspokajający, zatrzymamy ją na kilka dni. Chce zostać i w tej chwili wydaje się zadowolona.

– Kiedy mogę ją zobaczyć?

– Na razie żadnych odwiedzin.

– Ale czuje się dobrze, prawda?

– Potrzebuje kilku dni spokoju. Prosiła o to. Nie ma powodu do obaw. – Słyszę, jak lekarz bierze głęboki oddech. – Wydaje się, że coś się wydarzyło?



Prośba o kilka dni spokoju to całkiem do niej podobne. W głowie słyszę głos matki w czasie naszej ostatniej rozmowy, ostrej jak nóż, w dzień po znalezieniu przeze mnie Jane.

– Dlaczego sprowadziłaś gliny do mojego domu?

– Mówiłam ci wczoraj wieczorem, że znalazłam w lesie kobietę.

– Kłamałaś jako dziecko. Opowiadałaś jakieś historie i wpędzałaś ludzi w kłopoty.

– Chodzi ci o moją złamaną rękę? – Podobnych incydentów było sporo, ale ten ze złamaną ręką miał poważne skutki.

– Były też inne przypadki – powiedziała matka, nie przestając szorować czystego już zlewu.

– Podaj mi przykład. Niczego takiego nie pamiętam.

– Chcesz przypomnieć sobie dni chwały? Jeśli próbujesz skłonić mnie, żebym ci w tym pomogła, nic z tego.

– A więc dlaczego nie chcesz odpowiadać na pytania? – Zaczynałam się denerwować. Ta złość w jej głosie. Te zimne oczy.

– Powiedz mi, dlaczego tak często się przeprowadzałyśmy, dlaczego nie chodziłam do szkoły, bo nie pamiętam, żebym chodziła, zanim zamieszkałyśmy w Teksasie.

– Nikt nie pamięta dzieciństwa. To nic nadzwyczajnego.

– Dlaczego nie chodziłam do szkoły jak wszystkie inne dzieci?

– Uczyłam cię w domu.

– Nigdy nie było cię w domu.

– Pracowałam, miałam więcej niż jedną pracę naraz. Masz do mnie pretensje, że nie byłam w domu?

– Skoro pracowałaś tak dużo, dlaczego żyłyśmy w nędzy?

– Chcesz, żebym ci przedstawiła życiorys? Po co te wszystkie pytania?

Jej pokryte plamkami, poznaczone niebieskimi żyłami dłonie, w których trzymała brudną ścierkę, drżały lekko, niemal niezauważalnie, wiedziałam jednak, że pod pozorami spokoju, chłodu, cała się gotuje.

– Kto jest moim ojcem? – To pytanie zawisło nad nami jak ciężka burzowa chmura, z której za chwilę lunie ulewa. – Nawet go nie pamiętam.

– Zostawił nas, gdy byłaś niemowlęciem, mówiłam ci. Był...

– Pamiętam, jak ojciec Bobby’ego zabrał nas na posterunek. Pamiętam, jak wypełniali dokumenty, a ty powiedziałaś, że mam na imię Dahlia.

Nastąpiła długa chwila ciszy, która rozciągnęła się poza kuchnię, poza dom, poza nas obie. Ta jej potrzeba dochowania tajemnicy, te jej sekrety niczym ziejąca przepaść, nad którą nie da się przetrząść żadnego mostu.

– Nie nazywałam się Dahlia – dodałam. – Wcześniej mówiłaś do mnie Pet.

W końcu matka przerwała milczenie.

– Nie wiem, o czym mówisz. Zatrzymali nas, bo miałam zepsute przednie światło. Dobrze wiesz.

\*

Dobrze wiedziałam. Wówczas i teraz. Przednie światło wcale nie było zepsute. Są natomiast pytania, które muszę zadać, zanim ona znów pogrzeże się w swoim mrocznym świecie, nawiedzonym przez świerszcze i strach przed policją. Bardzo się kochamy, mamy tylko siebie, i to wystarczało, gdy byłam młodsza, a nawet gdy kontaktowałyśmy się telefonicznie przez ostatnie piętnaście lat. Ale nie wystarczy teraz.

\*

Obudziłam się nad ranem, a gdy otworzyłam oczy, poczułam, że coś jest nie w porządku. Jakoś nie tak. Na zewnątrz panują ciemności, czyli nie ma jeszcze szóstej, lecz coś świeci mi nad

głową niczym małe światełko na końcu tunelu. Mrugam raz po raz. Czy można widzieć światło, które nie świeci? Potrzebuję chwili, by zorientować się, że to nie rzeczywisty blask, lecz raczej wrażenie, że światło z wewnątrz odbija się od moich powiek. Ono jest we mnie, nigdy mnie nie opuszcza. W ręce czuję mrowienie, potem drżenie. Skóra wydaje się ciepła, potem gorąca, leżę zupełnie nieruchomo w nadziei, że to wkrótce zniknie. Ręka znów drży, tym razem mocniej, jest to nie tylko wyczuwalne, lecz także widoczne. I równie szybko, jak się pojawiło, znika.

Nie słyszę buczenia klimatyzatora i to wszystko wyjaśnia. Nie dzieje się nic złego, po prostu jest gorąco. Ciężkim, gęstym powietrzem trudno oddychać. Stoi w miejscu, bez żadnego ruchu, za to może stopić świecę. Teksańskie upały są naprawdę straszliwe, wszyscy to wiedzą. Moja matka powtarza, że odbierają ludziom rozum.

Leżę w ciemności, nie potrafiąc pozbyć się myśli. Mój umysł niczym pasmo przędzy robi pętlę za pętlą i wraca wciąż do tego samego punktu, bez względu na to, jak bardzo usiłuję w ogóle nie myśleć. Minęło dziesięć dni, od kiedy znalazłam Jane, i nic się nie zmieniło. Nie mam pracy, nie mam pieniędzy. Moja matka jest w szpitalu, bo wędrowała wiejską drogą w środku nocy. Chcę do niej zadzwonić, porozmawiać z nią, przekonać się, że ma się dobrze, ale trochę się boję. Że zadzwonię, a ona będzie rozkojarzona i lekceważąca. Że nigdy się nie dowiem, czy jej stan psychiczny nadal się pogarsza – a mój też nie jest najlepszy, zważywszy na bóle głowy, zapachy i drżenie w kończynach. Obawiam się o jej zdrowe zmysły, ale tak samo boję się, że stracę swoje własne, zanim jeszcze uzyskam odpowiedzi na wszystkie ważne pytania.

Gdy robi się jasno, sprawdzam wiadomości w telefonie i dzwonię do szpitala, żeby się dowiedzieć czegoś na temat stanu Jane (robię to codziennie, choć personelowi nie wolno udzielać mi informacji, teraz jednak słyszę: „Bez zmian” zamiast

wcześniejszego: „Prawo do informacji mają wyłącznie krewni”). Gdy tylko się rozłączam, dzwoni telefon. Doktor Wagner.

– Pani matka czuje się dobrze – mówi i po krótkiej przerwie dodaje: – Stosunkowo dobrze. Zgodziła się ze mną, że będzie najlepiej, jeśli zostanie u nas jeszcze kilka dni. Powiedziała dokładnie tak: „Chodzenie na spacer nie jest przestępstwem”. – Doktor Wagner rozwodził się nad tym, że matka nie przyjmuje do wiadomości, iż dzieje się z nią coś złego, jednak jego zdaniem mamy w tym przypadku do czynienia z pewnymi zaburzeniami osobowości, choć „bez pomocy terapeuty i oficjalnej diagnozy nie jestem jeszcze w stanie stwierdzić, co konkretnie jej dolega”.

Doktor nazywa jej zachowanie „typową reakcją na upośledzenie w sytuacji osobistej i społecznej”. Nie obchodzi mnie to – obejdę się bez jego medycznego żargonu; znam moją matkę od trzydziestu lat i wiem, że balansuje na krawędzi szaleństwa. Jeszcze się nie pogrążyła w otchłani, ale w nią patrzy. W nagłym przebłysku jasności dociera do mnie, że te świerszcze, sekrety, podejrzliwość wobec wszystkich dookoła nie są normalne. Gdy idziemy na zakupy i kasjerka prosi o dowód tożsamości, matka wyjmuje etui, a gdy kasjerka po nie sięga, wpada w złość: „Niech pani tego nie dotyka. Nie chcę zarazków. Trzeba patrzeć oczami, a nie rękami”.

– Czy ostatnio w życiu pani matki wydarzyło się coś stresującego? – dopytuje się lekarz. – Każde nietypowe zdarzenie, o którym mi pani opowie, może mieć znaczenie i pomoże mi uzyskać lepszy wgląd w to, co doprowadziło ją do tego stanu.

Trudno się nie zastanawiać, czy pojawienie się policji w jej domu mogło mieć z tym coś wspólnego. Opowiadam doktorowi o kobiecie w lesie, o swoim pobycie w szpitalu i wizycie policji w domu, i o tym, że matka jest niezwykle podejrzliwą osobą. Słucha uważnie, nie przerywa mi. Potem zaczynam mówić o sobie, o dziwnych zapachach pojawiających się nie wiadomo skąd, omdleniach czy czymś w tym rodzaju, rozkojarzeniu,

a jednocześnie pamiętaniu rzeczy, co do których nie jestem pewna, czy są prawdą. Chcę opowiedzieć o wszystkim, używam nawet odpowiednich terminów, „problemy poznawcze” i „zawroty głowy”, aby lekarz nie myślał, że jestem podobna do matki, bo przecież jestem zupełnie inna niż ona.

– Ogólnie biorąc, jestem wciąż wstrząśnięta tą sprawą z kobietą w lesie – przyznaję. – Przepraszam, że mówię trochę bezładnie. Naprawdę nie rozumiem, co się dzieje z moją matką. Czy może pan jej coś przepisać? Czy ktoś powinien ją zobaczyć?

– Zdiagnozowanie pani matki to nie jest kwestia zbadania krwi ani wywiadu psychologicznego. W tym momencie trudno postawić jakąkolwiek diagnozę. Muszę wiedzieć więcej o pacjentce, ale ona nabrała wody w usta, mam więc z tym problem. Potrzebna jest kompleksowa terapia, zaproponowałem, że umówię ją ze swoim kolegą, ale – słyszę, że doktor przekłada telefon do drugiego ucha – stanowczo odmówiła.

Tłumię w sobie chęć, by zadać mu pytanie, które wręcz mnie rozpira: czy jest możliwe, że dziedziczę po niej cechy osobowości.

– Przepisałem jej lekarstwa uspokajające, które powinny na teraz wystarczyć. Pani matka niczym się w tej chwili nie przejmuje z wyjątkiem swojej torebki. Bardzo się o nią martwi. Powiedziała mi, że ją zgubiła, gdy policjanci ją zabierali. Przypuszczam, że miała tam portfel i karty kredytowe. Nie wdawała się w szczegóły, ale gdyby pani udało się odnaleźć tę torebkę, życie stałoby się łatwiejsze. Nie tylko dla niej.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Wykonujemy pani matce badania na alzheimera, nie sądzę jednak, że to ten przypadek. Po prostu czekamy, żeby mieć pewność. Planujemy wypisać ją za czterdzieści osiem godzin. Naprawdę chciałbym porozmawiać z panią osobiście, żeby uzyskać lepszy obraz tego, co zaburzyło równowagę psychiczną pani matki. Czy może pani odebrać ją w środę po południu?

Będziemy mogli wtedy porozmawiać?

– Oczywiście – zapewniam. – Czy mogę zrobić coś jeszcze?

– Po powrocie matki do domu trzeba pilnować, żeby się nie denerwowała i brała lekarstwa, i w ogóle robić wszystko, co możliwe, aby zachowała równowagę psychiczną.

Rozłączam się i zaczynam szukać pod zlewem rzeczy potrzebnych do sprzątanania. Grzebię w zwiniętych w kłębek plastikowych torbach i brudnych ściereczkach do naczyń. Wypadają puste pojemniki po sprayach. Jest boraks i jakaś pianka, której producenci obiecują, że wykona całą pracę za ciebie. Nie ma ani jednej gąbki ani pary rękawiczek. Jest słoik, chyba po dżemie lub piklach, z częściowo usuniętą nalepką, po której zostały resztki białego papieru i kleju.

Podnoszę go z ciemności pod zlewem do światła. W słoiku jest pełno świerszczy, ich czułki i odnóża tworzą splątany kłęb. Owadów jest około dwudziestu, jeśli nie więcej. Wzdragam się. O co tu chodzi? Czy ludzie je zamrażają, a potem gotują? Nie wiem i nie zamierzam się nad tym zastanawiać.

Później, w sklepie, witają mnie zapach kurcząt z różną i uśmiech około siedemdziesięcioletniego krostowatego mężczyzny, powłóczącego nogami w butach ortopedycznych. Proponuje mi wózek na zakupy, a ja odmawiam i ruszam prosto do działu ze środkami czystości, gdzie chwytam butelkę środka czyszczącego, pudełko wilgotnych ściereczek do podłogi i żółte lateksowe rękawiczki. Kolejki są długie; dzieci się awanturują i wychylają z wózków, żeby dosięgnąć kuszącego z najbliższej półki cukierka. Nie chcę wdawać się w żadne pogawędki, korzystam więc z kasy samoobsługowej znajdującej się w odległym końcu sklepu.

Nadal mam przed oczami widok świerszczy w słoiku, choć nie zgłębiam już racjonalnych powodów, dla których owady się tam znalazły. Dochodzę do wniosku, że większości dziwactw mojej matki nie można wytłumaczyć, odwołując się do zdrowego

rozsądku. Zmierzając w stronę wyjścia, mijam bank, punkt obsługi klienta i kantor Western Union. Na ścianie oddzielającej toalety widzę plakat ze zdjęciami dzieci w najróżniejszym wieku i napisem: „Liczy się każda sekunda”. Podchodzę bliżej. Okazuje się, że do dużej niebieskiej tablicy są przypięte pinezkami pojedyncze kartki w koszulkach na dokumenty. Liczę je; w sumie wiszą osiemdziesiąt cztery kartki. Na każdej są zdjęcie, imię i nazwisko, płeć, wiek, waga, kolor oczu i włosów. „To dziecko widziano po raz ostatni”, potem data, czasami opis sytuacji – „zaginięło w drodze ze szkoły do domu” lub „nie wróciło z odwiedzin u przyjaciela” – a na niektórych kartkach jest dodatkowo zdjęcie tego samego dziecka postarzonego o kilka lat. Przyglądam się datom zaginięć i widzę, że najdawniejsze było dziesięć lat temu. Tylko na kilku zdjęciach widnieje czerwona nalepka z napisem: „Odnalezione”.

Zastanawiam się, gdzie są te dzieci. Czy porzuciły rodziny dobrowolnie, czy są przetrzymywane wbrew swej woli? Nie rozumiem tego, że tak wiele istot, w dodatku dzieci, po prostu rozplywa się gdzieś na obrzeżach społeczeństwa, porzucone, zapomniane, skreślone. A te, które już nie żyją... gdzie one są? W piwnicach, rowach, niewidocznych grobach? Wyrzucone na brzeg, pływające po powierzchni oceanu w plastikowych torbach? Ukryte w piwnicach, gdzie zostaną znalezione dziesiątki lat później? W płytkich grobach na tyłach domów? Czy może pogrzebane w lasach, pod gałęziami, opadłymi liśćmi, kawałkami kory, żołądziami i innymi resztkami roślinnymi w rozmaitych stadiach rozkładu?

Te obrazy zaginionych dzieci mieszają się w mojej głowie. Nagle widzę zygzakowaty wzór, niczym przekrzywiony ekran pomiędzy moimi oczami a światem materialnym. Widzę błyski światła i czuję mrowienie pod skórą. Zaczyna się w czubkach palców u dłoni i powoli przemieszcza w górę, na ramię i łopatkę, wreszcie na skronie. Gdy zaczynają pulsować, mam wrażenie, że

leżę na plecach na kłującej trawie lub ściernisku po złocistym zbożu, które nagle robi się czarne, rośnie wokół mnie, łaskocząc i szczypiąc mnie w skórę. Chcę się drapać po całym ciele, ale ręce odmawiają współpracy, a potem z czarnego zboża wylatują miliardy zarodników i nie mogę już oddychać. Świat wokół mnie jest spowity upałem i gryzącą wonią, a próba ucieczki od tej woni to jak próba udawania, że nie czuje się zapachu jedzenia gotującego się na kuchence. Desperacko chowam twarz w zgięciu łokcia, żeby to powstrzymać, nie czuć tej żywicznej woni. Przypomina mi jakieś miejsce, nie jestem pewna, jakie i gdzie, ale stałam tam bosą na surowych deskach, może na werandzie, zdejmując z siebie łuski kukurydzy i pajęczyny.

Zanim docieram do domu, wrażenie mija. Na teksańskim letnim niebie widać mnóstwo kolorów, ale malowanych niezbyt pewnymi pociągnięciami pędzla. Wkrótce zajdzie słońce i na niebie pojawią się gwiazdy, maleńkie drobiny światła świecące w ciemności.

Nigdy w życiu nie obierałam kolby kukurydzy. O ile wiem, to nie. Może to po prostu tylko zwarcie w moim mózgu?



# Rozdział ósmy

## Memphis

Pierwsze pęknięcie pojawiło się kilka dni wcześniej, gdy Memphis zobaczyła przez wizjer zniekształcone postacie dwóch policjantek. To już, pomyślała, teraz wszystko się skończy.

Tego wieczoru nagły impuls skłonił ją do wyjścia z domu i znalezienia tej farmy, choć nawet nie wiedziała, czy ona wciąż tam jest, przy końcu polnej drogi, ze stodołą i szopą. To wtedy zgubiła swoją torebkę; w jednej chwili miała ją w ręku, w następnej już jej nie było. Nie od razu zauważyła brak torebki, a gdy już zdała sobie z tego sprawę, specjalnie się nie przejęła. Była pochłonięta zapachami nocy i wspomnieniami, które ją opadły.

Gdy szła drogą, nie minął jej ani jeden samochód. Było chłodno, przynajmniej w porównaniu z temperaturami dnia, a nogi niosły ją same, jakby miały przed sobą zadanie do wykonania. Zanim się zorientowała, znajdowała się na peryferiach Aurory, na drodze 2410, i wydawało się, że przejście pięciu kilometrów zajęło jej niecałą godzinę.

Minęło trzydzieści lat od czasu, gdy opuściła tę farmę, może trochę więcej, nie miała już pewności. Wyjeżdżała w pośpiechu, zostawiła wszystko, cały swój dobytek. Spędziła pewien czas w drodze, potem zamieszkała tu, w mieście, ale nigdy nie wróciła na farmę, nie widziała jej nawet z daleka do tego dnia, gdy policja przyszła do jej domu.

Nie była na to przygotowana, nie słyszała nawet, jak przyjechała. Koło domu przejeżdżało zbyt wiele samochodów,

trzaskało zbyt wiele drzwi, za dużo dzieci szło do szkoły lub wracało do domu, przeciągając gałązkami po ogrodzeniach, krzycząc, biegając, śmiejąc się. Przez lata straciła czujność, zwłaszcza odkąd Dahlia wyjechała z miasta. Ponad piętnaście lat bez Dahlii, lat przeżytych samotnie, gdy miała się podrzędnych zajęć i stopniowo stawała się coraz mniej ostrożna.

Najbardziej lubiła sprzątać domy – ich mieszkańcy byli zwykle w pracy, a pieniądze dla niej leżały przygotowane na stolikach w holu. Cieszyła się z samotności, spacerowała po tych domach, wyobrażając sobie, że są jej własnością, a mała Dahlia biega po korytarzach lub bawi się w ogródku na tyłach. Jakże daleko te obrazy odbiegały od rzeczywistości.

Nie miała też nic przeciwko opiekowaniu się starszymi ludźmi, najczęściej osobami chorymi na alzheimera, wciąż na tyle sprawnymi, by mieszkać z rodzinami, i niewymagającymi całodobowego nadzoru. Gotowała im i prała, słuchając radia, a czasami siadała z książką, którą znalazła na jakiejś półce, i wówczas wyobrażała sobie, że kiedyś ona będzie stara i chora, a Dahlia będzie się nią opiekowała tak samo, jak ona opiekuje się tymi obcymi ludźmi. Obserwowała ich pomarszczone twarze, powieki opadające na oczy wpatrzone gdzieś w przestrzeń. Czasami ogarniała ją zazdrość. Nie mieć żadnych zmartwień, nie dbać o to, co pomyślą inni, nie bać się dzwonek u drzwi, nie wpadać w przerażenie na dźwięk telefonu. W porównaniu z tym, przez co ona przechodziła, życie tych chorych starych ludzi wydawało się sielanką.

Tak więc jej czujność osłabła, a gdy zjawiła się policja i zobaczyła mundury, spięła się cała, gotowa do ucieczki. Coś w niej krzyczało: „Uciekaj, uciekaj, uciekaj!”, ze strachu kręciło jej się w głowie, myśli galopowały, jedna gorsza od drugiej.

– Czy pani Memphis Waller? – zapytała policjantka.

Memphis stała bez słowa. Zamarła. W końcu skinęła głową.

– Chodzi o pani córkę.

Wciąż nie mogła się ruszyć, tkwiła w drzwiach, nie chcąc wpuścić policji do środka.

– Pani córka – powiedziała policjantka – jest w szpitalu. Proszę się nie denerwować, wszystko z nią w porządku. Właśnie przechodzi badania. Czy chciałaby pani, żebyśmy zawiozły panią do szpitala?

Niełatwo pozbyć się adrenaliny, stała więc po prostu, zastawiając sobą drzwi; nie była w stanie zrobić kroku.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała druga policjantka i nachyliła się lekko.

Gdyby Memphis potrafiła zapanować nad swym ciałem, zaprosiłaby je do środka, czuła jednak, że nie może wykonać żadnego ruchu. Policjantki prawie odepchnęły ją na bok, weszły do domu, rozejrzały się, wścibskie, węszące, wdarły się do jadalni, a nawet na górę, jakby miały tam czego szukać. Po ich wyjściu usiadła, serce waliło jej jak młotem i nie chciało przestać. Kilka razy na widok własnego odbicia w oknie zawołała: „Kto tam jest?!”. Gdy stanęła spokojnie, to samo zrobił jej cień, a gdy się poruszyła, on był za nią, zrozumiała więc, że nie może wierzyć własnym oczom. Wyjrzała przez okno i zobaczyła cienie kręcące się po podwórku; potem gałąź uderzyła w okno, a ona podskoczyła.

Następnie zabrała się do tworzenia czujników dźwiękowych; ułożyła martwe świerszcze w równe rzędy pionowe i poziome, aby ostrzegły ją, gdy ktoś wejdzie, przestała bowiem wierzyć, że chodzące za nią cienie są wytworem jej wyobraźni. Suche i twarde martwe świerszcze będą chrzęścić pod stopami, pod ciężarem żywego człowieka powstaną wgniecenia, nie będzie więc mowy o pomyłce, ponieważ cienie i duchy nie mają ciężaru.

Gdy nie mogła już znieść tego wszystkiego, zrobiło się jeszcze gorzej. Ktoś zapukał do drzwi, zerknęła przez okno i choć zobaczyła tylko pustą werandę oświetloną ostrym światłem gołej żarówki, wybiegła przez tylne drzwi, zostawiając je szeroko

otwarte.

Musiała jakoś uspokoić te duchy, uciszyć je. Musiała jeszcze raz zobaczyć farmę. Znow nie wzięła jednak pod uwagę kilku drobiazgów. Gdyby Dahlia pomyślała, że matka leży już w łóżku, Memphis udałoby się dotrzeć do farmy i wrócić do domu, zanim ona się obudzi. Mogłaby też poczekać, aż Dahlia zaśnie, i wziąć samochód, ale tego nie zrobiła, po prostu wybiegła i to był błąd. Zgodziła się zostać w szpitalu tylko dlatego, że chciała się uspokoić, przygotować sobie własną wersję wydarzeń. Mogła odmówić – nikt nie trzymałby jej tam wbrew jej woli, to było nielegalne – potrzebowała jednak czasu, by pomyśleć, poukładać sobie wszystko.

Tej nocy Memphis najpierw się zorientowała, że zgubiła torebkę, a potem przez dłuższy czas szukała drogi niewidocznej za drzewami i krzewami. Przez lata granice gospodarstwa się zmieniły, powstały nowe drogi i gdyby nie stara drewniana ławka, nigdy nie znalazłaby tego miejsca. Fakt, że wciąż tam była, wskazywał na to, że w banku leżały pieniądze na opłacenie podatków za nieruchomości, choć ona nigdy nie sprawdzała, ile dokładnie ich zostało. W hrabstwie Bertram było zaledwie kilka szkół i podatki były niskie, pieniędzy musiało więc wystarczyć, inaczej do tego czasu farma zostałaby sprzedana, a zabudowania zburzone.

Memphis nie planowała w ogóle wejść na teren gospodarstwa, chciała tylko spojrzeć na nie z daleka. Wciąż miała w pamięci tę krętą drogę, łąkę, szopę i stodołę i po ponad trzydziestu latach rzeczywistość pokrywała się z jej wspomnieniami. Farma okazała się nietknięta – stodoła nieco przekrzywiona, łąka pełna kwiatów – ale gdy Memphis stała, zerkając zza drzew, wokół niej zaczęły cykać świerszcze, a jeden skoczył na nią i skubnął ją w nogę. A może to było coś innego, nie miała pewności. Stała przy drodze zdecydowana nie postawić nogi na farmie, jakby przeszłość mogła ją dogonić, jakby samo wejście na teren farmy

mogło ją czymś zarazić.

Była zmęczona, nogi miała ciężkie od długiego marszu. Oblizwała spękane wargi, czując gęstość swojej śliny. Spojrzała za szopę i oto był. Cyprys. Nie widziała tego, co znajdowało się pod drzewem, ale stary cyprys stał i mocno się trzymał, był tylko sporo wyższy. Przyglądała mu się z daleka, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że drzewo z niej drwi, jakby mówiło: „Strzegłem sekretów, ale one wciąż tu są. Nie kombinuj. Wcale nie uciekłaś”.

Memphis czuła, wiedziała, że to jest coraz bliżej. I postanowiła, że przestanie walczyć.

# Rozdział dziewiąty

## Dahlia

Mogłoby się wydawać, że gdzieś w ziemi znajduje się dziura połykająca ludzi, taka jak ta w lesie, która miała połknąć Jane. W domu rzucam torbę ze środkami czystości na kanapę i włączam laptop.

Liczby są ogromne; każdego dnia giną tysiące ludzi, dorosłych i dzieci. Inne przestępstwa mają pierwszeństwo, zaś przypadki osób zaginionych są najczęściej rozwiązywane przez zwykły przypadek. W całym kraju w biurach koronerów czekają na rozwiązanie dziesiątki tysięcy spraw niezidentyfikowanych osób; w jednym czasie otwartych jest ponad sto tysięcy takich spraw.

Komputer się zawiesza. Czekając, aż odżyje, wyobrażam sobie mapę z małymi punkcikami w miejscach, gdzie pogrzebane są ciała zaginionych osób. Ale moja Jane została znaleziona, jest bezpieczna, a nikt jej nie zna. To chyba niemożliwe, przypuszczam jednak, że nikogo oprócz mnie nie obchodzi, kim ona jest. A może nic nie jest tak, jak się wydaje, może policja coś wie, może nawet znaleźli DNA. Tylko skąd mam to wiedzieć? Bobby powinien wiedzieć, a przynajmniej powinien się dowiedzieć. Wybieram jego numer, odbiera po dwóch sygnałach.

– Jestem na patrolu. Coś się stało?

– Nie, nic się nie stało. – Nie wiem, jak zadać mu pytanie, które cały dzień chodzi mi po głowie.

– Jestem w twojej okolicy. Mogę wpaść?

Piętnaście minut później siedzimy w tym samym domu, na tej samej kanapie, na której siadywaliśmy jako nastolatkwie.

– Nie mogę uwierzyć, że nikt nie wie, kim ona jest. Ktoś musiał zauważyć, że zniknęła. Jest coś, co możesz mi powiedzieć? Szpital nie chce ze mną rozmawiać.

– Spodziewają się, że wybudzi się ze śpiączki i sama powie, kim jest. I kto jej to zrobił.

– Skąd wiedzą, że się obudzi i będzie w stanie mówić?

– Nie wiedzą. Zrobiono badania, ale nic nie będzie wiadomo na pewno, dopóki się nie obudzi. Wiemy jednak, że nie zgłoszono zaginięcia.

– Dlaczego nie upubliczniono jej zdjęcia? Ktoś mógłby ją rozpoznać.

– Ona ma rurkę w ustach i opuchniętą twarz. Nie jestem pewien, czy zdjęcie by coś dało. Widziałem ludzi po wypadkach samochodowych albo pobiciach; byli tak opuchnięci, że nie mogli rozpoznać ich nawet własne rodziny.

– Widziałeś ją ostatnio?

Bobby milczy przez chwilę, potem bierze głęboki oddech.

– Nie, właściwie to nie. Nad tą sprawą pracują detektywi, a ja w gruncie rzeczy nie wiem więcej niż ty.

– Czy są też inne?

– Jakie inne?

– Zaginione kobiety. W Aurorze. – Twarz mu poważnieje, widać na niej napięcie. Bobby już nie siedzi obok mnie jak stary przyjaciel. Zamyka się w sobie. – A jeśli były inne ofiary, w przeszłości? Jak wytłumaczysz fakt, że pogrzebano ją w ten sposób? A jeśli on tam był i mnie obserwował? Jeśli coś mu przerwałam, a on wie, kim jestem?

– Dahlio...

– Muszą być inne ofiary. Tego, co on jej zrobił, nie robi się tylko raz. Może to jakiś pomylenieć, nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ale to nie jest niemożliwe. Nie możesz twierdzić, że to niemożliwe.

– Przesadzasz. Ja...

– Bobby, a jeśli było więcej zaginionych kobiet? I nikt nic z tym nie robi.

– Musisz przestać się denerwować. Nie ma powodu sądzić, że on cię obserwował. Jak...

– Są inne?

– Dahlio...

– Zaginione kobiety. Sprawy takie jak ta. Jako glina powinieneś wiedzieć, czy zdarzyło się coś podobnego w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Twarz Bobby'ego jest teraz zupełnie bez wyrazu. Znam to, widywałam to już wcześniej. W liceum często wpadaliśmy w tarapaty. Paliliśmy papierosy za salą gimnastyczną, zniszczyliśmy jakąś aparaturę w pracowni chemicznej, a Bobby'emu – najuczciwyszemu człowiekowi, jakiego znam – zmieniał się wyraz twarzy, gdy kłamał. Nic nie dawało się z niej wyczytać, była skamieniała. „Wyraz twarzy cię zdradza. Naucz się przybierać twarz pokerzysty”, powtarzał mi.

– Ona się wybudzi. To tylko kwestia czasu.

– A więc są inne kobiety?

– Po prostu pozwól, by sprawy toczyły się swoim torem. Uważam, że wyjdzie z tego i wtedy się dowiemy, co się wydarzyło. Tymczasem spróbuj się nie denerwować. Uratowałaś jej życie. Czy to nie wystarczy?

Odzywa się radio Bobby'ego, dyspozytorka wyskrzeczwała kilka urywanych słów. Bobby wstaje, odchodzi na stronę, wciska guziki w aparacie i mówi do mikrofonu na swoim ramieniu.

– Porozmawiamy później – rzuca i nasza rozmowa jest skończona.

Po jego wyjściu wracam do przeglądania artykułów. Trafiam na jakieś dodatkowe informacje i naciskam klawisz drukowania – nie znoszę czytać na ekranie – i w końcu docieram do strony FBI, gdzie znajduje się lista zaginionych na terenie stanu.

Zabieram się właśnie do oglądania zdjęć zaginionych



dziewcząt, by sprawdzić, czy któraś nie jest podobna do Jane, gdy przypominam sobie o matce i jej zgubionej torebce. Ostatnio rzeczy, które powinnam zrobić, a zapomniałam, przypominają mi się w całkiem niespodziewanych momentach. Torebka zupełnie wyleciała mi z głowy, ale przecież istnieje i muszę ją znaleźć. Jest za późno, żeby teraz ruszyć na poszukiwania; niedługo zrobi się ciemno.

Powracam myślami do kobiety z lasu i wiadomości telewizyjnych, które oglądałam tamtego dnia w szpitalu. Chcę dowiedzieć się o niej więcej, zaczynam więc od artykułu.

Widzę czerwone światełko mrugające na drukarce, która stoi na blacie kuchennym. Ponownie ładuję podajnik i czekam na wydruk ostatnich kilku stron. Chwytam kartki, siadam na kanapie w pokoju dziennym i zaczynam czytać.

W zeszłym tygodniu kobieta uprawiająca jogging znalazła młodą kobietę na skraju śmierci w lesie w mieście Aurora w Teksasie. Wydarzenie to przypomniało nierozwiązaną sprawę innego przypuszczalnego zaginięcia; sprawę, której początek dało pojawienie się ponad trzydzieści lat temu na komisariacie w Aurorze pewnego mężczyzny. W 1985 roku „Aurora Daily Herald” donosił:

### **Mężczyzna, który złożył doniesienie o zaginięciu kobiety, stawiał opór przy aresztowaniu**

#### ***Aurora, 12 grudnia 1985***

*Mężczyzna nazwiskiem Delbert Humphrey stawił się na komisariacie policji w Aurorze i oznajmił, że jego przyjaciółka, kobieta znana mu tylko jako „Tee”, zniknęła z farmy Creel Hollow w Aurorze. Przesłuchiwali go dokładnie dwaj zastępcy, lecz nawet komendant, Griffin Haynes, uznał jego zeznania za bezsensowne. Humphrey przyznał się, że nie*

*ma prawa jazdy, nie mógł również przedstawić zdjęcia zaginionej kobiety. zaproponował jednak, że narysuje jej portret. Gdy policja nadal powątpiewała w jego historię, nalegał na sprowadzenie rysownika. Został sporządzony portret pamięciowy tajemniczej kobiety.*

*Zastępcy poprosili o pozwolenie na przeszukanie jego samochodu. Podczas przeszukania odkryli substancję wyglądającą jak narkotyk, kokaina do palenia, czyli crack. Substancja ta miała jednak bardzo silny aromat. Przesłuchiwany Humphrey twierdził, że jest to korzeń Jana Zdobywcy i balsam z Gilead. Wyjaśnił, że zaginiona kobieta należała do grupy koczowników, którzy pracowali w miejscowych wesołych miasteczkach, wróżyli z dłoni oraz sprzedawali zioła, kadzidełka i, jak podejrzewali zastępcy, crack.*

*Zastępcy odkryli również prostą mosiężną wagę z odważnikami. Humphrey został aresztowany za prowadzenie samochodu bez prawa jazdy, jako podejrzany o posiadanie z zamiarem dystrybucji niebezpiecznej substancji oraz posiadanie narzędzi do produkcji narkotyków.*

*Młoda kobieta znaleziona w lesie nazywanym przez okolicznych mieszkańców „Szepczącym lasem” powraca do zdrowia. Minął ponad tydzień, policja jest jednak przekonana, że pozna jej tożsamość, gdy tylko można będzie ją przesłuchać.*

*Pod artykułem znajduje się prosta, narysowana ołówkiem podobizna kobiety zaginionej w 1985 roku, płaska, jednowymiarowa. Portret pamięciowy ma jednak więcej głębi. Kobieta ma na oko dwadzieścia kilka lat, długie włosy z przedziałkiem pośrodku, pełne wargi.*

*Gdy wyłamiam się z za sterty papieru, na dworze jest ciemno,*

a chłodne powietrze wpadające przez rozsuwane szklane drzwi przyprawia mnie o dreszcze. Siedzę na podłodze i układam w wachlarz na stoliku do kawy artykuły o Jane i o kobiecie znanej tylko z portretu pamięciowego.

Kończy się miejsce na stoliku, rozkładam więc papiery na podłodze i uświadamiam sobie, że Jane nie obchodzi nikogo bardziej niż mnie. Nikt nie może wiedzieć, co zaszło w dniu, gdy wśliznęłam się do sali szpitalnej, nie może wiedzieć, że widziałam i czułam, że ona chce się ze mną porozumieć. I że ma w ręku klucz do swej prawdziwej tożsamości i pragnie ją zdradzić. Jak inaczej wytłumaczyć to, co się stało w tamtej chwili, zapach cynamonu, pustkę w głowie, uczucie, jakbym spadała ze schodów, dygot w całym ciele. Jak można wyjaśnić to, co widziałam tamtej nocy? Tę wizję lasu? To nie może nic nie znaczyć. Jestem pewna.

Drukarka za moimi plecami wyrzuca kolejne kartki; gdy przestaje pracować, chwytam ostatni plik. Tajemnicza kobieta bez zdjęcia wywołała dość dużo szumu, pisały o niej nawet gazety z sąsiednich hrabstw. Artykuły skupiały się jednak bardziej na mężczyźnie, który poszedł do więzienia za posiadanie starej wagi i kadzidełek, niż na fakcie, że przyjechał na komisariat, by zgłosić zaginięcie kobiety.

Papiery na podłodze mieszają się. Nie mogę zszyć kartek, nie ma więc sposobu utrzymania ich w porządku. Zbieram je w stertę i przypinam pinezkami do ściany. Jest ich tak dużo, że pokrywają całą ścianę za kanapą.

Wsuwam portret pamięciowy pod ramę lustra. Kobieta wygląda na mniej więcej dwadzieścia lat. Ma długie rzęsy, lekko wyłupiaste oczy, wydatne kości policzkowe i wymizerowaną twarz. Podobizna spada na podłogę, ale nie mam już pinezek, a niekompletny zestaw na ścianie będzie mnie irytował. Wtykam znów portret pod ramę i tym razem się trzyma.

Cofam się o krok i przyglądam się całości. Układ kartek –

równomiernie ułożonych, pogrupowanych według osób i w kolejności według dat, rozmieszczonych tak, że pośrodku ściany powstał gwiazdzisty wzór – wydaje się przesuwac, zacieśniać, choć kartki pozostają na miejscu, tak jakby wszystkie moje zmysły nastawiły się na zrozumienie tego wzoru, który właśnie stworzyłam. Opadają mi silne emocje, boję się tego, co się dzieje, a jednocześnie zmysły się wyostrajają – widzę twarz z portretu pamięciowego, słyszę wiatr poruszający liśćmi, syk zraszcza gdzieś w pobliżu, czuję wilgotny zapach ziemi z trawnika sąsiada. Tak właśnie jest. Wszystkie moje zmysły stapiają się w jedno. To nie może być bez znaczenia. Muszę tylko odkryć, w czym rzecz. Pojawia się uczucie niecierpliwego wyczekiwania, a moje zmysły zaczynają ze sobą walczyć, nie o dominację, lecz o równość. Niesamowicie, jakby pewne rzeczy ujawniały się same, mówiły mi, że bym się nie bała. Obrazy dwóch kobiet mieszają się niczym kostki do gry w kubku, by znów się wyłonić, wypaść na stół, którym jest moja ściana.

Mam przeczucie, że coś się stanie.

Przebłysk najbardziej jaskrawego światła, jakie kiedykolwiek widziałam, razi mnie w oczy. Ziemia usuwa mi się spod stóp. Leżę na plecach, patrząc na wentylator pod sufitem, którego łopatki wirują ze świstem niczym śmigła helikoptera. Kroją powietrze, sprawiają, że światło drży i wydaje się, że pada śnieg.

Znów wokół mnie szaleje zamieć, ta sama zamieć, którą widzę raz po raz. Nie mogę przed nią uciec, nie mam gdzie się przed nią schować.

A ona po prostu nie chce odejść.

## **Roswell, Nowy Meksyk, 1988 rok**

„Camelot. Parking dla domów na kółkach”. Czytam tablicę. Nie wiem, co znaczy słowo „Camelot”. Ale wiem, co to jest parking dla domów na kółkach. To tam teraz mieszkam.

Wąskie wybetonowane alejki prowadzą do domów takich jak nasz. To nie są prawdziwe domy, wiem – trzęsą się i dudnią, gdy pada deszcz, a silny wiatr przenika przez pęknięcia w ścianach. Domy na kółkach to zwykle przyczepy mieszkalne.

Z mojego okna widać długi betonowy podjazd z kępkami chwastów wyrastającymi ze szczelin w betonie. Czasami widzę przez okno, jak mama chodzi od drzwi do drzwi. Mówi mi, że zbiera czynsz. Patrzą przez okno na bawiące się dzieci. Są bystrzejsze niż ja, na pewno, ponieważ one chodzą do szkoły, a ja – nie. Dlatego uczę się więcej, pilniej, zmuszam mózg do pracy, ślęczę nawet nad matematyką, choć muszę wyobrażać sobie takie rzeczy, jak balony lub pizze, by zrozumieć, na czym polega mnożenie czy odejmowanie. A pewnego dnia, gdy nadrobię zaległości, ja też pójdę do szkoły.

Na stoliku do kawy leży mnóstwo książek. Większość z nich ma naddarte strony i dopiski ołówkiem, ale nie obchodzi mnie to. Kocham książki. Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce.

Gdy mama wraca do domu na lunch, mam dużo pytań: „Czy samoloty spadają z nieba i co to jest «Lockerbie»?”; „Jakie są zasady tenisa?”. Większości tych pytań nie mogę jej zadać, ponieważ dowiedziałyby się, że zmieniłam kanał, a wolno mi oglądać wyłącznie jeden. Mama zostaje tylko przez krótką chwilę, a gdy mówię jej, że mam do niej dużo pytań, obiecuje, że da mi książkę, która na nie wszystkie odpowie.

– Na wszystkie?

– Tak. Jest w niej cały świat – mówi i obejmuje mnie. Przywieram do jej bluzki, nie chcę, żeby wychodziła, i muszę dowiedzieć się więcej o tej książce.

– Kiedy? – pytam, choć tak naprawdę jej nie wierzę. Nie ma czegoś takiego jak odpowiedź na wszystkie pytania.

– Niedługo.

Chce mi się płakać. „Niedługo” to jak powiedzieć: „nigdy”.

Jak „niedługo” będę chodziła do szkoły. „Niedługo” będziemy miały przyjaciół; wszystko to, co się nigdy nie zdarzy, będzie „niedługo”. Nie przestaję myśleć o tej książce i przyrzekam sobie, że pierwszymi słowami, które sprawdzę, będą: „Camelot”, potem „Lockerbie”, a potem „zasady gry w tenisa”.

Mam plan dnia. Po wyjściu mamy oglądam Reading Rainbow. Zapisuję wszystkie nowe słowa, których się nauczyłam, a potem zaczynają się Jetsonowie. Po Jetsonach czytam, dopóki nie przyjdzie mama, by zrobić lunch i sprawdzić moje zeszyty. Mam tyle pytań: „Dlaczego nie mogę jeździć autobusem z innymi dziećmi z Camelotu?”; „Dlaczego nie mogę bawić się na dworze?”.

Wymknęłam się jeden raz. Nigdy nie zapytałam, jak ma na imię dziewczynka, która bawiła się na dworze, bo wiedziałam, że więcej jej nie zobaczę. Ukradłyśmy krede z kubła koło zarządu wspólnoty, narysowałyśmy na betonie kwadraty, znalazłyśmy największy kamyk, jaki się dało – było ich pełno między splechawkami trawy a niszczącą drogą – i bawiłyśmy się na słońcu. Gdy mama nadjeżdżała, uciekłam do przyczepy i zamknęłam za sobą drzwi; udawałam, że się uczę. Tak jakbym mogła ją oszukać, sprawić, by uwierzyła, że widziała na zewnątrz inną dziewczynkę wyglądającą tak samo jak ja, a tymczasem ja siedziałam w środku i ćwiczyłam pisanie wielkich i małych liter. Była wściekła, choć nie za bardzo. Ale nie mogę znów tego zrobić. Nigdy.

Uczę się pisać i rysować, zaczynam chętniej oglądać kanał informacyjny niż Misiowanki, poszerzają mi się horyzonty, droga prowadząca do przyczep z każdym dniem coraz bardziej niszczeje. A potem wyjeżdżamy.

Kradziona kreda, kamienie, wspomnienie bezimiennej dziewczynki – to wszystko, co zabieram ze sobą z Camelotu tamtego wieczoru, gdy pakujemy manatki do jasnoniebieskiego samochodu i jedziemy dalej na zachód.

Mama mówi, że jedziemy na zachód, takim tonem, jakby to oznaczało koniec wszystkich naszych kłopotów.

# Rozdział dziesiąty

## Quinn

Quinn obudził głośny trzepot skrzydeł dochodzący z drzew wokół niej. Robiło się coraz jaśniej, niczym na scenie po zapaleniu świateł dzień wstawał przy akompaniamencie wrzasku wron. Zwinęła kolorowy wełniany koc z frędzlami tak, by wilgotne czerwone plamy znalazły się w środku. Nie wiedziała, co zrobić z tym kocem, bo choć Sigrid nie obchodziło, gdzie była i kiedy wróciła do domu, wejście tylnymi drzwiami z meksykańskim kocem w szafirowo-czerwone paski mogło sprowokować ją do zadawania pytań.

Postanowiła pójść lasem, a nie drogą, mimo że tak było dłużej; nie musiała się jednak śpieszyć, Sigrid nigdy nie wstawała przed południem. W łagodnym porannym świetle drzewa, ich długie i mroczne cienie, nie wydawały się już groźne, przez gałęzie przedzierały się promienie słoneczne, grzejąc jej skórę. Zatrzymała się na ścieżce, gdy powietrze przeszył dźwięk przypominający świst bata uderzającego o zad niesfornego konia. Skądś dochodził głos, potem dwa, może nawet trzy? Głosów było coraz więcej, zbliżały się w jej kierunku.

Przed Quinn stanął jakiś mężczyzna i wpatrywał się intensywnie w jej pogniecioną sukienkę i rozczochrane włosy. Jego grube wargi i zmierzwiona broda wzbudziły w niej niepokój.

– Kogo my tu mamy? – rzucił, po czym podniósł do ust butelkę piwa i wypił do ostatniej kropli.

Quinn przycisnęła koc mocniej do piersi i nagle przypomniała sobie, że gdy go podniosła, na ziemi pozostał odcisk jej ciała.



Gdyby ruszyła w drogę godzinę wcześniej lub godzinę później, nigdy by się nie spotkali. Życie jest dziwne. Powinnam pójść drogą, pomyślała i wzdrygnęła się, ponieważ dotarło do niej, że głosów dookoła jest więcej. Zobaczyła jeszcze trzech zbliżających się mężczyzn w spodniach i koszulach moro.

Las nagle wydał się ciemny i przytłaczający, korony drzew nie przepuszczały światła słonecznego, z ziemi wyrastały tylko suche patyki. Quinn stała bez ruchu. Mężczyzna podniósł pustą butelkę po piwie, przyjrzał się jej i rzucił między drzewa. Bursztynowe szkło upadło miękko, prawie bezgłośnie na poszycie z igieł sosnowych i mchu. Mężczyzna bez słowa rozsunął suwak w spodniach i wypuścił potężny strumień moczu zaledwie kilka centymetrów od stóp Quinn. Kierował strumień to na lewo, to na prawo, a ona poczuła ciepłą kropelkę na lewej stopie.

Gdy się zorientowała, że jej palce wbijają się w koc, pomyślała, że powinna coś powiedzieć.

– Co wy tu wszyscy robicie? – Była na siebie zła, że zadała to pytanie drżącym głosem. Obserwowała, jak mężczyzna zdejmuje z ramienia śrutówkę i delikatnie kładzie ją na ziemi. Zdołała wydobyć z siebie kilka słów i uśmiechnąć się, po chwili spostrzegła jednak, że ten człowiek nie zapiął spodni.

– Sezon myśliwski.

– Na co polujecie o tej porze roku? – zapytała, tym razem bez cienia uśmiechu, bo nie potrafiła się zdobyć na uśmiech. Dygotała. Jej mózg zdołał tylko określić jedną cechę charakterystyczną każdego z mężczyzn: Brodaty, Kościste Palce, Koński Ogon, Pryszczaty. Brodaty gapił się na nią, a ona niejasno zdała sobie sprawę z tego, że jego dłoń rytmicznie się porusza przy rozpiętym rozporku. Spojrzała w oczy Kościstym Palcom, Końskiemu Ogonowi i Pryszczatemu. Żaden z nich nie zamierzał powstrzymać Brodatego. Nie można było go powstrzymać i kropka. Żadnego z nich.

Uciekaj.

Quinn obróciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki. Przebiegła ścieżką zaledwie parę metrów, nie zdążyła się nawet rozpędzić, gdy potknęła się o korzenie i suche gałęzie. Miała sprężyste nogi, szybko się podniosła. Jakby jej umysł nie miał litości, wszystko wokół niej się powiększyło, w świetle dnia otoczenie wydawało się obce, a ścigający ją mężczyzna był olbrzymem – ale wkrótce jej mózg przestał działać i liczyła się teraz tylko ścieżka pod nogami.

Quinn przyśpieszyła, lecz mężczyzna biegł znacznie szybciej i w chwili gdy zobaczyła po prawej stronie polaną – za polaną była droga, nie tak daleko – złapał ją. Jedną ręką trzymał za szyję, drugą mocno zacisnął na jej ramieniu. Gdy owionął ją obrzydliwy smród piwa i jeleniego moczu, poczuła przypływ paniki. Szarpnęła się, nie przeszkadzałyby jej nawet utrata ręki, byle tylko mogła uciec. Ale on ani drgnął, spróbowała więc wolną ręką dosięgnąć do jego twarzy i przejechać po niej paznokciami. Skórę miał śliską od potu, nie udało się go podrapać.

– Hej! – krzyknął, odciągając jej rękę. – Przestań!

Skrzyżował ramiona Quinn na jej piersi i przytrzymał za nadgarstki swoją wielką łapą, a drugą uderzył ją w twarz dwa razy, z lewej i prawej strony, potem poprawił pięścią trzy, może cztery razy. Quinn poczuła metaliczny smak krwi i jej zapach, który przebił się przez smród uryny, alkoholu i brudu. Upadła do ziemię, ale on podciągnął ją do góry i pchnął na drzewo, kora mocno wbiła się jej w plecy.

Proszę, chciała powiedzieć, zostaw mnie, proszę. Nie rób mi krzywdy. Proszę. Proszę. Proszę. Proszę proszę proszę proszę proszę proszę. Szukała jego oczu w nadziei, że wzbudzi w nim odrobinę litości, ale jego oczy były bursztynowe jak oczy wilka. Słyszała tylko oddech tego mężczyzny, potem spojrział na nią i odsłonił dziąsła, ukazując zażółcone zęby.

W lesie panowała cisza. Zamilkły nawet ptaki wyśpiewujące swe poranne trele. A on czekał na swoich kumpli.

\*

Gdy Quinn dotarła do domu, włosy miała już wysuszone przez wiatr, a jej sukienka była tylko lekko wilgotna w miejscach, w których przywierała do ciała. Weszła tylnymi drzwiami do kuchni, w których unosił się ciężki zapach bekonu i syropu klonowego. Usta miała opuchnięte i suche i wątpiła, czy będzie w stanie przełknąć choćby kęs. Wzięła prysznic, położyła się do łóżka i nie wstawała przez trzy dni. Sigrid nigdy specjalnie jej nie kontrolowała, ledwie na nią spojrzała, gdy mijaly się na korytarzu w drodze do łazienki.

– Co się dzieje? – zapytała czwartego dnia, po kolacji, podczas której Quinn rozgrzebała tylko groszek i przykryła kotlet wieprzowy tłuczonymi ziemniakami.

W jednej chwili czuła przypływ gorąca, w następnej oblewał ją zimny pot, policzki jej płonęły, skóra się lepiała.

– Nic specjalnego.

Sigrid zerknęła na jej talerz.

– Zamierzasz to zjeść?

– Nie jestem głodna. – Quinn upiła łyk wody w nadziei, że zimny płyn ochłodzi jej opuchnięty język. Z trudem zdołała przełknąć wodę przez zaciśnięte gardło. Przesunęła talerz bliżej środka stołu.

– Twój ojciec nie zostawił mi dużo, nie jestem bogatą kobietą i nie mogę się zgodzić na marnowanie jedzenia.

– Rozumiem. – Quinn zagryzła wargi. – Może mam gripę lub coś w tym rodzaju.

– W lipcu?

– To wygląda na gripę. Nie wiem.

– Jedz.

– Nie mogę. Nie...

– Jedz. – Tym razem ton był ostrzejszy.

Quinn milczała.

– Jedz, dziecko – powiedziała Sigrid cicho, spokojnie, lecz w jej głosie czaiła się furia.

– Nie mogę. Jestem chora.

Nie poznawała nawet swojego głosu. Przysunęła do siebie talerz, wzięła widelec i zaczęła jeść. Żołądek miała ściśnięty, zjadła jednak wszystko. Później wszystko z wymiotowała i padła na łóżko. Gdy po kilku godzinach Sigrid przyszła sprawdzić, co się z nią dzieje, majaczyła i miała halucynacje. Powtarzała: „Pola truskawkowe, muszę iść na pola truskawkowe”, powiedziała jej później Sigrid.

Gdy Quinn się obudziła, nie wiedziała, gdzie jest, gdyby nie ciągnęły korowód pielęgniarek i lekarzy. Diagnoza nie była dla niej całkiem zrozumiała. Lekarz powiedział, że to infekcja w obrębie miednicy, wodniak jajowodu. Infekcja spowodowała, że jajowody są niedrożne, pełne płynu.

Benito, pomyślała Quinn. Czy Benito wie, co się stało? Co oni mi zrobili?

– Jak długo tu jestem? – zapytała, gdy trochę rozjaśniło jej się w głowie.

– Dwa dni. Dostałaś mocne antybiotyki. Musimy poczekać, aż infekcja zupełnie ustąpi. Jesteś młoda i zdrowa, ale... – lekarz przerwał i spuścił oczy. – Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale prawdopodobnie będziesz bezpłodna.

Prawdopodobnie bezpłodna. Quinn nigdy nie zastanawiała się nad tego rodzaju sprawami, diagnoza nie zrobiła na niej większego wrażenia. Usiłowała mimo to zrozumieć sens tego wszystkiego, choć ani przez sekundę nie brała pod uwagę możliwości opowiedzenia lekarzowi, co się stało.

Gdy gorączka spadła, a ból stał się do zniesienia, Quinn próbowała wymazać wszystko z głowy. Wyobrażała sobie, że ostry nóż odcina część jej mózgu odpowiedzialną za pamięć, jednak niezależnie od tego, jak bardzo się starała, obrazy nie znikwały, a ona tęskniła za lasem, za czystym strumieniem, za

zimną wodą, która obmyłaby ją całą. Chciała się w niej zanurzyć, zastanawiała się nawet, jak głęboko jest dno strumienia.

Lekarz wyszedł z sali, a Quinn poczuła nagle, że wie, czego chce. Pomyślała, że może mogłaby żyć jako duch. Nie potrafiłaby przeżyć ani sekundy dłużej w tym ciele, jako osoba, którą była dotąd, ponieważ tak właśnie się czuła, zaledwie jak duch dziewczyny o imieniu Quinn. Tylko tyle i nic więcej.

# Rozdział jedenasty

## Dahlia

Gdy kończy się ostatni epizod, umieram z głodu. Wkładam do kuchenki mikrofalowej gotowe danie. Całe życie żywię się gotowym jedzeniem do podgrzania. Nigdy mi nie obrzydło – ten typowo amerykański wynalazek to wielka wygoda: tacki podzielone na części, cienka plastikowa pokrywka, a na koniec puste tacki lądują w koszu na śmieci. Nawet teraz jem to samo, co w dzieciństwie: klops z ziemniakami piure, kotlet wołowy panierowany z kukurydzą.

Podczas jedzenia patrzę na wydruki, które wczoraj przypięłam do ściany, na portret pamięciowy tamtej kobiety, na moją Jane. Myślę o tych osobach jako o moich zaginionych, jakby to do mnie należało przyklejenie na ich zdjęciach czerwonej nalepki: „Odnaleziona”.

Po posiłku dopada mnie zmęczenie, chcę tylko zamknąć oczy i spędzić na tej kanapie resztę dnia, ale jest środa i muszę odebrać matkę, a przedtem stawić się w gabinecie doktora Wagnera.

Z mokrymi po prysznicu włosami wjeżdżam na parking sąsiadującej ze szpitalem kliniki, słynącej z jednodniowych zabiegów zmniejszenia żołądka.

Kilka minut później kobieta w średnim wieku, w różowym kitlu lekarskim, prowadzi mnie do gabinetu. Ledwie zdążyłam się rozejrzeć, gdy wchodzi doktor Wagner, nerwowo pocierając dłoń o dłoń; czuję miętowy zapach środka do dezynfekcji rąk. Gdy lekarz uznaje, że już wystarczy, wyciąga do mnie prawą rękę.

– Dahlia Waller. Dużo o pani słyszałem.

Zdobywam się na wesoły uśmiech i ściskam jego zimną dłoń. Lekarz siada i wkłada w otwór laptopa jakiś identyfikator. Wyprostowany, w śnieżnobiałym kitlu uderza w klawisze, każdy jego ruch jest precyzyjny i celowy.

– Jak się czuje moja matka? – pytam i w głowie pojawia mi się obraz starannie ułożonych świerszczy. Wyobrażam sobie matkę z wypakowaną torbą na kolanach, fioletoworóżowe kubki na tacy stojącej na szafce przy łóżku, jej starannie ułożone włosy, oczy niecierpliwie, wyczekująco wpatrzone w drzwi.

– Jest gotowa do wyjścia do domu.

– Dobrze – mówię i chrząkam.

– Znalazła pani jej torebkę?

– Jeszcze nie, nie wiem, skąd dokładnie policja zabrała matkę – kłamię. Torebka kompletnie wyleciała mi z głowy, przypomniałam sobie o niej dopiero wczoraj wieczorem. – Poszukam jej, gdy odwiozę matkę do domu.

Doktor Wagner bierze głęboki oddech. Wydaje się poirytowany moją nieudolnością, a chciałabym, żeby mnie polubił. Chcę, aby wiedział, że jestem tu dla niej, bo kocham moją matkę. Mimo jej szaleństwa. Na przekór wszystkiemu. I że chcę, żeby było jej dobrze, ale też potrzebuję od niej odpowiedzi na moje pytania.

– Ona denerwuje się w powodu torebki i uważam, że im dalej utrzyma ją pani od wywołujących niepokój myśli, tym lepszy będzie jej nastrój. – Krótka przerwa, następny klawisz na klawiaturze, potem kontakt wzrokowy. – Zwykle tego nie robię... ale czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, by opowiedzieć mi o swojej matce?

– Opowiedzieć panu o niej? – Jak mam sprawić, żeby on zrozumiał ją i jej postępowanie, skoro nie ufam nawet własnej pamięci? Czasami przebłyski wspomnień w mojej głowie są tak dziwaczne, że równie dobrze mogłyby pochodzić z książek lub z filmów albo z życia kogoś innego. Marszczę brwi i dociera do

mnie, że po prostu zabraknie mi słów. Nie wiem, jak zacząć. – Będzie pan musiał pytać o konkrety.

– Cóż, chodzi o wszystko, co pani zdaniem może mieć znaczenie.

Pytam go, ile ma czasu, a on robi gest mówiący: „Ile będzie trzeba”.

Ja tylko opiekuję się matką, ale lekarz pyta, spróbuję więc odpowiedzieć. Opowiadanie o mojej matce to trudne przedsięwzięcie. Usiłuję znaleźć jakąś analogię, a najlepsze, co mi przychodzi do głowy, to łowienie ryby gołymi rękami. Nie jest to niemożliwe, wymaga jednak szczególnych umiejętności.

– Ona jest bardzo zamknięta w sobie. Zawsze była – mówię, jakby te słowa mogły usprawiedliwić moją niezdolność do sklasyfikowania jej i zakomunikować doktorowi to, co chce usłyszeć... po co? Aby wydać właściwą diagnozę? – Podejrzliwa. Samotniczka. Ma swoje nawyki, nie odstępuje od nich. Łatwo wpada w złość.

– Jak układają się jej relacje z otoczeniem?

– Nie istnieją. – Matka nie ma przyjaciół. Nie zawiera znajomości na prawo i lewo. Niewielu mężczyzn przychodziło i odchodziło, wszyscy szukali albo miejsca, gdzie mogliby się zatrzymać, albo pracy, nigdy miłości. Jestem tylko ja, nikt inny. W chwili, gdy pozwoliłam sobie na szczerą, przyznałam, że życie matki obraca się wokół mnie, zgodziłam się przyjąć zaproszenie doktora do zagłębienia się w przeszłość.

– Jaką była matką?

– Nie rozpamiętuję swojego dzieciństwa – mówię i tym razem nie kłamię. Gdyby nie to, że mury, jakie wznosiłam wokół siebie przez lata, zaczęły się kruszyć; gdyby nie to, że pragnę odpowiedzi na moje pytania, nie zdecydowałabym się na powrót do przeszłości. Moja przeszłość jawiła się w gruncie rzeczy jak potok niepowiązanych ze sobą wydarzeń, może jednak już czas wszystko uporządkować, zwłaszcza że ktoś chce mnie wysłuchać.



Muszę dopilnować, żeby nie zacząć mówić o sobie – o mojej Jane, moich zaginionych kobietach – ale nie jest to proste. – Ja... ja... Przepraszam... – jękam się. – Ostatnio dużo się działo, próbuję ułożyć zdarzenia chronologicznie. Jeśli tego nie zrobię, wszystko mi się pomiesza i będę się powtarzała. Nie zaznaję już luksusu uporządkowanego życia, zwłaszcza od kiedy znalazłam Jane, i to nie tylko wokół siebie, ale i we mnie samej; nie jestem zorganizowana, a moje sprawy nie są schludnie posznufladkowane.

Do głowy wpadają mi różne słowa. Zamieszanie. Szwindel. Podwójna gra. Zabawa w chowanego. To słowa z tej książki, którą mam, lecz nie chcę dramatyzować, dać się ponieść emocjom. Opowiadać o matce to w pewien sposób opowiadać o mnie i mogę opisać jej zachowanie tylko tak, jak postrzegałam je jako dziecko. Trudno dotrzeć do zakamarków jej duszy. Ona jest jak sejf.

– Przede wszystkim nie znałam innych dzieci i nie wiedziałam, że ich życie wygląda inaczej. Myślałam, że u wszystkich jest tak samo, tak więc długo o nic nie pytałam. – Odkąd zrozumiałam, że moje życie w niczym nie przypomina normalnego, nauczyłam się oszukiwać. „Nie podawaj niepotrzebnie naszych imion ani nie mów, gdzie przedtem mieszkaliśmy. Moje imię to tylko moja sprawa, tak samo jak twoje. Nikomu nic do tego, co robimy, zapamiętaj sobie”. Wertowałam swoją książkę, aby znaleźć słowa określające to, co na jej prośbę miałam robić. Strategia. Przebiegłość. Spryt. – Aby zrozumieć moją matkę – mówię, patrząc nie na doktora, tylko na ścianę – powinien pan zrozumieć, że muszę opowiadać o sobie. Nie jestem lekarzem, nie patrzę na nią w ten sposób i mogę opowiedzieć panu tylko o tym, co zaobserwowałam przez lata.

Moje pierwsze wspomnienia to wiatr i pył. Właśnie tak, wiatr i pył. Czerwonawy pył. Chcę powiedzieć, że byliśmy bezdomne, ale sama tego nie pamiętam, tylko ten pył. Taki, który wzbija się

spod nóg, gdy się biegnie, zostawiając z tyłu tuman. I trąby powietrzne, burze pyłowe albo piaskowe, czy jak tam ludzie to nazywają. Chyba zależnie od tego, skąd pochodzą. „Trąba powietrzna, słup powietrza szybko się obracający, kształtu walcowatego lub lejcowatego”. Ten rodzaj trąby powietrznej Nawahowie nazywają *czindi*, co oznacza duchy, dusze zmarłych. Jeśli obraca się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, dusza jest dobra; jeśli w przeciwnym kierunku – zła. Nie pamiętam, kto mi o tym powiedział albo gdzie to przeczytałam.

– Pamiętam stare panie opiekujące się mną w domach bez innych dzieci, bez ani jednej zabawki, nawet huśtawki na podwórku. Miałam wtedy cztery, może pięć lat. I miałam tylko książeczki do kolorowania i kredki. – Przerrywam. Nie nawykłam do niekontrolowania tego, co mówię. A teraz czas na prawdę. – Kredki promocyjne z sieciowych restauracji; rozdaje się je dzieciom, aby malowały na podkładkach pod talerze w czasie oczekiwania na jedzenie.

Pamiętam matkę kłócącą się z jakąś kobietą i żółtą kartkę przechodzącą z rąk do rąk; teraz sędzę, że było to moje świadectwo szczepień. Nie wiedziałam tego wówczas, lecz myślę, że ta kobieta miała coś wspólnego ze szkołą. Gdyby zapytać moją matkę, odpowiedziałyby wymijająco, nie mogę więc być pewna, o co chodziło. Utrzymywała, że uczyła mnie w domu, ale nigdy jej w domu nie było.

Doktor Wagner notuje na kartce i co jakiś czas kiwa głową.

– Często się przeprowadzałyśmy. Przez pewien czas mieszkałyśmy w Kalifornii. Mam wspomnienia z Nowego Meksyku i wiem, że wtedy umiałam czytać, musiałam więc mieć około ośmiu czy dziewięciu lat. Matka przynosiła do domu książki, niektóre z bibliotek. Te, które mogłam zatrzymać, były używane; poznawałam po zniszczonych grzbietach i naddartych kartkach, że nie zostały kupione w sklepie. I miałam encyklopedię, którą wszędzie ze sobą nosiłam. Była ciężka, takie

jednotomowe wydanie. – Wspomnienie książki wywołało uśmiech na mojej twarzy. – Pracowała w restauracji. Pamiętam, jak przynosiła do domu jedzenie w pudełkach na wynos. I pamiętam stację benzynową. Mieszkałyśmy nad stacją benzynową przez dłuższy czas. Matka pracowała tam na nocnej zmianie. Zapas kredek i książeczek do kolorowania już mi się skończył. Zebrałam wszystkie swoje rysunki i zaczęłam robić wydrapywanki; wie pan, zamalowuje się całe obrazki czarną kredką, a potem zdrapuje wierzchnią warstwę czymś ostrym, tak że od spodu wychodzą kolory. Nigdy nie wiedziałam, jaki będzie rezultat, dopóki nie zaczęłam zdrapywać i odsłaniać kolorów.

Doktor zaśmiał się cicho, nie dlatego, że go rozbawiłam – nie opowiadałam niczego śmiesznego – ale jakby z nostalgią. Wszyscy mamy takie historie, nie mają one znaczenia, dopóki nie staniemy się starsi i nie spojrzymy na nie z punktu widzenia dorosłego człowieka.

– A więc matka często zmieniała pracę. A co z jej związkami? Przyjaciele? Mężczyźni?

Mężczyźni. Jej mężczyźni. Próbuję uporządkować ich chronologicznie, lecz to jak próba napisania powieści bez wyraźnej struktury, fabuły. Wszystko się wtedy płacze, tak jak ci mężczyźni. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniam zdanie. Nie chcę do tego wracać. To, przez co przeszłam, było niczym kara za grzechy, nikt nie powinien musieć przeżywać tego jeszcze raz. Jeden pił, inny wprawiał mnie w zakłopotanie, po prostu gapiąc się na mnie. Nagle przestaję mieć pretensje do matki, że nie chce chodzić na terapię dwa razy w tygodniu, nie wiadomo jak długo. Nie chcę tu dłużej siedzieć. To strata czasu. Nie chodzi przecież o mnie.

– Naprawdę chciałabym już zabrać matkę do domu. Niedługo muszę być w pracy – kłamię. – Z chęcią zawiozę matkę na terapię, jeśli będzie chciała.

Doktor zaciska usta w wąską linię.

– Rozumiem – mówi, wstaje i rozkłada ręce. – Myślę, że dla pani matki rozmowa z kimś jest bardzo ważna. Proszę zrobić, co możliwe, żeby się zgodziła.

– Spróbuję – zapewniam i ruszamy oboje korytarzem. Wchodzimy do sali, moja matka siedzi przy oknie.

– Czy jest pani gotowa do wyjścia, pani Waller? – Doktor Wagner mówi zbyt głośno, głosem zarezerwowanym dla przygłuchych i chorych umysłowo.

Nagle staję się bardzo opiekuńcza wobec matki i jestem przy jej boku, zanim jeszcze lekarz zdążył powiedzieć:

– Pani córka jest tu, aby zabrać panią do domu.

Matka siedzi w fotelu krytym sztuczną skórą w niebieskawym kolorze. Memphis Waller nie przypomina już obrazu Pollocka, żywiołowego, wibrującego barwami. Jest jak obrazek akwarelowy namalowany farbą tak rozcieńczoną, że ledwie widoczną.

– Co się z nią dzieje? – pytam i czuję, że zaczyna drzeć mi broda.

– Proszę się nie niepokoić. Po prostu tak reaguje na lekarstwa. Dojdzie do siebie za dzień lub dwa. Jeśli nie, zmniejszymy dawkę. Chciałbym, żeby odbywało się to prościej, musimy jednak czekać, aż lekarstwa zadziałają. Przykro mi.

Przyglądam się, jak doktor Wagner kładzie rękę na jej ramieniu. Pochyla się, a ona patrzy na niego.

– Pani córka tu jest. Wychodzi pani do domu. – Lekarz mówi krótkimi, prostymi zdaniami, jakby matka nie była w stanie zrozumieć dłuższej wypowiedzi.

Biorę spakowaną już torbę leżącą na łóżku i wtedy pojawia się pielęgniarka z fotelem na kółkach.

– Zwiozę pacjentkę na dół w fotelu. Czy może pani przeprowadzić samochód?

W samochodzie próbuję porozmawiać z matką. Jakie było jedzenie, czy cieszy się, że wraca do domu, czy musimy wpaść do

apteki – tego rodzaju rzeczy. Zbývá mnie, nic nowego. „Złe, pewnie, nie”. Gdy dojeżdżamy do domu, idzie prosto do swojego pokoju.

– Jestem zmęczona – rzuca, przechodząc koło mnie. – A co z...  
– Nie kończy pytania, rozgląda się dookoła.

– Wysprzątałam dom. Zrobiłam pranie. – Boję się, że zapyta o świerszcze. Proszę, nie zaczynaj znów ze świerszczami, mam ochotę błagać.

– Moja torebka – mówi matka, stojąc w drzwiach, ze stopami mocno wbitymi w próg, jakby obawiała się wejść do pokoju. – Gdzie jest moja torebka?

Wpadam w panikę, ale tylko na sekundę.

– Nie martw się, po prostu trochę odpocznij. Znajdę ją.

Twarz jej łagodnieje, mięknie. Przytakuje skinieniem głowy i robi krok do przodu, wchodzi do pokoju i zamyka za sobą drzwi. Słyszę uginające się sprężyny materaca, a potem zapada cisza.

\*

Dziesiątki lat temu droga powiatowa 2410 łączyła tereny wiejskie z miastem Aurora. W pewnym sensie nadal tak jest, lecz w zasadzie miasta nie ma już z czym łączyć. Przy drodze prawie nic nie ma, od czasu do czasu można tam zobaczyć koślawą przyczepę kempingową na kawałku nędznej trawy, zabite deskami domy z zapadającymi się werandami, porozrzucanymi zabawkami, pustymi budami dla psów na nieogrodzonych, opustoszałych podwórkach. Im dalej jechałam na wschód, tym mniej oznak świadczyło o tym, że ktoś tam jeszcze mieszka. Odległość od ostatnich świateł przy głównej ulicy Aurory do miejsca obok znacznika przy drodze, skąd, jak mówił Bobby, zabrano matkę, wynosi około trzech kilometrów.

Przy znaczniku zjeżdżam na zwirowane pobocze, zatrzymuję

się i wysiadam z samochodu. Stoi tam drzewo, a pod nim ławka – może pozostałość po przystanku autobusowym, ale nie jestem pewna – i nie jest to jedna z tych żeliwnych ławek z deskami na siedzeniach, lecz prymitywna konstrukcja z szarych wysuszonych desek zbitych gwoździami przed wieloma laty.

Przyglądam się drodze i terenowi, przez który ona biegnie, wypatrując na nadkruszonym betonie i wśród zielonej i szarej trawy plamy w kolorze złocistobrazowym.

Pojawia się zapach – nie mogę dotknąć go palcem, ale jakiś rodzaj krzewu pachnie syropem, dziwnie znajomo – jednak nie widzę niczego choć trochę przypominającego torebkę matki. Wciąż jeszcze jest jasno, dopiero późne popołudnie. Takie światło jest tylko pod koniec dnia, tylko po południu świeci w ten sposób, jest żółtawe i ciepłe w przeciwieństwie do niebieskiego światła porannego. Oblewa człowieka z całą mocą, ponieważ miało cały dzień, aby nabrać sił, i zawiera wszystko, co gromadziło się godzinami: wilgoć, pył, powietrze; dlatego zawsze jest cieplejsze od światła porannego i zawsze odrobinę bardziej złote.

Jestem urzeczona scenerią wokół mnie, zwłaszcza starą drewnianą ławką, dziwną, spaczoną, tym, że ją znalazłam i że w ogóle przetrwała, i nie mogę wyobrazić sobie dawnej trasy autobusu prowadzącej właśnie tędy. Przechodzę obok ławki i zauważam dróżkę, która biegnie między drzewami i krzewami, na wpół zarośniętą, ale widoczną. Dróżka niespodziewanie skręca ostro na prawo, jakby celowo chciała zmylić idących, skłonić ich do wędrówki drogą krętą jak labirynt. Idę przed siebie, patrząc pod nogi, aby się nie potknąć i nie skrócić kostki, a gdy podnoszę głowę, widzę wiejski dom.

Widać go wyraźnie przez drzewa, a prowadząca do niego zarośnięta dróżka zamienia się w szerszą ścieżkę, potem w zwykłą drogę gruntową, przy której krzaki stały się rzadsze, a żaden nie ośmielił się na niej wyrosnąć. Z każdym krokiem nabieram przecucia, że ta farma jest końcem mojej podróży;

podróży, w którą wyruszyłam, sama o tym nie wiedząc. Przypatruję się domowi z daleka, uważnie niczym fotograf szukający idealnego ujęcia. Nieco na prawo stoi zniszczona stodoła.

Piętrowy, kryty gontem budynek z werandą jest wyraźnie nadgryziony zębem czasu – przez dziesiątki lat surowe drewno smagane deszczem poszarzało, wyschło w gorącym letnim słońcu, popękało, wypaczyło się, słoje się skurczyły. To w najlepszym razie pozostałość po domu z zapadającą się werandą. Podchodzę bliżej, ziemia pod moimi stopami jest twarda, nie muszę się już martwić, że potknę się o korzenie. Wchodzę na schodki i gdy stoję na werandzie, zamieram.

Niespodziewanie pojawia się jakiś ruch. Nie jest to uciekające zwierzę ani nawet przelotny cień, raczej wyraźne drganie przestrzeni wokół mnie, jakby wiatr dawał mi znak o sobie, dołączał do towarzystwa. Dom zachowuje się tak, że wiatr nie tylko słychać, lecz także widać – drzwi z siatką przeciw owadom trzeszczą, zniszczone gonty drżą, suche liście szeleszczą w szczelinach okna.

Podchodzę do okna na prawo od drzwi frontowych. Składam dłonie, aby osłonić oczy, wpadające zza moich pleców słońce zniekształca obraz wnętrza; widzę kuchenny zlew, niewyraźny kontur stołu, odwrócone do góry nogami krzesła. Nie słychać świergotu ptaków, sceneria robi dość upiorne wrażenie. W górnej części okna wciąż wiszą resztki zasłonki nieokreślonego koloru. Na parapecie stoi dzbanek, stary i tak popękany, że w każdej chwili mógłby rozpaść się na drobne kawałki. W drugim kącie parapetu widzę coś, co wydaje mi się znajome, choć nie jestem pewna, co wywołało w moim mózgu wspomnienie tej rzeczy – na pierwszy rzut oka wygląda na szklany pojemnik, na którego dnie zebrał się kurz i jakieś resztki. Zważywszy na opłakany stan całego gospodarstwa, najprawdopodobniej tak właśnie jest – to zakurzony słoik

z jakimiś odpadkami.

Nachylam się do okna i uważnie przyglądam zawartości słoika. Nie mogę oderwać się od tego widoku, mam dziwne przeczucie, że nie dam rady odwrócić się i odejść, wpadam więc w panikę. Zmuszam się do zrobienia kroku w tył, a potem znowu w przód, aby jeszcze raz spojrzeć przez okno, zupełnie jak dziecko mające nadzieję, że potwór zniknął. Ale on wciąż tam jest.

Widziałam już wcześniej taki słoik. Pod zlewozmywakiem mojej matki. Wypełniony po brzegi świerszczami.

Nocna wyprawa matki na tę farmę. Zgubiona torebka. Nie widzę już w tym wszystkim żadnego sensu. Ale to coś znaczy. Tylko nie wiem co.

Zanim udaje mi się rozwinąć w myślach ten wątek, zaczynam czuć mrowienie w całym ciele, cofam się i uderzam plecami w balustradę. Mrowienie ustępuje, pojawia się za to widok płatków śniegu, ale większych, grubszych i tak gęstych, że trudno mi złapać oddech. Śnieg powoli spada z góry, lecz po chwili zamienia się w zamieć. Wokół mnie fruują tysiące małych białych duchów, jednocześnie moja skóra robi się lodowata, a duchy znajdują drogę do mojej szyi i pod ubranie. Krew mi stygnie, jestem zdezorientowana w zamieci duchów, a świat wokół mnie znika.

Przeczekuję, tak właśnie robię – czekam, aż to minie, a potem schodzę z werandy i wracam do samochodu. Odpalam silnik i ruszam. Omal nie przejeżdżam obok złocistego kwadratu na poboczu, ledwie kilka metrów od znacznika przy drodze. Nie rozumiem, jak mogłam nie zauważyć go wcześniej. Zatrzymuję się, otwieram drzwi i chwytam torebkę, nawet nie wysiadając z samochodu. Jest pokryta pyłem i widać na niej ślad opony samochodowej.

Odwracam głowę. Przed oczami mam tylko linię drzew, nic nie zdradza, że za drzewami stoi dom, ale wiem, że tam jest, przecież go widziałam. Serce bije mi szybciej, niż powinno. Słońce



niedługo zajdzie i tylko dlatego to miejsce wydaje się przerażające, nie z żadnego innego powodu.

Czy właśnie zrywa się wiatr? Może to zwykła rzecz, może nasilał się stopniowo. Wcześniej czuło się tylko lekki powiew, teraz to prawdziwy wiatr. Wszystko się porusza, trzęsie, drży.

Nic więcej w tym nie ma, myślę sobie. Tylko ten wiatr.

# Rozdział dwunasty

## Quinn

Quinn siedziała przy oknie i patrzyła. Samochody zajeżdżające pod dom długą, wystawioną na działanie wiatru polną drogą wzbijały tumany lekkiego pyłu, który osiadał na ubraniach. Na jałowej, spalonej słońcem, spękanej ziemi nawet opony nie zostawiały śladu. Rabaty kwiatowe za domem od tygodni nie zaznały deszczu, a ziemia zmieniła kolor z brązowego na martwą szarość, w której nie odbijało się światło. Wyschnięte źdźbła trawy wystawały ze spragnionej ziemi; wyglądały jak bure sznurki. Róże walczyły o życie w otoczeniu równie przyjaznym, jak kamieniste dno wyschniętej rzeki.

Quinn ledwie udawało się codziennie wstawać z łóżka, ani razu nie wybrała się do miasta. Utrzymywała się w swego rodzaju transie i wciąż oglądała swoje paznokcie. Odrosły, nie były już połamane, nie krwawiły, jak wówczas, gdy próbowała podrapać tego drania i uciec. Niezależnie od tego, jak często i jak mocno szorowała całe ciało, marzyła o zanurzeniu się w strumieniu w lesie i zmyciu wspomnienia tamtego dnia. Zastanawiała się, czy skoro deszcz nie pada od wielu tygodni, strumień zamienił się już w leniwy potoczek, który z kolei wkrótce stanie się wąską strużką płynącą bezgłośnie po głazach i kamieniach, zupełnie niezauważalnych dla strumienia rwącego szybko po deszczach z północy. Nawet gdyby udało jej się tam wrócić, nie było sensu rzucać się do tego strumienia, ponieważ żadna liczba kamieni w kieszeniach nie pociągnie jej na dno czegoś, co przestało istnieć. Wyobrażała sobie swoje nogi niesięgające twardego

gruntu, wierzgające w bezmiarze wody, i moment utonięcia, ponieważ tylko ta jedna jedyna rzecz oddawała to, co czuło jej ciało, tę panikę serca tłukącego się o żebra, i wiedziała, że z ulgą przyjmie brak tlenu, bo tylko to wymaże wszystkie jej myśli.

Gdy zrobiło się zbyt gorąco, by siedzieć na werandzie, wróciła do swojego pokoju i leżała na łóżku, wciąż marząc o tym, że jej nogi walczą, by wciągnąć ją na dno strumienia. Chciała się zapaść w najgłębszym miejscu, wiedziała jednak, że choćby przeszła przez całą szerokość strumienia, i tak wyszłaby na drugą stronę z suchymi stopami. Wyobrażała sobie wątłe rośliny na jego brzegach, zwiędłe, wyschnięte i rozpadające się w pył między jej palcami. Jak Benito. Ponieważ on właściwie zniknął.

W mieście krążyły plotki. Quinn nie знаła szczegółów, ale wiedziała, że ludzie plotkują. O meksykańskim chłopcu, białej dziewczynie i gwałcie, nikt nie był jednak pewny, czy to prawda. Quinn z kolei nie miała pewności, kto rozpuścił te plotki; wiedziała tylko, że Sigrid chciała się pozbyć Benita. Nikt nie wiedział, kto, kiedy i gdzie, opowiadano sobie po prostu, co przydarza się niektórym dziewczętom. Wuj Benita wpadał od czasu do czasu, aby wykonać jakąś pracę, lecz gdy Quinn zapytała go o Benita, pokręcił przecząco głową, z paniką w oczach. Codziennie wyglądała przez okno i wysiadywała na werandzie, czekając, aż Benito przyjdzie i weźmie ją w ramiona. Nie przyszedł. Minęło lato, spadły jesienne deszcze i wtedy wróciła jej jasność umysłu, i mogła myśleć tylko o wyjeździe. Z liceum już koniec, a pomysł studiowania w college'u w innym stanie wydawał się bardzo nęcący. Sigrid miała jednak inne plany.

– Nie ma pieniędzy na college. Znajdź jakiegoś mężczyznę, żeby się tobą opiekował – powiedziała pewnego dnia, przygotowując kolację. – Znajdź sobie męża.

– Męża? – Quinn z niesmakiem zmarszczyła nos. – Mam dziewiętnaście lat.

– Wiem, co wyrabiasz, więc nie traktuj mnie jak głupią.

Na myśl o małżeństwie Quinn poczuła ściskanie w gardle. Zauważyła swoje odbicie w oknie, równie niewyraźne, jak jej poczucie własnego ja, i ledwie do niej dotarło, że to nowe, wychudłe ciało należy do niej.

– Wymykasz się nocami – ciągnęła Sigrid – i robisz nie wiadomo co. Wiesz, że nie jestem głupia. To tylko kwestia czasu i stanie się coś złego. – Przerwała na chwilę. – Czy ten chłopak ci to zrobił? Ten, który pracował przy różach?

Coś złego. Quinn wiedziała, co stałoby się z mężczyznami, którzy jej to zrobili, gdyby potrafiła ich zidentyfikować; na początku lata do tej części hrabstwa zjeżdżało jednak wielu myśliwych, zwłaszcza jeśli populacja jeleni zbyt się rozrosła. Co roku o tej porze zaczynał się sezon polowań i przez lasy przewijało się mnóstwo ludzi, zarówno miejscowych, jak i spoza stanu, rwących się do zabijania. Quinn nigdy nie widziała mężczyzn, którzy ją zgwałcili, a znała prawie wszystkich w mieście.

Czasami ich twarze zlewały się w groteskową maskę, tak że nie była już pewna, czy zdołałaby ich rozpoznać podczas okazania, gdyby ją o to poproszono.

Ale to nie było takie proste. Nic już nie było proste. Quinn odsuwała wspomnienie tamtego dnia na bok niczym talerz z mięsem duszonym z jarzynami, o które nie prosiła. Stanowczo postanowiła utrzymać gwałt w sekrecie, nie z powodu źle rozumianego wstydu, bo ze wstydem potrafiła się uporać – to było dość proste – a poza tym przez te wszystkie tygodnie na werandzie, gdy wyczekiwała na pojawienie się ciężarówki Benita, zaakceptowała dziewczynę, w którą zamienili ją myśliwi. Nie chciała po prostu kłopotów, nie mogła sobie nawet wyobrazić przesłuchania na policji, opisywania tego, co jej zrobili, powiedzieli, do czego ją zmusili. Przerazała ją myśl o tym, jak ludzie będą na nią patrzeć, co pomyśli o niej Benito; wiedziała, że

to małe miasto nigdy nikomu niczego nie zapomina. Najpierw będą spuszczała wzrok, a potem odwracała się i szeptała. A ona na zawsze pozostanie tą dziewczyną. „Co ona robiła w tym lesie? Czy była ubrana? Powinna była zostać w domu”. Nikt nie zapytał, dlaczego ci mężczyźni pozwolili sobie na to wszystko, zgwałcili, pobili, upokorzyli ją, jakby sama jej obecność w lesie usprawiedliwiała przestępstwo, które popełnili.

– Mężczyźni biorą, co chcą, każda kobieta to wie. A ja wiem, że ty zadawałaś się z tym chłopakiem – ciągnęła Sigrid.

– On nie ma z tym nic wspólnego. Od tamtej pory nawet go nie widziałam.

– I już go nie zobaczysz.

– Co to znaczy?

– Z nim już koniec.

– Koniec?

– Jeśli spróbuje się z tobą skontaktować, musisz mi powiedzieć.

Quinn powstrzymała łzy. Sigrid pomyślałaby, że rozplakała się na zawołanie, że chce wzbudzić współczucie i wylewa krokodyle łzy. A skoro macocha jest tak bezwzględna w swoich sądach i bezduszna, należy zachować stoicki spokój.

– Przebierz się i umyj twarz. Włóż jakąś ładną sukienkę.

Quinn nie była pewna, czy ma dość siły, by wstać i wejść po schodach.

– I uśmiechnij się, na litość boską. To nic nie kosztuje.

– Gdzie idziemy?

– Zobaczysz.

Przez ułamek sekundy kąciki ust Quinn stawiały opór, zdołała się jednak uśmiechnąć. Ćwiczyła ten fałszywy uśmiech, wiedząc, że nikt nie odróżni go od prawdziwego. Policzki ją bolały, była jednak pewna, że w końcu ten uśmiech będzie przychodził jej naturalnie.

W sukience, z włosami związanymi w koński ogon towarzyszyła Sigrid w wyprawie na wyprzedzą w pobliskiej

posiadłości, w ogromnym białym domu w pseudogreckim stylu, należącym do wdowy po człowieku, który najpierw zrobił fortunę na hodowli bydła, a potem jeszcze większą na ropie naftowej. Było tam mnóstwo rycin z motywem kwiatowym i stary zakurzony aparat telefoniczny na konsoli, z dużą tarczą i skręconym kablem zwisającym ze słuchawki. Nad konsolą wisiało lustro w ramie ze złożonych listków wierzbowych; górną część ramy zdobiła buzia cherubina, który spoglądał w dół, na Quinn. Lustro było zmatowiałe; Quinn nie wiedziała, czy zbyt często je polerowano, czy może po prostu z upływem czasu straciło przejrzystość, lecz jej odbicie tak bardzo nie przypominało osoby, którą była, że pomyślała nawet, iż patrzy na portret jakiejś kobiety. Nie rozpoznała samej siebie. Szczupłość sylwetki sprawiła, że poczuła się lekka, a zapadnięta twarz i uwydatnione teraz kości policzkowe w dziwny sposób czyniły ją piękną. Konsola natomiast, przesadnie ozdobna, z wygiętymi nóżkami, była jedynie kopią stylu chippendale.

– Dzisiaj odbywa się tylko wstępna prezentacja, ale może pani złożyć ofertę w wysokości co najmniej połowy ceny wywoławczej. Zawiadomimy panią, jeśli oferta zostanie przyjęta – przywitał je zachrypły kobiecy głos, a Quinn się odwróciła.

Sigrid była wyraźnie podekscytowana. Ich dom, mimo że duży i ładny, w niczym nie przypominał tej rezydencji z pawilonami ogrodowymi, oranżerią i sadzawką. Były tam oszklona weranda, starannie zaaranżowany ogród, a nawet coś w rodzaju sali balowej. Quinn obserwowała, jak Sigrid liże i zakleja kopertę z ofertą na jakiś mebel. Jak kot, który zaraz rzuci się na mysz, pomyślała, gdy chodziły po wnętrzach starej, zakurzonej rezydencji. Podszedł do nich mężczyzna utykający na lewą nogę. Wyglądał na nieco ponad trzydzieści lat i był przystojny, miał ciemne włosy, okulary, gładko ogoloną twarz o kwadratowych szczękach. Gdyby nie utykanie i laska, mógłby uchodzić za atrakcyjnego.

– Jest pan wykonawcą testamentu? – zapytała Sigrid swym wyuczonym głosem, niemal bez akcentu.

– To dom mojej ciotki. Pomagam jej załatwić sprawy.

Sigrid wdała się w rozmowę z mężczyzną, Quinn zaś poszła w swoją stronę i trafiła do salonu; gdy przechodziła przez pokój, podłoga skrzypiała pod jej stopami. Czuła się obca w tym świecie, w tym domu, wśród tych mebli, miała poczucie, że unosi się nad podłogą, nie dotyka jej. Uśmiechać się do ludzi to jedno, ale w środku Quinn była martwa. Nie chciało jej się robić czegokolwiek, czekała tylko, aż ten dzień się skończy, pójdzie do łóżka, a potem wstanie. Była duchem czekającym na przejście na inną stronę, gdziekolwiek by ona była, aby dołączyć do zmarłych.

Obserwowała Sigrid i młodego człowieka zagłębionych w rozmowie po drugiej stronie holu. Sigrid promieniała, a mężczyzna wciąż się uśmiechał i coś mówił, nader żywo gestykulując. Wydawał się tu nie na miejscu, jakby zwykle nie nosił garnituru ani nie bywał w rezydencjach takich, jak ta, i nie zajmował się sprzedażą ich wyposażenia. W końcu przestał wymachiwać rękoma, uściśnął dłoń Sigrid, odwrócił się i utykając, podszedł do Quinn.

– Cześć. Nazywam się Nolan Creel. Twoja matka złożyła właśnie ofertę na tamtą konsolę.

Quinn uśmiechnęła się swoim sztucznym, wypracowanym uśmiechem. Zawsze lekko mrużyła przy tym oczy, zmarszczki wokół nich dodawały grymasowi wiarygodności. Uśmiechała się przez cały czas, gdy mężczyzna opowiadał jej o posiadłości swej ciotki i o tym, że jest ostatni z rodziny Creelów. To był pierwszy dzień i pierwsze godziny wyprzedaży i niewiele osób przyszło zobaczyć rezydencję oraz jej wyposażenie.

Gdy Nolan wyciągnął rękę do Quinn, ona podała mu swoją, a młody człowiek, zamiast uściśnąć jej dłoń, podniósł ją do ust i pocałował. Coś się w niej poruszyło. Nie była to płomienna miłość, jaką żywiła dla Benita, nic z tych rzeczy, ale coś się

poruszyło. Nie potrafiła nazwać tego, co czuła, uznała to za raczej dziwne doznanie, lecz nie walczyła z nim, wcale nie było nieprzyjemne. Nolan Creel adorował ją, wydawał się nią wręcz zachwycony.

Spacerowali i rozmawiali, Quinn słuchała jego chrapliwego głosu. Wydawał się dobry, miał dobre oczy, a ona na chwilę zatraciła się w rozmowie. W pewnej chwili spojrzała w bok i napotkała spojrzenie Sigrid, która z drugiego końca salonu obserwowała ją niczym jastrząb. Uśmiech nie schodził z twarzy Quinn, usta miała perfekcyjnie ułożone nad idealnymi zębami i sama się dziwiła, że może to być tak łatwe. Miała wrażenie, że opuściła swoje ciało i stworzyła nową wersję siebie, o wiele miłszą i pogodniejszą. Chwilami rzeczywistość całkowicie się rozpląwała, a Quinn wyobrażała sobie, że ten mężczyzna jest jej mężem i że po tych pokojach biegają dzieci, nappełniając życiem puste skorupy – ten dom i ją samą. Była to tylko zabawa, w którą bawiła się w myślach, jednak coś nią owładnęło, swego rodzaju objawienie, poczucie, że nie ma innego wyboru niż żyć dalej. Nie chodziło tu o nadzieję na przyszłość, lecz po prostu o to, by osoba, którą stworzyła, mogła przeżyć życie do końca.

– Powtórz, proszę, skąd jesteś? – Quinn przyjęła ramię podane jej przez mężczyznę.

– Z Aurory. To małe miasteczko na zachód stąd. Farma Creel Hollow.

Opowiedział jej o swojej posiadłości na wsi, a ona zapragnęła, by życie miało jej coś więcej do zaoferowania niż tylko nocne koszmary, wyczekiwanie na werandzie na kochanków, którzy się nie pojawią, i mieszkanie w rodzinnym domu, gdzie ledwie ją tolerowano. Farma Creel Hollow – nie brzmiało to zbyt wytwornie, zdawało się jednak obiecywać spokój i bezpieczeństwo. Nolan opowiedział jej o swoim zmarłym ojcu, który był artystą malarzem i stworzył setki obrazów z widokiem farmy i okolicznych posiadłości. Quinn słuchała, uśmiechając się



w odpowiednich momentach, a szczególnie szeroko wtedy, gdy Nolan wspomniał, że nie jest żonaty.

– Czy przywieziesz do nas konsolę, jeśli nasza oferta wygra? – zapytała.

– Z przyjemnością – zapewnił Nolan i bardzo starał się dotrzymać Quinn kroku, gdy wyprzedzała go, idąc szybko po skrzypiącej podłodze. Zwolniła trochę, by dać mu złudzenie, że mogą utrzymać jednakowe tempo.

\*

Quinn Creel. Powtarzała to nazwisko raz po raz, gdy z walizką w ręku wchodziła na frontową werandę farmy Creek Hollow. Quinn Creel brzmiało jak nazwa łodzi, jednego z tych skifów z łuszczącą się farbą, cumujących w rzędach na przystani w Corpus Christi, gdzie właśnie spędzili tydzień miesiąca miodowego. Był październik 1970 roku. Quinn miała dziewiętnaście lat, Nolan – trzydzieści jeden. Farma była podupadła, a jej chciało się płakać.

– Pokochasz ją – zapewniał Nolan, gdy dojeżdżali na miejsce. – W pobliżu domu jest łąka, pełno na niej jaskrów – mówił podczas pięciogodzinnej jazdy z Corpus Christi do Aurory. – Jaskier – recytował, jakby odpowiadał przed tablicą na jakiejś głupiej lekcji przyrody w szkole – to po łacinie *Ranunculus*, czyli żabka. Jaskry są trujące dla krów i w ogóle bydła. Wiedziałaś o tym?

Quinn nic to nie obchodziło, wcale nie zamierzała zapamiętać tej bezużytecznej informacji, uśmiechała się jednak i patrzyła na niego z uwielbieniem, a on gadał i gadał, dopóki nie dojechali do domu. Przeraził ją stan farmy, spodziewała się pięknej posiadłości, nie czegoś takiego.

– Niektórzy ludzie nazywają je „oczami kojota” – poinformował ją Nolan i zaczął opowiadać legendę, według

której kojot wyrzucił oczy w powietrze, a orzeł je złapał, kojot został więc bez oczu i zrobił sobie nowe z jaskrów. – Jaskry są trujące, kiedy są świeże, ale tak czy inaczej mają nieprzyjemny smak i zwykle nie służą jako pokarm. Bydło je te kwiaty tylko wtedy, gdy jest ich bardzo dużo, a innych roślin niewiele, robi to więc z czystej desperacji i...

– Nolan.

– Co?

– Nie tak to sobie wyobrażałam. – Quinn była zaskoczona, że głos tak bardzo jej drży.

Nolan zamilkł na dłuższą chwilę.

– Przestraszyłaś się, skarbie? – Roześmiał się i pocałował jej dłoń, na której lśniła cienka złota obrączka. – Trochę na to za późno, nie sądzisz?

Przestraszyłam, pomyślała Quinn i rozejrzała się dookoła, popatrzyła na zniszczoną stodołę, na koleiny pozostałe po gwałtownej powodzi. Jakie tu musi być błoto po deszczach. Czują się tak, jakby pływała. Wokół niej nie było niczego na poziomie, niczego znajomego, żadnych wygod – nawet ziemia pod stopami i słońce na niebie wydawały się obce. Tak samo jak Nolan i to małżeństwo, które pośpiesznie zawarła.

– To jest, to jest... – Quinn nie znajdowała słów, które mogłyby wyrazić jej rozczarowanie.

– Kocham cię. A ty kochasz mnie. To naprawdę nie jest takie skomplikowane. Będziemy mieli dzieci, wychowamy je; będą tu dorastały, tak jak dorastaliśmy mój ojciec i ja. Ta farma jest solidna, przywiązuje ludzi do siebie. Możemy wprowadzić pewne ulepszenia, żeby wyglądała tak, jak byś chciała.

Quinn czuła, że zaraz straci panowanie nad sobą, po prostu się załamała. Ból w dolnej części pleców stał się nie do zniesienia i nagle wszystko wydało się naprawdę złym pomysłem, czymś, na co się zgodziła pod wpływem chwili. Ale była tu, na schodkach farmy Creel Hollow, postawiła swoją walizkę na werandzie

i patrzyła na drewniane drzwi. Kołatka była dość duża, nad literą C widniała głowa lwa, a nazwisko Creel zaczęło jej się podobać. Quinn Creel nie brzmiało tak źle. Trochę farby mogłoby zdziałać cuda, a przecież była farma i kołatka do drzwi z inicjałem.

Nolan podszedł i wziął ją w ramiona. Laska stała oparta o framugę drzwi. Gdy chodził powoli, jego utykanie było ledwie zauważalne. Dla Quinn wyglądał jak ktoś, kto chodzi ostrożnie, a nie człowiek ułomny, a on sam wydawał się w ogóle nie zwracać uwagi na swoje utykanie. Był silnym mężczyzną i zapewni jej bezpieczeństwo, była o tym przekonana.

– Pani Nolanowo Creel, jak się pani podoba nowy dom? – zapytał, wziął Quinn za rękę i przeprowadził przez próg.

– Podoba mi się – skłamała Quinn. Zdziwiła się, że nie ma tu żadnych kręcących się pracowników ani krów na łące. Nie czuła żadnego zapachu – czyż na farmach nie powinno być zapachu? – a w stodole obok domu panowała cisza.

Quinn weszła do środka, zapalając światło przy frontowych drzwiach. Próbowowała nie zauważać tapety, na której pionowe pasy rywalizowały z widocznymi gdzieś tam plamkami pleśni. Przyjrząwszy się bliżej, zauważyła, że tapeta odkleja się na łączeniach, wyczuła także lekki zapach stęchlizny. Nolan ruszył w stronę schodów tak żwawo, jakby chciał przeskakiwać po dwa stopnie naraz bez trzymania się poręczy, niczym chłopiec, który pragnie jak najszybciej zająć najlepszy pokój na górze. Zreflektował się jednak i wszedł na schody powoli. Quinn przeszła przez hol; deski podłogowe wydawały dźwięki, które działały jej na nerwy – trzaskały pod naciskiem pięt, klekotały i skrzypiały, gdy przenosiła ciężar ciała na palce stóp, zupełnie jakby chciały przyciągnąć jej uwagę, opowiedzieć jakąś starą historię. Szybko weszła do kuchni – podłoga była wyłożona płytkami, nie wydawała żadnych dźwięków – i jeszcze szybciej rozsunęła brudne zasłonki, odsłaniając rolety i pokryte warstwą kurzu szyby w wypaczonych ramach. Otworzyła drzwiczki

piekarnika, zaskoczona, że tak zazgrzytały. Dziwne, ale wewnątrz było nieskazitelnie czyste. Obeszła kuchnię dookoła, dotknęła każdej powierzchni, otworzyła każdą szufladę, spróbowała nawet odkręcić kran. Nolan stanął za jej plecami tak cicho, że aż podskoczyła.

– Za domem jest studnia – powiedział, wkładając palec pod strumień wody. – Nigdy nie zabraknie nam wody.

– Widzę – odparła Quinn, patrząc na głęboki zlew z plamami rdzy. Dom wydawał się solidny i wart zachodu, ale tak zaniedbany, jakby Nolan troszczył się jedynie o rzeczy podstawowe – dach, ściany, wodę i elektryczność. To był właściwie tylko budynek, nie dom. Zakręciła kran. To miejsce przyprawiało ją o dreszcze, panował w nim przejmujący chłód, choć była dopiero jesień. Okno nad zlewem miało sześć szybek na dole i sześć na górze, ramę zaś wielokrotnie malowano; zacieki farby zaschły na szybach, Quinn nie próbowała więc otworzyć okna, by wpuścić ciepłe powietrze. Widok był piękny, musiała to przyznać – po lewej stronie stodoła, po drugiej duże drzewo, a na wprost kręta droga gruntowa wijąca się w kierunku szosy. Ze zwisającego karnisza spadła firanka, Quinn, wzdrygnąwszy się, odsunęła ją na bok. Chciało jej się płakać – miała dziewiętnaście lat i nie potrafiła robić niczego, co należało robić na farmie, a do tego jeszcze ten ból. Nieznośny ból. Rozchodził się z brzucha, a przy każdym ruchu stawał się mocniejszy.

– To wszystko jest nasze. Potrzeba tylko trochę pracy – powiedział Nolan i objął ją od tyłu.

– Na to wygląda – odparła Quinn, przyciskając brzuch do zlewu. Ucisk czasami zmniejszał ból, teraz jednak chciała tylko położyć się i usnąć. Na tej farmie czuła się nieswojo, nie mogła znaleźć sobie miejsca, nie miała wrażenia, że jest u siebie. Dusila się niczym ryba wyrzucona z wody, jakby brakowało jej tlenu. – A co z pokojami na górze? – zapytała i uwolniła się z objęć męża.

– W drugiej sypialni jest jedno łóżko. – Nolan zamilkł na chwilę. – Ale będziemy musieli kupić kołyskę.

Quinn uśmiechnęła się, lecz nie skomentowała tych słów. Później, gdy włożyli do lodówki zapasy jedzenia kupione w mieście, usiedli do kolacji i zjedli jajka sadzone z ziemniakami, a Nolan śmiał się i chichotał, trzymając jej dłoń nad wąskim stołem. Zmęczeni długą jazdą poszli na górę do łóżka, zanim jeszcze się ściemniło. Quinn przyglądała się, jak pierś Nolana podnosi się i opada, słuchała, jak mąż pojękuje przez sen. Przysunęła się mocno do niego. Taka bliskość zwykle wprawiała ją w skrępowanie, lecz Nolan spał, a ona czuła się bezpiecznie, choć sama nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Obudziła się wcześniej i nie mogła już zasnąć, ból w brzuchu się nasilił. Czas zawisł między nocą, która się jeszcze nie skończyła, a dniem, który się nie zaczął. Quinn czuła, że jej serce bije szybciej. Wstała, podeszła do okna i patrzyła na kręty podjazd i małą szopę po lewej stronie. Otworzyła okno, cicho, by nie obudzić Nolana; trochę ją wystraszył trzask okiennicy. Obserwowała, jak noc odchodzi, za chwilę miały pojawić się pierwsze promienie słońca, a na łące po prawej stronie domu kolory przechodziły ze złowieszczych odcieni szarości w blade żółcie i przydymione brązy. Nie było śladu jaskrów, ani jednej żółtej plamki, a trawa wydawała się niezwykle mizerna, zbyt mizerna, jak na tę porę roku, lecz Quinn nie zastanawiała się nad tym. Uśmiechnęła się i postanowiła, że wkrótce dowie się wszystkiego na temat tego miejsca. Quinn Creel z farmy Creek Hollow. To było coś – nie ideał, lecz coś. Co jej zresztą pozostało?

– Dzień dobry. – Usłyszała głos Nolana, jeszcze bardziej chrapliwy niż zwykle rankami. – Dobrze się czujesz?

– Dobrze – zapewniła Quinn i zauważyła, że mąż patrzy na jej dłoń leżącą na obolałym brzuchu. – Chyba jestem w ciąży – dodała, mając wrażenie, że te słowa wypowiedziała jakaś inna kobieta. Nie rozumiała, dlaczego jej się wyrwały, niepotrzebne

i nieuzasadnione. Nikt jej nie skłonił ani nie zmusił, a mimo to wyrwały jej się słowa tak dalekie od prawdy. Właśnie zasugerowała Nolanowi, swojemu mężowi od niespełna miesiąca, że może zaszła w ciążę. Czy stało się tak dlatego, że gdy byli razem, jedynym, co robiła, było wyobrażanie sobie, że sperma Nolana przedostaje się do jej jajeczka? Wyobrażała sobie jajeczko dzielące się na komórki i zagnieżdżające się w jej macicy – nazywano to implantacją. Takie okropne słowo na określenie cudu. Opuszczała część przedstawiającą wędrówkę jajeczka przez jajowody, ponieważ wiedziała, że były one niedrożne, a lekarz długo jej tłumaczył, że może nigdy nie będzie miała dziecka. Trudności z zapłodnieniem, tak właśnie jej powiedziano. Jakby mogła zapomnieć. Lekarze mówili jej o tkance bliznowatej, a ona wyobrażała sobie te blizny jako ślady po uderzeniu na skórze, więc dlaczego jej ciało miałoby nie pokazywać tego, co ona czuła w środku – że była okaleczona – ale podobnie jak wynalazła siebie na nowo, chciała także wyczarować zdrowe ciało. Chyba jestem w ciąży, powiedziała, to tylko mały błąd z jej strony, nic więcej.

Quinn czuła się rozdęta, pełna; coś w środku ją dręczyło, dręczyło od wielu dni. Miała wrażenie, że coś w niej rośnie i czasem było to tak uciążliwe, że podkładała pod brzuch poduszkę i mocno się do niej przyciskała, aby całym ciężarem ciała zmniejszyć uczucie pełności. Nie miała pojęcia, co powinna czuć ani co robić, może zadzwonić do Sigrid i ją zapytać. Wiedziała, że nie jest w ciąży, po prostu wiedziała, nie wiadomo skąd, ale była tego pewna. Czuła się tak, jakby uościła się w niej kula armatnia, tylko w ten sposób najlepiej mogła opisać, co się z nią działo.

Nolan wstał i ją objął. Długo trzymał ją w ramionach, w końcu wyszedł, a chwilę potem Quinn usłyszała szum wody spuszczonej w toalecie. Nie była w stanie zrobić ruchu, czuła się sparaliżowana, nogi miała bezwładne, w głowie zamęt. Jakiś głos

pytał: „Dlaczego? Dlaczego to powiedziałaś?”. Stała przy oknie i obserwowała złotobrazowego zająca wyłaniającego się z wysokiej do kolan trawy. Z początku poruszał się powoli, a potem pobiegł, podskakując niezgrabnie. Nagle zerwał się wiatr, gdzieś trzasnęła okiennica, a zając stanął słupka i patrzył swymi czarnymi oczyma, zdawałoby się, we wszystkich kierunkach.

Po śniadaniu Quinn wyszła na ganek i przyglądała się mężowi wynoszącemu walizki pozostawione w bagażniku samochodu. Mimo utykania poruszał się pewnie, a Quinn zastanawiała się, czy coś zdołałoby go kiedyś wytrącić z równowagi. Zauważyła, że jego szare oczy nigdy nie wędrują po jej ciele, zawsze skupiają się na jej oczach, jakby tylko w nich dostrzegał coś, co należało zgłębić. Może z natury skłonny do uniesień był nią tak oczarowany, że bez przerwy o niej myślał i ją obserwował, sam natomiast pozostawał właściwie zagadką. Nolan, jakby nagle zdając sobie z czegoś sprawę, podniósł prawą rękę, wskazując coś za Quinn, za domem.

– Po prostu nie zdążyliśmy! – zawołał.

– Na co?

– Na jaskry. Kwitły kilka tygodni temu. Chyba musimy czekać do następnej wiosny. Masz ochotę na spacer po lesie?

Wzdrygnęła się. Ostatnio, po wszystkich tych chwilach, gdy myślała, że poradziła sobie z przeszłością, wspomnienie tamtego dnia w lesie dręczyło ją coraz bardziej. Nie dlatego, że przestała uważać, iż to nie był jej błąd i niczemu nie jest winna, bo nikt nie jest winny temu, że go zgwałcono, ale dlatego, że musiała żyć w tym ciele, dzień po dniu, wiedząc, co temu ciału zrobiono. Dlatego żadne dziecko nie będzie w niej rosło – jej ciało na to nie zasługiwało. Czasami nie do zniesienia była myśl, że ma męża, on zaś nie ma pojęcia, co zrobiono z ciałem, które trzyma w objęciach co noc, i że ona sama nigdy nie ucieknie od tego, co się stało, bo dano jej tylko to jedno ciało, które pewnego dnia zabierze ze sobą do grobu.

Codziennie zdarzały się chwile skłaniające ją do myślenia o tym, jak bardzo jest zbrukana. Na stacji benzynowej w Corpus Christi jakiś mężczyzna pokazał martwego psa na pace swojej furgonetki – na głowie zwierzęcia była rana, z której lała się krew – płacząc bez skrępowania i wycierając łzy z policzków stwardniałymi dłońmi. Powiedział Nolanowi tam, wśród oparów benzyny, że pies zabił jedno z kurcząt, których miał pilnować, i przestał już być dobrym psem. Ten mężczyzna musiał go zastrzelić, bez żadnego „ale”, ponieważ pies, który zakosztował krwi, do niczego się już nie nadawał. Ale kochał to zwierzę. „Był dobrym psem, najlepszym, jakiego miałem”. Nie mógł tylko znieść, że pies zabił. „Trzymał tego kurczaka w zębach i potrząsał nim”; tego się nie da zapomnieć. Największa miłość na świecie nie wystarczyła, aby wybaczyć coś takiego.

W przydrożnej restauracji w Conroe rodzeństwo, chłopiec i dziewczynka, pokłóciło się o rozek lodów; w pewnej chwili chłopiec oznajmił: „Polizałaś go, już ich nie chcę” i żadne namowy matki nie zmieniły jego postanowienia. W końcu lody upadły na podłogę, a matka przeproszała kelnerkę, która wycierała je z linoleum serwetką. Uwielbiamy lody, ale te są brudne.

Wspomnienia zdawały się do niej wracać fragmentami. Słyszała odgłosy, ale nie potrafiła ich umiejscowić i zastanawiała się, czy jej umysł będzie wciąż budował mur paranoi, który wydawał się rosnąć w jej głowie z każdym dniem. Każdy trzask gałązki był drapieżnikiem, każde trzaśnięcie drzwi – szczękiem broni opadającej na ziemię w lesie, wciąż powtarzaną wiadomością dla jej ciała, że ma przygotować się na to, co nadchodzi. Ale było coś więcej. Czowała zapach nasienia, potu i moczu jelenia, tak mocny, jak w tamten lipcowy poranek. Zapach najczęściej się rozpraszał jak dokuczliwy rój komarów kręcących się wokół niej, ale niekiedy utrzymywał się niczym lepkie resztki, niedające się zmyć. Zapach Pyszczonego, który



kazał jej mówić, jaki jest wspaniały; Kościstych Palców, który zażądał, by powiedziała, że bardzo jej się podoba to, co jej robi. Brodatego, który zmusił ją do błagania, by w nią wchodził raz za razem. „Błagaj”. Musiała dokładnie powtarzać jego słowa, a gdy pomyliła chociaż jedno, wymierzał jej policzek. Bolało. Myśl o tym wszystkim dławiała ją, próbowała wyrzucić z siebie słowa, do których powiedzenia zmusił ją ten człowiek.

Każde z tych doznań stanowiło problem samo w sobie, było jak palec rozdrapujący jej rany. Jeśli próba nierozpamiętywania przeszłości oznaczała także niemyślenie o przyszłości, jakie znaczenie miało to, że powiedziała mężowi o rzekomej ciąży, że dała trochę nadziei Nolanowi i sobie samej?

– Może powinniśmy pomyśleć o kupnie kołyski? – zaproponowała, uśmiechając się najbardziej promiennie jak umiała. A gdy Nolan wziął ją za rękę i objął, poczuła się prawie normalnie. Prawie, lecz nie całkiem.

# Rozdział trzynasty

## Dahlia

Kładę torebkę matki na kuchennym blacie. Matka siedzi, powieki jej opadły, wydają się ciężkie jak z ołowiu. Kiwa głową, słabo, ale przytakuje.

– Dziękuję – mówi i nawet to krótkie słowo niebezpiecznie przypomina mamrotanie.

– Ile wzięłaś tych tabletek?

Mruczy coś niezrozumiałego.

– Ile? – powtarzam i pomagam jej odzyskać równowagę, ponieważ wstając, chwieje się na nogach.

– Nie twoja sprawa.

Z torebką w ręce idzie w stronę schodów, najpierw mocno trzymając się blatu, a potem poręczy. Mija zrobioną przeze mnie ścianę zaginionych, ale ani na nią nie patrzy, ani nic o niej nie mówi. Wspina się po schodach, jakby miała nogi odlane z betonu.

Wygląda jak aktorka ze złotych czasów, myślę i nagle wpada mi do głowy, by przypomnieć sobie hasło z encyklopedii. Pamiętam ten nieporęczny tom, niemal czuję go na swoich kolanach, wilgotny zapach, cieniutkie kartki, złocone brzegi stronic między palcami. Coś w mojej głowie trzepocze skrzydłami, otwiera dziób i słyszę cichą melodię. I po prostu niczym kukulka z zegara z mojej głowy wyskakuje hasło.

„Chodzenie po linie; sztuka chodzenia po drucie lub linie zawieszonych na dużej wysokości. Artyści tej specjalności zwykle występują przed publicznością”.

Obserwuję matkę wchodzącą na podest. Lekko się chwieje,

traci równowagę, dosłownie i w przenośni, udaje jej się jednak przytrzymać. Powłócząc nogami, idzie korytarzem ze spuszczoną głową i wyciągniętymi ramionami, przerzucając ciężar ciała na podeszwy stóp i przesuwając dłoń po poręczy. Nogi ma lekko ugięte. Cała moja matka. Daje występ.

Później, w swoim pokoju przewracam się na łóżku z boku na bok przez większość nocy, w końcu wstaję i schodzę na dół. Otwieram laptop, wpisuję: „Aurora, las, znaleziona niezidentyfikowana kobieta”. Na kilku forach znajduję spekulacje na temat mojej Jane. Ktoś o nicku „Mommy Dearest” łączy to zaginięcie z handlem ludźmi w dolinie Rio Grande, przez którą, zdaniem tej kobiety, biegnie główny szlak owego handlu. „IamFiftyOne” ma inne zdanie; uważa, że w sprawę zamieszani są przybysze z kosmosu. Dowód stanowią piramidy. „PsychStudent” jest przekonany, że Jane to osoba chora umysłowo, pozostanie niezidentyfikowana i skończy na jakimś oddziale psychiatrycznym. „NoLongerAVictim” uważa, że Jane uciekła od nędzy życia w szafie, a lata nieujawniania orientacji seksualnej tak „zatrwały jej mózg”, że nie jest w stanie przypomnieć sobie, jak się nazywa.

Już nic z tego wszystkiego nie rozumiem – ta farma, moja matka, Jane Doe, kobieta z portretu pamięciowego.

Czekam do wschodu słońca i dzwonię do Bobby’ego.

– Spotkaj się ze mną – proszę.

– Gdzie?

– Na stacji benzynowej, o dziesiątej.

Po raz pierwszy od powrotu do Aurory widzę go bez munduru. Ma na sobie dżinsy i prowadzi furgonetkę. Wjeżdża na parking stacji benzynowej, gdzie kilka tygodni wcześniej machaliśmy do siebie; włosy ma wciąż mokre, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. Obejmujemy się i przez chwilę oboje czujemy się skrępowani tą bliskością.

No właśnie. Ze sposobu, w jaki on lekko przechyla głowę,

mogę wnioskować, że coś do mnie czuje. W liceum nie było nikogo, kto wierzyłby, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, ale tak było, zawsze.

Teraz taki stan nazywany jest *friend zone*, ale my nie mieliśmy na to określenia. A może oboje nie rozumieliśmy, co było między nami, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Każde z nas otaczał niewidzialny mur obronny, który zareagowałaby czymś w rodzaju uderzenia pioruna, gdybyśmy zanadto się do siebie zbliżyli.

Uścisk był zwykłym gestem powitalnym – stary przyjaciel wziął mnie w objęcia – ale coś poczułam. Coś niejasnego. Może to mizerne resztki tego, czym byliśmy? Prawdą jest, że taka bliskość naszych ciał uspokaja mnie bardziej, niż się spodziewałam.

Przez kilka minut prowadzimy luźną rozmowę – „jak się masz, jak leci, to miasto niewiele się zmieniło, kiedy to było” i tak dalej. Potem zeszliśmy na tematy osobiste. Bobby się ożenił – opowiadał o tym ze stoickim spokojem – i rozwiódł trzy lata temu. Ona była pośredniczką w handlu nieruchomościami i chciała przeprowadzić się do Dallas, podczas gdy Bobby nigdy nie myślał o wyjeździe z Aurory.

– To małżeństwo było wielkim błędem – dodaje. On mówi o swoim małżeństwie, a ja nawet nie pytam o imię jego żony.

Opowiadam mu o Amarillo, o wszystkich moich pracach, o tym, że nie jestem w stanie ruszyć do przodu, o mojej matce i jej dziwnym zachowaniu i niechęci do rozmowy o przeszłości. Gdy byliśmy dziećmi, przywykłam być niewidzialna, dochowrywać sekretów, jak kazała mi matka. Nie chciałam tego. Wytłumaczenie teraz Bobby’emu, czym były dla mnie te lata, jest trudne. Gdy mówię mu, jak to jest, gdy nic się nie może, nie ma się żadnego wyboru, widzę chłopca takiego samego, jak dawniej, widzę te uniesione brwi, dobre oczy, uwagę, z jaką słucha. Powrót do chwili z dzieciństwa i mocno spóźniona prawda jednocześnie. Siedzimy na pace furgonetki, pozwalamy oczom

błądzić i przez długi czas milczymy. Ta cisza wcale nie jest krępująca. Czuję zapach sosen, widzę konary kołyszące się na wietrze i znam szorstką ciemną korę tych drzew oraz lepkość żywicy skapującej w miejscach, gdzie stukały dzięcioły. Słyszę, nawet z tego parkingu po drugiej stronie ulicy, wiewiórki biegające w górę i w dół po pniach i wiem, jak to jest potknąć się o leżące na ziemi złamane gałęzie.

– A więc jaki jest plan? Zostajesz w mieście?

– Teraz tak. Matka nie czuje się dobrze i może będę musiała zostać, czy mi się to podoba, czy nie. Szukam pracy.

– Coś jej dolega? Co powiedział lekarz?

– Kwestia wieku; wiesz, jak to jest.

Siedząc tu z nim, czuję się tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżała. Jakbym przekroczyła próg i moje wcześniejsze życie w jakiś sposób stało się snem. To miasto ma nade mną władzę; miało ją, gdy tu przyjechałam jako dwunastolatka i szybko zapomniałam, co się działo, zanim minęłam tablicę z napisem: „Witamy w Aurorze”.

Powstały nowe budynki i wyremontowano drogi; młode drzewka sprzed dziesięciu lat bardzo urosły – Aurora wygląda inaczej, lecz wciąż widzę przeszłość, czuję ją. W pewien sposób należę do tego miasta, znam każdy jego kąt i wszystkie sekrety równie dobrze jak to, co jest na wierzchu, widoczne dla każdego. To moje rodzinne miasto i takim pozostało, gdy wyjechałam, a teraz jestem tu z Bobbym i mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu, a wiatr pobrzmiwa głosami ludzi, których znałam.

Biorę głęboki oddech i czuję gryzący zapach. Nie teraz, myślę i na sekundę wpadam w panikę, spodziewając się, że znów coś się ze mną stanie, po chwili zauważam jednak po drugiej stronie ulicy cedry wymieszane z sosnami. To one wydzielają tę ostrą, gryzącą woń, inną niż słodkawy aromat sosen, bardzo intensywną, wręcz nachalną.

Mam milion pytań, ale najważniejsze jest jedno.

– Pamiętasz dzień, gdy się poznaliśmy?

– Oczywiście. Przyjechałyście do miasta z Zachodniego Wybrzeża takim starym, zdezelowanym samochodem, przednie światła w nim nie działały, a mój tata was zatrzymał. Siedziałem na tylnym siedzeniu radiowozu, ponieważ to był jeden z tych dni, no wiesz... Matka nie czuła się dobrze, a ja w tamtym czasie często jeździłem z ojcem do pracy.

– Co jeszcze pamiętasz?

– Miałaś potargane włosy i dużą, ciężką encyklopedię, którą wszędzie ze sobą nosiłaś, a ja pomyślałem, że jesteś najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziałem.

Nie byłem jeszcze nastolatką, dopiero się nią stawałam. Przyjechałyśmy do Aurory po długiej podróży z Kalifornii, z przystankami po drodze, czasem wielodniowymi. Czy to była wycieczka, czy przeprowadzka? Nie pamiętam. Dałam sobie spokój z pytaniami: „Dokąd jedziemy?”; „Co dalej?”. Przychodzi mi na myśl latawiec – nie papierowy, gnany przypadkowymi smagnięciami wiatru, nie, latawiec bez uwięzi, lecący swobodnie, odfruwający w ciemność, trzymany niewidzialną ręką. Nigdy nie wiedziałam, gdzie się zatrzymamy. Czy będziemy przez kilka dni mieszkać w samochodzie, czy w małym pokoju nad stacją benzynową, w motelu, przyczepie, czy w mieszkaniu z poplamionymi dywanami i brudnymi ścianami. Nigdy nie będzie lepiej, tego byłam pewna. Dopóki nie przyjechałyśmy do Aurory.

Cieszę się, że Bobby pamięta encyklopedię i przypominam sobie mnóstwo haseł z tej starej, zakurzonej książki. Ciężka i nieporęczna, była moim wybawieniem. Ilekroć nie rozumiałam jakiegoś słowa, odszukiwałam je tam i wszystko stawało się jasne. Z upływem lat słowa, które pragnęłam zrozumieć, stały się źródłem wspomnień.

Przypomina mi się hasło: „Aurora, zorza poranna, jutrzienka; naturalne zjawisko świetlne polegające na występowaniu na

niebie barw pomarańczowej i żółtej przed wschodem słońca”.  
Czyli świt.

– Aurora – mówię, kładąc dłoń na jego dłoni – znaczy po łacinie „świt”.

– Nie jestem pewny, czy nazwa pasuje do tego miasta, ale skoro tak mówisz, to tak jest. – Bobby zeskakuje na pożółkłą trawę, bez celu wrywa kępkę, po czym ostrożnie odsuwa ją na bok. Wyraźnie pogorszył mu się humor.

Znam Bobby’ego, wyczuwam jego nastroje i gdy robi się ponury, chcę go zapytać o to, co go dręczy. O jego matkę i raka. O to, co działo się po jej śmierci. Nigdy tego nie robiłam. Zawsze mi się wydawało, że zranię go jeszcze bardziej, jeśli poproszę, by o tym opowiedział. Bobby jest opanowany, ale pod spodem bardzo kruchy. „Miękkie serce prowadzi donikąd”, powtarzał.

– Myślałeś kiedyś, wtedy, że twojego tatę i moją matkę... no, wiesz... coś łączyło? – Rzucam to pytanie niby od niechcienia, jakbym nie zamierzała niczego sugerować. Długa chwila milczenia.

– Nie sądzę. Nie wtedy. On kochał moją matkę i był załamany, gdy odeszła. Ale... – Unosi brwi i patrzy mi prosto w oczy. – Myślę, że się znali. Nie mogę powiedzieć, skąd to wiem; niczego nie podsłuchałem, nikt mi nie powiedział, nic z tych rzeczy. Po prostu mam przeczucie. Pewne rzeczy się po prostu wie.

Nigdy nie rozważałam takiej możliwości. Długi czas mieszkałyśmy w Kalifornii, a gdy wróciłyśmy do Aurory, matka nikogo nie знаła. Nie znaczy to, że teraz zna wszystkich, ona nie należy do osób mających wielu przyjaciół, znała jednak szeryfa de la Vegę, ja zaś nigdy nie wierzyłam w historyjkę o zepsutych przednich światłach, choć matka upiera się przy niej do dziś.

– Przypuszczasz, że znali się jeszcze wcześniej? – pytam w końcu. – To musiało być, zanim my się poznaliśmy, a nawet przed naszym urodzeniem. Byłam mała, ale pamiętam miejsca i nazwy. Nigdy przedtem nie byliśmy w Aurorze.

– Nie wiem, Dahlio, ale w mojej rodzinie mówiło się, że ojciec jako nastolatek wyjechał z Teksasu do Meksyku. Nie padały żadne szczegóły, a ja nie pytałem. Czasem jedna czy druga ciotka robiła jakąś aluzję. Może coś wydarzyło się dużo wcześniej, zanim ojciec został szeryfem. Pochodził z Nacogdoches, niedaleko granicy z Luizjaną, ale krótko mieszkał w Beaumont. – Bobby przerywa i zamyśla się, popijając piwo. – Skąd jest twoja matka?

– Nigdy nie podała mi konkretnego miejsca, mówiła tylko, że ze wschodniego Teksasu. Zawsze powtarza, że jest znikąd i że całe życie podróżowała. – „Zapamiętaj, to nie jest niczyja sprawa, skąd my jesteśmy i dokąd się udajemy”.

– A więc dlaczego przyjechała tutaj, skoro miejsce nie robi jej żadnej różnicy? Mogę wyobrazić sobie lepsze miasta, wystarczy wybrać z mapy.

– Może to był przypadek. Beaumont, powiedziałaś? Twój ojciec?

– Mieszkał w Beaumont, potem wyjechał do Meksyku. Nie wiem dokładnie, kiedy ani dlaczego. Wrócił po latach i niedługo potem ożenił się z moją matką.

– Możesz go zapytać o moją matkę?

Twarz Bobby’ego zastyga w bezruchu.

– O, do diabła, Dahlio, już za późno. Señor de la Vega prawie nic nie pamięta.

– Przejedziesz się ze mną – mówię i zeskakuję z paki furgonetki.

– Dokąd? – Bobby jest zawsze chętny i gotowy, jak pies, który wstaje, gdy jego pan wstaje, rusza się, gdy pan się rusza, wierny i nieodstępny.

– Chcę, żebyś coś zobaczył. Przy drodze 2410. Powiem ci, gdzie skręcić.

Jedziemy z opuszczonymi szybami i gdy dojeżdżamy do 2410, słońce znajduje się w najwyższym punkcie, żółte i okrągłe,



niezmordowane. Ale niebo, po którym dryfuje tylko kilka strzępiastych chmur, jest idealnie lazurowe.

Gdy mówię Bobby'emu, aby zatrzymał się na poboczu przy ławce i pokazuję zarośnięty podjazd, patrzy na mnie zaskoczony.

– Gdzie mam jechać? Tu nie ma drogi.

– Jest droga gruntowa, zaufaj mi. Byłam tu. Po prostu zaparkuj przy tej linii drzew.

Zwalnia, podjeżdża bardzo wolno, gałęzie smagają okna furgonetki, potem robią się rzadsze i w końcu ledwie uderzają w kabinę samochodu.

Po prawej stronie wyczuwam jakiś ruch. Nie taki, jakby przebiegał jeleni albo jakiś człowiek ukrywał się w zaroślach; przypominało to raczej drganie mgły, rozproszonej i nieuchwytniej. Drzewa i całe otoczenie są nieostre, jak na złym zdjęciu, lecz gdy drganie ustępuje, sama nie do końca wiem, co widziałam. Jest gorąco, a ja jestem przemęczona. Słońce wschodzi. Słońce zachodzi. Nic nie jest nigdy tak skomplikowane, jak nam się wydaje.

Bobby parkuje przy ławce. Wysiadamy, ruszamy przed siebie. Idzie tuż za mną, lecz gdy widzi dom, zatrzymuje się.

– Czy to prywatna posiadłość? – pyta.

Przez sekundę mam przed oczami chłopca, jakim był, śmiałego, beztroskiego, a teraz widzę mężczyznę, który boi się wejść na nieznany teren, by nie naruszyć własności prywatnej. Ale być może oceniam go zbyt surowo.

– Opuszczona – wyjaśniam i mam nadzieję, że nie będzie więcej pytań. Nie jestem jeszcze gotowa, by wszystko wyłożyć na stół.

– Nie wiedziałem nawet o tym miejscu, a znam prawie każdą piędź ziemi w hrabstwie Bertram. – Przerywa, a potem postanawia uwierzyć mi na słowo. – Jak się o nim dowiedziałaś?

Dawny Bobby by się w to nie zagłębiał.

– To tu znalazłam torebkę mojej matki, na drodze, przy ławce.

– Rozumiem – mówi Bobby i milknie.

Trafiłam tu przed zachodem słońca, a teraz jest pełnia dnia. Gdy wchodzę na frontową werandę, widzę, że krokwie gniją, a za jakieś dziesięć lat szczury będą swobodnie włąziły i wyłaziły przez dziury w ścianach. Przykładam ręce do oczu i zaglądam przez okno.

– Jak myślisz, co to jest? – pytam i pokazuję palcem.

– Nie wiem. Słoik z zepsutymi piklami?

– Pytam poważnie, Bobby. Przyjrzyj się z bliska?

– Cholera – mówi wolno i cicho Bobby. – Wygląda jak insekty, jak kłęb nóg i odwłoków... może pajaków? Nie, poczekaj, to są...

Milczę, aby niczego mu nie podpowiadać.

– Świerszcze. To garść świerszczy w słoiku. Co, u diabła?

– Słyszałeś kiedyś o czymś takim? Dlaczego ludzie wkładają świerszcze do słoika? – Czekam na odpowiedź Bobby'ego i nagle zdaję sobie sprawę, że on już nie stoi obok mnie. Jest przy frontowych drzwiach. Szarpie zardzewiałą gałką, próbuje ją przekręcić. Gałka ani drgnie, a wtedy on delikatnie napiera na drzwi całym ciałem. Coś zgrzyta i świszczy, lecz drzwi wciąż są zamknięte.

Oparta o balustradę werandy patrzę na drogę prowadzącą do domu. Zastanawiam się, kto stał przy tym oknie, myjąc i wycierając naczynia i wyglądając na dwór. Po prawej stronie stoi stara stodoła, po lewej drzewo, w stronę drogi wiję się ścieżka. Coś przykuwa mój wzrok; nic specjalnego, po prostu mam wrażenie, że coś nie pasuje do płaskiego krajobrazu. Przy prymitywnym, częściowo zapadniętym ogrodzeniu stoi drzewo – cyprys, sądząc z wiotkich, jasnozielonych igieł. Pień jest złuszczony, pomarszczony, pokryty mnóstwem nierównych pęknięć. Na ziemi obok widać trzy owalne wypukłości, lekko wklęsnięte na wierzchu, zupełnie jak płaskowyże.

– Co to jest? – pytam, pokazując wzgórki.

Bobby schodzi z werandy, idziemy w stronę cyprysa. Klękamy

i delikatnie kładziemy ręce na jednym ze wzgórków. Jest ubity i twardy, jakby znajdował się w tym miejscu od dziesiątków lat.

– To nie wydaje się naturalne – mówi Bobby i uważnie rozgląda się dookoła. – Na pewno nie powstało ostatnio, to pewne. Jest zupełnie zarośnięte, wygląda, jakby było tu od lat. Ale nie wiem, co to jest.

Kładę rękę na wierzchu drugiego wzgórka, jakbym się spodziewała, że ziemia przemówi.

– Spójrz – mówi Bobby. W jego głosie czuć napięcie. – Jest tego więcej.

– Czego więcej? – pytam, wycierając brudną rękę.

– Mamy jeszcze jeden wzgórek, tam. – Pokazuje miejsce przy ogrodzeniu. Ta wypukłość jest większa, dłuższa, wyraźniejsza. – Razem jest ich trzy.

Gdy wstaję, kręci mi się w głowie.

– Wyłam te drzwi, proszę. Chcę wejść do środka. – Biorę Bobby'ego za rękę.

Bobby jest blisko mnie wystarczająco długo, bym mogła wyczuć zapach mydła i detergentu. Potem odwraca się i idzie do frontowych drzwi; tym razem naciera na nie całym swoim ciężarem. Drzwi puszczają odrobinę i właśnie w chwili, gdy Bobby podejmuje drugą próbę, wpadam w panikę.

Czuję ucisk za oczami i widzę psychodeliczną trąbę powietrzną zniekształcającą wygląd domu, ziemia usuwa mi się spod stóp. Znow mam wrażenie, że ktoś przesyła mi wiadomość pod postacią wizji – tak jak w szpitalu, gdy mówiłam do Jane, i we wszystkich innych momentach, pod prysznicem, w łóżku, więcej nie mogę sobie teraz przypomnieć – i zupełnie kapituluję.

Moje ciało poddaje się tej wizji, jest jak marionetka bez sznurków kierujących z góry jej ruchami. Mięśnie sztywnieją i wykonują powtarzające się podrygi. Słyszę, jak moje stopy uderzają w słup werandy, rytmicznie, jakby nadawały wiadomość alfabetem Morse'a. Kątem oka widzę biały cień.

Lewituje ćwierć metra nad ziemią, przejrzysty, drgający. Upadam, najpierw na kolana, lecz słyszę ciche dźwięki przypominające szelest drzew na wietrze, potem wyraźniej zaczynają dochodzić do mnie słowa.

„Dahlio. Dahlio. Dahlio”.

Przytomnieję, by zobaczyć zakurzony czubek buta i usłyszeć głos Bobby’ego powtarzający moje imię. Bobby chwyta mnie pod ramiona i opiera plecami o balustradę werandy.

– Pomóż mi wstać. – Słyszę swoje słowa.

– Przestraszyłaś mnie jak diabli.

– Wszystko w porządku, po prostu pomóż mi wstać.

Wstaję i robię kilka kroków. Gdy spoglądam w stronę drzwi, znów widzę biały cień. Mrugam oczami i cień znika. Czuję grawitację – czy można czuć grawitację? – i obracanie się Ziemi, jakby cała planeta próbowała się równo ustawić.

\*

Dochodzę do siebie i uznaję, że winę ponosi odwodnienie wskutek upału. Bobby podrzuca mnie na stację benzynową. Czuję się jak pies – skupiam się na zapachu i węszę, nie jestem jednak pewna, dokąd ten zapach mnie prowadzi.

Krążę po ulicach Aurory, poszukując wystawionych w oknach ogłoszeń w rodzaju: „Potrzebna pomoc” lub „Zatrudnię pracownika”. Wjeżdżam na parking miejskiego schroniska dla zwierząt. Gdy podchodzę do drzwi, okazuje się, że nie wisi na nich ogłoszenie, lecz ulotka, w której pisano, iż najważniejszym celem schroniska jest znajdowanie domów dla zwierząt, i z dumą podawano, że procent adopcji wynosi dziewięćdziesiąt pięć. Nie zmienia to faktu, że budynek jest brudny, unosi się w nim dziwny zapach, a przede wszystkim jest tu bardzo głośno. Prowadzone przez miasto schronisko pełni teraz głównie funkcję

ośrodka adopcyjnego. Poszukują pracowników, biorę więc z kontuaru formularz podania o pracę. Sprzątanie pokoi w motelu czy czyszczenie klatek to dla mnie bez różnicy.

W pomieszczeniu, w którym trzymane są małe psy, stoją zwykle klatki, jedna na drugiej, wyłożone gazetami, z przewróconymi miskami w rogach. W niektórych budach trzymany jest jeden pies, w większości mieszkają dwa, a w kilku – trzy. Wszystkie wyglądają jak mieszańce chihuahua, mają wyłupiaste oczy i duże sterczące uszy. Leżą zwinięte w kłębek, odwrócone do mnie grzbietami, ale te, które mnie widzą, podnoszą raban. Kakofonia szczekania i powarkowań, ostrych i piskliwych, sprawia, że zastanawiam się, czy ktoś może wytrzymać tu dostatecznie długo, by nawiązać jakiś kontakt z którymś z tych zwierzaków.

Idę betonowym przejściem między dwoma rzędami po dziesięć dużych klatek każdy. Wszystko tu jest zrobione z betonu, a echo zwielokrotnia hałas. Dziwne, ale żaden pies nie biega dookoła klatki ani nie próbuje przegryźć jej drzwi. To zbyt głośne i smutne miejsce. Przenikliwe szczekanie i ujadanie zwierząt wywołują we mnie niepokój, w uszach mi dzwoni.

Kładę rękę na zrobionych z siatki drucianej drzwiach klatki z suczką, która wygląda, jakby ostatnio rodziła. Nie podnosi głowy, jest nieruchoma niczym pomnik. Ma oczy różnego koloru, ale nie tak jak psy rasy husky, które mają jedno oko niebieskie, a drugie brązowe; jej oko jest szare i zmętniałe. Tabliczka na klatce informuje: „Tallulah, wiek pięć do siedmiu lat, trzydzieści kilogramów”. Suczka ma powiększone sutki, na brzuchu zwisa jej skóra. Zastanawiam się, co się stało z jej młodymi. Pojawia się przy mnie pracownik schroniska w granatowym mundurze. Ciągnie za sobą na smyczy dużego czarnego psa. Wpycha zwierzę do pustej klatki, zamyka ją i uśmiecha się do mnie.

– Pani w sprawie adopcji?

- Właściwie szukam pracy.
- Ukończyła pani kurs?
- Potrzebny jest kurs?
- Takie są wymagania. Kurs opieki nad zwierzętami.
- Nic nie mówię, ignoruję ucisk w piersiach. Papiery.
- Cóż, czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

Ujadanie dwóch psów przypominających spaniele naprzeciwko miejsca, gdzie stoimy, staje się nie do zniesienia, zaczynają drgać mi powieki. Pracownik schroniska idzie korytarzem, ciągnąc na smyczy suczkę, której się przyglądałam. Tallulah, psina o zmętniałym oku, zapiera się łapami, jej brzuch wisi zaledwie kilka centymetrów nad betonową podłogą, oczy uciekają na boki.

Mój umysł pracuje szybko, nie mam czasu się zastanawiać. Muszę zaraz coś zrobić. Wiem, co się dzieje, ona też wie.

– Proszę zaczekać – mówię i doganiam tego człowieka w chwili, gdy okręca smycz wokół szyi psa, aby łatwiej było go ciągnąć. – Gdzie pan ją zabiera? – Mój oddech wyraźnie przyśpiesza.

Mężczyzna zaciska usta.

– Musimy zrobić miejsce dla nowo przyjmowanych psów. Ona była tu przez pewien czas i już nie nadaje się do adopcji. Jej czas minął.

– Wezmę ją! – krzyczę. – Zabiorę ją od razu. – Nie wiem, co mnie napadło. Ta suczka, pomijając kwestię współczucia, jest prawdopodobnie ślepa na jedno oko i ma duże problemy ze zdrowiem. Nie mam pieniędzy na weterynarza, lecz wzrusza mnie tak bardzo, że sama siebie nie poznaję; ten jej obwisły brzuch z sutkami pełnymi mleka, fakt, że zupełnie niedawno urodziła szczenięta, a nie ma przy niej dzieci, to zmętniałe oko. Mam nadzieję, że zostało w niej jeszcze trochę charakteru.

Po podpisaniu dokumentów i zgody na sterylizację opuszczamy schronisko. Tallulah trzyma się blisko ziemi, idzie

z podkulonym ogonem i nie chce wskoczyć do samochodu. Oprowadzam ją po parkingu, próbuję skłonić do biegu, ale za każdym razem, gdy zbliżam się do samochodu, przystaje z opuszczonym łbem i łapami wbitymi w ziemię i ani drgnie. Trwa to dość długo, w końcu Tallulah wskakuje do wozu, lecz natychmiast próbuje uciec, nie zdając sobie sprawy, że przywiązałam smycz do zagłówka. Złości się i skacze z tylnego siedzenia na siedzenie pasażera, na ile pozwala jej smycz, lecz się w nią zaplątuje. Walczy niczym zwierzę w potrzasku, usiłuje wyszarpnąć łapy.

Odpalam samochód z nadzieją, że w końcu zabraknie jej pary i zostawiam Tallulah samej sobie. Po kilometrze czy dwóch pies kuli się na fotelu pasażera, ciężko dysząc, z językiem wywalonym na całą długość, tak że na tapicerkę kapie ślina. Pachnie jakby drożdżami, czymś sfermentowanym, ale wcale nie jest to nieprzyjemne. Kolejne kilometry i Tallulah przestaje się ślinić, zjeżona sierść na jej grzbiecie robi się gładka, a gdy dygot całkowicie ustaje, głaszczę ją po łbie i karku. Wreszcie, wyczerpana, zwija się na fotelu w kłębek i zamyka oczy.

W domu Tallulah obwąchuje każdy centymetr kuchni, trochę zaciekawiona nowym otoczeniem, a trochę, jak przypuszczam, nieufna.

Siadam na kanapie, Tallulah zaś, po kilku rundach po domu, nabiera śmiałości i układa się u moich stóp. Leży na boku, dysząc. Jednym okiem patrzy na mnie, drugim na drzwi frontowe.

Z góry, z pokoju matki słyszę otwieranie i zamykanie drzwi szafy, wysuwanie i wsuwanie szuflad. Nagle czuję zmęczenie. Wraca do mnie obraz świerszczy w słoiku. Może tutaj ludzie naprawdę robią takie rzeczy, a ja po prostu o tym nie słyszałam; może to coś takiego, jak wieszanie nad łóżkiem łapacza snów czy dzwoneczków wietrznych na werandzie, miejscowy zwyczaj, którego nie znałam. Wyciągam się na kanapie i usypiam przy

akompaniamencie odgłosów z góry, świadczących o tym, że moja matka przeszukuje sterty pudeł.

Budzi mnie nagle hałas dochodzący z góry. Przez żaluzje nie wpada światło, musi więc być trzecia lub czwarta nad ranem. Głośno trzaskają drzwi, jakby zamknął je przeciąg. Tallulah przestaje dyszeć, spięta oczekuje na to, co nadejdzie. Słysząc głucho łomoty i huki, przesuwanie pudeł po podłodze. Zastanawiam się, czy matka robiła porządki przez całą noc. Brzęk, jakby upadła szuflada ze sztućcami, a potem głośny łoskot.

Tallulah zaczyna szczekać; szczeknięcia, jedno po drugim, są krótkie i ostre.

Czuję dym – znów coś się ze mną dzieje, zaraz zemdleję. Czekam, aż coś się stanie, ale moje ciało zachowuje się normalnie, tylko pęcherz daje o sobie znać. Dym wciąż się unosi.

Wpadam w panikę, w ustach mam sucho. Dom się pali.



# Rozdział czternasty

## Quinn

Jaskry zaczęły kwitnąć wiosną i nie przestały aż do sierpnia. Ich obfitość dała Quinn nadzieję, że może wkrótce zajdzie w ciążę. Świat wokół niej rozkwitał, co rano trawa była wilgotna od rosy; gęsta i puszysta, prawie na metr wysoka, pachniała sokami i tętniła życiem. Mimo to z miesiąca na miesiąc Quinn krwawiła coraz mocniej. Ból ją osłabiał, towarzyszyło mu pulsowanie i skurcze rozchodzące się od pępka do dolnej części pleców i do ud. Najgorsze, że przez kilka dni nie była w stanie wstać z łóżka. Zazwyczaj zaczynało się od bólu ud, zwiastującego, że nie zaszła w ciążę i że nadzieja po raz kolejny umarła. Szwankowało nie tylko jej ciało, lecz także umysł; nie potrafiła sobie na przykład radzić z częstymi problemami z przeciekającą rurą w kuchni. Zwykle gdy woda zaczynała skapywać, Nolan chwycił narzędzia, a Quinn biegła po kubel i ścierki, ale w tamtych dniach od razu zalewała się łzami, przekonana, że zaraz się w tym domu utopi. Szlochała i lamentowała, potem zaczynała się miesiączka, a ona miała przed sobą dziesięć dni bólów brzucha i głowy, i jeszcze więcej łez. Przyszedł wrzesień, ziemia była już spalona słońcem, a łąka znów przybrała różne odcienie brązu. Quinn obserwowała, jak Nolan ciągnie za sobą po trawie kosiarkę do zarośli, ścinającą wszystko, co znalazło się na jej drodze.

Między nimi sprawy już nie układały się tak jak wcześniej.

Nolan wiedział tylko, że żona nie była w ciąży, gdy sprowadzali się do Creel Hollow, ani nie zaszła później i zaczynało do niego docierać, że to nigdy nie nastąpi. Każdego miesiąca obserwował

Quinn zmieniającą podpaski co godzinę, zbyt słabą, by wstać, nie mówiąc już o sprzątaniu czy gotowaniu.

Przez kilka pierwszych lat Nolan ją obsługiwał, lecz w końcu zostawił samej sobie i zaczął zajmować się farmą. Na chybił trafił wykonywał różne naprawy, wymienił na przykład część nadgniłych desek w ogrodzeniu i krokwi w stodole. Sprzedał także kilka bel siana i wszystko dobrze się układało, ponieważ – o ile Quinn wiedziała – farma była spłacona, a oni żyli z dochodów z wyprzedaży przed laty posiadłości ciotki Nolana. Nie mieli hipoteki, podatki w hrabstwie były niskie, wodę czerpali ze źródła, warzywa i owoce dostawali od sąsiadów; czasami w rogu kuchni piętrzyły się dziesiątki drewnianych skrzynek z warzywami. Mycie i przygotowanie ich zajmowało pół dnia. Brzoskwiń i truskawek zawsze była obfitość. Po dziesięciu latach małżeństwa wyjeżdżali z farmy tylko w niedziele, do kościoła, a potem na lunch. Po lunchu robili zakupy spożywcze. Resztę tygodnia spędzali w domu, prawie ze sobą nie rozmawiając.

Nocą Quinn naciągała kołdrę pod brodę i przesuwiała się na ciemniejszą stronę łóżka. Nie znosiła księżyca, nie cierpiała patrzeć, jak go ubywa, a potem przybywa. Przypominało to, że jej życie mija. Całymi nocami przewracała się z boku na bok, jej strona łóżka zamieniała się w bezładną plątaninę pościeli. Budziła się rano równie zmęczona, jak wieczorem, gdy kładła się spać. Bardzo często miała nocą napady paniki w chwilach, gdy czuła, że jest bezbronna, że nic jej nie ochroni przed cieniami. Zamykała oczy, oddychała powoli i rytmicznie, zmuszając serce, by biło wolniej, pragnąc, by umysł przestał wysyłać szalone przekazy, próbując powstrzymać strach, który ogarniał ją szybciej, niż była w stanie go zdusić. Z upływem lat noce stawały się coraz dłuższe, a ją nękały nieprzyjemne myśli, nie mogła przestać myśleć o obowiązkach, z którymi już się uporała, takimi jak naprawa cieknącej rury pod zlewem kuchennym, ponieważ

myśli te wciąż wracały tylko po to, by musiała je raz po raz rozpamiętywać. O pewnych rzeczach nigdy nie zapomniała, jak choćby o zdjęciu bielizny pościelowej ze sznura przed zapadnięciem nocy, a mimo to robiła się jeszcze bardziej roztargniona, więc coraz częściej te myśli ją nękały. Po niekończącej się nocy z cykającymi świerszczami i wyjącymi kojotami sypialnię zalewało światło, zaczynały śpiewać ptaki, a Quinn niepewnie wychodziła spod kołdry na spotkanie kolejnego dnia.

Inne kobiety w jej wieku zajmowały się dziećmi i domem, ale najbliższy dom dzieliły od Creel Hollow całe kilometry; był zbyt daleko, by dojść tam pieszo. Quinn zawarła znajomość z Seymourem, starszym mężczyzną, który mieszkał w chacie półtora kilometra od farmy, był on jednak indywidualistą, całe dnie dumał nad książkami, mamrocząc coś, czego Quinn nie mogła dobrze zrozumieć. Ten emerytowany nauczyciel historii najbardziej cenił sobie samotność. Quinn nie widziała Sigrid od dawna, ale od czasu do czasu rozmawiały przez telefon.

– Co ja mam robić? – zapytała macochę w chwili słabości. – Nolan ma już dość. Minęło dziesięć lat, Sigrid, dziesięć. Mam trzydzieści lat, ile czasu mi zostało? Nie wiem, co mu powiedzieć. To tylko kwestia czasu, jak zada się z jakąś dziewczyną z miasta i ona zajdzie w ciążę, a znając go, nie będzie chciał nieślubnego dziecka. Zostawi mnie, rozwiedzie się ze mną. Zostanę z niczym. Niczym. Dokąd mam pójść? Co mam robić? – Quinn miała w głębi duszy nadzieję, że Sigrid zaproponuje jej, by wróciła do domu; w ten sposób miałyby kłopot z głowy.

– Nie bądź głupia – powiedziała Sigrid. – On cię nie zostawi, tylko musisz być mądra. Bądź dziewczyną, jaką wychowałam, i zrób, co należy.

– To znaczy?

– Musi być tu jakaś ciężarna nastolatka chcąca oddać komuś dziecko – odparła Sigrid bez wahania, jakby podsuwała

najrozsądniejsze możliwe rozwiązanie.

– Co twoim zdaniem mam zrobić? Dać ogłoszenie w gazecie?

– Wy, młode dziewczyny, nie macie pojęcia, jak dostać to, czego chcecie.

Zabolało. Quinn pomyślała o swoim ojcu. Był prawdopodobnie tylko jednym z pionków w planach Sigrid, chcącej poślubić bogatego wdowca, który nie pożyje zbyt długo.

– Byłaś u lekarza?

– U kilku. Wszyscy mówili to samo. Tkanka bliznowata z powodu infekcji. Nic nie da się zrobić. Można tylko modlić się o cud.

Quinn zmieniła temat; zaczęła pytać o miasto, o ludzi, których знаła, nie ośmieliła się jednak zapytać o Benita. Powątpiewała, czy Sigrid w ogóle go jeszcze pamięta. Zapewne się ożenił i mieszka z żoną i dziećmi na rodzinnej farmie. Wciąż czuła ból w sercu, lecz nie tak silny, jak dawniej. Jakby szarość jej egzystencji przytłumiła również tęsknotę za Benitem.

Gdy się rozłączyły, Quinn zastanawiała się przez chwilę nad sugestią Sigrid, by znaleźć ciężarną nastolatkę, lecz szybko ją odrzuciła. W tym miasteczku nic nie przechodzi niezauważone – nic. Przypomniła sobie rozmowy przypadkiem podsłuchane po kościele. Amanda Kingsley, około dziesięcioletnia dziewczynka, znana z tego, że nie potrafiła sklecić zrozumiałego zdania – a przynajmniej tak o niej mówiono – poszła do pewnej kobiety mieszkającej na skraju miasta. Mówiła, że ta kobieta dała jej zioła i okadziła ją całą dymem z jakiejś rośliny o intensywnym zapachu. Amanda dostała konwulsji i tak się szarpała, że musieli ją trzymać dwaj dorośli mężczyźni. Potem zapadła w długi sen – mówiono, że na dwa tygodnie albo dłużej – a gdy się obudziła, po raz pierwszy w życiu powiedziała coś do rzeczy. Rodzina dziewczynki nie chciała rozmawiać o tej kobiecie, nawet szeptem, za zamkniętymi drzwiami, ale od tej pory dziewczynka co niedzielę siedziała w kościele i uczestniczyła w nabożeństwie.

Ludzie, którzy plotkowali o tej sprawie przy Quinn, nie byli bliską rodziną ani nawet krewnymi dziewczynki, tylko przypadkowymi osobami lubiącymi pogaduszki i ciekawe ploteczki. Quinn pomyślała, że to oburzające, później jednak podczas lunchu usłyszała rozmowę, a raczej fragmenty rozmów między grupami ludzi, którzy byli w kościele, słyszała rzucane szeptem uwagi w sklepie spożywczym. Rozprawiano o porzuconych żonach, do których wracali mężowie, o mężach, których żony uciekły z innymi mężczyznami, a potem wróciły do domu, o chorych dzieciach, które ozdrowiały z dnia na dzień. Ludzie płacili tej kobiecie tyle, na ile było ich stać. Jeśli pomogła, nie opowiadano o tym, nie plotkowano ze strachu, aby dobry los się nie odwrócił. Wydawało się to zbyt nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe, zdarzały się jednak dziwniejsze rzeczy i może ta stara kobieta jest właśnie osobą, która da Quinn dziecko.

Tej samej nocy, gdy Quinn postanowiła udać się do kobiety, miała sen. Stała przed jej domem, było cicho, tylko świerszcze cykały. W pewnej chwili usłyszała szelest węża pełzającego po ziemi i zauważyła leżącą pod drzewem cienką gałąź. Zwyczajny kij, gładki i bez liści. Podniosła go. Gdy się odwróciła, wąż zniknął, wołała jednak zatrzymać patyk. Rozejrzała się i zobaczyła stado wilczaków przy ścianie domu, na drewnianych skrzynkach. Niektóre było dobrze widać, o obecności innych świadczyły tylko świecące w ciemności oczy. Jeden z nich, potężny i czarny, największy ze stada, wystąpił i podniósł głowę. Za jego przykładem poszły pozostałe psy – uniosły głowy i zaczęły węszyć. Poczują jej zapach, nozdrza im się rozszerzyły, policzki podnosiły się i opadały, sierść się zjeżyła. Oczy iskrzyły się w ciemności. Jak na dany znak psy otoczyły ją ze wszystkich stron. Quinn narysowała kijem linię na piasku. Samiec alfa zrobił wokół niej kółko, stado za nim. Potem niespodziewanie ruszył w innym kierunku i zniknął na wzgórzu. Psy poszły w jego ślady. Quinn zaczęła za nimi biec i tym momencie obudziła się

z krzykiem.

Nolan też się obudził.

– Coś nie w porządku? – wymamrotał, a Quinn odwróciła się twarzą do ściany.

– To tylko zły sen – odparła, wiedząc, że mąż już usnął. Czuła ciężar swoich powiek, suchość oczu tkwiących w otworach czaszki niczym kamienie rzeczne, sztywność wyschniętego języka. Marzyła o szklance wody, poszła więc do kuchni i stała tam jakiś czas, wpatrując się w stary dzbanek na parapecie, biały, z biskwitu porcelanowego, pokryty siateczką pęknięć przypominających sieć ulic na planie miasta, trochę zmatowiały przez lata. Dzbanek był stary i popękany jak ona, jego najlepszy czas już minął.

Quinn wróciła do łóżka, Nolan przysunął się do niej, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. To, że ją objął, było tylko przypadkowym odruchem w zamroczeniu sennym. Ręka męża jej przeszkadzała. Ostatnio wspomnienie myśliwych nawiedzało ją częściej, uwierało jak kamyk w bucie, którego nie mogła wytrząsnąć. Serce biło jej mocno, a ręka Nolana znalazła jej pierś. Dotyk był mimowolny, lecz zanim zdała sobie z tego sprawę, znajdowała się już w lesie i czuła chropawą korę pod palcami. Pachniały sosny, ziemia i rosa, a Quinn aż zesztyniała. Próbowwała strząsnąć rękę męża, stwardniała i szorstką, ale on ani drgnął. Ciężka ręka na piersi przeniosła ją z powrotem pod dąb, gdzie myśliwi...

Quinn udało się wymazać ten obraz – dopiero zaczynał nabierać kształtów, wciąż jednak na tyle niewyraźny, że łatwo dał się usunąć jednym pociągnięciem ręki – lecz gdyby poczekała jeszcze trochę, las byłby w niej, korzenie przejęłyby władzę, oplątałyby jej nogi, zmiażdżyłyby ją i nie mogłyby uciec. Te wspomnienia by ją zadławiły, po prostu zabiły. Nolan poruszył się, otarł się o nią, lekki powiew między fałdami koszuli nocnej przyprawił ją o drżenie. Leżała bez ruchu, Nolan też nagle

przestał się ruszać, jakby w jednej chwili zmienił zamiary; po chwili jego oddech stał się wolniejszy, głębszy.

Quinn nienawidziła teraz męża. Nie będzie pamiętał tego momentu, a gdyby nawet, nie będzie to miało dla niego znaczenia, ale przecież była ona, jej serce bijące tak, że omal nie wyskoczyło z piersi, jej drżenie. Miną godziny, nim zdoła o tym zapomnieć. A potem, tak po prostu, było już za późno. Za długo tkwiła w tym momencie i w jej umyśle coś się nagle przestawiło. Nie było już ucieczki. Pamięć, więcej niż pamięć, raczej głęboka blizna na mózgu, wywołała obraz jej leżącej twarzą do ziemi na łożu z żółdzi i liści. Brodaty na niej, miażdżący jej płuca, tak że musiała walczyć o oddech. Jego ciężkie cielsko unosiło się tak szybko, że ledwie mogła myśleć. Potem poczuła, jak wchodzi w nią Kościste Palce. Zanim zdusił jej krzyki brudną ręką, mignęły jej przed oczami czarne paznokcie. Słyszała, jak dyszał niczym zwierzę. Nic nie mówił, nie powiedział jej, żeby się nie rzucała ani nie krzyczała. Całą pracę wykonały jego palce; chwycił ją za gardło tak, jak chwyta się kurczaka, aby ukreślić mu głowę. Kościste Palce ukreśliły jej głowę, gdyby wydusiła z siebie nawet najcichszy dźwięk.

Co wy tu wszyscy robicie?

Sezon myśliwski.

A potem zaciągnęli ją w najciemniejszą część lasu.

\*

Quinn stała przy kuchennym zlewie wciąż rozdygotana. Nolan zjadł bekon i kaszę kukurydzianą, zabrał ze sobą do stodoły kubek kawy i robił to co zwykle na farmie, która nie produkowała niczego prócz bel siana latem i koncentratu z suszonych śliwek jesienią.

Idąc z wizytą do sąsiada, Seymoura Vinesa, wciąż drżała.

Emerytowany nauczyciel historii stał się zapalonym obserwatorem życia dzikiej przyrody. Mieszkał w chacie na małej działce, oddalonej o półtora kilometra.

Quinn zebrała sporo opowieści o tej kobiecie – nikt nie znał jej nazwiska, wszyscy mówili o niej: ta kobieta – a jedna była bardziej niesamowita od drugiej. Mówiono, że robi magiczny balsam z ziół, który umożliwia nawiązanie kontaktu ze zmarłymi. Pewna kobieta szukała po śmierci męża, który spadł z dachu, zakopanego pudełka z pieniędzmi. Przewróciła całą posiadłość do góry nogami, lecz nic nie znalazła. Podobno tamta kobieta z lasu powiedziała jej, gdzie kopać. Jacyś ludzie widzieli, jak chodzi po polach, karmiąc zabiedzone bezpańskie psy, i przygląda się, jak się parzą z wilkami. Quinn wiedziała, że w tej części kraju nie ma wilków i że wilki żyją w parach. Mimo to ludzie z miasta utrzymywali, że ta kobieta karmi wilki, zawsze z ręki i zawsze jednego naraz. A nikt nie wiedział więcej o zwierzętach i miejscowej tradycji ludowej niż jej sąsiad Seymour.

– Czy to prawda? – zapytała Quinn, zanim jeszcze usiadła obok niego na chybotliwej ławeczce przed chatą. – Czy są tu wilki?

– Zależy, czy się w to wierzy – odparł Seymour i wytarł pot z czoła bandaną w biało-czerwoną szachownicę. Liczył około dziewięćdziesięciu lat i na tyle wyglądał, ale umysł miał bystry jak młody mężczyzna. – Wilk leśny wymarł w 1926 roku, teksański wilk szary – w 1942. Ostatnie dwa wilki meksykańskie w Teksasie zostały zabite w końcu lat sześćdziesiątych.

– Czyli wilków tu nie ma?

– Wilki rude podobno również wymarły, ale nie wierzę w to, co piszą w książkach, ponieważ dwa włóczę się po okolicy – powiedział Seymour powoli i dobitnie – a ja widziałem je na własne oczy.

– Słyszałam, że dawno temu, gdy zostało tu już kilka wilków, parzyły się one z psami i to o nich właśnie opowiadają ludzie.



Nazywają ich mieszańcami, wilczakami.

– Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie. Widziałem je na własne oczy, a gdy widzę wilka, wiem, że to wilk. – Głos Seymoura przybrał nagle ostrzejszy ton. – Wilk ma oczy obwiedzione wyraźną czarną linią. I bardzo duże łapy, nie zaokrąglone, jak u psów. I ciemną plamkę kilka centymetrów od podstawy ogona.

Było wcześniej rano, słońce dopiero wstawało. Obserwowałem przejście jeleni przez łąkę koło twojego domu i zobaczyłem wilki kręcące się w trawie. Samiec był o kilka kroków od samicy, a ja patrzyłem, jak miażdży głowę łani jednym kłapnięciem paszczy. Przytrzymał ofiarę pazurami i szczękami, szczękami szarpał mięso i gruchotał kość. Zęby miał większe, bardziej zakrzywione i grubsze niż pies czy nawet wilczak. Potem samica jadła łanię, rozrywając mięso i liżąc krew. Widzisz, ogony wilków nie są zakręcone jak u psów, zawsze są proste; nigdy nie widziałem tak prostego ogona u żadnego psa. Nigdy. – Seymour wydawał się zatopiony we wspomnieniach, a Quinn zastanawiała się, ile w tym wszystkim jest prawdy, a ile zmyślenia.

– Czy one szczekają? – Quinn nie zdołała wymyślić lepszego pytania. Temat starej kobiety jakoś uciekał i zaczynała się niecierpliwie.

– Ich szczekanie przypomina raczej przenikliwe skomlenie, prawie jak zawodzenie kojota. Wilki mogą głośno skomleć, gdy są pobudzone, ale nigdy tego nie słyszałem – powiedział Seymour i zapatrzył się w przestrzeń.

– Ale co z tą kobietą? – zapytała Quinn, lecz pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Wycie wilka to jeden z najpiękniejszych dźwięków, jakie można usłyszeć. – Seymour znów wytarł czoło i kurczowo ścisnął bandanę w garści.

– Ta kobieta, Seymourze, co z nią? – naciskała Quinn.

– Nie zawracam sobie głowy bajaniem starych wdów. To starsza kobieta, która hoduje zioła i żyje samotnie, a ciemni

ludzie nazywają ją czarownicą. Tu mieszkają głupi, zacofani ludzie, wiesz o tym, Quinn. Nie chcę o niej mówić. To nie moja sprawa.

– A więc chcesz rozmawiać o zaczarowanych wilkach, ale nie chcesz rozmawiać o niej?

– Nie chodzi o to, czy chcę, czy nie chcę, tak po prostu jest.

Siedzieli w milczeniu, a Quinn zastanawiała się, czy powinna wyjść i wrócić innego dnia, przynieść mu muffinki albo placek, żeby skłonić go do powiedzenia czegoś więcej. Wiedział o wszystkim, co działo się w okolicy, i może po prostu się certował, chciał, aby go proszono o opowiadanie o tym.

– Muszę iść – powiedziała Quinn i właśnie w chwili, gdy miała wstać, Seymour szepnął coś, czego nie zrozumiała. – Co mówiłeś?

– Słyszałaś o tym myśliwym?

Quinn drgnęła, a potem poczuła przypływ paniki. Jeszcze nie odkryła wszystkich słów i miejsc kryjących w sobie wspomnienie lasu i konsekwencji, z którymi musiała żyć. Czasami było ono w zaciśniętych szczękach Nolana, w wyłamywanych przez niego palcach. Albo w słowie. Myśliwy.

– W 1834 roku – ciągnął Seymour – traper nazwiskiem George Dent podążył w górę Diabelskiej Rzeki. Żona Denta zaczęła rodzić, pojawiły się jakieś komplikacje, a on ruszył szukać pomocy. Znalazł meksykańskiego pasterza, który zgodził się towarzyszyć mu w drodze do obozowiska. Pasterz zabrał również swoją żonę, aby pomogła przy porodzie. – Seymour zamyślił się na dłuższą chwilę, jakby zastanawiał się nad zakończeniem tej historii.

– No i? – zapytała Quinn, lekko już zirytowana.

– Znaleźli żonę Denta martwą. Noworodek zniknął, a wszędzie dookoła były ślady wilków.

– Co to ma wspólnego z kobietą, która uzdrowiła dziecko? Tą, którą nazywają czarownicą? – Quinn miała nadzieję, że dowie się czegoś więcej.

Seymour wypluł porcję tytoniu do zucia, po brodzie spłynął mu sok. Wytarł go wierzchem dłoni.

– Mówiłem już, nie rozmawiam o niej. Ale słyszałem różne historie, wiesz, lata później, o dziewczynie żyjącej w watasze wilków. Indiańscy zwiadowcy wojskowi znaleźli ślady ludzkich stóp wśród śladów wilków. Patrol wytropił watahę i schwytał dziewczynę. Była tak dzika, że zamknięto ją w szopie. Nocą wilki zaatakowały konie żołnierzy. Miało to tylko odwrócić ich uwagę, ponieważ następnego dnia okazało się, że dziewczyna uciekła. Przez pięćdziesiąt lat pojawiały się co jakiś czas pogłoski o dziewczynie-wilku znad Diabelskiej Rzeki.

– Co ty mówisz?

– Nic. Mówię tylko, co tu opowiadają ludzie.

– To było... – Quinn przerwała. – To było – szybko obliczyła w myślach – ponad sto pięćdziesiąt lat temu.

– Cóż, ludzie stąd mają swoje legendy – skwitował Seymour, przekrzywiając głowę.

– Mówią, że dziewczyna-wilk znad Diabelskiej Rzeki żyje w lasach pod Aurorą?

– Powtarzają, że widywali ją, jak przechadzała się w białej sukience.

– A więc uważają, że ona tu jest?

– Tak mówi legenda.

– Ale co z kobietą, która uzdrowiła tę dziewczynkę z miasta? I sprzedaje zioła? – Z kobietą, która rzuca zaklęcia i uroki, skłania niewierne żony do powrotu do mężów, a zbłąkanych mężów do pokochania żon na nowo, która leczy dolegliwości i usuwa brodawki, pali aromatyczne zioła, aby sprowadzić do domu zgubione krowy, odmawia zaklęcia nad cierpiącymi na drgawki dziećmi. Tą, która pomaga kobietom zająć w ciążę.

– Duchu! – zawołał Seymour do dużego białego psa w brązowe łatki, wyłaniającego się zza chaty. – Gdzieś ty był? – Pogłaskał psa po karku i wstał. – Ciągle gdzieś biega, ten pies. Ani grama

zdrowego rozsądku.

\*

Wiadomość przyszła w piątek rano. Quinn słyszała dzwonek telefonu i krótkie, rzeczowe odpowiedzi męża. Nolan nigdy nie przekazywał jej słuchawki, lecz gdy wszedł do kuchni, wiedziała, że coś się stało.

– Sigrid nie żyje. Spadła ze schodów i skręciła kark.

– Kto dzwonił? – zapytała Quinn, wycierając ręce kuchennym ręcznikiem, dopóki nie były zupełnie suche.

– Znalazła ją gosposia. Nie żyła od kilku dni.

To już koniec, pomyślała Quinn. Koniec. Teraz nie ma już nikogo.

– Chcą, żebyś przyjechała i zajęła się domem i majątkiem.

– Zająć się tym? Co to znaczy?

– Nie jestem pewny. Nie ma testamentu, a dom jest na twoje nazwisko. Twój ojciec musiał przepisać go na ciebie przed śmiercią.

Quinn poczuła jakiś chemiczny zapach, eteru albo chloroformu, nie miała pewności. Czubki palców Nolana były białe, jakby zanurzył je w farbie.

– Możesz mnie zawieźć? – zapytała i cofnęła się o krok; odór był tak mocny, że poczuła mdłości. – Nie chcę jechać sama.

– Pracuję nad czymś – odparł, a Quinn patrzyła, jak Nolan wkłada ręce do zlewu napełnionego zimną wodą. – Możesz wziąć furgonetkę. To nie jest zbyt daleko.

Nic nie powiedziała, lecz przez głowę przemknęła jej myśl, ani rozsądna, ani wykonalna, po prostu krótki przeblysłk. Ale nie zniknęła, wracała raz za razem.

Nie miałyby zupełnie nic przeciwko temu, żeby już nigdy nie zobaczyć Nolana.

\*

Następnego rana Quinn wsiadła do furgonetki męża i pojechała na południe, do Beaumont w pobliżu granicy z Luizjaną, swojego rodzinnego miasta. Nie weszła do domu – od tak wielu lat był to dom Sigrid, że nawet teraz, gdy Quinn patrzyła nań z samochodu, miała wrażenie, że przestał być jej domem na długo przedtem, zanim go opuściła – podpisała tylko dokumenty w biurze wykonawcy testamentu. Jej ojciec, zawsze „jednym okiem patrzący w przyszłość, a drugim baczący, by postępować właściwie”, jak utrzymywał pan Horacio McCann, sporządził testament niepozostawiający wątpliwości. Dom przejmowało Tekszańskie Towarzystwo Historyczne w Beaumont, a jego cena została ustalona wiele lat przed śmiercią spadkodawcy. Sigrid miała utrzymywać się z niewielkiej renty, nie otrzymała jednak praw do domu. Opuszczając biuro McCanna, Quinn była posiadaczką czeku na oszałamiającą sumę pieniędzy.

Ruszyła na południe i dwie godziny później dojechała do Galveston. Jako dziecko wyobrażała sobie, że podróż będzie trwała cały dzień, może nawet trzeba będzie płynąć promem, teraz jednak, gdy okazało się, że jazda z Beaumont zajęła tylko dwie godziny, poczuła gniew. Galveston, miejsce, do którego ojciec wciąż obiecywał ją zabrać, leżało o rzut kamieniem od jej domu, a mimo to on nigdy nie spełnił obietnicy. Nie podobało jej się, że żywi urazę do ojca, pomyślała więc o Nolandzie i farmie, ponieważ uraza w stosunku do nich wydawała się bardziej uzasadniona. Fakt, że mąż został teraz jej jedyną rodziną, sprawiał, że poczuła się z nikim i niczym niezwiązana, nic jej nie krępowało. Znaleźć jakieś miejsce, gdzie byłaby wolna – cokolwiek to znaczyło i gdziekolwiek było – tak, tę myśl powinna rozważyć. Może ten pomysł podsunął jej czek w kieszeni, a może fakt, że w Aurorze nic na nią nie czekało, tak samo zresztą, jak w Beaumont.

Hotel Galvez okazał się właśnie taki, jak sobie wyobrażała – okazały budynek z cegły, ze wspaniałym lobby z korynckimi kolumnami, ozdobnymi sufitami i marmurowymi posadzkami. Wszędzie widziało się donice z roślinami, chodniki i wiklinowe meble. Przez okna wychodzące na nabrzeże wpadało mnóstwo światła. Quinn nie mogła się nacieszyć przesiadywaniem w przepastnych pluszowych fotelach i tym, że codziennie prano jej rzeczy i oddawano wyprasowane. Na parterze były palmy, salon fryzjerski, a w głównym lobby – eleganckie butikiki.

W towarzystwie innych gości czuła się jednak nieswojo. W urządzonej z przepychem restauracji goście patrzyli na nią, ponieważ była jedyną kobietą jedzącą samotnie. Wieczorami restaurację zapełniali mężczyźni w garniturach i kobiety, których fryzury i makijaże wydawały się dziełem zawodowców. Quinn przypuszczała, że tymi kobietami zajmowały się panie w białych fartuchach, z dużymi teczkami, przemykające nieskończenie długimi korytarzami hotelowymi. Jej sukienka, którą uważała za bardzo ładną, okazała się za mało elegancka; inne kobiety nosiły wytworne suknie i biżuterię i miały mocny makijaż od samego rana. Odniosła też wrażenie, że ludzie się wzdragają, gdy niechący postawi odrobinę zbyt mocno filiżankę na spodek lub zaskrzypi nożem po talerzu. Życie na farmie przez wszystkie te lata – jedenaście, jak obliczyła – sprawiło, że stała się trochę nieokrzesana. Paznokcie miała zaniedbane, twarz piegowałą i spaloną od słońca, a przy tym zawsze zapomniała założyć nogę na nogę.

I jeszcze sprawa jedzenia. Quinn sądziła, że umie gotować, gotowała przecież dla ojca już jako dwunastoletnia dziewczynka, zanim pojawiła się Sigrid, teraz jednak jej kuchenne sztuczki – potrząsanie fasolą, by nie straciła koloru, trzymanie białek w temperaturze pokojowej przed ubijaniem – wydawały się niezdatnymi próbami gotowania, umiejętnościami zaczerpniętymi z wiejskich książek kucharskich przy użyciu

prostych, nijakich produktów. Doszła do wniosku, że to, co w jej oczach uchodziło za ucztę, było zaledwie jedzeniem biednych ludzi.

Stoły rozstawiono pod ścianami na całą długość pokoju i ustawiano na nich specjały, o jakich Quinn nigdy nie słyszała ani ich nie widziała – pieczone prosięta, wciąż obracające się na roznach, i dekoracyjnie ułożone kury kornwalijskie z wystającymi ze środka gałązkami rozmarynu; patery owoców – jedna miała kształt gwiazdy! – orzechów, sera, pieczywa, a wszystko to oblane migotliwym światłem z żyrandoli.

Były po mistrzowsku ułożona szynka w glazurze na zielonych warzywach, z plasterkami ananasa tworzącymi wirujący wzór; grillowany pstrąg z cytryną na aromatycznym dzikim ryżu. Na osobnym stole leżało pieczywo – francuskie bagietki w kształcie kwiatów, bułeczki wyglądające jak muszle, a między nimi taka liczba przystawek, że nie sposób było spróbować ich wszystkich. Quinn wybrała pstrąga z ryżem, a gdy wróciła do swojego stolika, siedziało przy nim małżeństwo z dwojgiem dzieci. Spanikowała, nie chciała prowadzić konwersacji z takimi ludźmi – bogatymi i wyrafinowanymi – o czym miałyby z nimi rozmawiać, o farmie i o mężu, który bez celu jeździł w kółko traktorem, marnotrawiąc rodzinną fortunę? Dla Quinn „fortuna” było dość nieprecyzyjnym określeniem. Uznawszy, że siedzenie przy dużym okrągłym stole wymagałoby od niej zbytnej śmiałości, przeniosła się do mniejszego kwadratowego stolika przy oknie, gdzie zaraz pojawił się kelner z pytaniem o wino do posiłku.

– Madame, jakie wino pani wybrała?

– Białe – odparła Quinn, choć najchętniej poprosiłaby o wodę.

Pytanie, czy podać chardonnay, sauvignon blanc czy wytrawny riesling, wprowadziło ją w zakłopotanie; zaczęła zdejmować pieczoną cytrynę i grzebać przy rybie, która wciąż miała głowę. Zesztywniała. Ojciec obiecał nauczyć ją, jak oddzielać ości od mięsa, lecz nigdy tego nie zrobił. Za pomocą

noża do masła niezdarnie próbowała usunąć głowę za skrzelami. Gdy wreszcie jej się to udało, na talerzu leżały wymieszane ze sobą ości, oczy, srebrzysta skóra. Quinn dłużyła w ryżu, a gdy kelner zabierał talerz i sztućce, czuła na sobie jego pogardliwy wzrok. Wyszła z sali restauracyjnej bez deseru i odtąd zamawiała posiłki do pokoju.

Następnego dnia poszła bulwarem na plażę i spacerowała wzdłuż brzegu. Miała na sobie szorty i bluzkę, głowę obwiązała czerwonym szalem, aby wiatr nie rozwiewał jej włosów. Oczy ukryła za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi.

Musiała iść już ponad godzinę, zostawiając eleganckie hotele daleko za sobą, gdy natknęła się na grupę ludzi. Zaparkowali furgonetki na poboczu drogi, rozbili namioty i ustawili lodówki turystyczne. Niektóre kobiety trzymały niemowlęta, w pobliżu bawiła się grupka dzieci, w tym kilkoro nagich; budowały zamki z piasku. Było też wygaszone ognisko, znak, że spędzili na plaży całą noc. Quinn usiadła na moło i przyglądała się grupie gawędzących, roześmianych ludzi. Kobiety miały długie włosy, sandaalki na nogach i powiewne suknie; mężczyźni z długimi brodami wydawali się niechlujni. „Subkultura”. Quinn zapamiętała z telewizji to słowo określające mężczyzn i kobiety, którzy protestowali przeciwko wojnie, władzom i zasadom obowiązującym w społeczeństwie. Podskoczyła, gdy za jej plecami z wody wynurzył się mężczyzna, ciągnący za sobą deskę surfingową. Odgarnął długie włosy z twarzy na plecy, rzucił deskę na piasek i usiadł na niej, łapiąc oddech.

– Silny wiatr – powiedział i uśmiechnął się.

Położył się na desce, prezentując wklęsnięty brzuch; miał opalone i szczupłe ciało. Nie przestawał mówić, choć Quinn tylko kiwała głową i się uśmiechała. W końcu dała się wciągnąć w rozmowę, a mężczyzna powiedział, że grupa podróżuje wzdłuż wybrzeża i jest w drodze powrotnej do Kalifornii, „Kali”, jak ją nazywał.



Quinn opowiedziała mu o farmie i Nolanie, jej towarzysz zaś zawołał kobietę, która trzymała na biodrze niemowlę. Ten mężczyzna, Jason, i ta kobieta, Amy, nie byli małżeństwem, lecz żyli w komunie w Kalifornii. Gdy Amy usłyszała, że Quinn mieszka na farmie, ożywiła się.

– Co uprawiacie? Macie zwierzęta?

Zakłopotana Quinn wymyśliła coś na poczekaniu.

– Nie hodujemy zwierząt – dodała. – Opowiedz mi o komunie. – Komuna specjalnie jej nie interesowała, Quinn po prostu nie miała ochoty mówić ani o sobie, ani o farmie. Chciała już wracać, ten wiatr przyprawiał ją o ciarki.

Amy rozprawiała o niebezpiecznych środkach chemicznych w żywności.

– Sami uprawiamy wszystkie nasze warzywa i w ogóle nie jemy mięsa.

Opowiadała o życiu w odosobnieniu na farmie, wozach konnych i wychodkach oraz zapewniła, że wszystkie kobiety rodzą w domu.

Zanim Quinn zdążyła się zorientować, co się dzieje, Amy wręczyła jej niemowlę. Dziewczynka miała na imię Holly, była spokojna i uśmiechała się w ramionach Quinn, jakby to było dla niej najnaturalniejsze miejsce. Pachniała słońcem i solą, a w Quinn coś się poruszyło. Pomyślała, że już wcześniej chciała dziecka, lecz teraz to pragnienie przybrało na sile i ukazało się jej w zupełnie nowym świetle. Chcę... pomyślała. Chcę... i już wiedziała, czego naprawdę chce. Zadowolili się czymś mniejszym, czymś mniej znaczącym niż własne dziecko, ale na swój własny sposób, tak jak chciała, a nie tak, jak myślała, że chce.

Quinn widziała, że jej łono jest martwe, umarło dawno temu, tego dnia w lesie, i nic już z niego nie wyjdzie oprócz krwi, skurczów i zapachu porażki i śmierci. Trzymając to dziecko w ramionach, chciała jednak starannie zatrzeć poczucie klęski razem ze wspomnieniem tego strumienia, tego momentu, gdy

Kościste Palce wszedł w nią. Trzymał ją za ramiona, przygniecioną jego ciężarem, ledwie mogła oddychać, w końcu zachłysnęła się wodą. Miała wrażenie, że trzymanie w objęciach tego dziecka, dziecka innej kobiety, pozwoliło jej narodzić się na nowo, z nową świadomością tego, co musi się wydarzyć.

Zapach oceanu był odurzający, fale wznosiły się i kłębiły jak wir, który mógł wciągnąć ją do środka. A Quinn stanowczo wyrzuciła wspomnienia w przeszłość, do której należały, ocean burzył się i szalał, a ona zaczęła drzeć, nie z zimna czy z powodu wiatru, nie dlatego, że nie zjadła śniadania, drzenie brało się z samej głębi jej istoty, a jedynym ukojeniem była Holly, słodka Holly w jej ramionach, tylko ona powstrzymywała ją od wybuchu, pozwalając zachować rozsądek. Uspokajała jak chłodna ręka matki na rozpalonym czole. Quinn nie zaznała czegoś takiego, ponieważ nigdy nie miała własnej matki, lecz chciała... po prostu chciała sama być matką. Matkować, trzymać małą istotę w ramionach i chronić ją. Ocalenie i poświęcenie zarazem. Tego chciała. Nawet jeśli dziecko nie byłoby jej.

Potrzymała niemowlę chwilę dłużej, przekładała z jednego biodra na drugie, z jednej strony piersi na drugą, aż w końcu usnęło, Quinn zaś, choć pragnęła zatrzymać ten moment objawienia, nagle zaczęła się śpieszyć.

Wszystko się zmieniło. Nie chciała już jechać na wschód, by uciec od Teksasu, Nolana i farmy i zacząć życie na własną rękę, mimo że z pieniędzmi, które teraz miała, byłoby to możliwe. Nie pasowała do kobiet z hotelu w sukienkach z paskami i klamerkami we włosach, z torebkami i w pończochach, do tych kobiet sztywnych i wytwornych. Nie należała też do Kali, nie była wysoka i szczupła, nie chodziła bez stanika, nie miała włosów wyblakłych od słońca, nie hodowała warzyw, nie bawiły się wokół niej nagie dzieci ani nie rodziła w domu przy pomocy innych kobiet.

Była Quinn, żoną Nolana Creela z Aurory w Teksasie. I nie

potrzebowała już chodzić do żadnych lekarzy – powiedzieli jej wystarczająco dużo, nie używając słowa „bezpłodna”, że równie dobrze mogła być uczciwa wobec samej siebie i przyznać, że niczym jałowa ziemia nigdy niczego nie urodzi – ale musiał być jakiś sposób. Musiał. Pieniądze za dom, dom jej ojca, miała w kieszeni. Czek na niebotyczną sumę, nigdy nawet nie marzyła o takiej liczbie zer.

Następnego rana zwolniła pokój w hotelu i wyruszyła w drogę powrotną do Aurory.

Wszystko było teraz możliwe. Wszystko.

# Część druga

„Wszystko wydaje się piękniejsze, bo jesteśmy skazani”.

Achilles

# Rozdział piętnasty

## Dahlia

Dom się pali.

Czuję gorąco przez drzwi do pokoju matki. W głowie mam zamęt – nie mogę sobie przypomnieć, czy powinnam otworzyć te drzwi, czy nie – ale tak czy inaczej widzę szary dym wydostający się przez szparę nad podłogą. Pełźnie do góry, przytulając się do ścian.

Otwieram drzwi szarpnięciem, jednocześnie zakrywam nos i usta. Trzymając się ściany, idę do okna i otwieram je. Dym szczypie mnie w oczy. Z każdym oddechem robi się gorzej.

Pośrodku pokoju stoi sześć otwartych na chybił trafił pudeł. Na całej podłodze zalegają porzrzucone papiery. Między pudłami dostrzegam poczerniałe blaszane wiadro, z którego wydobywają się kłęby czarnego dymu. Było więcej pudełek, ale z niektórych pozostał tylko popiół, pokrywający teraz nadpaloną drewnianą podłogę.

Matka stoi w najczarniejszych kłębach dymu.

Ten ogień nie pali się od kilku minut, świadczą o tym liczba tłących się pudeł, nadpalona podłoga oraz stojąca w ogniu zasłona w drugim oknie; wygląda na to, że matka walczyła z płomieniami i na chwilę straciła panowanie nad sytuacją.

Już mam zadzwonić pod 911, gdy słyszę gdzieś daleko syreny. Po sekundzie są już głośne, ale matka po prostu stoi, jej apatia bardziej wytrąca mnie z równowagi niż ogień i dym. Zastygła, patrząc na płomienie, jakby już poddała się ogniowi. Robi nawet krok w stronę wiadra, chce zrobić drugi, lecz odciągam ją,

szarpiąc za jedyną rzecz, za którą mogę ją złapać – sweter. Matka wyrywa się, sweter zostaje mi w rękach; zupełnie jakby chciała zginąć w płomieniach. Gęsty czarny dym wdziera mi się do płuc.

Krztusimy się i kaszлемy, oddychanie sprawia ból, serce bije, jakby galopowało. Syreny wyją ogłuszająco, a ja krzyczę do matki, ponieważ schyla się i podnosi palący się już kawałek papieru. Kopie wiadro, które się przewraca i świat dookoła zamienia się w piekło. Płomienie mieniają się różnymi barwami – fioletami, błękitami, zieleniami, odcieniami złota i żółci – i zapamiętałe liżą podłogę, jakby znajdowało się na niej coś bardzo łatwo palnego. I rzeczywiście, pożar nie wybuchł przypadkiem, od zapalanej świeczki czy niesprawnej instalacji elektrycznej – matka użyła podpałki, aby rozniecić ogień. I spalić rzeczy.

Ktoś chwyta mnie i ciągnie do tyłu. Niczego nie rozumiem, dopóki nie ocknę się u podnóża schodów. Otwieram oczy i patrzę prosto w oczy strażakowi w kombinezonie i hełmie, z ochroniaczem na twarzy.

– Mój pies! – krzyczę. – Gdzie jest mój pies?

Usta za ochroniaczem poruszają się, ale nie mogę zrozumieć ani słowa. Wiję się i wierzgam nogami, chcę wyjść i poszukać Tallulah. Mężczyzna ma mocny uścisk. Podnosi rękę niczym robot i wykonuje gest, a ja potrzebuję sekundy, by zrozumieć, co oznacza uniesiony kciuk. Tallulah jest bezpieczna.

Strażak wynosi mnie na zewnątrz, na drugą stronę ulicy, i przekazuje innemu mężczyźnie. Ludzie krzyczą, głosy wydają rozkazy, lecz wszystkie te dźwięki zamieniają się w biały szum i dociera do mnie tylko widok poruszających się mężczyzn w żółtych kombinezonach i hełmach oraz gapiów w szlafrokach. Z pierwszego piętra spada kawałek sidingu winylowego, stopionego jak kawałek masła na gorącej patelni. Przez otwarte okno płomienie uciekają w ciemność, zabarwiając nocne niebo na żółto. Ulicą zbliża się, zawodząc, coraz więcej syren.

W nosie świszczy mi powietrze. Dopada mnie kolejny atak bolesnego kaszlu z głębi trzewi. Ktoś ciągnie mnie za rękę, a ja się wyrywam i kurczowo przyciskam do siebie to, co mam w rękach. Potem zerkam w dół i widzę, że wciąż trzymam zrobiony na drutach sweter matki. Zanurzam w nim palce, rozciągam dzianinę tak, że sweter zupełnie traci kształt. Jest przypalony, ale trzymam go mocno.

\*

Matka siedzi na tylnej werandzie na krześle ogrodowym. Siadam na podłodze i nie wiem, co powiedzieć ani nawet od czego zacząć.

– Skąd wzięłaś tego psa? – pyta matka, jakby to była w tej chwili najważniejsza sprawa.

– Ma na imię Tallulah. Jest ze schroniska. Chcieli ją uśpić.

Słyszemy szczeknięcie Tallulah i spoglądamy w jej kierunku. Stoi pod drzewem, potrząsając łbem. Odwraca się nagle na prawo, natyka się na płot i stoi bez ruchu, delikatnie go obwąchując.

– Ta suka jest ślepa – mówi matka.

Zaskakuje mnie jej chichot, całe jej zachowanie. Powinna być pełna skruchy, okazywać jakieś emocje, a ona nie uważa się za winną wywołania pożaru, który mógł strawić cały dom i nas zabić. Widziałam wcześniej w jej łazience buteleczki z lekarstwami – zniknęła połowa miesięcznego zapasu, a matka była w domu zaledwie kilka dni. Po zażyciu wszystkich tych leków powinna leżeć nieprzytomna na kanapie, a ona jest tylko trochę przygaszona. Musi w niej szaleć tornado.

– Nikt mi nie powiedział, że ona jest ślepa. – Teraz myślę, iż jest to możliwe, mimo że Tallulah nawiązała ze mną kontakt wzrokowy. Ale ta jej nieumiejętność wskoczenia do samochodu, to dziwaczne zachowanie na tylnym siedzeniu. Niewykluczone,

że jest ślepa. – Nie oddam jej, jeśli o to ci chodzi.

Matka przechyliła głowę, jakby właśnie o czymś sobie przypomniała.

– Gdzie będziemy mieszkać?

Chciałabym wiedzieć, co ona spaliła w tym wiadrze, co było w tych pudłach, ale nie potrafię zdobyć się na zadanie żadnego z tych pytań.

– Dlaczego zbierasz świerszcze w słoiku? – Wypowiadam te słowa zupełnie bez zastanowienia. Uważnie przypatruję się matce.

Mruga oczami, głośno przełyka. Wydaje z siebie, z głębi trzewi, diaboliczny śmiech. A potem tylko patrzy prosto przed siebie.

Przychodzi strażak. Tallulah boi się kombinezonu, ucieka więc po schodkach do domu. Strażak przykłęka, twarz ma czarną od sadzy, oczy przekrwione. Mówi mi, że byłoby najlepiej, gdybyśmy już teraz wyprowadziły się z domu.

– Nie mamy dokąd pójść – odpowiadam i oboje patrzymy, jak moja matka wstaje i zdejmuje prześcieradło ze sznura z bielizną. Składa je, zostawiając na całym kawałku płótna ślady sadzy. Daje za wygraną, wraca na krzesło i czeka, by ktoś jej powiedział, co ma robić.

– Zostawię pani czterdzieści osiem godzin na przeprowadzkę. Będzie pani mogła się spakować i znaleźć jakieś mieszkanie – mówi ze współczuciem w głosie. – Karetka zabierze pani matkę do szpitala. Nawdychała się dymu i dziwnie się zachowuje, powinna zostać zbadana, zajmą się tym w szpitalu. Proszę nie wchodzić do sypialni na piętrze. Podłoga jest naruszona, to niebezpieczne. Rozumiem, że są tu zwierzęta?

– Tak, mój pies.

– Jeśli nie może pani zabrać go ze sobą, proszę skontaktować się ze schroniskiem. Oddać psa na jakiś czas, dopóki nie będzie pani miała gdzie się zatrzymać.

Gdy wszyscy wyszli, znajduję Tallulah schowaną pod moim



łóżkiem. Jest przygnębiona, tuli się do ściany, ogon ma podkulony. Przynoszę kawałek bekonu z lodówki, siadam na podłodze i łagodnie do niej przemawiam.

Przypominam sobie jej wcześniejsze zachowanie na podwórku; nie zawsze odwracała głowę, gdy do niej podchodziłam, jakby czekała na jakieś wskazówki dźwiękowe. Zdaję sobie sprawę, że matka może mieć rację. Może zmętniałe oko oznacza, że jest częściowo ślepa, a zdrowe również niedługo przestanie widzieć. Ten ślepy pies ze schroniska schowany pod moim łóżkiem, zaśliniony i drżący, w najlepszym razie widzi cienie.

Zastanawiam się, jakie cienie widzi moja matka. Co w niej siedzi. Może ma nocne koszmary, które po przebudzeniu wcale nie znikają. Jedno wiem na pewno – przez lata obserwowałam, jak jej dziwactwa się nasilały, od czasu do czasu przejawiały się nawet w naszych rozmowach telefonicznych, lecz te trzy miesiące, które do tej pory z nią spędziłam, nie pozostawiają już wątpliwości. Mogę tylko sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał następny etap jej szaleństwa.

Zabieram poduszkę na podłogę i kładę się na niej, bekon leży koło mnie. W uszach mi dzwoni, ręce mi się trzęsą.

Wszystkie okna i drzwi są otwarte. Wszędzie unosi się gryzący zapach dymu. Z podwórka na tyłach słyszę łopot targanej wiatrem bielizny pościelowej.

\*

Wokół mnie tyle się dzieje – muszę spakować rzeczy i opróżnić dom, wynająć mieszkanie w miejscu, gdzie akceptują psy, nie myśleć o gniewnym spojrzeniu mojej matki prowadzonej do karetki. Ze wszystkiego, czym mogłabym się teraz zamartwiać, najbardziej porusza mnie sprawa świerszczy w słoiku. Nie mogę

zapomnieć widoku czarnych spłaszczonych odwłoków i długich splątanych czułek, tego labiryntu odnóży i wyrostków. Wiem, że powinnam szukać w internecie pracy, ale zamiast tego sprawdzam stronę hrabstwa Bertram, aby znaleźć dokładny adres tamtej nieruchomości. Nie udziela się informacji telefonicznie, wszystkie pytania należy przedstawić na piśmie, po południu udaję się więc do biura administracji hrabstwa.

Urząd skarbowy mieści się w dobudówce do budynku administracji; jest to zimne i wilgotne pomieszczenie z wykładziną na podłodze i sztucznymi kwiatami. Skądś dochodzi cicha muzyka country, przerywana sporadycznymi zakłóceniami. Przy okienku wymieniam grzeczne uwagi o pogodzie, o tym, że mamy piątek, i o bluzce w cętki pani Winnipeg. Ma około sześćdziesięciu lat i bardzo chciałaby przejść za dwa lata na rentę. Mówię, że jestem fotografką, pracuję nad projektem przedstawiającym opuszczone budynki w tej okolicy i jestem tu, by sprawdzić status nieruchomości przy drodze 2410.

– Nie jestem pewna, czy może mi pani pomóc, nie znam dokładnego adresu. Nikt tam nie mieszka, wygląda, jakby była opuszczona od pewnego czasu.

– Wszystkie informacje dotyczące aktów własności i nieruchomości znajdują się w rejestrze publicznym – mówi pani Winnipeg, a ja patrzę zaabsorbowana na jej krwistoczerwoną szminkę wychodzącą mocno poza linię ust. I na jej ładnie ułożone, cienkie srebrzyste włosy, przez które prześwituje lśniąca skóra głowy.

Pani Winnipeg wkłada okulary w kształcie kocich oczu i wyjmuję z szuflady formularz.

– Proszę mi podać przybliżoną lokalizację tej nieruchomości.

– Przy drodze 2410, kilka kilometrów od peryferii Aurory, przy znaczniku 78. Jest oddalona od szosy o jakieś czterysta metrów. Są tam droga gruntowa i ścieżka oraz dom. I stodoła. Nie ma bliskich sąsiadów, o ile mi wiadomo, w każdym razie nie

widziałam. Miejsce jest raczej opuszczone.

– A pani chciałaby wiedzieć, kto jest właścicielem?

– Nie chcę naruszyć własności – kłamię. – Chciałabym dostać pozwolenie na fotografowanie. – Patrzę, jak wpisuje numer drogi takimi zawijasami, że ledwie można odczytać.

– To ranczo czy farma?

– A jest różnica? – pytam. Chyba chodzi o hodowlę bydła albo uprawę ziemi.

– Na ranczu są pastwiska i hoduje się inwentarz żywy, taki jak bydło czy owce. Na farmie uprawia się zboża, warzywa i tak dalej na potrzeby własne i na sprzedaż. Na ranczu zbiera się trawę na siano i czasem uprawia się trochę zboża na pasze dla zwierząt – recytuje pani Winnipeg dobrze przećwiczone zdania; jest w swoim żywiole i nie ośmielam się jej przerwać.

– Cóż – mówię, gdy kończy – nie przypominam sobie, żebym widziała jakieś płoty czy ogrodzenia dla bydła, ale nie oglądałam całej nieruchomości. Było tylko trochę zardzewiałych narzędzi rolniczych, dlatego przypuszczam, że to farma.

Kobieta szuka czegoś w pudle, przesuwa okulary na grzbiet nosa.

– Proszę usiąść – mówi i zasuwa okienko tuż przed moim nosem.

Siadam i czekam na jednym z dziesięciu lśniących drewnianych krzeseł stojących w rzędzie naprzeciwko okienka dla interesantów. Urzędniczka wraca po mniej więcej piętnastu minutach, może więcej. W rękach nic nie ma.

– Nieruchomość nie jest porzucona, powinniśmy znaleźć właściciela. Zła wiadomość jest taka, że rejestr nie zawiera wpisów sprzed 1976 roku. Muszę skontaktować się z Archiwum Hrabstwa Bertram. Przefaksują kopię. To zabierze tylko minutę.

– Dziękuję.

– Pięć dolarów. Gotówka czy karta kredytowa?

– Gotówka. – Kładę pięciodolarowy banknot na kontuarze.

– Coś jeszcze? – pyta, wręczając mi pokwitowanie.

– Tak, ale bez związku z tą sprawą. Zupełnie bez związku. – Biorę głęboki oddech. – Czy istnieje tu coś takiego, jak zbieranie martwych świerszczy w słoikach? Taki zwyczaj, coś w rodzaju miejscowej tradycji?

Pani Winnipeg patrzy na mnie przez chwilę.

– Świerszcze w słoikach? Chodzi pani o coś podobnego do łapania świetlików?

– Nie, chodzi o gromadzenie. Albo przechowywanie. Nie jestem pewna.

Czerwone paznokcie drapią lśniąca skórę głowy.

– Niczego takiego ludzie tutaj nie robią, wiedziałabym. – Chwila milczenia. – Ale mój zmarły mąż zbierał owady. Przypinał je szpilkami w gablotkach. W domu było pełno tych gablotek. – Głos na chwilę cichnie, oczy robią się szkliste, jakby pani Winnipeg wspominała motyle i chrząszcze przyszpilone za szkłem. Potem w jej oczach znów błyska stal. – Są specjalne zasady postępowania, których trzeba przestrzegać. Wkłada się je do słoja i dodaje alkohol lub jakiś środek chemiczny, nie pamiętam jaki. Potem przekłada do innego słoja, żeby się nie rozpadły podczas przypinania szpilką. To jest najważniejsze. Jeśli chodzi o resztę, to nie, nie wiem, dlaczego ktoś miałby zbierać owady w słoiku.

Faks dzwoni i brzęczy, na tackę wypadają dwie kartki. Urzędniczka przegląda je i przesuwą w moją stronę.

– Tu jest to, o co pani chodzi. Nazwisko ostatniego znanego właściciela, ale – zwilża palec, stuka nim w drugą kartkę – ta farma została później przekazana komuś innemu. To może być pomyłka w dokumentach, wie pani, takie rzeczy się zdarzają. Nie mamy w aktach nazwiska ani adresu nowego właściciela. Nie mogę więc pani pomóc w sprawie pozwolenia na fotografowanie. Jeśli pani chce, poproszę, żeby poszukano. To może zająć chwilę.

– Nie, to wystarczy.

– Właściciel żyje i płaci podatki od nieruchomości, ale nie

znam jego nazwiska ani adresu. Nie mam dostępu do informacji. Nie martwiłabym się o to pozwolenie. Ale proszę się na mnie nie powoływać.

Później, w samochodzie, przeglądam niewyraźne kopie. Większość słów jest napisana na maszynie, niektóre ręcznie. „Akt własności”. Przebiegam wzrokiem część pisaną na maszynie, wychwytyując słowa takie jak „cedent, stan Teksas, parcela 5, kwartał 17, 48 akrów, Aurora, hrabstwo Bertram, Teksas. Data: 12 października 1949”. W rogu jest ramka ze słowem: „Mikrofilm” i trudnym do rozszyfrowania numerem. Czytam:

**Akt przeniesienia własności nieruchomości**

**Cedent: Mable i Rupert Creel**

**Nabywca: Nolan Creel**

Druga kopia wygląda identycznie, ale ramka „Mikrofilm”, z numerem nie do odczytania, zawiera zupełnie inną informację. Data pod podpisami: „4 kwietnia 1982”.

**Akt przeniesienia własności nieruchomości**

**Cedent: Nolan Creel**

**Nabywca: Quinn Creel**

Siedzę w samochodzie i czytam akt własności raz, drugi, trzeci, jakbym mogła znaleźć coś ważnego, jeśli tylko będę długo i uważnie śledziła każde słowo. Nic z tego. Nie widać żadnego związku, może to był zwykły przypadek, może moja matka po prostu poszła na spacer za miasto i znalazła się w tamtym miejscu bez żadnego powodu. Nie jestem pewna, czego właściwie się spodziewałam. Czuję się głupio. To, co wydawało się posunięciem w stylu Sherlocka Holmesa, dającym szansę znalezienia ukrytych powiązań – między nocną wyprawą matki

drogą 2410, zgubieniem przez nią torebki, słoikami z martwymi świerszczami – okazało się prowadzić donikąd.

W głowie mi się kłębi, lecz nie dlatego, że nękają mnie jakieś głęboko schowane wspomnienia, nic z tych rzeczy. Może próbuję znaleźć powiązania, które po prostu nie istnieją albo nic nie znaczą. Matka zawsze działała na chybił trafił i może to wszystko też jest zwykłym przypadkiem.

Zasypiam z tymi myślami, a gdy się budzę, Tallulah leży przy mnie na łóżku zwinięta w kłębek. Emanuje ciepłem, jej łapy lekko drżą. Jest spokojna, trzyma nos tak blisko mojego ramienia, że jej oddech zostawia kropelki wilgoci na mojej skórze. Nie śmiem się poruszyć, by nie przerywać jej snu. Nie jadła od pożaru, nocą musiała w pewnym momencie wyjść spod łóżka.

Słońce jeszcze nie wstało, a ja muszę skończyć pakowanie, pozwalam jednak Tallulah pospać przez chwilę w spokoju. Mam teraz okazję, aby jej się przyjrzeć. Nie wiem nic o losach Tallulah, lecz jej grube, stwardniałe łokcie każą mi sądzić, że lata spędziła na betonie. Opuszki łap ma tak popękane, jakby przywędrowała tu z innego stanu. Zastanawiam się, czy właściciel pozbył się jej, ponieważ oślepla, czy może stała się bezużyteczna, bo urodziła już zbyt dużo szczeniąt. Nigdy prawdopodobnie nie widziała żadnego ze swoich dzieci dłużej niż dwa miesiące. Zadaję sobie pytanie, co czułabym do mojej matki, gdyby zachorowała na serce lub złamała biodro. Opiekowałabym się nią, na pewno, ale to dziwaczne zachowanie, to szaleństwo jest czymś całkiem innym. A jeśli nie mogę jej pomóc? Głaszczę Tallulah między oczami, budzi się, wstaje i zaczyna robić małe, pozornie przypadkowe okrążenia, a potem zatrzymuje się, szybko się obraca i znów zwija się w kłębek obok mnie.

Tallulah jest w gruncie rzeczy dzikim psem o głęboko zakorzenionym instynkcie szukania sobie w wysokiej trawie i zaroślach bezpiecznego legowiska. Tu leży przyczyna

wszystkiego. Nie chodzi o nic więcej. Może w tym kryje się powód podpalenia wiadra przez moją matkę? A raczej – zawartości tego wiadra. Co ona chciała spalić?

Wstaję powoli i wchodzę do pokoju matki. Cuchnie dymem i wilgocią, a przez dziurę w podłodze widzę pokój dzienny na dole. Wiadro stoi w rogu, wypełnione mieszaniną wody, sadzy i pulpy papierowej.

Kilka pudeł całkowicie strawił ogień, zostały z nich tylko zwęglone szczątki. Przewracam jedno z wciąż nietkniętych pudełek. Większość papierów jest przemoczona i posklejana. Delikatnie rozdzielam kartki, żeby ich nie podrzeć.

Jest tu umowa wynajmu domu, pismo dotyczące ubezpieczenia na życie – rozpoznaję liternictwo i logo towarzystwa ubezpieczeniowego State Farm, lecz wydają się starsze, czcionka i grafika robią wrażenie już niemodnych, nieużywanych – ale nie jest to polisa; część adresu pozostała nietknięta, udaje mi się odczytać tylko słowo „Aurora” i częściowo imię i nazwisko. „No... ll. Zmiana na ko...”. To pewnie oznacza „na korzyść”; dalej nie ma już ani jednego kompletnego wiersza. Znajduję również zdjęcia. Rozkładam je, ciemne krople wody mieszają się na nich ze smugami spływającej sadzy, jakby te zdjęcia krwawiły czymś obrzydliwym, czarną krwią zawierającą długo skrywaną mroczną tajemnicę.

Przełądam je i znajduję swoje; sądząc po długości włosów, zrobiono je, gdy miałam około trzynastu lat. Lata dziewięćdziesiąte, chyba lato, bo jestem ubrana w szorty i krótki top na ramiączkach. Byłam chuda, tyczkowata, a tego typu topy spłaszczają mój ledwie widoczny biust. Odwracam zdjęcie i widzę cyfry. 199... ostatniej cyfry nie udaje mi się odczytać. Może to zero albo osiem, a może dziewięć. A potem widzę imię. Pet.

Wiem, wiem, że Dahlia to nie jest imię, jakim matka nazywała mnie całe moje życie. Pamiętam, jak mówiła do mnie Pet, a teraz mam zdjęcie z tym imieniem na odwrocie. Ona zamieniła się

z „mamy” w Memphis Waller. Ja – z Pet w Dahlię.

Dahlia pojawiła się w Aurorze. Gdzieś pomiędzy zachodnim Teksasem, w drodze do Las Vegas, potem do Kalifornii i z powrotem do Teksasu, coś się zmieniło. Już nie uciekałyśmy, osiadłyśmy w Aurorze. Po raz pierwszy w życiu poszłam do szkoły. Jadałam lunch z innymi dziećmi, miałam przyjaciół. Kobieta, która ciągnęła mnie ze sobą przez liczne granice stanów, od moteli do umeblowanych pokoi, od mieszkania w samochodzie do rozklekotanych przyczep, osiadła na stałe. Nagle moja matka poczuła się na tyle bezpieczna, że pozostała w jednym miejscu. I od tej pory miała na imię Memphis. Nie znaczy to, że znałam inne jej imiona – była mamą, matką, ale bez imienia – nie znalazłam żadnych dowodów tożsamości, żadnych dokumentów. A gdyby nawet były, czybym zrozumiała? Czy miałyby to w ogóle jakieś znaczenie?

Chwytam spadający kawałek mokrego papieru, zwiotczały, bezkształtny. Dolny fragment dokumentu jest częściowo spalony i jeśli się lepiej przyjrzeć, widać coś w rodzaju pieczęci.

Pamiętam taki dokument z urzędu skarbowego, z numerem mikrofilmu i pieczęcią. Ten wygląda identycznie, choć litery są niewyraźne. Coś przyciąga mój wzrok. „Farma Creel Hollow”. Nachyliłam się nad kartką, potem stoję przy oknie, by mieć lepsze światło.

### **Akt przeniesienia własności nieruchomości**

**Cedent: Quinn Creel, Farma Creel Hollow**

**Nabywca: Memphis Waller**

Czuję się tak, jakby strzelił we mnie piorun. Drętwieję. Mam wrażenie, że coś się we mnie przesuwają, jakby kości się poruszały, a ciało – nie, jakbym chciała wyjść z siebie. Do tego jakaś niewidzialna smycz szarpie mnie za szyję. Dostaję mdłości, obraz



mi się zamazuje.

Nic nie ma sensu, ale jedno wiem na pewno – świat mojej matki, ta jego część, której nie znam, którą ona trzyma w sekrecie, z każdym dniem staje się coraz większy.

Zestawiam fakty: starsze małżeństwo przekazuje farmę synowi, Nolanowi Creelowi. W pewnym momencie Nolan Creel przepisuje ją Quinn Creel. To zrozumiałe, tak przekazuje się posiadłości od pokoleń, gdy starsza generacja jeszcze żyje, aby uniknąć podatków, zwłaszcza jeśli posiadłość jest duża. Ale później robi się ciekawie; w pewnym momencie prawo własności farmy otrzymuje moja matka, Quinn Creel ceduje je na Memphis Waller. Matka nigdy nie mówiła, że ma farmę. Porzuciła ją, płaci natomiast podatki od nieruchomości. A teraz wymyka się tam wieczorem. Co chce zobaczyć? Czy farma jeszcze tam jest? Czy klucz wciąż pasuje?

Jak mam zadawać jej pytania, na które muszę znać odpowiedź? Matka bardzo rzadko pozwala wciągnąć się w rozmowę, zawsze się pilnuje, żeby nie powiedzieć za dużo, nie zdradzić swoich sekretów. Jakiekolwiek one są.

Jak mogę sprawić, by zrozumiała, że jest to dla mnie bardzo ważne? Ona żyje w swoim świecie, emocje są jej obce, ledwie rozumie własne uczucia, a cóż dopiero uczucia kogoś innego. Rzecz nie w tym, że nic jej nie obchodzi – powtarzam sobie, że mnie kocha, że jestem tego pewna – matka nie ma po prostu wrodzonej umiejętności współzycia z ludźmi. Może ktoś mający odpowiednie kwalifikacje lepiej poradzi sobie z otworzeniem skarbcza, jakim jest moja matka.

\*

Charlene, gruba, wesoła blondynka, stukając tipsami w klawiaturę, bierze ode mnie pieniądze, a ja siadam i czekam

w gabinecie doktora Wagnera z przyłożoną do czoła puszką dietetycznej coli z automatu w recepcji.

– Co cię tu sprowadza, Dahlio? – Doktor Wagner wchodzi i jak wtedy, gdy go poznałam, ma ręce pokryte błyszczącym żelazem mocno pachnącym miętą.

– Nie sądzę, aby to było moje imię – mówię i zaskakuje mnie ton mojego głosu. Zimny. Pozbawiony emocji.

– Co ty mówisz?

– Moja matka wznieciła pożar i omal nie spaliła domu. Najpierw zażyła podwójną dawkę lekarstw i zanim się zorientowałam, dom stanął w ogniu. Znalazłam akt własności... – Zacinam się. Biorę głęboki oddech, ale to tylko pogarsza sprawę. – Pamięta pan, że szukałam jej torebki? – Przerywam i znów głęboko oddycham, lecz myśli i słowa mi się plączą. Nie jestem pewna, czy to wina mózgu, czy może usta nie przekazują słów po kolei. Skupiam się z całej siły, aby mówić składnie.

– Nie tak szybko, Dahlio. Nie nadążam. Co się stało?

Zaczynam od początku. Torebka. Droga 2410. Świerszcze. Pożar. Akt własności. Kończę, a doktor tylko na mnie patrzy.

– Niech się upewnię, że dobrze zrozumiałem – mówi i sadowi się wygodniej na krześle. – Farma, na której twoja matka zgubiła torebkę, należy, zgodnie z aktem własności, do... – doktor Wagner przerzuca kartki – Quinn Creel. Twoja matka spowodowała pożar w domu i wylądowała w szpitalu z powodu zatrucia dymem, a ty znalazłaś między rzeczami, które próbowała spalić, dokument mówiący, że Quinn Creel przekazała farmę twojej matce. I że Memphis Waller, twoja matka, jest prawowitą właścicielką tej farmy. Nigdy ci o tym nie powiedziała. Wynajmuje także dom, w którym obie mieszkacie.

– Tak. Ale jest coś więcej. – Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie sprawiało mi to przyjemności. Część mnie upajała się tym bałaganem z nazwiskami, aktami własności i dokumentami sądowymi.

– Coś więcej? – pyta doktor i przygląda się, jak wyjmuję z torebki zdjęcie.

– Proszę. To ja, mam około trzynastu lat. Proszę odwrócić.

– Pet. 1-9-9 coś tam. Nie rozumiem.

– Moja matka nazywała mnie Pet, od kiedy pamiętam. Niektórzy ludzie myśleli, że mam na imię Pat, od Patricia. Z tego, co wiem, to prawda. Potem nagle powiedziała mi, że mam na imię Dahlia, a ona – Memphis. Na nazwisko Waller. Ni z tego, ni z owego. Gdy wróciłyśmy do Teksasu. Przedtem mieszkaliśmy w Kalifornii i w różnych innych miejscach. Zmieniła swoje imię i prawdopodobnie moje również. Nie znam swojego prawdziwego imienia. Pet to nie jest imię.

– Zdajesz sobie sprawę, że mówisz niewyraźnie?

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego przykładałaś tę puszkę do czoła?

– Bolała mnie głowa. Ale już w porządku – wyjaśniam. – Miewam dziwne momenty, zapachy i wspomnienia, czasami mdleję. – Uśmiecham się, by zabrzmiało to przekonująco, nawet beztróska.

– Dlaczego twój przedni ząb jest nadłamany? Kiedy to się stało?

– Tego dnia w lesie, gdy wpadłam do strumienia. I uderzyłam się w głowę.

– Uderzyłaś się w głowę. – Doktor wygląda na zaniepokojonego, unosi brwi wyżej niż zwykle, pochyla się, jakby nie chciał przeoczyć niczego, co robię lub mówię. – Nie powiedziałaś mi, że uderzyłaś się w głowę tamtego dnia.

– Znalazłam... – przerywam. Nie chcę znów nazywać jej Jane, a zwłaszcza moją Jane. – Tę kobietę w lesie. Wpadłam do strumienia i o coś się uderzyłam, chyba o kamień. I nadłamałam ząb.

– Zlecam natychmiastowe wykonanie EEG i rezonansu magnetycznego. Dahlio, możliwe, że masz ataki. Mogą różnie się przejawiać, od czucia zapachów znikąd przez widzenie kolorów

lub aur po duże napady padaczkowe. Chcę sprawdzić, czy u ciebie nie występuje coś takiego. Skontaktuję się ze szpitalem i dowiem się, jak czuje się twoja matka.

– Myślę, że pan trochę przesadza. Wszystko ze mną w porządku.

Nie rozumiesz, chcę powiedzieć, dostałam prezent i jestem na tropie mojej matki i ukrywanych przez lata sekretów, i różnych wersji opowieści, o których wiem, że nie są prawdą. Ona jest oszustką, wiedziała, że jestem na jej tropie, i dlatego próbowała pozbyć się dowodów. Nie jest kimś, za kogo się podaje. Je też nie jestem. Nie wiem nawet, kim jestem. Chcę powiedzieć mu to wszystko, lecz milczę.

Coś zaczyna do mnie docierać. Sekrety. Dlaczego ona zawsze domagała się, abyśmy utrzymywały w sekrecie, kim jesteśmy i dokąd jedziemy? Przed kim uciekamy? Czego szukała późnym wieczorem na ciemnych wiejskich drogach? Jakie sekrety próbowała obrócić w popiół?

Idę krok dalej. Czy ja też mam sekret? Taki, który został mi narzucony bez mojej wiedzy? Nie muszę nawet pytać. Czułam to, gdy szłam polną drogą na tę farmę. To jest w oddechu mojej matki, w jej kościach. W moich kościach.

Coś jest nie w porządku.

\*

Kobieta wykonująca EEG mierzy moją głowę i dopasowuje elastyczną czapkę z elektrodami. Patrzy na monitor.

– Podczas pierwszej części badania będę prosiła, aby pani otwierała lub zamykała oczy. W pewnym momencie zapali się światło. W drugiej części aparat będzie po prostu rejestrował fale mózgowe, gdy będzie pani rozluźniona. Proszę się nie denerwować, że pani uśnie. Aparat rejestruje fale nawet

w trakcie snu pacjenta.

Zgodnie z jej poleceniami zamykam i otwieram oczy. Światło błyska. Widzę zielenie, kolory fuksji i żółcie. Mam wrażenie, że jestem w rakiemie, która zaraz wystrzeli w niebo, ale wtedy światło zalewa wszystko i zamiast wystrzelić, lecę w dół. Słucham kolejnych poleceń, widzę kolejne błyski.

– Jest pani gotowa. Obrazowanie jest tuż obok.

Laborantka radiologiczna imieniem Brenda wpycha mnie do wielkiego cylindra. Wkłada mi na głowę coś w rodzaju hełmu, a do ręki – przycisk przywołania.

– Może pani ze mną rozmawiać przez słuchawkę – mówi Brenda. – Będę panią widziała i słyszała. Niech pani naciśnie ten przycisk za każdym razem, gdy będzie pani chciała zwrócić moją uwagę. Proszę leżeć bez ruchu, inaczej obrazowanie się nie powiedzie.

Zamykam oczy. Nie mogę poruszyć głową, w cylindrze jestem całkowicie unieruchomiona. Po chwili ciszy słychać głośne stukanie, które się nasila i zamienia w przerywany pisk.

– Aparat został wyskalowany, zaraz zaczniemy. Skanowanie mózgu potrwa około dwudziestu minut.

Po mniej więcej dziesięciu minutach otwieram oczy. Cylinder mnie więzi, jego ściany znajdują się zaledwie pięć centymetrów ode mnie. Z każdym oddechem robię się bardziej napięta, a stojące powietrze przygniata mnie niczym cegły – czuję ucisk w każdej cząstce swojego ciała – i walczę, by strach nie zamienił się w atak paniki. Ale strach narasta, zaraz się wyleje jak woda z napełnionej po brzegi wanny. Trzymam palec na przycisku, kusi mnie, by go użyć, przerwać to wszystko, ale nie zniosłabym zaczynania całej procedury od początku, mowy nie ma. Już prawie koniec.

Próbuję sobie przypomnieć swoje najwcześniejsze wspomnienie. Cofam się jak najdalej w czasie, chcę przywołać pierwszy obraz, który moje oczy wysłały do mózgu, aby zapisał

go w pamięci. Ono musi gdzieś być. Moje pierwsze wspomnienie.  
Walczę – i oto jest.

Ciepła skóra. Swędzące nogi. Trawa. Bursztyn. Musztarda.  
Szafran. Kwiaty na łące rozrzucone na chybił trafił, chaotycznie,  
niczym plamki farby na płótnie.

Jaskrawożółte.

Jaskry.

# Rozdział szesnasty

## Quinn

Quinn zadzwoniła do banku i uprzedziła dyrektora oddziału, że chce zrealizować czek. Podała nawet kwotę i po krótkiej przerwie dyrektor poinformował ją, że pieniądze będą nie od razu.

– Suma jest dość duża i może to trochę potrwać – oznajmił przez nos i zakasłał, osłaniając słuchawkę.

Kilka dni później Quinn wkroczyła do Tekszańskiego Banku Handlowego, podeszła do kontuaru i podsunęła kasjerowi czek. Poleciała mu wypłacić połowę sumy w gotówce, na pozostałą część chciała otworzyć rachunek. Wypełniwszy dokumenty, obserwowała mężczyznę liczącego pieniądze, jego zręczne jak u hazardzisty ręce, którymi układał stosiki banknotów; osobno studolarówki, pięćdziesiątki i dwudziestki.

– Proszę tu podpisać – powiedział urzędnik w białej koszuli frakowej i wskazał wykropkowaną linię na formularzu. – Mogę przydzielić pani doradcę, jeśli jest pani zainteresowana zainwestowaniem reszty. Może w obligacje?

– Kiedy indziej. Teraz chciałabym mieć je na rachunku. – Quinn owinęła szyję czerwonym szalem kupionym w hotelu Galvez. Była to pozostałość po życiu, o jakim przez krótką chwilę marzyła. – Czy mógłby pan włożyć pieniądze do koperty?

Mężczyzna postukał plikami banknotów po kontuarze, wyrównując brzegi, i włożył je do dużej białej koperty z logo banku.

– Czy coś jeszcze mogę dla pani zrobić?

Quinn patrzyła na niego, zastanawiając się, jak wyglądałoby jej

życie, gdyby poślubiła mężczyznę takiego jak on – we frakowej koszuli, eleganckich spodniach, wyglansowanych butach i nie pachnącego formaldehydem – tak różnego od Nolana, który udawał, że pracuje na rodzinnej farmie, choć nic z tego nie wynikało.

Nie. Nie, nie, nie. To nie był jeden z tych momentów. To był moment radości; miała pieniądze dla starej kobiety i będzie miała dziecko. Nolan skończy ze swoją bezbarwną egzystencją i zacznie nowe, normalne życie w jakimś miejscu, gdzie mieszkają młode rodziny. Życie i pracę zamiast poślednich zajęć, jakim Nolan oddawał się na farmie – może on w końcu sprzeda tę farmę i będą sobie mogli pozwolić na ładny dom na osiedlu w Dallas. Quinn porozkładała w całym domu broszurki o Ponderosa Forest, gdzie w domach podłogi są pokryte wykładzinami dywanowymi, a nie ma tych nieznośnych drewnianych parkietów, skrzypiących, porysowanych i zmatowiałych ze starości, kłujących w stopy, gdy chodzi się boso. Nowy dom zostanie zbudowany zgodnie z założeniami tak zwanego architektonicznego planu generalnego, będzie „solidny i ekskluzywny”, jak pisano w broszurce. Przed domem wypielegnowany trawnik ze zraszaczem, aby latem trawa była zawsze bujna i zielona. Quinn wyobrażała sobie, że zdobywa nowych przyjaciół, spotyka się z sąsiadami, może nawet zaprasza ich na kolację. Już wcześniej wspominała o sprzedaży farmy, któregoś z tych dni, gdy Nolan był w dobrym humorze – ostatnio nie zdarzało się ich zbyt wiele – i czekała tygodniami, by wspomnieć mu o osiedlu, o planie generalnym, osobnej łazience dla siebie i wiacie dla samochodu. A on tylko popatrzył na nią i pokręcił głową z niedowierzaniem, jakby nie mógł pojąć, skąd przyszedł jej do głowy taki szalony pomysł.

– Po co? – zapytał, przyglądając się swoim dłoniom, by sprawdzić, czy nie zostały w nich drzazgi z drewna, które właśnie przyniósł do domu. – Czemu mamy sprzedać tę farmę? Jest



w mojej rodzinie od ponad dwustu lat. I dlaczego mam przeprowadzać się gdzieś, gdzie domy są tak blisko siebie, że nie ma żadnej prywatności? – zapytał i rzucił drewno na podłogę. Polana rozsypały się niczym rzucone ze złością bierki. Dziecko go zmieni, Quinn to wiedziała. Sprawí, że stanie się spokojniejszy, mniej skłonny do napadów złości, znów będzie dobrym i łagodnym człowiekiem, jakim był lata temu.

Teraz Nolan często wpadał w złość. Pewnego razu chwycił kij i porozbijał nim gliniane donice na tylnej werandzie; potłukł je w drobny mak na jej oczach. Quinn nawet nie pamiętała, co go tak rozgniewało. Dawno minęły już czasy, gdy siadywali na frontowej werandzie z wyciągniętymi nogami; te wieczory, gdy wybierali się na kolację lub do kina. Po powrocie do domu siedzieli w ciężarówce, Nolan brał ją w objęcia i całowali się, dopóki nie robili się mokrzy od potu. Skończyło się wybieranie kolorów huśtawki i najlepszego miejsca na piaskownicę przy akompaniamencie dochodzącego gdzieś z daleka ujadania psa.

Quinn trudno było teraz przypomnieć sobie jakąś szczególną chwilę szczęścia, w końcu jednak udało jej się znaleźć taki przelotny moment – było to tego dnia, gdy Nolan podarował jej żółtą sukienkę. Wówczas wciąż jeszcze próbował ją uszczęśliwić. Jeszcze ją kochał.

– Otwórz oczy – powiedział, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Na łóżku leżało pudło przewiązane jedwabną wstążką. Quinn delikatnie zsunęła pasek jedwabiu i podniosła pokrywkę. Bibułka się zmarszczyła i opadła. Odwinęła ją i zobaczyła starannie uprasowaną i złożoną sukienkę. Wyjęła ją z kartonu i podniosła do góry. Sukienka w kwiatowy wzór na bladożółtym tle w niczym nie przypominała tych zwyczajnych, tanich sukienek ze sklepu z używaną odzieżą, jakie Quinn zwykle nosiła.

– Jest piękna – powiedziała. A więc Nolan wciąż ją kochał, wciąż o nią dbał, z dzieckiem czy bez dziecka.

Było wtedy lato, chyba drugie lato na farmie, a ponieważ

wiosną bardzo długo padały deszcze, żaby rozmnożyły się niepomiarownie. W maju padało prawie codziennie, a żaby skrzeczały i rechotały, gdy Nolan co noc obejmował Quinn i zasypiali, trzymając się nawzajem w objęciach, i wszystko na świecie było w porządku. Nolan nie sprzeciwiał się nawet wzięciu psa czy dwóch dla dzieci, które chcieli mieć, a gdy tylko przyszła jesień, zaczął budować na podwórku na tyłach domek, z drzwiami, oknem z okiennicami i małą ławeczką od frontu. A gdyby urodził się chłopiec, Nolan wybudowałby domek na drzewie, na cyprysie przy ogrodzeniu; wówczas Quinn mogłaby obserwować dziecko z okna kuchni. Ale nic nie poszło tak, jak powinno, tak, jak spodziewała się Quinn i jak przepowiadała jej Sigrid. W życiu są jednak ważniejsze rzeczy niż przejmowanie się tym.

Po powrocie z Galveston nie powiedziała Nolanowi ani o wycieczce, ani o niemowlęciu, Holly, które trzymała w ramionach na plaży. W tym jednym jedynym momencie zupełnie zapomniała o najciemniejszej części lasu, gdzie myśliwi robili jej rzeczy nie do opisania. Trzymane w objęciach dziecko sprawiło, że spłynęło na nią wspaniałe zapomnienie, jakby w obecności tej niewinnej istoty nie mogło zapanować ani nawet w najmniejszym stopniu się zmaterializować żadne zło. Niemowlę było antidotum, delikatnym i słodkim, bezgrzesznym. Quinn mogła tylko wyobrażać sobie, jak to jest mieć własne maleństwo, ale nie, nie, już się poddała, przestała marzyć o własnym dziecku, postanowiła jednak zadowolić się czymś mniejszym – trzymaniem w objęciach dziecka, które do niej należało. Było jej, choć go nie urodziła.

\*

Po wyjściu z banku Quinn wsunęła kopertę pod siedzenie

furgonetki Forda. Była tak podekscytowana, że kręciło jej się w głowie; jej ciało wydawało się buzować, wiedzieć, że Quinn wybiera się do tej starej kobiety. Nie było odwrotu – nie po nabożeństwie w ostatnią niedzielę. Obserwowała w sklepie spożywczym, jak jej mąż patrzył na pracującą przy kasie dziewczynę, której brzuch był bardzo wydatny, a kostki opuchniętych nóg niewidoczne. Ten sposób, w jaki pożerał ją wzrokiem, to pożądanie wypisane na jego twarzy, jego wręcz wyczuwalna desperacja. To bolało – ilekroć Nolan spojrział na tę kasjerkę, bolało.

A przy tym Quinn miała wrażenie, że ludzie się na nią gapią, jakby była pod mikroskopem. Gdy czuła się dobrze, brzuch miała płaski jak deska i wtedy patrzono na nią ze współczuciem. Wiedziała, że uważają ją za bezpłodną. Chorą. Do niczego. A gdy miała okres i opuchnięty brzuch, ludzie uśmiechali się do niej; opuszczała wówczas niedzielne nabożeństwo, ponieważ nie mogła ustać prosto. Gdy w następną niedzielę pojawiała się w kościele, ludzie spuszczały wzrok i znów wszyscy się nad nią litowali.

Gdy Quinn znalazła się na drodze prowadzącej do lasu, spodziewała się zobaczyć domek na uboczu, otoczony drzewami, z werandą obrośniętą winoroślą. Spodziewała się, że koło domu będzie ogródek z ziołami, pachnący mocno rozmarynem, i ręcznej roboty kratownice z wikliny na werandzie, z pnącym się po nich pachnącym groszkiem. Spodziewała się dziwnych rzeczy wiszących na drzewach, laleczek z wikliny, butelek z płynami i ziołami, wszystkiego tego, o czym opowiadali miejscowi. Była przygotowana, miała pieniądze i nie zamierzała się poddać. Poczekaj na tę kobietę, choćby miało to trwać całe godziny.

Zatrzymała samochód przed starą, zdezelowaną, przechyloną przez wiatry przyczepą, stojącą na polanie w otoczeniu sosen, jałowców i skarłowaciałych krzewów. Zastanawiała się, czy powinna zabrać kopertę z pieniędzmi, postanowiła jednak

zostawić ją pod przednim siedzeniem wozu. Nie powiedziała Nolanowi o tej wyprawie, lecz Seymour, stary sąsiad, prawdopodobnie podejrzewał, a może nawet wiedział, co Quinn zamierza zrobić. Im więcej pytań zadawała mu tamtego dnia, tym dłużej się zastanawiał nad odpowiedziami, jakby domyślał się, o co jej chodzi i nie apróbował tego.

Gdy Quinn podchodziła do przyczepy, serce waliło jej w piersi jak u zdziczałego zwierzęcia. Ogród po prawej stronie przypominał chaotyczne kłębowisko zieleni z plamkami różu, czerwieni i bieli, był jak obraz próbujący bardziej uchwycić nastrój, niż przedstawić coś konkretnego. Na malwach roiło się od pszczoł, wokół latały motyle, a większości roślin Quinn nigdy nie widziała, choć kilka udało jej się rozpoznać: kleomę ciernistą i piłkowaną oraz dziurawiec, uważany przez europejskich lekarzy – jak przysięgała Sigrid – za podstawowe zioło w leczeniu depresji i niepokoju. Było tu mnóstwo roślin o długich, owalnych liściach oraz dzwonki – fioletowe z domieszką zieleni.

Quinn czuła, że oblewa ją gorąco. Jak mam poprosić o coś, co boli na samą wzmiankę o tym? Ale ta kobieta robiła cuda i jeden cud mogła zrobić także dla niej. Tamtego dnia na plaży malutkie dziecko w ramionach stało się antidotum na wszystkie ścigające ją demony – nawet samo wspomnienie tej chwili miało moc i jeśli czegoś się wówczas nauczyła, to tego, że jest nadzieja. Nic nie było stracone na zawsze; pozostało jej coś więcej niż tylko życie ze wspomnieniem mężczyzn, którzy ją gwałcą, biją, upokarzają; to nie był koniec wszystkiego. Gdyby tak uważała, równie dobrze mogłaby się poddać.

– Kogo szukasz? – Głos doszedł do Quinn spod ogromnego parasola ze zwisających gałęzi wierzby.

Kobieta była w średnim wieku, miała piegi i cerę tak jasną, że wydawała się przezroczysta, długie włosy nieokreślonego koloru, typowe dla rudzielców, których włosy z wiekiem nie siwieją, lecz się odbarwiają. Kobieta wyjęła zza pazuchy kurtki fajkę i mały

woreczek tytoniu. Ruchem takim, jakby łaadowała broń, wsypała szczyptę tytoniu w okrągły otwór i uбиła kciukiem, nawet nie spojrzawszy w dół.

– Jak się nazywasz? – Quinn zdołała wydobyć z siebie tylko tyle. Zabrzmiało to zbyt obcesowo, prawie niegrzecznie.

– Jak się nazywam? – Trzymając fajkę między zębami, kobieta potarła drewnianą zapalną, poczekała, aż się rozпали, i przybliżyła płomień do tytoniu. – Masz tupet, żeby wejść na mój teren i pytać, jak się nazywam.

– Jestem Quinn. Nie chciałam być nieuprzejma.

– Quinn. Oryginalnie. – Zamyśliła się, jakby ją to zastanowiło. – Jesteś tak mądra, jak sugeruje twoje imię?[2]

– Nie wiem – odparła Quinn, a gdy głowę kobiety otoczył kłęb dymu, poczuła unoszący się wokół nieznany zapach. – Jak mam się do pani zwracać?

– Aella.

– To włoskie imię?

– Możliwe.

Na rozciągniętym między wierzwą a dachem przyczepie sznurze do suszenia bielizny wisiał królik, głową do dołu; przez małe nacięcia w sierści na nogach widać było skórę. Z szyi zwierzęcia wolno spływała krew gęsta jak melasa. Na ziemi stała miska, z której siorbało tę krew kilkoro obryzganych na czerwono maleńkich kociąt.

– Czego chcesz?

Quinn nigdy nie sądziła, że będzie w stanie głośno wypowiedzieć swoje życzenie. A przy tym coś w tej kobiecie, Aelli, o szarych włosach i piegach rozrzuconych pozornie na chybił trafił, ale w idealnym porządku, kazało Quinn milczeć. Nie było sposobu, żeby tak po prostu przyszła i powiedziała, czego chce.

– Wróżby – zdołała w końcu wyrzucić z siebie Quinn. – Chcę, żebyś przepowiedziała mi przyszłość. Ile?

– To nic nie kosztuje. Ale możesz dać tyle, ile uznasz za stosowne. Ile masz?

– Zapłacę dziesięć dolarów.

– Podejdź bliżej.

Usiadły przy małym stoliku pod wierzbą. Na kawałku białego jedwabiu Aella dwa razy potasowała talię kart i wyłożyła trzy z nich. Były większe niż zwykłe karty do gry, kolorowe, różniły się od talii, które Quinn знаła. Jedna z wyłożonych kart przedstawiała królową na tronie, odwróconą do góry nogami. Druga, po lewej – mężczyznę z mieczami sterczącymi z torsu i zniekształconą twarzą. Zanim Quinn zdążyła spojrzeć na trzecią kartę, Aella zebrała wszystkie i przetasowała talię.

– Powiedz mi, dlaczego naprawdę tu jesteś, Quinn.

– Nie mogę – odparła Quinn bez zastanowienia. – Po prostu nie mogę. Może przejdziemy do wróżby?

– Wygląda to na sprawę życia i śmierci. Chcesz, żeby ktoś umarł? O to chodzi?

– Nie, nic takiego.

– A więc co? – Aella przerwała na chwilę, by wciągnąć dym z fajki. – Gdzie mieszkasz?

– Przy drodze 2410, z mężem. Farma Creel Hollow.

– Aha – powiedziała Aella i przekrzywiła głowę. – On wie, że tu jesteś?

– Nie.

– Macie dzieci?

– Jeszcze nie. – Quinn próbowała panować nad głosem, lecz jej się nie udało. – Nie – powtórzyła – nie mamy dzieci.

– On cię zdradza?

– Nie, jest dobrym człowiekiem.

– Dobrym człowiekiem. – Aella zachichotała. – Wszyscy ci Creelowie chodzą z głowami w chmurach. Gdyby nie to, że farma przechodzi z ojca na syna, mieszkaliby pod mostem.

– Moglibyśmy sprzedać farmę i przeprowadzić się do jednego

z tych nowych domów z wykładzinami dywanowymi i garażem.

– Nie znam Creela, który nie mieszkałby na farmie. Co on lubi robić, ten twój mąż?

– Nie rozumiem.

– Jego dziadek hodował króliki podczas wielkiego kryzysu. Nie miał serca, żeby je zabijać ani jeść, więc nie wiodło mu się zbyt dobrze. Tata Nolana krótko pracował w fabryce Forda w Dallas. Potem założył sad i zabrał się do malowania. Malował głównie owoce. Od czasu do czasu banany lub winogrona, ale przede wszystkim jabłka. Któregoś dnia jego żona wzięła zapalki i podpaliła stodołę. Spaliły się wszystkie obrazy. Setki obrazów. Ona też się spaliła. Tak przynajmniej słyszałam.

Quinn nie wiedziała nic o dziejach rodziny Creelów, ale w stodole było miejsce przykryte brezentem. Nigdy nie zadała sobie trudu, by tam zajrzeć.

– Spaliła się? – Quinn zmarszczyła czoło. – Nigdy o tym nie słyszałam.

– Ci Creelowie, mężczyźni, zawsze wychodzą bez szwanku, tak się wydaje.

– Nolan poszedł do college’u.

– I skończył?

– Tak, jest prawnikiem.

– W takim razie powinien mieć kancelarię w śródmieściu. Nazwisko Creel dużo znaczy w tej okolicy. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Quinn przekrzywiła głowę.

– Jakie pytanie?

– Co on teraz robi. Nie hoduje królików. Nie maluje jabłek. Co robi?

– Prowadzi farmę – skłamała Quinn.

– Twój czas minął.

– Nie powiedziałaś mi, co zobaczyłaś w kartach – nie poddawała się Quinn.

– Nie przyszedłeś tu na wróżby, właśnie to powiedziały mi karty. I wciąż nie mówisz prawdy.

– O czym?

– O tym, co ci leży na sercu. O tym, dlaczego tu przyszedłeś.

– On nie robi właściwie nic. Spędza dużo czasu w szopie. Nie chce mi powiedzieć, co tam robi – wyjaśniła Quinn, składając ręce na podółku.

Aella roześmiała się, melodyjnie, jakby powtarzała jakiś motyw muzyczny.

– Od królików do owoców i jakiejś szopy. Możesz po prostu pójść i zobaczyć, wiesz o tym? – Ziewnęła, odsłaniając drobne żółte zęby. I niczym podpalaczka wracająca, by powąchać popioły, dodała: – Jesteś bardzo spięta, coś ukrywasz. Powiesz mi, czego ode mnie oczekujesz?

– Tak – odparła Quinn, ale nic nie powiedziała.

– Mam rozmaryn na ciśnienie, aloes na trawienie, echinaceę na infekcje. Każde zioło, jakie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Powiedz mi, co ci dolega.

Quinn milczała.

– Q., musisz ze mną porozmawiać. Słyszałam już wszystko, uwierz mi, wszystko. I dużo więcej.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała po krótkiej chwili Quinn. – Chcę mieć dziecko.

Zapadło długie milczenie, Aella paliła fajkę, Quinn ją obserwowała. A więc wreszcie powiedziała to na głos. Teraz nie ma już odwrotu.

– Chodzisz do kościoła?

– Co niedzielę.

– Dlaczego nie poprosisz swojego Boga o dziecko? Dlaczego przychodzisz do mnie?

– Nie słucha moich próśb.

– A więc twój Bóg ci nie pomaga?

– Tak. Nie pomaga.



- To będzie cię kosztowało.
- Mam pieniądze. Dużo pieniędzy.
- Nie o nich mówię. – Aella zachichotała. – To będzie cię kosztowało w inny sposób.
- Rozumiem.
- Czyżby?
- Po prostu powiedz mi, co muszę zrobić. Dla dziecka zrobię wszystko. – Mimo że jej serce waliło jak młotem, Quinn uśmiechnęła się do starszej kobiety.
- Przede wszystkim musisz zrozumieć, o co mnie prosisz. To jest niejasne. Zupełnie niejasne. Musisz wrócić do domu i wszystko przemyśleć.
- Wiem, czego chcę. Nie obchodzi mnie jak. Chcę tylko dziecka.
- Wiem, czego chcesz, ale ty nie wiesz, co to z sobą niesie. Pokaż mi swoje ręce.

Quinn wyciągnęła obie dłonie wnętrzem do góry, Aella ujęła je, delikatnie wodziła kciukami po liniach papilarnych. Pochyliła się do przodu, włosy jej się nastroszyły, a z ust popłynął potok słów nieznanymi Quinn, wypowiedzianych ostrym, przenikliwym głosem, jakby przy akompaniamencie dźwięku cymbałów. Potem Aella wytarła dłonie Quinn swoją dłonią.

- Ile masz pieniędzy?
- Quinn wymieniła sumę równą tej, którą miała w kopercie.
- Czy znasz fazy księżyca?
- Znam. – Quinn pamiętała, że Nolan opowiadał jej o przesądach związanych ze stawianiem płotów; aby stały prosto, drewno należało ciąć, gdy księżyc ubywało, natomiast aby gonty leżały płasko, trzeba było je wycinać, gdy księżyc był niewidoczny.
- Wróć pierwszej nocy pełni. I zapisz to, co ci podyktuję. Będę potrzebowała kilku rzeczy.

Quinn poszperała w torebce, znalazła stary paragon ze stacji benzynowej i zaczęła pisać. Pierwsze trzy rzeczy wydawały się

dość proste do zdobycia. Gdy Aella wymieniła czwartą, pióro Quinn zawisło w powietrzu.

– Mówiłam, że trzeba będzie zapłacić. A jeśli to cię niepokoi... – Aella wskazała kartkę – nie mogę ci pomóc. Bo to jest dopiero początek. Jak mówiłam, wróc z pieniędzmi i rzeczami z listy pierwszego dnia pełni. Albo w ogóle nie przychodź. – Quinn przyglądała się, jak kobieta opróżnia fajkę, pukając nią o pień wierzby. – Prośenie o dar życia nie jest dla bojaźliwych. A życie nie jest za darmo. Zawierasz pakt i nie ma o czym mówić.

Quinn przebierała palcami po papierze, zastanawiając się, czy pokutowanie przez całe życie, ale bez nadziei zbawienia, to najgorsze, co może sobie wyobrazić. Pomyślała o Nolanie, o planach związanych z domem, w którym chciała mieszkać – już niemal czuła pod stopami puszystą wykładzinę, wdychała zapach świeżej farby – i o swoim marzeniu. I uznała, że warto dla niego wszystko to poświęcić.

– W porządku – powiedziała. – Skoro tak trzeba, zrobię to.



<sup>2</sup> Imię Quinn pochodzi od irlandzkiego nazwiska O'Quinn, po gaelicku O'Cuinn, czyli potomek Conna (*conn* – mądrość, rozsądek, inteligencja) – przyp. tłum.

# Rozdział siedemnasty

## Aella

Wszystkie kobiety z rodziny Bujnych urodziły się podczas burzy. Gdy wychodziły z łon swoich matek, powietrze było naładowane elektrycznością, niebo wydawało pomruki. Bujnowie byli szaleni, Aella słyszała to wiele razy, wątpiła jednak, czy należało winić za to tylko kobiety. „Wiedziały, jak ich wybrać”, zwykła mówić jej babka, „ich”, czyli mężów. Szaleństwo pochodziło więc z obu stron rodziny.

Ojciec Aelli zabił człowieka. Z zimną krwią, jak mówiono. Zaczęło się od drobnostki, naprawdę, od sprzeczki, padły ciężkie słowa i jeszcze mocniejsza odpowiedź, ot, komentarz męczyzny zamroczonego alkoholem, ale jej tato nie odpuścił. Nie był dobry w odpuszczaniu. Sędzia stwierdził, że ojciec wiedział, co robi, nie było to więc morderstwo w afekcie, Aella nie miała jednak w tej kwestii pewności. Uważała, że aby odebrać komuś życie, trzeba być w swego rodzaju afekcie, może nie jakimś szalonym w danym momencie, ale jej tato miał w sobie pasję tego rodzaju, że mogła ona wzmóc się i zamienić w coś całkiem innego, tak jak wtedy, gdy spotkają się gorące i zimne powietrze i zanim człowiek się zorientuje, już zanoszą się na coś groźnego.

– Ale dajmy sobie spokój z tą historią o moim tacie – mówiła Aella, gdy ludzie ją pytali. – To było dawno temu i nikogo nic już nie obchodzi.

Jej prababka przybyła z Polski i osiadła w Appalachach. Aella często ją pytała, dlaczego wybrała te góry, a ona odpowiadała, że gdy opuści się rodzinną ziemię, drzewa i góry, próbuje się

znaleźć miejsce do życia przypominające to, z którego się pochodzi. Niemcy osiedlali się na Środkowym Zachodzie, Rosjanie zaś na Północnym Wschodzie. Ani jedni, ani drudzy nie potrafili żyć bez śniegu, wyjątych wiatrów, długich nocy i ciemnych dni. Zmarnieliby na Florydzie, w Teksasie czy Luizjanie – było tam zbyt wilgotno i gorąco, aby mogli znieść to ludzie mający we krwi tundrę czy niemieckie lasy. Babka opowiadała Aelli o Polsce, o tym, że prawie dziewięćdziesiąt procent powierzchni tego kraju zajmują lasy.

Odkąd Aella pamiętała, jej matka siadywała przy ogniu i śpiewała dziwne piosenki – polskie, jak przypuszczała Aella, choć nigdy nie słyszała jej mówiącej w języku ojczystym – odmierzając jednocześnie paski skóry na kilka długości przedramienia. Wiązała na nich węzły, w których umieszczała różne rzeczy, czasem piórka lub kości, czasem gałązki wierzbowe albo kamyki. I śpiewała, a jej głos z każdym węzłem przybierał na sile, aż w końcu powstawał długi sznur, który matka wieszała przy kominku. Niekiedy te sznury znikają z dnia na dzień, zdarzało się też, że rozwiązywała po jednym węźle każdego dnia, a potem wyrzucała sznur do pobliskiego strumienia.

Ani babka, ani matka Aelli nie przepracowały w życiu dnia w sposób, który w powszechnym mniemaniu uchodził za pracę, a zwłaszcza ciężką pracę, ale jakoś dawały sobie radę. Wróżyły z fusów herbaty i sporządzały balsamy z roślin, których Aelli nie wolno było dotykać. Ludzie z miasta dawali im jedzenie, produkty rolne, pieniądze, wszystko, o co prosiły. Te piosenki, pióra i kości stanowiły część jej dzieciństwa, tak jak u innych dzieci czytanie Biblii i odmawianie różańca.

Wszystkie kobiety w rodzinie Aelli miały dar. Jej babka była uzdrowicielką, leczyła rany, sprawiała, że brodawki i blizny znikają tak szybko, jak kostka lodu zostawiona na słońcu.

Matka miała dar jasnowidzenia. Wystarczyło, by się komuś przyjrzała, a wiedziała o nim wszystko. Pewien listonosz nie

zdołał ukryć swej miłości do innego mężczyzny, choć wszyscy zazdrościli jego żonie i uważali, że był jej bardzo oddany. Córka rzeźnika ukrywała ciążę, matka Aelli wiedziała jednak, że ojcem dziecka był kuzyn dziewczyny. Gdy dentysta chciał przeprowadzić się na Florydę, powiedziała mu, by nie wybierał się w podróż w sierpniu. Nie posłuchał jej i zginął w wypadku.

Najbardziej bogobojni ludzie ufali jej słowom i zwracali się do niej w potrzebie. Aella towarzyszyła matce, gdy ta paliła kadzidła przy ciałach zmarłych i otwierała okna, by wypuścić dym, oraz zasłaniała lustra, aby duchy zmarłych nie błądziły po domu. „Zmarli czasami pozostają i nic dobrego z tego nie wynika; niektórzy nie wiedzą, kiedy odejść, nawet po śmierci – mówiła matka Aelli. – A jeśli nie podejmie się odpowiednich kroków, i nie mówię tu o wieszaniu podkowy nad frontowymi drzwiami, nic nie skłoni duchów do odejścia”.

Aella zamieszkała ostatecznie w Aurorze. Nigdy nie był to jej dom, lecz po prostu miejsce, gdzie się na chwilę zatrzymała.

Pewnego dnia przyszła kobieta, Aella nazywała ją Q., ponieważ nigdy nie mogła przypomnieć sobie jej rzadkiego imienia. Pamiętała nazwiska i twarze, nigdy nie zapominała ludzi, którzy przychodzili do niej po pomoc. Mimo to imię Q. umykało jej, jakby jakiejś części tej kobiety nie udawało się jej uchwycić, jakby było w niej jakieś pęknięcie. Życie ją połamało, rozbiło na ciele i na duszy. Ta kobieta wprowadziła Aellę w niepokój, zdenerwowanie.

A potem spojrzała na jej dłonie i zrozumiała. Linie na obu dłoniach były identyczne, nie widziała czegoś takiego przez całe lata czytania z ludzkich rąk. Lewa ręka pokazywała, kim urodziła się dana osoba, prawa – kim się stała, ale los Q. był przesądzony.

Nic do stracenia, nic do zyskania. Wszystko ustalone raz na zawsze.

# Rozdział osiemnasty

## Dahlia

Następnego dnia po pożarze wracam z Bobbym na farmę. Tym razem wjeżdżamy za linię drzew i parkujemy przed frontową werandą, jakbyśmy wracali do domu po dniu pracy. Podchodzimy do cyprysu, ponieważ interesują nas wzgórki.

To drzewo źle znosi suszę, traci igły. Jest ogołoczone, nagie. Płot za cyprysem pamięta lepsze czasy, obluzowane sztachety ledwie trzymają się szkieletu, równie zmarniałego, jak wszystko na tej farmie. Przypuszczam, że wystarczyłoby jedno kopnięcie albo żeby ktoś się oparł, a prawdopodobnie płot by się zawalił. Trzymają go w całości suche pędy bluszczu wczepione w spękane drewno i szczeliny między sztachetami, oplatające zniszczone deski niczym stado węży. Stoimy i przyglądamy się wzgórkom, ich idealnie owalnym kształtom, zastanawiając się, co może się kryć pod porastającą je trawą.

Mówię Bobby'emu, że farma należy do mojej matki, a on otwiera szeroko oczy. Przez chwilę wydaje się zdenerwowany.

– To farma twojej matki? Dlaczego mi tego nie powiedziałaś ostatnim razem, gdy mnie tu zaciągnęłaś?

– Wtedy nie wiedziałam.

– A co u niej? Co mówi lekarz?

– Fizycznie w porządku. To tylko kwestia ustawienia lekarstw. Tak, żeby nie funkcjonowała jak katatonik ani nie chodziła po ścianach. Dopóki jest w szpitalu, nie może przynajmniej wywoływać pożarów. – Brzmi to dość bezdusznie i czuję się trochę winna, lecz po chwili się uspokajam. – Lekarz mówi, że

będzie w domu za dzień lub dwa.

– Pytałaś ją o tę farmę?

– Zrobię to przy pierwszej okazji, wierz mi.

Bobby rozgląda się dookoła, kręcąc głową.

– Te wzgórki, Dahlio. Nie wydają się naturalne, tutaj wszystko jest zupełnie płaskie. Nie są świeże, na pewno. Nie wiem, co to może być.

Biorę go za rękę. Trzyma moją dłoń, jakby bał się ją zgnieść, i choć zniknęła w jego dłoni, wiem, że Bobby umie obchodzić się z rzeczami małymi i kruchymi na tym świecie. Przez chwilę czuję się, jakbym należała do tego miejsca, jakby istniała długo zapomniana więź między mną a Bobbym i tym miejscem, więź, której zaprzeczałam przez te wszystkie lata. Może chodzi po prostu o tę ziemię. Ta zapomniana przez czas farma w pewien sposób ma nade mną władzę. Rzecz nie w tym, że ją pamiętam – nie przypominam sobie niczego, ani budynków, ani ich otoczenia – ale mam wrażenie, że to ona przypomina sobie mnie, coś w powietrzu mówi, że nie ucieknę, choćbym nie wiem jak próbowała. Jeśli nawet uda mi się pozbyć jej na sekundę, znajdzie mnie za najbliższym rogiem tylko po to, by przypomnieć o swoim istnieniu.

– Musisz coś dla mnie zrobić – mówię i nachylam się do Bobby'ego. Niczym Ewa, która podaje Adamowi jabłko, uwodzicielsko głaszcząc czerwoną skórkę owocu.

– Zrobić coś dla ciebie? – powtarza i przez ułamek sekundy wydaje mi się, że zaraz mnie pocałuje.

Chcę tego tak samo mocno, jak on, wolałabym jednak uniknąć komplikacji. Gdybym zamierzała wyjechać z miasta za tydzień czy dwa, gdybym już postanowiła spędzić życie gdzie indziej, nie zastanawiałabym się ani chwili; chciałabym wiedzieć, jak to jest całować faceta, którego uważam za przyjaciela, jak smakuje subtelna bliskość połączona z radosnym podnieceniem wywołanym spontaniczną... Czym? Przygodą? Wiem, że mam

nad Bobbym władzę, zawsze miałam, wszyscy wokół to zauważali. Nie mogę zaprzeczyć, że chciałabym poczuć jego usta na swoich.

– Wyłam te drzwi – mówię. – Chcę wejść do środka.

Chyba się namyśla. Podałam mu jabłko i teraz się zastanawia, jak ono smakuje. Bobby też chciałby dowiedzieć się czegoś o tym miejscu.

– Jutro muszę wyprowadzić się z domu, pamiętasz? – Nawet ja słyszę sarkazm w swoim głosie. – Nie mogę dłużej bawić się w gierki, Bobby. Nie mogę znów mieszkać w motelu. Jeśli to jest farma mojej matki, równie dobrze możemy mieszkać tutaj. Przynajmniej teraz.

Nie musiałam mówić niczego więcej, Bobby zrozumiał wszystko w lot i bez słowa, bez chwili zastanowienia chwycił gałkę i pchnął drzwi ramieniem. Podobnie jak przedtem, bez rezultatu. Naparł całym ciałem. Drzwi trochę puściły, pokazała się mała szpara przy framudze, zawiasy trzymały jednak mocno, jakby broniły wejścia.

– Nie chcę zniszczyć framugi. Mam narzędzia w samochodzie – mówi Bobby i zbiega po schodkach.

Podchodzę bliżej drzwi i przebiegam palcami po futrynie. Widzę jaśniejszą plamę po czymś, co tu kiedyś było, może po kołatce. I szczelinę na listy.

Ogarnia mnie zmęczenie. Wejście do domu wywołuje nieprzyjemne uczucie, które hamuje moje zapędy. Jakbym była intruzem, zakłócała spokój komuś, kto nie chce być niepokojony. Jest upalny letni dzień, a ja zaczynam dygotać. Mija podekscytowanie, już nie czekam niecierpliwie na tę chwilę – to, że zaraz wejdziemy do środka, nagle przestaje mi się podobać.

– Może nie powinniśmy tego robić? – pytam, gdy Bobby wraca z łyżką do opon w ręce. W głowie brzęczy mi jak w ulu, kolory wokół mnie blakną, świat wygląda jak przykryty pastelowym, psychodelicznym haftem ażurowym.



– Dobrze, Dahlio, czego więc chcesz? – W głosie Bobby’ego słyhać lekkie zniecierpliwienie, można by pomyśleć, że nie mówi o drzwiach, które zaraz wyłamię, tylko o nas. – Po prostu zrobmy to. Odsuń się.

Bobby wsuwa łyżkę do opon między framugę a zamek i porusza nią. Potem oddaje mi łyżkę i mocno popycha drzwi. Zawiasy piszczą i zgrzytają, poddają się, drzwi otwierają się gwałtownie i uderzają o ścianę wewnątrz domu.

Przekraczam próg, choć właściwie należałoby powiedzieć: przechodzę na drugą stronę, bo zupełnie zmienia mi się samopoczucie, natychmiast czuję energię tego domu, jego opuszczonych murów i skrzypiących podłóg. Powietrze jest gorące i stęchłe, unosi się w nim coś niepokojącego, jakaś swojskość, która cofa mnie do zapomnianego już miejsca.

Stojące powietrze pachnie kurzem i drewnem, lecz oprócz woni sprawiających, że jest ono gęste i ciężkie, w tym małym przedpokoju unoszą się zapachy ludzi, którzy tu wchodzili i wychodzili na zewnątrz, zdejmowali buty i je wkładali, gotowi zrobić krok na zewnątrz lub do wewnątrz. Pośrodku przedpokoju leży wełniany dywanik i gdy stawiam na nim stopę, słyszę lekkie skrzypienie.

Dzwoni telefon Bobby’ego, a do mnie dochodzi skądś jego głos; Bobby mówi, przerywa, znów mówi.

– Dahlio! – woła mnie nagle z werandy nagłym głosem.

– Nie odpowiadam, trochę mnie złości, że przeszkadza.

– Praca. Muszę iść.

Wdycham zapach drewna i ścian, by wzmocnić obrazy, lecz niewiele to pomaga. Przychodzi mi to z trudem – może dlatego, że wtrącam się w życie kogoś innego – ale wówczas pojawia mi się przed oczami obraz pokoju na górze. Wiem dobrze, wiem, że nigdy wcześniej tu nie byłam, może więc ten dom i jego zapachy przypominają mi inne domy, w których krótko mieszkałam w dzieciństwie.

Bobby prosi mnie, bym wyszła z domu i pojechała z nim, ale nie mogę. To mniej niż wspomnienie, ale więcej niż sen na jawie.

\*

W pokoju dziennym gapię się na wydruki na ścianie – moją Jane, portret pamięciowy – i jakbym widziała je pierwszy raz, rozpoznaję coś znajomego w podobiznie wsuniętej pod wiszące obok lustro. Staję bez ruchu, wpatrując się w tę twarz, i porównuję poszczególne elementy – usta, nos, policzki, brodę, czoło – z tym, co widzę w lustrze. Dwie twarze zlewają się w jedną. Takie same ciemne włosy, pełne usta, duże zęby, grube brwi. Wyglądam jak ona. Nie sposób zaprzeczyć podobieństwu. A może po prostu widzę siebie w niej?

To się musi skończyć. Zdaję sobie sprawę, że moje zainteresowanie Jane i tą bezimienną kobietą, która jest w gruncie rzeczy nikim, to czyste szaleństwo. Czy miejsce Jane zajęła teraz kobieta z portretu pamięciowego rzekomo podobna do mnie? Całe moje życie przypomina spiralę, nic nie prowadzi w górę lub w dół, tylko zatacza kółka. Przyjazd tu był błędem, ale może wyjazd stąd również nie był dobrym pomysłem. Jestem dokładnie tam, gdzie byłam piętnaście lat temu, jakbym nie potrafiła dokonać mądrzejszego wyboru.

Zdejmuję papiery ze ściany, zbieram w stos i kusi mnie, żeby pozbyć się ich jak najszybciej. Już mam podrzeć na strzępki artykuł z gazety, gdy nie wiadomo dlaczego przerywam i zaczynam czytać. Tutaj, te słowa. To one przykuły moją uwagę. To nazwisko. Widzę litery, potem mi się rozmazują. Ręce przestają mi drżeć, czytam jeszcze raz. Creel.

**Mężczyzna, który złożył doniesienie o zaginięciu kobiety,  
stawiał opór przy aresztowaniu**

## **Aurora, 12 grudnia 1985**

Mężczyzna nazwiskiem Delbert Humphrey stawił się na komisariacie policji w Aurorze i oznajmił, że jego przyjaciółka, kobieta znana mu tylko jako „Tee”, zniknęła z farmy Creel Hollow w Aurorze. Przesłuchiwali go dokładnie dwaj zastępcy, lecz nawet komendant, Griffin Haynes, uznał jego zeznania za bezsensowne. Podczas dalszego przesłuchania Humphrey przyznał się, że nie ma prawa jazdy, nie może również przedstawić zdjęcia zaginionej kobiety. zaproponował jednak, że narysuje jej portret. Gdy policja nadal powątpiewała w jego historię, nalegał na sprowadzenie rysownika. Sporządzono portret pamięciowy tajemniczej kobiety.

Farma Creel Hollow. Mam wrażenie, że mój mózg przestał na chwilę pracować. Czuję się tak, jakbym chciała wspiąć się na górę i za każdym razem, gdy zaczynam, kończę w tym samym miejscu: na farmie Creel Hollow. Nie ma wzmianki o przesłuchaniach innych mieszkańców. Tylko nazwa farmy, której właścicielką jest moja matka.

Nic z tego nie rozumiem. Wkładam portret pamięciowy i wydruki do pudełka. Jeszcze raz rozglądam się dookoła. Nie muszę spędzać tu kolejnej nocy. Chwytam pudełko i wychodzę, a za mną Tallulah.

W drodze na farmę przyglądam się suczce zwiniętej w kłębek na fotelu pasażera. Coś mnie w niej wzrusza. Porzucono ją, chciano się jej pozbyć, minuty dzieliły ją od śmierci na zimnej betonowej posadzce, z igłą wbity w żyłę po to, by zatrzymać jej oddech. Może chodzi nie tylko o nią, lecz także o Jane i zapomnianą kobietę, która nie miała nawet zdjęcia – wszystkie trzy są dla mnie wyjątkowe, ponieważ nikt o nich nie pamięta. Czyżbym zbierała zapomniane istoty, by sprawić, że zaczną coś

znaczyć? Bo w jakiś pokrętny sposób bycie zagubioną wydaje mi się znajome?

Odpędzam te myśli i sięgam po telefon. Potrzebne mi są akta policyjne sprawy Jane i kobiety z portretu pamięciowego. Wybieram numer Bobby'ego i wtedy widzę, że mam osiem nieodebranych połączeń. Wszystkie z tego samego numeru.

\*

– Cieszę się, że mogłaś to zrobić w tak krótkim czasie – mówi doktor Wagner między kolejnymi kliknięciami myszką. Ekran jest tak ustawiony, że z mojego miejsca nic nie mogę zobaczyć. Doktor wydaje się spięty, nie nawiązuje kontaktu wzrokowego tak często, jak zwykle. – Nie zamierzam udawać, że wszystko jest w porządku, Dahlio. Rezonans magnetyczny wykazał coś niepokojącego. EEG potwierdziło, że w czasie badania miałaś łagodny napad.

– Nie przypominam sobie żadnego napadu – mówię i walczę z chęcią odwrócenia ekranu i przestudiowania wyników badań.

– Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że uszkodzenie nerwów w określonym obszarze może spowodować niewłaściwe funkcjonowanie mózgu, który wytwarza urojony zapach. Zapach fantomowy, stąd nazwa fantosomia. Jest to związane z nasileniem napadu. Powiedziałaś mi, że upadłaś w lesie i uderzyłaś się w głowę. Te zapachy, które czujesz, te omdlenia, te... – przerwał, jakby nagle stracił pewność – te wizje, Dahlio. Musimy porozmawiać o twoich wizjach.

– Co z nimi?

– Mogą się wiązać z twoimi obrażeniami. – Doktor pochyla się nad biurkiem, odsuwa na bok teczkę, pióra, papiery. – Fantosomia to stan, w którym występują halucynacje węchowe, percepcja zmysłowa czegoś, czego w rzeczywistości nie ma.

Percepcja zapachu przy jego całkowitym braku. I czasami wizje.

– Wszystko dlatego, że uderzyłam się w głowę?

– Możliwe. Przedstawię ci problem tylko w ogólnych zarysach. Chcę umówić cię na wizytę u neurologa, zanim stąd wyjdiesz. Musisz mi obiecać, że z nim porozmawiasz. Niepokoilem się, gdy nie odbierałaś moich telefonów.

– Byłam zajęta. Wciąż jestem zdezorientowana, choć...

– Po pierwsze, proszę, zawsze odbieraj moje telefony. Po drugie, wypiszę ci receptę na leki przeciw napadom. Po wyjściu z apteki idź do najbliższego automatu z wodą i od razu je zażyj. Neurolog będzie mógł wyczerpująco odpowiedzieć na twoje pytania. Po trzecie, pozwól, że wyjaśnię ci podstawowe rzeczy. Jedną z najczęstszych i dobrze udokumentowanych przyczyn fantosomii są napady padaczkowe. Podczas napadów pacjenci zwykle przypominają sobie, że tuż przed utratą świadomości czuli zapachy.

Patrzę na lekarza bez słowa, zaintrygowana.

– Twój ośrodek węchu wytwarza zapachy, a te zapachy zakłócają funkcjonowanie mózgu. Niektóre objawy, takie jak cienie czy ruch widziany kątem oka, wydają się niegroźne, są jednak o wiele poważniejsze, niż mogłoby się wydawać, w chwilach, gdy występują. Będą się nasilały i w rezultacie doprowadzą do cięższych napadów albo, co gorsza, do uszkodzenia płata skroniowego.

Te zapachy. Śnieg. Widmowa kobieta na farmie. To wydawało się realne. Tak samo rzeczywiste jak fakt, że tu siedzę. Czuję pod sobą krzesło, podłogę pod stopami, kluczyki samochodowe w ręce.

– Z powodu upadku? – Żadne inne pytanie nie przyszło mi do głowy.

– W tym rzecz. Nie mamy pewności. Możliwe.

– To wszystko? – Mam wrażenie, że konsekwencje mogą być poważniejsze, niż mówi doktor. Że jest coś więcej.

– Nie możemy jeszcze potwierdzić urazu z powodu upadku, nie w tej chwili. Próbuję powiedzieć, że wiemy, iż upadłaś, uderzyłaś się w głowę i nadłamałaś ząb, nie możemy jednak mieć pewności, jaki ma to związek z zapachami i wizjami, o których mi opowiadałaś. – Krótka przerwa. – Drugą główną przyczyną fantosomii są zaburzenia nerwowe takie jak schizofrenia, przy której mamy do czynienia z dobrze udokumentowanymi przypadkami halucynacji, najczęściej wzrokowych i słuchowych.

Schizofrenia.

Sparaliżowana patrzę na doktora Wagnera; jego usta się poruszają, ale nie słyszę, co mówi. Dzwonienie w uszach zagłusza wszystko inne. To słowo sprawiło, że czuję się, jakbym dostała w głowę. Nie jedną, ale tysiącem cegieł naraz. Chce mi się śmiać, głośno, z samych trzewi, odrzucić głowę do tyłu i po prostu ryknąć: „Nie słyszę głosów!”. Tak nie jest, głosy nie mówią mi, co mam robić. Nie obchodzi mnie, co sądzi ten człowiek. To się dzieje z jakiegoś powodu, ale nie jest nim choroba umysłowa. Ale chyba rozumiem, co on teraz mówi. Nie, nie „chyba”, rozumiem go bardzo dobrze. Jego słowa już nie robią na mnie wrażenia, kryje się w nich jednak wyraźna sugestia. Przyczyną tego, co się stało, jest moja matka. Analizuję to zdanie na wszelkie możliwe sposoby. W końcu wyrzucam z siebie chrapliwym głosem:

– Mówi pan, że to z powodu mojej matki.

– Twoja matka w żaden sposób...

– Czy gdyby pan nie znał mojej matki, też by mi pan powiedział to, co właśnie od pana usłyszałam? Od upadku w lesie przez obrazy i zapachy do schizofrenii. Dobry przeskok. Moim zdaniem zakłada pan możliwość, że jestem schizofreniczką z powodu mojej matki.

– Niczego takiego nie powiedziałem, Dahlio. Nie wiązę diagnozy co do stanu twojego umysłu z zachowaniem twojej matki. Ale fakt, że uważasz to za „dar”, daje mi powody do niepokoju.

– Musi pan wiedzieć o wiele więcej. Jeszcze nie powiedziałam panu wszystkiego. Znalazłam artykuł o mężczyźnie, który zgłosił zaginięcie kobiety, dziesiątki lat temu. Nie ma jej zdjęcia, ale zrobiono portret pamięciowy, cóż, może nie jest to dobry rysunek, tylko taka składanka z poszczególnych części twarzy... Tak czy inaczej mam ten portret na ścianie, zdjęcie Jane również, a ta kobieta z portretu... Niech pan posłucha, wyglądam dokładnie jak ona. Powinnam przynieść te wydruki, ale przeprowadzam się, a one są w pudełku, wie pan, ten pożar, opowiadałam panu o nim? Ostatnio nachodziły mnie wspomnienia, dużo wspomnień. O tym, jak dorastałam, o przeprowadzkach, o tym, jak pakowałyśmy się w środku nocy, ale im więcej wspomnień wraca, tym mocniej wierzę, że... – Że co?

Tylko pogarszam sprawę. W szeroko otwartych oczach doktora Wagnera nie widać zrozumienia. Te oczy zdają się mówić: „Patrzcie na tę szaloną kobietę, ale się rozgadała”. Czy wspomniałam mu o wizjach i o tym, że bardzo się przejmuję kobietą, która zniknęła dziesiątki lat temu? Biorę głęboki oddech i zbieram się w sobie. Bezwiednie prostuję nawet plecy, jakby lepsza postawa mogła skłonić doktora, by mi uwierzył.

– Chętnie pójde do neurologa, ale teraz potrzebuję chwili, żeby się z tym wszystkim uporać.

– Rozumiem. – Doktor patrzy na zegarek, potem zdejmuje okulary i zaczyna przecierać szkła szmatką. – Proszę odebrać te lekarstwa i od razu je zażyć. Wychodząc, umówisz się na wizytę, dobrze?

– Oczywiście – kłamię.

Odbieram lekarstwa w aptece, ale nie umawiam się na wizytę. Jeszcze nie teraz.

Gdy idę przez parking, czuję się bardziej zdeterminowana niż kiedykolwiek. Coś jest nie w porządku, po prostu wiem i nie zamierzam się poddać. Każdego innego dnia

rozpamiętywałabym to, co powiedział mi lekarz, ale dziś tego nie robię. Zabawne, jak szybko mogę po prostu wyrzucić z głowy słowo „schizofrenia”. Nie należę do ludzi, którzy stoją na rogu ulicy, wykrzykując o Jezusie albo o ścigających ich demonach. Nie jestem szaleńcem biegającym dookoła i niezastanawiającym się, co będzie jutro. Jestem samodzielna od osiemnastego roku życia. Nie wierzę, że w okolicy grasuje seryjny morderca, nie wierzę w istnienie jakiegoś sekretnego stowarzyszenia przetrzymującego kobiety; uważam tylko, że historie pewnych ludzi z mojego otoczenia mijają się z prawdą. Na przykład mojej matki. A w tym nie ma nic szalonego.



# Rozdział dziewiętnasty

## Memphis

Ostatni pobyt w szpitalu dał Memphis czas, by mogła sobie wszystko poukładać. Popełniła błędy. Najpierw zgubiła torebkę, a potem był ten pożar. Wszystkie te papiery, wybrane na chybił trafił zdjęcia, dokumenty, nie umiała utrzymać ich w porządku, nie wiedziała, co spalić, a co zachować. Początkowo żółte płomienie były posłuszne, ledwie przypalały brzegi kartek, ale później Memphis straciła cierpliwość i polala je zmywaczem do paznokci, który rozprysnął się po podłodze, a wówczas ogień wymknął się spod kontroli. Zapaliła się zasłonka, ją samą zaczął dusić czarny dym, patrzyła bezradnie na skaczące wokół niej płomienie. Ogarnął ją dziwny spokój, zastanawiała się, czy nie zamknąć drzwi na klucz i pozwolić, by ogień pochłonął to wszystko, włącznie z nią. Ale Dahlia wyciągnęła ją z kłębow dymu i zdołała otworzyć okno. Przyjechała straż pożarna, a Memphis nie mogła już sprawdzić, które papiery się spaliły, a które ocalały.

A teraz Dahlia wiezie ją na tę farmę. Memphis patrzy prosto przed siebie z całą obojętnością, na jaką potrafi się zdobyć. Nie jest pewna, co by zrobiła, gdyby nie pigułki, które ją uspokajały i odprężały. Całą sobą czuje każdy zakręt, każdy metr drogi, każdy wybór. Zaraz pojawi się znacznik 78. Dahlia musiała zrobić jakieś poszukiwania, dowiedzieć się czegoś o farmie. To jej metoda, ciągle wypytywanie i dochodzenie odpowiedzi.

Gdyby nie świerszcze, te przekłete świerszcze – w zeszłym roku plaga ropuch wcale jej nie poruszyła, choć drogi były usiane

rozjechanymi trupami przypominającymi duże kawałki gumy – nie wpadłaby w panikę, nie zgubiłaby torebki, nie straciłaby głowy i wróciłaby do domu, a Dahlia nawet nie zauważyłaby jej nieobecności. Ale nie, tamtej nocy świerszcze cykały, zaczęły eksplodować wokół niej jak fajerwerki. Gdy patrzyła na cyprys, to cykanie rozrywało jej bębunki w uszach, wszystko wróciło, panika zaczęła narastać, a potem było już za późno. Zaczęła się załamywać. W chwili, gdy układała martwe świerszcze na podłodze pokoju dziennego, wiedziała, że nie ma już odwrotu.

W świetle dnia Memphis widzi, że okolica wygląda tak samo, ale jednocześnie jakoś inaczej, wszystko jest tam, gdzie było, wszystko, ale zmieniły się drogi, teraz znajdują się na nich białe linie, nie ma żwirówek ani wybojów jak dawniej. Jestem w wehikule czasu, myśli Memphis, ale takim, jak można by się spodziewać, bez tuneli, bez przeciskania się przez coś zbyt małego, by mogła się swobodnie poruszać. Po prostu zwykłe mrugnięcie oczami i bach!

Słyszysz głos dochodzący gdzieś z daleka. Ostatnio Dahlia nie przestaje jej dręczyć, zadaje pytania, rozwodzi się nad sprawami, o których nic nie wie. Dzieci są okrutne, zachłanne i samolubne, obchodzi je tylko to, co chcą dostać.

Memphis zupełnie nie boi się o córkę. Ta dziewczyna jest silna. Wychowała ją tak, żeby była twarda i nieustępliwa, umiała radzić sobie sama. Jest odporna. Memphis zastanawia się, jak duży miała udział w tym, kim jest dziś Dahlia, dziewczyna, która wyjechała z Aurory, nie oglądając się za siebie, i radziła sobie sama. Ale potem, po latach, ni z tego, ni z owego wróciła do pogardzanego przez siebie miasta. Mogła to być pozostałość tamtych lat, gdy podróżowały – to naprawdę najłagodniejsze określenie dla ciągnięcia dziecka po całym kraju – zostawiając za sobą jedno miejsce po drugim, i może dlatego Dahlia też umiała tylko uciekać i zostawiać wszystko. Czyż Memphis sama jest dowodem na to, czym musi się skończyć całe to uciekanie?

Powrót Dahlii wywołał zamieszanie, sprawił, że ich rozstanie okazało się tylko tymczasowe – to dziecko kusiło los, zmuszało go do interwencji.

Na każdym kroku popełniała podobne błędy. Przed wielu laty porzuciła farmę, wyjechała z Aurory i z hrabstwa Bertram, a w końcu ze stanu – najpierw do Nowego Meksyku, potem do Nevady. W końcu przez pewien czas krążyła po Kalifornii. Dopiero gdy takie życie stało się nie do zniesienia, postanowiła wrócić tam, gdzie się wszystko zaczęło.

Od tak dawna uciekała, ukrywała się, maskowała, trzymała z dala od ludzkich oczu – wszystkich tych określeń używała Dahlia, gdy była jeszcze dziewczynką, wszędzie zabierała ze sobą ciężką encyklopedię i dzień w dzień recytowała hasła – że powrót na farmę przypominał wręcz powrót do domu. Ironia losu, Memphis doskonale to rozumie. Teraz wszystko się skończyło; nie będzie więcej oglądania się za siebie, wzdrygania się na dźwięk dzwonka do drzwi, układania świerszczy, aby ich chrzęst zapowiedział gościa. Już po wszystkim.

Gdy z prawej strony pokazuje się droga gruntowa, zaledwie kilka metrów dalej, za starą drewnianą ławką, Memphis ledwie udaje się zauważyć to miejsce, choć musiała jeździć tą drogą setki razy. Ale droga jest teraz wąska, zarośnięta i niewidoczna z szosy. Gdy na końcu podjazdu ukazuje się dom, Memphis wydaje się, że płonie od środka, próbuje więc o niczym nie myśleć. Jeszcze chwila i się załamie, a głosy, które słyszy, wzniesą pożar, choć przez wszystkie te lata udawało jej się do tego nie dopuścić. Może tylko powstrzymywać myśli, lecz ręce ją zdradzają, trzęsą się i jest to coś zupełnie nowego. Z każdym drgnięciem słysząc trzeszczenie kości, a ona usiłuje się trzymać.

Dahlia zatrzymuje samochód, wyłącza silnik. Odwraca się, by sprawdzić, co z psem, a Memphis, nie mogąc nic na to poradzić, uznaje, że wszystkiemu winna jest córka. Nie dlatego, że zrobiła coś złego, ale dlatego, że – Memphis ma przebłysk jasnego

myślenia, mętlik w głowie ustępuje – Dahlia przypomina jej o wszystkich popełnionych uczynkach, wykroczeniach i zaniechaniach. Ta chwila na farmie nie przydarzyła się przypadkiem; wyglądało na to, że przez minione trzydzieści lat każdy powiew wiatru, każda kropla deszczu, każdy opadający liść, wszystko sprzysięgło się, by je obie tutaj dziś sprowadzić.

Wysiadają z samochodu, pył pod stopami Memphis wydaje się delikatniejszy, bardziej przyjazny, jakby lata bez żywej duszy chodzącej po posiadłości zmiękczyły ziemię. Spodziewała się wiru pyłowego, ponieważ zwykle się pojawiał, lecz nieoczekiwanie zobaczyła tylko niewyraźną plamę wirującego brązowego pyłu. Powiadają, że w ten sposób śmierć pokazuje się żywym jako przejrzysta brązowa mgiełka. Memphis chce zachichotać, ale to nie powód do śmiechu. Odważnie się odwraca.

Szopa stoi tam, gdzie zawsze.

Nagle nie jest już Memphis, lecz kobietą, którą była lata temu, bardzo czynną, i to ta kobieta pozwala Dahlii zawlec się w stronę szopy.

– No, chodź – mówi Dahlia i bierze matkę za rękę, odciągając ją od samochodu. – Rozejrzyjmy się tutaj.

Nie idź tam, chce powiedzieć Memphis, nie wchodź do tej szopy. Jest nawiedzona. Ale słowa nie chcą przejść jej przez gardło.

Wzdycha więc ukradkiem, by Dahlia nie zauważyła, a to westchnienie oznacza koniec rozmyślnych wysiłków z jej strony, by zachować czujność – wysiłków, które tak mocno weszły jej w krew, że czujność stała jej drugą naturą – i tak oto zaczyna się jej upadek.

Memphis czuje, że coś w niej pęka, na razie rzedną jej włosy, wkrótce jednak nie będzie w stanie utrzymać na miejscu tego wszystkiego, co ukrywała w sobie przez całe lata. Nagle widzi świat dookoła siebie, spływa na nią jakiś rodzaj boskiego objawienia – ta farma to nie tylko stary, zniszczony dom, lecz

także coś, co trwa, żyje. I chce ją wykończyć.

# Rozdział dwudziesty

## Dahlia

Bałam się tej chwili, ale w końcu tu jesteśmy. Chcę zatrzymać się na poboczu, wziąć matkę za rękę i delikatnie poruszyć ten temat, lecz zmieniam zdanie. Matka wie, że jest właścicielką farmy, i nie chodzi o to, że trudno mi o tym rozmawiać. Ona nie chce, by ktoś się wtrącał w jej sprawy – nawet ja, jej córka – ale jesteśmy tu, czy jej się to podoba, czy nie, a ja muszę wiedzieć, jak to się stało, że przekazano jej prawo własności tak dużej nieruchomości i jaki to ma związek z życiem, które prowadziłyśmy.

– Spakowałaś wszystko z domu? – pyta matka, trzymając ręce na kolanach.

– Większość rzeczy jest w przechowalni. Niektóre w nowym miejscu.

– A gdzie jest to nowe miejsce? – dopytuje się matka.

Dlaczego porzuciła farmę? Po co ta tajemnica? Matka chce wierzyć, że jej włóczęgowski styl życia wyrażał dążenie do wolności, było jednak odwrotnie. Tak, mogłyśmy spakować się i wyjechać, upchnąć nasz dobytek w bagażniku i na tylnym siedzeniu każdego samochodu, jakim właśnie jeździłyśmy, i po prostu ruszyć przed siebie, lecz jednej rzeczy nigdy nie miałyśmy – wyboru. Byłyśmy rzeczywiście wolne, w tym sensie, że nic nas nigdzie nie trzymało, ale nie miałyśmy wolności wyboru, gdzie mieszkać, gdzie pracować. Musiałyśmy mieszkać tam, gdzie nie żądano czeków ani referencji od poprzednich wynajmujących. Matka wykonywała prace niewymagające kwalifikacji i prawdopodobnie karty podatkowej czy przedstawienia

życiorysu. Byłyśmy wolne, ale w granicach wyznaczonych przez ubóstwo środków, którymi dysponowała matka. Fakt, że była przecież właścicielką farmy, rodzi pytania. Przeniesienie prawa własności to zupełnie inna kwestia. Wyobrażam sobie konsekwencje prawne, ale nie poznam ich, dopóki nie zapytam.

Od czego zacząć? „Nie chcę cię denerwować, ale... Wiem, że ty wiesz, dokąd jedziemy. Dlaczego to miejsce jest zapisane na ciebie? Kim jest Quinn Creel i jak to się stało, że przekazała ci całą farmę?” Powtarzałam to sobie w myślach wiele razy, zastanawiałam się, czy postawić na szczerłość, czy postępować delikatnie, i postanowiłam po prostu pozwolić, by wszystko potoczyło się swoim torem.

– A więc jest taka sprawa – mówię, patrząc wprost przed siebie i uważając na drodze bardziej, niż jest to konieczne. Złości mnie fakt, że matka zachowuje się tak, jakby nie obchodziło jej, gdzie jesteśmy. Opowiadam, jak znalazłam jej torebkę i słoiki ze świerszczami, jeden na oknie na farmie, a drugi pod zlewem w jej domu. Mówię o akcie własności z administracji hrabstwa i tym znalezionym w resztkach ocalałych z pożaru, który wywołała. – Farma Creel Hollow – dodaję.

Matka nie wypowiada ani jednego słowa. Przygląda się widokom za szybą, wyjechałyśmy już z miasta, patrzy więc na szachownicę pól, samotny płot odgradzający zieleń od żółci, brąz od złota. Zaczyna drzeć, nie jest to jednak dygot całego ciała, raczej ciche drzenie płynące z głębi trzewi.

Mówię, że jest mi winna prawdę.

Matka wciąż patrzy przed siebie. Pozwalam jej milczeć, przemyśleć wszystko, co wymaga przemyślenia, w nadziei, że uporządkuje w głowie fakty.

Gdy jedziemy drogą gruntową, kręci się w fotelu, uważnie przyglądając się otoczeniu, jakby wypatrywała jakiegoś niebezpieczeństwa.

Dojeżdżamy na farmę. Matka jest spokojna, tylko wciąż trzęsą

jej się ręce. Stara się panować nad swoim ciałem, lecz ręce wymykają się spod kontroli.

Wysiada z samochodu, idzie prosto w stronę werandy i wyciąga z torebki wachlarz, bardzo ozdobny, z czarnym frędzlem. Zastanawiam się, gdzie ona kupuje takie rzeczy. Jest w sukience i pełnym makijażu, pomalowała nawet paznokcie – niestarannie, ale pomalowała. Bez przerwy się wachluje, a ruchy wachlarza sprawiają, że jej twarz staje się niewyraźna jak na źle zrobionym zdjęciu.

– Jest tu elektryczność? – pyta, jakby to był warunek pozostania tutaj. Próbuje ukryć drżenie rąk, ale znam ją dobrze i wiem, że jest zaniepokojona, ponieważ nie sposób ukryć rąk, gdy używa się wachlarza.

– Jest elektryczność – zapewniam. – Zamówię kilka klimatyzatorów podokiennych, żeby było tu chłodniej. – Oczywiście, jak już znajdę pracę. Zawsze mogę sprzątać domy. Może uda mi się załatwić umowę na podwykonanie w miejscowej szkole. Sprzątaczkę są potrzebne, ludzie wszędzie bałaganią. – Hydraulik może zjawić się w każdej chwili – dodaję, przyglądając się drodze.

Naprawa elektryczności to nic trudnego, ale woda stanowi problem, jakiego sobie nawet nie wyobrażałam. Myślałam, że po prostu zadzwonię do urzędu miasta i poproszę o włączenie wody, powiedziano mi jednak, że nie ma dokumentów świadczących, że do farmy Creel Hollow kiedykolwiek dostarczano wodę, a więc na terenie posiadłości musi być studnia.

Patrzemy obie na warcząca białą furgonetkę z niebieskim napisem, która z trudem zмага się z wybojami na podjeździe. Drabina na dachu samochodu podskakuje i zsuwa się na boki, ale nie spada.

Hydraulik dotyka brzegu czapki, mijając moją matkę, która siedzi z nogą założoną na nogę i wachlarzem na kolanach.

– Madame – wita się, a ja wiem, że przygląda się jej wciąż



szczupłym, opalonym nogom. Zawsze była atrakcyjna i nadal jest, choć przekroczyła już sześćdziesiątkę.

Hydraulik sprawdza studnię przy stodole – obudowa wystaje z ziemi na mniej więcej trzydzieści centymetrów – a potem wraca do furgonetki po narzędzia i części. Zgadza się wysłać rachunek pocztą, a ja oddycham z ulgą.

– I po kłopotcie – mówię do matki po odjeździe fachowca. Siedzę obok niej na werandzie, z brudnym słoikiem spod kuchennego blatu w ręce. – Wymienił części i mamy bieżącą wodę, ale trzeba zbadać jej czystość.

Matka się wachluje, patrząc na prawo, na łąkę, która wygląda jak dywan z kwiatów polnych w pełnym rozkwicie.

– Muszę znaleźć czysty pojemnik na próbkę wody. Masz jakiś pomysł?

– Użyj po prostu plastikowej butelki – odpowiada.

– Zobaczymy, czy w szopie jest coś, co się nada? – nie ustępuję.

– Moja noga nie postanie w tej szopie. Z tego, co wiem, dach spadnie nam na głowy. Wątpię, czy bezpiecznie jest tam wchodzić.

– Nie mam odpowiedniej butelki na wodę. Mam tylko duże pojemniki, a one się nie nadają. – Matka nie znajduje odpowiedzi, więc milknie i patrzy gdzieś daleko. – Mamo – mówię łagodnie. – Nie wiem, o co ci chodzi. Po prostu pomóż mi znaleźć czysty słoik. Przecież znasz to miejsce, prawda? – To chyba odpowiednio dobrane słowa. Nie: „Powinnaś wiedzieć, co jest w tej szopie” czy: „Wiesz wszystko o tej farmie” albo: „Powiedz wreszcie prawdę”, lecz ogólne stwierdzenie, które, jest nadzieja, skłoni ją do wyjścia ze skorupy.

– Możesz sprawdzić wodę z kranu. Nie mam pojęcia, dlaczego ten człowiek kazał ci wziąć ją ze studni, ale on nie wie, o czym mówi. – Matka strzepuje z sukienki niewidzialny pył, ale nawet nie próbuje wstać i pójść za mną.

– Pomóż mi tylko poszukać.

Słyszę kliknięcie zapalniczki. A potem czuję dym.

– Zajrzę więc sama – mówię.

– Rób, jak uważasz.

Szopa ma jakieś siedem na siedem metrów, jest pomalowana na rdzawy kolor i kryta gontem. Po obu stronach drzwi są małe okna, ale chyba się nie otwierają, jakby ktoś wykorzystał szyby, by zaoszczędzić na materiale budowlanym i stawiając ścianę, wstawił je między drewniane płyty. Drzwi są wypaczone, a pod uchwytem znajduje się solidny rygiel z podnoszoną rączką. Wygląda na zardzewiały, a drewno, wypaczając się, przekrzywiło go tak, że nie trzyma już poziomu; drewno okazało się mocniejsze od metalu. Próbuję poruszyć rączką, lecz bez rezultatu. Rozglądam się za jakimś narzędziem, choćby twardą gałęzią, aby podważyć rączkę, ale w pobliżu rośnie tylko młode drzewko o kolczastych liściach.

– Dahlio! – Słyszę dobiegający zza pleców głos matki. – Chodź tu. Szybko!

– Muszę otworzyć ten rygiel, teraz jest kompletnie nie do ruszenia – mówię, majstrując przy rączce. Odwracam się. Matka marszczy czoło, wydaje się nieswoja.

– Coś złego dzieje się z twoim psem. Upadł.

Biegnę w stronę domu i widzę Tallulah leżącą na ziemi, płasko na boku. Klękam, głaszczę ją po głowie i zdaję sobie sprawę, że ma rozpalone uszy. Oglądam ją całą, szukając ran lub śladu po ukąszeniu węża, ale niczego nie znajduję. Tallulah ma otwarte oczy, patrzy przed siebie. Myślę o ataku serca, przypominam sobie jednak, że wcześniej drzemała w cieniu werandy i że dwa razy nalewalam jej wodę do miski.

– Muszę zawieźć ją do weterynarza – mówię i podnoszę Tallulah. Jest ciężka, potykam się, udaje mi się jednak ułożyć ją na tylnym siedzeniu.

Odjeżdżając, widzę w lusterku wstecznym matkę zapalającą na werandzie kolejnego papierosa, nieśpiesznie wydmuchującą

dym kącikiem ust.

\*

Technik weterynarii w kitlu w kolorze fuksji od razu odbiera Tallulah z moich ramion. Pojawia się inny technik, kobieta, i prowadzi mnie do pokoju z małą umywalką i plakatami z psami różnych ras na ścianach. Jestem bliska łez. Kobieta wypytuje mnie, co dolega Tallulah.

Odpowiedź jest tylko jedna: nie wiadomo. Tak, jadła i piła. Nie, przed upadkiem nie zachowywała się dziwnie. Tak, chodziła do łazienki. Nie, nie było biegunki.

– Ma gorące uszy. To może być gorączka – mówię i wycieram łzy z policzków.

– Jak długo jest u pani? – pyta kobieta cichym, uspokajającym głosem; oczy ma szeroko otwarte.

– Kilka dni temu wzięłam ją ze schroniska.

– Czy grzebała w śmieciach?

– O ile wiem, nie.

– Czy przebywała na zewnątrz przed upadkiem?

– Tak, była na dworze. Mieszkamy na farmie – mówię, zaskoczona tym, jak łatwo przyszły mi te słowa.

– W okolicy są węże?

– Nie.

– Co robiła bezpośrednio przed upadkiem?

– Drzemała w cieniu.

– Chodziła i zachowywała się normalnie?

– Tak.

– Doktor zaraz przyjdzie, w porządku?

Wychodzi, a ja siedzę na ławce, przyglądając się plakatom na ścianie. Po kilku sekundach do pokoju wchodzi niska piegowata kobieta w białym kitlu i butach zapinanych na pasek.

– Jest teraz stabilna. Podajemy jej kroplówkę. Zbadałam ją i wyczuwam stwardnienie koło macicy. To może być guz. Zrobimy USG, ale muszę mieć pani podpis.

Siada przy małym składanym stoliku przymocowanym do ściany i wypełnia mnóstwo dokumentów. Zastanawiam się, skąd wezmę ponad tysiąc dolarów, których nie mam, za badanie, USG i być może operację.

– Zwykle podajemy środek uspokajający i robimy rentgen, ale jej obecny stan na to nie pozwala. Będziemy wiedzieli więcej po USG.

Nie wiem, jak zapłacę ten rachunek; nadal nie mam bieżącej wody na farmie, a jedyne pieniądze już właściwie wydałam na hydraulika.

– Może pani poczekać albo później do pani zadzwonimy.

– Poczekaam. Czy rozkładacie płatność na raty?

– Możemy przyjąć zaliczkę – mówi pani doktor i zbiera papiery.

Potem przerzucam papiery i podpisuję inicjałami każdą stronę; nużące zajęcie. Słyszę wywołującą moje nazwisko recepcjonistkę. Pojawia się pani doktor i zaprasza mnie do tego samego pokoju, w którym byłam wcześniej. Serce mi zamiera, gdy zerkam na jej twarz. Jest pozbawiona wyrazu.

Na składanym stoliku widzę tablet z obrazem z USG. Wyraźnie rozpoznałem klatkę piersiową i stawy biodrowe. W pobliżu pleców, trochę z boku, jest coś, co wygląda jak półksiężyc z małych bryłek.

– Tutaj – weterynarka przeciąga czubkiem palca po ekranie – jest miednica Tallulah. A to – pociąga palcem, powiększając półksiężyc – zмумifikowane szczątki szczenięcia, którego nigdy nie urodziła.

Wpatruję się w tablet.

– Proszę posłuchać, ona była w ciąży i urodziła małe, ale jeden pozostał w macicy. Jest maleńki i można sądzić, że urodziłby się

martwy, nie przyszedł jednak na świat. Był dostatecznie mały, aby nie przysparzać problemów, ale ciało matki nie zdołało go wchłonąć. Rozwinęła się infekcja.

– To okropne. – Tylko tyle zdołałam powiedzieć.

– Musimy operować szybko, dopóki jest stabilna.

– Ile? – pytam zachrypłym głosem.

– Około tysiąca pięciuset. – Weterynarka przerywa na chwilę. – Jeśli pani się na to zdecyduje. Nie mogę niczego obiecać, sądzę jednak, że po operacji jej się poprawi, a szanse na całkowite wyzdrowienie są obiecujące.

– Tak – mówię, czując, że moje dłonie zaciskają się na papierach, które trzymam.

– W porządku. Proszę podać mi numer, pod którym mogę panią złapać. Musimy zrobić badanie krwi, a jeśli wyniki okażą się w normie, operacja będzie jeszcze dziś lub jutro rano. Teraz musimy ją stabilizować i nawadniać.

Po wyjściu od weterynarza jadę do ratusza, do wydziału gospodarki wodnej. Znajduje się tam małe okienko z tabliczką: „Tu zapłacisz rachunek za wodę”. Wyjaśniam mężczyźnie za kontuarem, w jakim stanie jest studnia. Mówi mi, że wystarczy wziąć wodę z kranu.

– To się robi za darmo, prawda? – pytam, licząc, za ile dni będę mogła zapłacić ostatni rachunek. Być może dziś jest dobry dzień na poświęcenie uwagi ogłoszeniom „Potrzebny pracownik”.

– Owszem, miasto bada wodę z prywatnych studni za darmo. – Mężczyzna za kontuarem jest krągły i ma czerwony nos. – Musi pani wypełnić kilka formularzy – dodaje i znika. Wraca niemal natychmiast z podkładką do pisania w ręce. – Miasto Aurora bada wodę na obecność azotanów i bakterii. Jeśli chce pani wiedzieć, czy nie ma w niej pestycydów i organicznych substancji chemicznych, musi pani skorzystać z prywatnych laboratoriów uprawnionych do badania wody pitnej. Mogę pani dać listę.

Podsuwa mi podkładkę.

Wychodzę z ratusza i w drodze powrotnej na farmę zajeżdżam na stację benzynową. To miejsce spotkań miejscowych nastolatków i jedyna stacja ze sklepem ogólnospożywczym i pasażem handlowym. Ta sama, na której spotkałam się z Bobbym, a potem zabrałam go na farmę. Dziś także jego radiowóz stoi na parkingu, tyłem do frontowych drzwi.

Zatrzymując się, rzucam okiem na Lark Inn, motel po drugiej stronie ulicy. W swoim czasie był to zwykły, przeciętny motel, lecz w ostatnich dziesięciu latach podupadł. Betonowe słupki parkingowe rozsypały się w pył, a po całym terenie fruwały pogniecione torebki po fast foodach. Chwiejące się schody zewnętrzne prowadziły na pierwsze piętro z rzędem identycznych drzwi. Mimo to motel nadal owiany był w mieście legendą. Nastolatki zwykły spędzać tam noc po ukończeniu liceum, a w weekendy urządzać przyjęcia na dwadzieścia osób w jednym pokoju. Powiedzenie: „Byłem zeszłej nocy w Lark” sugerowało, że ową noc spędzono na niebywałej rozpuście. W miesiącach letnich zatrzymują się tu robotnicy sezonowi i zostają do końca zbioru grapefruitów i transportu owoców do przetwórnicy.

Wolno krążę po parkingu i dostrzegam na drzwiach wiadomość: „Potrzebny pracownik”. Wchodzę, rozlega się dzwonek. Za kontuarem siedzi mężczyzna, przerzucając gazetę. Wygląda znajomo, ale nie wiem, skąd go znam.

Gapimy się na siebie.

– Chyba się znamy – mówi. Patrzy na mnie obojętnym wzrokiem, potem jego twarz się rozjaśnia, jakby coś sobie przypomniał. – Dahlia Waller, a niech to. Jak się masz? – Uśmiecha się, lecz jego głos pozostaje monotony.

Przyglądam się jego ostremu nosowi i rudawym włosom. Coś drapie mnie w gardle, ale przecież nie mogę włożyć tam palca.

– James Earl Bordeaux – przedstawia się. Wydyma usta, ale poza tym w jego twarzy nic się nie zmienia. – Nie mów, że mnie

nie pamiętasz.

– James – wskazuję na drzwi – widzę, że szukasz pracownika.

– Miło cię widzieć.

– Jest wywieszka w oknie. Że kogoś potrzebujesz. –  
Uśmiecham się blado.

Recepcja nie zmieniła się od czasu, gdy świętowałam tu ukończenie szkoły ponad piętnaście lat temu; ten sam brązowy kontuar, stojak na ulotki reklamowe w odległym kącie, kilka stołów z krzesłami. W jednym rogu recepcji znajduje się prowizoryczny bar śniadaniowy z brudnym ekspresem do kawy i pudłem mogącym pomieścić dwa tuziny pączków oraz przechylnym stojakiem na odwrócone do góry denkami papierowe kubki i brązowe plastikowe mieszadełka w nieładzie. Jedynymi nowymi rzeczami są płaski ekran zawieszony na ścianie za kontuarem oraz duża wycieraczka z napisem „Witamy” przy drzwiach. Podłoga, dawniej pokryta wykładziną, teraz wyłożona jest płytkami z szarymi fugami. W powietrzu unosi się zapach starego potpourri. To miejsce jest smutne, łagodnie mówiąc.

– Potrzebuję kogoś, na kim można polegać – oznajmia James. Mówi mi o dwóch sprzątaczkach, które musiały wziąć wolne „z powodu problemów osobistych, wiesz, jak to jest”, i teraz została mu tylko Ariana. I dodaje, że „tłumaczenie jej czegokolwiek przypomina wyrywanie zębów. Nieprzystosowana”. W końcu rzuca: – Robiłaś to już wcześniej, prawda?

– Co robiłam?

Mój rozmówca ma twarz bez wyrazu. Tępą, czegoś w niej brakuje. I wtedy do mnie dociera: James Earl Bordeaux. Cztery lata w jednym liceum. Spokojny. Okropny. Syn właściciela motelu, pracował tu cały czas. Po szkole, przez całe lato. Dawniej jego włosy były popielate, teraz są przerzedzone i rudawe.

– Pracowałaś już kiedyś jako sprzątaczką? W ogóle w hotelu?

Rozglądam się; to miejsce trudno uznać za hotel. Ktoś nie bez powodu wymyślił słowo „motel” – minimum udogodnień, do minimum ograniczona obsługa klienta. Daleko odbiega od mojego poprzedniego miejsca pracy.

– Pracowałam w hotelu Barrington.

– Tak? No, no. A więc co cię sprowadza do mojego wspaniałego przybytku?

– Jak powiedziałam, szukam pracy.

– A dlaczego odeszłaś?

– Potrzebowałam trochę czasu. Problemy ze zdrowiem.

Bordeaux lekko kiwa głową.

– Problemy ze zdrowiem? Jak mówiłem, potrzebuję kogoś, na kim można polegać. Czujesz się teraz lepiej?

– Tak. Po prostu potrzebowałam trochę czasu.

– Barrington, co? To prawdziwe cacko dla ważniaków. Będziesz czuła, że, jak by to powiedzieć, masz zbyt wysokie kwalifikacje w tym uroczym Lark Inn.

– Sprzątanie pokoi i zmiana pościeli i ręczników to wszędzie taka sama praca.

– Nie zmieniłaś się ani trochę, Dahlio Waller. Nadal Waller, nie mylę się?

– Tak było, gdy ostatni raz sprawdzałam – żartuję i uświadamiam sobie, że w tym żarcie może jest nawet trochę prawdy.

– Masz gdzie się zatrzymać? Możemy porozmawiać o pokoju, jeśli będziesz go potrzebowała.

– Mieszkam z matką. Na razie – mówię i patrzę na zegarek. Obraz matki palącej papierosa na werandzie szybko ustępuje wspomnieniu Tallulah przewracającej się na podjeździe. – Po prostu potrzebuję pracy, dlatego tu jestem.

– Widziałaś się już ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi ze szkoły?

– Nie. Nie interesuje mnie to.



– A więc tylko ty i twoja mama? Żadnego chłopaka?

James jest tak samo okropny jak zawsze.

– Ja, moja matka i mój pies – mówię.

– Masz czym dojeżdżać?

– Mam. – Pokazuję mu samochód stojący na parkingu. – Ile płacisz za godzinę?

– Dziesięć. Z nadgodzinami łatwo możesz zarobić pięćset tygodniowo.

– Potrzebujesz referencji?

– Powiedziałaś, że miałaś problemy ze zdrowiem. Czy to właśnie usłyszę, jeśli zadzwonię do hotelu?

– Mniej więcej – mówię i patrzę przez okno. Na dole są pokoje o numerach od 101 do 120, na górze – od 201 do 220. Nie powinnam mieć problemów z ogarnięciem tego wszystkiego. – Na jakich zmianach będę pracowała?

– Od ósmej rano do ósmej wieczorem. Możesz wziąć godzinę na lunch, ale dopóki pozostajesz na terenie hotelu i wypełniasz polecenia, jeśli jakieś są, nie będę płacił ci za zjedzenie lunchu. Tak pracuje Ariana. I to się sprawdza.

Wyjaśnia mi, że o piątej robi kawę, a o ósmej dostarczają pączki. W osobnym budynku, w którym mieszka, jest pokój. Pranie nastawia on, ale my jesteśmy odpowiedzialne za suszenie i składanie.

– Ariana ma zmianę od jedenastej rano do północy. Mam nadzieję, że jesteś elastyczna.

Patrzę za okno i widzę wolno stojący budynek z trzema pokojami.

– Co tam jest? – pytam. – Więcej pokoiów?

– Jeden jest mój. Jeden to magazyn. Ale jak powiedziałem, jeśli potrzebujesz mieszkania, mogę to zorganizować. Nie policzę dużo.

– To nie będzie konieczne. Kiedy zacznę? – Mam nadzieję, że James nie zmieni zdania.

Bordeaux znika w pokoju za kontuarem i wychodzi z podkładką i papierami.

– Możesz zacząć jutro. Docenię to. Jeszcze jedno. Chcesz, żebym ci płacił gotówką?

Gotówką. Wiem, co to znaczy – praca na czarno, bez żadnych dokumentów. Wypełniam formularz, wpisuję nazwisko, adres, numer telefonu, poprzedniego pracodawcę.

– Jakiś problem? – pyta James.

– Nie. Czy to wszystko, czego potrzebujesz?

– Wszystko – mówi i sięga po podkładkę.

– Przypuszczam, że zobaczę cię jutro? – Przesuwam podkładkę po kontuarze i uśmiecham się.

– O ósmej rano. Wtedy cię oprowadzę. Włóż czarne spodnie i szarą bluzkę koszulową. Nikt nie nosi tu uniformów.

Bordeaux opowiada o praniu, bieliźnie pościelowej, kołdrach, bez przerwy potakuję, ale jednocześnie przesuwam się delikatnie w stronę drzwi i patrzę przez okno. Bobby wciąż siedzi w swoim radiowozie. Od czasu do czasu widzę, jak podnosi do ust biały kubek. Gdybym nie wiedziała, że tak nie jest, pomyślałabym, że mnie obserwuje. Dzwoni telefon, kiwam głową w stronę drzwi, wychodzę, wsiadam do samochodu i wyjeżdżam z parkingu Lark Inn.

Uświadamiam sobie, że za każdym razem, gdy widziałam Bobby'ego, parkował przy stacji benzynowej. Tego dnia, gdy zobaczył, jak wracam do miasta, i pomachał mi, a ja go zignorowałam. To tu spotkaliśmy się przed wycieczką na farmę i jeszcze nieraz, mijając stację, widziałam, że tam parkuje. Zawsze tam był, jakby coś obserwował. Albo kogoś.

Skręcam w lewo, zaraz potem w prawo i parkuję po lewej stronie stacji benzynowej, gdzie znajdują się dystrybutory paliwa. Wchodzę do sklepu i przechadzam się między półkami, udając, że szukam Twinkies albo spaghetti w puszcze. W końcu chwytam sześciopak wody, a idąc do kasy, widzę dym wylatujący

z drzwi radiowozu od strony kierowcy. Płacę i wychodzę frontowymi drzwiami, tymi na wprost stacji benzynowej. Idę powoli, a Bobby, z lornetką na kolanach, pisze coś w małych kwadracikach czegoś, co wygląda na wydruk arkusza kalkulacyjnego.

– Tajna operacja? – pytam i śmieję się, ponieważ Bobby aż podskoczył.

– Co jest, do diabła, Dahlio – mówi i wkłada papiery do teczki, a teczkę pod czarną płócienną torbę na fotelu pasażera.

– Co tu robisz? Wygląda na to, że lubisz to miejsce – dopytuje się żartem, ale Bobby się nie uśmiecha.

– Nadganiem papierkową robotę – wyjaśnia i przycisza trzaski wydobywające się z policyjnego radia. – A co ty tu robisz?

– Właśnie dostałam pracę.

– Na stacji benzynowej?

– Nie, w Lark Inn. Pamiętaj, że pracuję w branży hotelarskiej.

Bobby milczy przez dłuższą chwilę. Macha ręką, bo papieros zaczyna parzyć go w palce. Wyrzuca niedopałek, wysiada z samochodu i przydeptuje peta.

– Uważasz, że Lark to dobry pomysł?

– Muszę gdzieś pracować, prawda?

Bobby przeciąga się, jakby siedział przez dłuższy czas i mięśnie mu zeszywniały. Właściwie nie myślałam o nim jako o glinie i zastanawiam się, jak to się stało. Dwadzieścia lat temu jego ojciec, Ramón de la Vega, był pierwszym meksykańskim szeryfem w Aurorze, ale Bobby zawsze przysięgał, że nigdy nie zostanie gliną. Kochał sport i wyobrażałam go sobie raczej jako trenera licealnej drużyny bejsbolu lub futbolu.

Opowiadam mu o studni, o drzwiach do szopy, które nie chcą się otworzyć, o Tallulah i jej operacji. Bobby jest zdenerwowany, niezbyt uważnie słucha tego, co mówię, to patrzy przez ramię, to na drugą stronę ulicy, jakby za nic nie chciał czegoś przeoczyć. I wtedy, niczym wolno opadający młotek, uderza mnie myśl – on

obserwuje Lark Inn.

– Powinnam coś wiedzieć?

– O czym?

– O Lark Inn. Będę tam pracowała. Nie mam wyboru, za to mam hydraulika i weterynarza do opłacenia; muszę zarobić jakieś pieniądze.

– Powiedział ci?

Patrzę na niego zaskoczona.

– On? Co miał mi powiedzieć?

– Czy Bordeaux powiedział ci, że Jane Doe zatrzymała się w Lark? – pyta Bobby bardzo cicho. W jego oczach jest coś dziwnego, są zbyt brązowe, zbyt błyszczące.

Moja Jane zatrzymała się w Lark. Próbuję przetrwać tę wiadomość.

– Nie, nie powiedział. – Mamy tu Barrington, Lark i Holiday Inn Express jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Media podawały, pamiętam, że zatrzymała się w hotelu w mieście. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nie jestem pewna, co z tym zrobić. Nie tylko nie wiem, co zrobić, ale nie widzę w tym żadnego sensu. – Skąd wiadomo, że się tu zatrzymała? Czy jej nazwisko jest już znane?

– Bordeaux powiedział, że kobieta pasująca do jej rysopisu zatrzymała się na jedną noc i że komputer się zepsuł, zameldował ją więc na papierze i nie wprowadził potem danych do systemu. Utrzymuje, że papiery się zgubiły. Zatrzymała się na jedną noc i wyjechała następnego dnia. Zapłaciła gotówką. „Nie pamiętam jej nazwiska, jeśli to była ona”. To jego słowa.

– To na pewno była ona?

– Wciąż przesłuchujemy świadków. To motel, ludzie są tu przejazdem, co utrudnia sprawę. Nadal ich sprawdzamy, ale są pewni, że to była ona. Nikomu nie możesz tego powtórzyć. Śledztwo jest w toku.

– Jest coś więcej?

– Więcej czego?

– Bobby, nie jestem głupia. Niektórych faktów nie podaje się do wiadomości publicznej. Na przykład tego, gdzie się zatrzymała. Jest coś więcej?

– Nie mogę dużo powiedzieć, ale miała na sobie to. – Bobby sięga do portfela i wyjmuje odbitkę zdjęcia. Bransoletka z breloczkami. Zwykły łańcuszek z zapięciem w kształcie homara. Breloczki to: koło sterowe, kompas, globus, walizka, aparat fotograficzny, samolot, paszport i sombrero. Zwyczajna pospolita tandeta. Daleka od wygrawerowanej bransoletki z nazwiskiem i datą, która pomogłaby zidentyfikować właścicielkę. Jak to możliwe, że nikt nie tęsknił za tą dziewczyną? Że zniknęła i nikt tego nie zauważył?

– Nie powiem nikomu – zapewniam, żeby go uspokoić, i zastanawiam się, dlaczego Bobby nosi tę odbitkę w portfelu.

– Absolutnie nikomu. Obiecuję.

– Są jakieś inne?

– Jakie inne?

– Zaginione kobiety.

Przygląda mi się. Policyjne radio pomrukuje, potem daje się słyszeć dyspozytor. Mamrotanie, skrzek, dużo jazgotu, niewyraźny głos, w sumie nic nadzwyczajnego.

– Muszę jechać – mówi Bobby i przekręca kluczyk.

– Przypuszczam, że zobaczę cię jutro – rzucam i zabieram swoją zgrzewkę wody z maski radiowozu.

Obserwuję, jak Bobby odjeżdża, i właśnie w chwili, gdy podnoszę rękę, aby mu pomachać, on podnosi szybę. Spod opon strzela żwir.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

## Memphis

Memphis wciąga dym z papierosa głęboko do płuc. Potrzebuje nikotyny i pali, dopóki Dahlia nie skręci z podjazdu na drogę. Chciałaby się pozbyć tak wielu wspomnień, nic nie może jednak poradzić, gdy zniemacka ją nachodzą; wówczas pragnie tylko, by zniknęły równie szybko, jak przyszły.

Pies sprawia, że coraz trudniej ignorować jej pewne rzeczy, o których prawie zapomniała. Memphis lubi tego psa, choć przykro patrzeć na jego nabrzmiące sutki zwisające nad ziemią, i zastanawia się, ile szczeniąt było w miocie.

Życie jest niesprawiedliwe, myśli; wszystko zależy od łona, z jakiego przyszedłeś na świat. Gdyby Tallulah miała dobry dom, byłaby wysterylizowana, odpowiednio karmiona i spałaby w nocy na kanapie, a tak była tylko bezpiecznym psem, wynędzniałym, z sierścią poznaczoną śladami kleszczy, pogryzień, ostrych płotów. Memphis wyobraża sobie, jak inne psy gryzą Tallulah, która próbuje im uciec, albo jak Tallulah ucieka przed kijem, którym wymachuje jakiś okrutnik, podczas gdy ona tylko szukała sobie bezpiecznego miejsca, żeby odpocząć. Na samą myśl o tym Memphis drży, boli ją serce. Zawsze miała słabość do zwierząt, większą niż do ludzi.

Pył na podjeździe osiada, a Memphis idzie w stronę szopy. Powtarza sobie, że da radę to zrobić. Jest wdzięczna za leki, za to, że te małe pomarańczowe buteleczki pozwoliły jej uciec, za kamienny sen w nocy, bo przespała całe dwanaście godzin.

Okna szopy są zabite gwoździami, szyby zmatowiały

i odkształcone, lecz dla niej to bez różnicy, nie musi zaglądać do środka. Potrafi wymienić każdy przedmiot znajdujący się w tym miejscu. Drzwi wciąż się opierają, ale Memphis dobrze je pamięta i wie, jak sobie z nimi poradzić. Gdy się ma do czynienia ze starymi i opornymi rzeczami, trzeba znać sposoby, wiedzieć, gdzie i jak docisnąć, a wówczas sekrety wypadają jak kostka do gry z kubka.

Memphis wchodzi do szopy i przez chwilę stoi w zupełnych ciemnościach. W powietrzu wciąż daje się wyczuć nikły zapach siarki. Minęły już dziesiątki lat, a mimo to gryzące opary napełniają jej nozdrza, przyprawiają o mdłości. Spogląda na ręce, potem na stopy, ale nic nie widzi. Nieważne, w którą stronę się odwraca, jej oczy nie potrafią przebić się przez osaczające ją ciemności. Jeżą jej się włosy na karku; niemal słyszy stłumione głosy odbijające się od ścian. Wybuch szyderczego śmiechu, coraz głośniejszego, przygniatającego.

Czeka więc, aż duchy przeszłości dołączą do niej i złożą w całość wspomnienie tego pierwszego razu, gdy Quinn weszła do szopy.

– Nad czym pracujesz i co to za farba na twoich palcach? Uprałam twoje ubrania i całe są poplamione czymś białym. Zniszczone. Malujesz coś? – zapytała Quinn.

– Będę bardziej uważał – odparł Nolan, szorując ręce szczotką do naczyń.

– I?

– I co?

– Co tu robisz? – naciskała Quinn.

– Po prostu zabijam czas.

Quinn obserwowała, jak Nolan wyciera palce, jeden po drugim. Jego dżinsy wyglądały tak, jakby ktoś celowo ochlapał je całą farbą.

– Nolanie, co ty robisz w tej szopie dzień w dzień?

– Powiedziałem ci, zabijam czas – rzucił Nolan twardym,

ostrym tonem, jakby Quinn poprosiła go o wyjawienie jakiegoś sekretu.

Wróciła do kuchni, wyłączyła piecyk.

– Śniadanie jest gotowe! – zawołała i weszła na górę.

Później, gdy z pokoju dziennego dobiegały głosy z telewizora, wyszła kuchennymi drzwiami do szopy. Postanowiła dowiedzieć się prawdy.

\*

Memphis słyszy warkot silnika i gwałtownie wraca do rzeczywistości. Wychodzi z szopy, z hukiem zamykając za sobą wypaczone drzwi. Wraca na werandę i w zwichrowanym kuchennym oknie widzi swoją twarz. Wygląda tak, jakby zobaczyła ducha.

Może już czas, myśli, pora, żeby opowiedzieć historię Quinn. Nie ma nic do stracenia, naprawdę. Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione[3].

---

3 Ewangelia według św. Łukasza, 8,17, cyt. za: Biblia Tysiąclecia – przyp. tłum.



# Rozdział dwudziesty drugi

## Dahlia

Od kilku dni mieszkamy na farmie. Po wielu godzinach sprząwania i przenoszenia pudeł matka siedzi prosto, jakby połknęła kij, na krześle znalezionym na tylnej werandzie, jedynym, które dzielnie stawiało czoło żywiołom. Oparcie z kutego żelaza ma kształt rozłożonego pawiego ogona, a samo krzesło przypomina ozdobny wiktoriański mebel ogrodowy. Najprawdopodobniej to jednak importowana taniocha. Wszystko inne na tylnej werandzie jest w rozsypce – tony skorup po rozbitych glinianych garnkach, jakby ktoś specjalnie je potłukł; siatki przeciw owadom z dziurami wielkości pięści, chyba wyszarpanymi przez ptaki; każda powierzchnia upstrzona ptasimi ekskrementami, w krokwiach opuszczone ptasie gniazda. Jeszcze jedna część tego domu, która przyprawia mnie o dreszcze.

Siedzę na schodkach od frontu, oparta plecami o balustradę. Gdy się poruszam, balustrada także się porusza. Moja matka nie tylko zachowuje się inaczej, od kiedy tu jesteśmy, dziwna zmiana zaszła także w jej twarzy. Wcześniej miała lekko zaciśnięte usta i trochę rozszerzone nozdrza. Teraz to zniknęło, a na jej czole, choć pomarszczonym, nie widać już napięcia. Muszę zbadać, w jaki sposób matka stała się właścicielką farmy i ponad dwudziestu hektarów ziemi, postanowiłam jednak na razie to odłożyć i dać jej czas na zaadaptowanie się w nowym miejscu.

Gdy słońce zaszło i dopadły nas komary, weszliśmy do domu. Rozkład pomieszczeń nie jest skomplikowany. Na parterze po

prawej stronie znajdują się kuchnia z dużą spiżarnią i jadalnią, a po prawej gabinet i pokój dzienny. Na górnym piętrze są trzy sypialnie i łazienka. W dwóch sypialniach stoją stare łóżka z wezłowiami z kutego żelaza, trzecia, na końcu korytarza, pełni funkcję składziku; pełno w niej pudeł, na podłodze leżą przewrócone stosy książek.

W dniu, w którym byłam u weterynarza, zaczęliśmy po moim powrocie działać, aby zmieniać ten dom w miejsce nadające się do zamieszkania. Ściągnęliśmy z łóżek zakurzoną i zapleśniałą pościel i położyliśmy świeżą. Materace, ku naszemu zaskoczeniu, były w bardzo dobrym stanie. zaproponowałam matce główną sypialnię; początkowo próbowała protestować, lecz ostatecznie się zgodziła. Ja zajęłam pokój naprzeciwko.

Przenoszenie pudeł, otwieranie okien, wzbijanie tumanów kurzu przed ich wytarciem i umyciem tego wszystkiego przypomina mi miejsca, gdzie mieszkałam z matką. Przez lata odwiedzałam niektóre z nich w myślach, choć nie traktowałam tego jako prawdziwe wspomnienia, ale zaledwie wypadły do tej części mojego umysłu, której pozwalałam tkwić w stanie uśpienia, dopóki nie znalazłam Jane.

Podczas pierwszego ataku w sali szpitalnej, gdzie leżała Jane, czułam obecność czegoś bardzo istotnego. Być może to zupełny przypadek, że przytrafiło mi się to akurat w szpitalu, przy Jane, ale i tak nie jestem pewna, co to wszystko mogło znaczyć. W czasie następnych napadów miałam wrażenie, że wykraczam poza granice rzeczywistości i przenoszę się w czasie, w przeszłość. Czułam przyływy energii i to, że coś mi przekazywano. Nie posłuchałam doktora Wagnera, nie poszłam do neurologa, ale skrupulatnie zażywam leki i dobrze się czuję, czekając, aż zadziałają, zrobią swoje.

Niektóre wspomnienia unoszą się na powierzchni, na przykład stojących na jałowym biegu ciężarówek, smrodu krowich odchodów na poboczu autostrady, gdy mieszkaliśmy nad stacją

benzynową przy autostradzie 281. Matka pracowała nocami; zajmowałyśmy niewielki pokój nad małym warsztatem naprawy samochodów, prowadzonym przez mężczyznę w pobrudzonym smarem kombinezonie. Nazywał się Herring[4] i miał mnóstwo siwych włosów, gęstych i prostych jak szczecina. Powiedziałam mu że śledź to srebrzysta ryba z pojedynczą płetwą grzbietową i sterzącą dolną szczęką. Ten mechanik tak właśnie wyglądał. Nie był rozbawiony, kazał mi wynosić się z warsztatu.

Czasy Herringa skończyły się gwałtownie. Pewnej nocy matka mnie obudziła, kazała się pakować i powiedziała, że „musimy się stąd wyprowadzić”. W tym małym pokoiku miałyśmy niewiele rzeczy, nie minęła godzina i szłyśmy szybko przez parking do naszego samochodu z kilkoma torbami w rękach. Gdy odjeżdżałyśmy, obejrzałam się za siebie i zobaczyłam rozgniewaną kobietę wysiadającą z kombi, biegnącą do warsztatu i walącą w blaszane drzwi.

Jechałyśmy całą noc, a gdy wzeszło słońce, zauważyłam tablicę z napisem: „Witamy w Nowym Meksyku, krainie czarów”. Znalazłyśmy się na ulicy, przy której były motele, sklepy z alkoholem, chińskie restauracje oraz ozdobiony kolorowymi chorągiewkami i balonikami plac zajmowany przez handlarza używanych samochodów. Matka wjechała na parking stojącego na samym końcu ulicy motelu Moment. Na drzwiach budynku wisiało zwykłe, czarno-białe ogłoszenie: „Potrzebny pracownik”. Matka zatrzymała się przed frontowymi drzwiami i przejrzała się w lusterku.

– Poczekaj tu na mnie – powiedziała, malując usta.

– Zatrzymamy się w tym miejscu? – zapytałam i oparłam nogi na fotelu pasażera.

– Zobaczymy. – Matka zamknęła drzwi samochodu.

Patrzyłam, jak wchodzi do hotelu, pewna siebie i piękna mimo nocy spędzonej w drodze, i tylko stary buick wyładowany

naszym dobytkiem zadawał kłam roztaczanej przez nią aurze sukcesu. Zauważyłam, że parking jest zniszczony, a farba na murze się łuszczy, gdzieś z daleka dochodziły do mnie pbrzękiwanie automatu z wodą sodową i warkot odkurzacza. Matka wyszła z budynku, mniej więcej pół godziny później, z kluczem w ręku.

W Wichita Falls mieszkaliśmy na włościach Herringa, w Nowym Meksyku nastał czas panowania Bruno Nettle'a. Był właścicielem motelu Moment i z miejsca przyjął moją matkę do pracy. Pozwolił nam zamieszkać w ostatnim pokoju, na samym końcu kompleksu w kształcie litery T. Pamiętam nawet numer – 210; „0” było lekko przekrzywione, a w pokoju pachniało lawendą. Nie prawdziwymi kwiatami, tylko sztucznym zapachem z wyczuwalną nutą alkoholu. W motelu Moment zatrzymaliśmy się na dłużej. Gdy tam zamieszkałyśmy, miałam sześć lat, a wyjechałyśmy dopiero, gdy skończyłam osiem. To był nasz najdłuższy pobyt w jednym miejscu.

Nie pamiętam, dlaczego wyjechałyśmy, lecz nastąpiło to w środku nocy, ulubionej porze mojej matki na ucieczki. Zawsze nocą, zawsze po prostu pakowałyśmy to, co dało się upchnąć na tylnym siedzeniu i w bagażniku każdego sfatygowanego samochodu, jakim w tamtym momencie dysponowałyśmy. Pamiętam, że matka krzyczała na mnie w samochodzie, ale nie przypominam sobie, co takiego zrobiłam. Zrzuciłam całą odpowiedzialność na nią – miałam osiem lat, co mogłam zrobić? – i jestem niezbitnie przekonana, że wina leżała po jej stronie. Nagromadziło się wiele takich sytuacji, haseł z mojej encyklopedii, przymiotników określających mnie, rzeczowników opisujących mój świat. Nawet ze wszystkim tym, co teraz pamiętam, nienawidzę białych plam, których nie mogę zapełnić, zagadek, których nie umiem rozwiązać. Matka pozbawiła mnie tej wiedzy i to powiększa jej przewiny wobec mnie.

Czasem stoję koło niej w stodole lub w jakimś przypadkowym

miejscu na farmie, a ona patrzy na mnie tak, jakby oczekiwała, że odczytam jej myśli. Jej oczy zdają się mówić: „Nie widzisz tego, co ja widzę? Jak możesz być tak ślepa?” i wiem, że matka chce coś powiedzieć, ale nie jestem pewna co.

Gdy patrzę na nią teraz, na tej farmie, sześćdziesięcioletnią, a sama nie jestem już dzieckiem, widzę ją taką, jaka jest – największą winowajczynią ze wszystkich i nie dam się łatwo przekonać, że jest inaczej.

Nie ma już czasu do stracenia. Pewnego dnia skonfrontuję się z nią twarzą w twarz.

– Nazywałaś mnie Pet. Dlaczego? O co tu chodziło?

---

<sup>4</sup> *Herring* (ang.) – śledź – przyp. tłum.

# Rozdział dwudziesty trzeci

## Memphis

Memphis obserwuje, jak Dahlia czyści blaty, bez końca szoruje te same miejsca, jakby przywarł do nich jakiś kleisty, niedający się usunąć brud. Potem zabiera się do podłogi i sytuacja się powtarza. Memphis często się zastanawia, jak dużo Dahlia pamięta z dzieciństwa, z tych przeprowadzek, gdy musiała zostawiać wszystko, ubrania i zabawki, a jedynymi stałymi były stary używany samochód i książka, którą zawsze miała przy sobie. Tak dobrze ją znam, myśli Memphis, lepiej niż ona sama zna siebie, mimo że Dahlia bardzo niechętnie okazuje emocje, nikomu nie pozwala zbyt blisko się zbliżyć, niczym gracz, który zawsze trzyma swoje karty przy sobie.

Wyjechały z Teksasu, potem z Nowego Meksyku, przemknęły przez Nevadę i osiadły na dłużej w Kalifornii. Życie było jednak trudne dla samotnej kobiety taszczącej ze sobą małą, ładną dziewczynkę. Mężczyźni chcą tego, czego chcą, i sobie to biorą, nie ulega wątpliwości.

Najpierw zatrzymały się w Wichita Falls – Memphis pamięta maleńki pokój nad stacją benzynową – gdzie próbowała zapewnić im obu jedzenie i dach nad głową, lecz sprawy się skomplikowały; nie mogła zapisać Dahlii do szkoły bez świadectwa urodzenia i musiała kupować stare podręczniki w antykwariatach, Dahlia okazała się jednak o wiele bystrzejsza niż większość dzieci w jej wieku.

Myślała, że może Elvin Herring będzie jakimś rozwiązaniem. Nazwisko pasowało do niego, miał ręce wilgotne i zimne jak

martwa ryba i nawet teraz Memphis wzdraga się na myśl, że mogłaby pozwolić mu się dotknąć. Początkowo Herring udawał, że chce pomóc, ponieważ „żadna kobieta nie powinna być zupełnie sama”, później jednak sytuacja się zmieniła i chciał tylko jej dotykać i ją wykorzystać. Memphis nie wiedziała, że Elvin miał żonę i troje dzieci, w tym jedno opóźnione w rozwoju, wymagające stałej opieki. Zdarzało się, że wracał do domu, brał prysznic i wracał na stację – w ciągu dnia był zajęty, ale stacja znajdowała się na uboczu i nocą rzadko zajeżdżały tam samochody – przynosił jedzenie i wino, wywieszał tabliczkę dla klientów, by dzwonili po obsługę, jedli więc i pili tanie wino z wyszczerbionych szklanek.

Memphis nie miała nic przeciwko towarzystwu Herringa, był uprzejmy i hojny w dniu wypłaty, ale jego żona pojawiła się w środku nocy z synem, chłopcem wodzącym dookoła bezmyślnymi oczami, i tego już było dla Memphis zbyt wiele. Kiedyś zobaczyła w warsztacie starszego syna Herringa w fotelu na kółkach i przypuszczała, że Elvin po prostu go pilnuje. W pewnym momencie zawiózł go do pokoju na tyłach, a chłopiec siedział tam, wymachując rękami i tupiąc, z brody zwisały mu strużki śliny. Nie chce wspominać Herringa, jego syna, statecznej żony i pozostałych dzieci. Udzieliła sobie rozgrzeszenia – nie wiedziała, że jest żonaty, a nawet gdyby wiedziała, zrobiłaby to, co musiała zrobić.

Memphis ma kłopot, nie wie, od czego zacząć, jak przedstawić córce to wszystko tak, aby zrozumiała.

Dahlia znalazła akt własności farmy, zaczęła zadawać pytania i być może należało pójść tą drogą, nie opowiadać żadnych historyjek, tylko po prostu wyznać prawdę. Dahlia zadaje jednak niewłaściwe pytania o przyczepy, hotele, szkoły i powrót do Aurory – a najbardziej zastanawia ją, dlaczego tu wróciłyśmy – lecz nie wie, że wszystko dokonało się już wcześniej. To, co działo się między opuszczeniem Aurory a powrotem do miasta, było

tylko konsekwencją wcześniejszych wydarzeń. I właśnie to ciążyło Memphis na sercu i pogłębiało jego pęknięcie.

Pewnego dnia chodziły po farmie i zaszły do stodoły, gdzie Dahlia rozprawiała o studni, hydrauliku, pieniądzach, których nie miała, i innych nieważnych rzeczach.

Rozejrzyj się wokół siebie, chciała powiedzieć Memphis, widzisz tę oborę? Zapomnij o studni, o akcie własności, zapomnij o tym wszystkim, po prostu powąchaj tę stodołę. Czy ten zapach nie przyprawił cię o mdłości, gdy otworzyłaś te przekłete drzwi z zawiasami skrzypiącymi jak zawodzenie starej, zmęczonej kobiety? Czy czujesz zapach słomy? Duszny zapach zwierzęcej sierści i starego, wysuszonego obornika i odchodów, ostrą woń smarowanego metalu i maszyn? Pozwól oczom przyzwyczać się do ciemności, wyteż wzrok i przyjrzyj się tym drewnianym przegrodom. Słyszysz, jak ta stodoła zawodzi? Widzisz, jak toczy się podstępny proces gnicia? Spójrz niżej, Dahlio, spójrz niżej i nie osądzaj po wierzchu. Zobacz te duchy, Dahlio, widzisz je? One są tutaj.

Dlaczego nazywałaś mnie Pet?

W ogólnym rozrachunku Pet nie ma żadnego znaczenia, lecz właśnie na tym skupiła się Dahlia. Powinna zadawać ważniejsze pytania. Memphis obiecuje sobie, że da córce trochę luzu. Wszystkie ścieżki są znane, ale nie ma mapy.

Była burza. Wtedy wszystko się zaczęło i od tego Memphis zacznie. Od burzy.

To najlepszy możliwy moment na początek.



# Rozdział dwudziesty czwarty

## Dahlia

– Nazywałaś mnie Pet. Dlaczego? O co tu chodziło?

Moja matka próbuje zdobyć się na uśmiech, wychodzi jej jednak tylko krzywy grymas, jakby właśnie wyszła od dentysty i wciąż miała zeszywniałą od znieczulenia połowę twarzy.

– Zapomnij to imię – mówi w końcu, ze złością odganiając krążące wokół niej komary, i składa ręce na podołku. – Zapomnij twoje imię i moje imię i zapomnij o akcie własności.

– Dlaczego nic mi nie mówisz?

Matka wyraźnie się opiera, wręcz emanuje sprzeciwem. Daje sobie spokój z wycieraniem blatów i wkładam mop do wiadra z mydlinami. Narasta we mnie gniew. Odsuwam stary wystrzępiony dywanik i zamasyście, ze złością zaczynam myć podłogę w przedpokoju. Matka obserwuje mnie, siedząc na krześle przy kuchennym stole.

– Jak skończę, obejdziemy farmę – mówię. Przyglądam się jej z bliska; ręce jej drżą i mruga oczami, ale inaczej niż wtedy, gdy panuje nad swoimi emocjami.

– Nie ma za dużo do oglądania – mówi, a ja wyczuwam ostry ton w jej głosie.

– Zgodnie z aktem własności farma ma dwadzieścia hektarów. To całkiem spory kawałek ziemi.

– Nigdy się tym nie interesowałam – mówi i składa starannie pranie, które przywiozłam z Lark; uprałam tam wszystkie nasze ubrania. Po jej ruchach widać, że jest rozgniewana.

– Dlaczego nigdy nie powiedziałaś mi o tym miejscu? – pytam,

patrząc na nią surowo, by dać jej do zrozumienia, że zamierzam za wszelką cenę dowiedzieć się, jak została właścicielką dość dużej farmy, o której nigdy mi nie wspomniała.

Kręcimy się w kółko – ja pytam, matka nie odpowiada, przypomina to taniec, choć ona nie chce nawet ruszyć się z krzesła.

– Mam tak dużo pytań i rozumiem, że to było twoje życie, i w ogóle, ale czuję, że to, czego nie chcesz powiedzieć, dotyczy także mnie... – Przerywam, biorę głęboki oddech. – I chyba mam prawo wiedzieć.

– Masz pytania? – odzywa się w końcu sarkastycznym tonem. – Pozwól, że coś ci opowiem.

Mam wrażenie, że ta chwila to moja ostatnia szansa, okazja, która już się nie trafi. Muszę rozważyć, jaki mam wybór, podjąć mądrą decyzję, inaczej matka nigdy więcej się przede mną nie otworzy.

– Opowiesz?

– Zanim zacznę, chciałabym cię o coś zapytać. – Matka ma rozbiegane oczy, lecz zauważy to tylko ktoś, kto ją zna. – Czy byłaś kiedyś w oku cyklonu?

## **Las Vegas, Nevada, 1991**

Naszym nowym domem jest motel Gateway. To dwupiętrowy budynek w kształcie podkowy, przypominający domek z klocków. Okna pokoi wychodzą na dziedziniec; w ścianach na tyłach motelu nie ma okien, są tam śmietniki i parking dla pracowników, nieutwardzony.

Gdy się budzę, w jasnym porannym świetle wiruje pył. W pobliżu znajduje się sklep z pączkami, wszędzie pachnie cukrem pudrem i słodkim ciastem.

Ułożenie mojego skromnego dobytku w rozchwierutanej komodzie zajmuje mi niecałe piętnaście minut. Szuflady się

zacinają i udaje mi się je wysunąć dopiero wtedy, gdy jednocześnie poruszam obłuzowanymi gałkami i ciągnę. Trwało to tak szybko dlatego, że nie zabrałam ze sobą wszystkich rzeczy. Niektóre z nich towarzyszyły mi, od kiedy pamiętam. Mam dziesięć lat, nie chcę płakać jak dziecko. Mama się złości, gdy narzekam.

Łazienka jest obskurna, umywalka obtłuczona, a blaty z laminatu się łuszczą.

– Co to znaczy Gateway? – pytam, by oderwać się od przygnębiających myśli.

– To tylko nazwa.

– Tak jak Camelot? Ten parking dla przyczep, gdzie przedtem mieszkaliśmy?

Matka nie odpowiada, ponieważ właśnie płucze usta.

– Dlaczego wybrałaś ten motel? – pytam.

Zastanawiam się nad tym, od kiedy kilka dni temu zatrzymałyśmy się tu po kolejnej ewakuacji w środku nocy i długiej jeździe z Arizony. Za każdym razem, gdy pytam, dlaczego zawsze wyjeżdżamy, matka odpowiada, że chodzi o dokumenty. Ze wszystkich hoteli i moteli, które widziałam, gdy przejeżdżałyśmy bulwarem Las Vegas, motel Gateway wydawał się najbardziej podupadły. I jest na samiułku końcu miasta.

– Jest na uboczu. I szukali pracownika.

Jestem dostatecznie duża, by wiedzieć, że „na uboczu” oznacza: „Nie muszę oglądać się przez ramię”, a „szukali pracownika” znaczy tyle co: „Nie zadawali żadnych pytań”.

Matka wyjaśnia, że to stała posada, mamy gdzie mieszkać, a ona pracuje w recepcji i nadzoruje pokojówki.

– A oni są elastyczni – dodaje.

Elastyczni, ponieważ ona pracuje na czarno. Wszystko, co robimy, jest na czarno. Darmowe kliniki, niedzielne posiłki w suterenie kościoła, wyprawy do jadłodajni dla biednych. To

są dobre strony życia na czarno. Zła jest taka, że wciąż nie chodzę do szkoły. Gdy pytam o to matkę, zaczyna mówić bardzo powoli, jakbym nie potrafiła zrozumieć słów wypowiedzianych z normalną szybkością.

– Dokumenty – mówi. – Nie mamy niczego, o co proszą. Zapisanie dziecka do szkoły jest niemal niemożliwe, jeśli nie ma się odpowiednich dokumentów.

Zastanawiam się, skąd inne matki mają odpowiednie dokumenty. Gdzie zdobywają to, czego trzeba, i dlaczego my nie możemy? Chodziłyśmy po urzędach, matka próbowała coś załatwić, ale nic z tego. W takich miejscach godzinami siedziało się i czekało, a gdy już człowiek wszedł do pokoju z numerem, wychodził z niego po paru sekundach. Pod numerami są małe wypukłe kropki, przyglądałam się im z bliska i dotykam palcami, próbując znaleźć związek między układem kropek a ich znaczeniem, nie widzę jednak różnicy. Za każdym razem, gdy drzwi się otwierają, podskakuję i rozglądam się dookoła, jakbym robiła coś złego.

– Co to znaczy – pytam – nie mieć odpowiednich dokumentów?

– Bądź dobrą dziewczynką i nie zadawaj tylu pytań. – Surowe spojrzenie, uniesione brwi.

Ostatnio byłam trudnym dzieckiem, zdaniem mojej matki; za dużo pytałam, a jej dawno skończyły się już odpowiedzi i jej cierpliwość również się kończy. Matka zakręca włosy, a ja siedzę na brzegu wanny i oglądam swoje paznokcie, które w przeciwieństwie do paznokci matki są dalekie od ideału, nierówne, z postrzępionymi skórkami; nigdy nie ma czasu, aby pokazać mi, jak o nie zadbać.

Przechyliłam się do tyłu i udaję, że wpadam do wanny, a matka gwałtownie łapie powietrze, a potem krzyczy, bo gorąca lokówka parzy jej kark. Matka jest teraz w fazie Marilyn – krótkie włosy ufarbowane na platynowy blond, czerwona

szminka, gruba kreska na powiekach. Być może ma to związek z Vegas, ale nie jestem pewna.

– Nigdy nie dałaś mi książki, którą mi obiecałaś.

Mówię to surowym tonem, niczym rodzic upominający dziecko za zlekceważenie obowiązków. Ostatnio zwalczam ją jej własną bronią i dlatego zaczęła mówić, że jestem trudna. Podoba mi się to, bo to coś nowego.

– Jakiej książki? – pyta matka.

– Tej ze wszystkimi odpowiedziami.

Patrzy na mnie zaskoczona, a potem się rozluźnia.

– Przystaniesz mnie zamęczać, jeśli dam ci tę książkę?

– Pewnie.

Później, korzystając z darmowej miejscowej aplikacji do telefonu, przeprowadza kilka rozmów, pytając o coś, co nazywa się „Columbia”. Zaintrygowana patrzę na nią bez słowa. Wygląda pięknie w tych blond włosach, z czerwoną szminką na ustach; zupełnie inaczej niż z brązowymi włosami i grzywką. Obcinała je już wcześniej, ale nigdy nie farbowała na blond.

– Uwierzyłybyś – mówi po jakichś dziesięciu rozmowach – że antykwariat przy naszej ulicy ma tę książkę?

Mieszkałam już wcześniej w pobliżu antykwariatów i wydawało mi się, że niczym nie różnią się od innych zakurzonych sklepików z najdziwniejszymi używanymi rzeczami ze zbiórek na cele dobroczynne. Wszystkie one znikają między sklepami z alkoholem, motelami, tanimi restauracjami o zaparowanych szybach i ślepymi uliczkami. Ale tu wszystko jest o wiele droższe. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego książka ze wszystkimi odpowiedziami ma być schowana w takim miejscu, ale skoro tak jest, nie pytam już o nic.

– Zobaczę – mówi matka i zerka na zegarek. Przechyla głowę, skrapia dłonie perfumami i przejeżdża nimi po włosach.

To jej znak rozpoznawczy, Xia Xiang, beżowa buteleczka z czerwonym kwiatkiem. – Mam jeszcze dość czasu.

Czekam na jej powrót, zerkając przez szparę w plastikowych zasłonach – nie powinnam tego robić, ale wciąż robię – i widzę matkę idącą przez dziedziniec z torbą, która jest chyba ciężka, bo matce opadły ramiona.

Pierwsze słowo, które zamierzam sprawdzić, to „dokumenty”.

>

# Rozdział dwudziesty piąty

## Memphis

Memphis przygląda się, jak Dahlia myje mopem podłogę w przedpokoju, przecierając raz po raz to samo miejsce, ale plama wydaje się tylko coraz wyraźniejsza. Memphis fascynuje to, że ilekroć córka wyciąga mop z wiaderka, robi to tak, że na powierzchni wody tworzy się wir. Dahlia przez chwilę nic nie mówi, jest zdenerwowana.

– Przeżyłaś kiedyś nawałnicę, taką, która prawie zerwała dach domu? – pyta Memphis, a Dahlia podnosi wzrok.

– Widziałam burze, oczywiście.

– Miały nazwę?

– O co ci chodzi? Nazwę? – Dahlia rezygnuje z walki z plamą, wynosi kubek do kuchni.

– Nawałnice, cyklony, a nie zwykłe burze, mają nazwy. Przed twoim urodzeniem wszystkim cyklonom nadawano kobiece imiona. Słyszałaś o tym?

Dahlia wylewa brudną wodę do zlewu i siada przy kuchennym stole.

– Teraz mają imiona kobiece i męskie. Kobiety mogą spowodować wiele kłopotów, wiesz o tym?

Memphis obserwuje córkę przyglądającą się swoim dłoniom, zaczerwienionym i łuszczącym się, jakby moczyła je w jakichś chemikaliach; to ręce kobiety, która zarabia na życie sprzątaniami.

– Przypuszczam, że tak.

– Ta plama tam – Memphis pokazuje na przedpokój – wiesz, co

to jest?

– Nie mam pojęcia. Chyba ktoś coś rozlał. Może wsiąkła plama szelaku, nie jestem pewna.

– Nikt niczego nie rozlał. I nie jest to również skaza na drewnie.

– Przypuszczam, że jest tu już od dawna, bo za nic nie daje się zmyć.

– On właśnie położył nową podłogę. Z drewna wiśniowego. Wyszlifował papierem ściernym i oczyścił z pyłu. Potem przetaił mopem, aby słoje napęczniały, a następnego rana miał zabejcować. Ale nigdy tego nie zrobił. – Memphis milknie i sięga po kubek. Obejmuje go dłońmi i w tej chwili zdaje sobie sprawę, że kubek od dawna jest zimny.

Czuje na sobie wzrok córki i uświadamia sobie, że Dahlia nie wie, o co tu chodzi. Nie wie, kim jest on, nie rozumie, dlaczego matka tak po prostu przeskoczyła z groźnych burz nazywanych kobiecymi imionami i z plam na niego.

– Miała takie dziwne imię – ciągnie Memphis. – Nigdy nie rozumiałam, jak można było ją tak nazwać. Nigdy przedtem nie słyszałam tego imienia, nie wiedziałam nawet, że istnieje. – Przerzywa i dodaje: – Tain Fish.

– To nazwa burzy?

– Nie burzy. To imię tej kobiety.

– Jakiej kobiety? – Dahlia otwiera szeroko oczy. Memphis widzi w nich strach. Dziewczyna boi się, że nadszedł moment, gdy jej matka przejdzie na drugą stronę i tam już zostanie.

– Kobieta, która przyszła w czasie burzy, dawno temu, gdy nazywano jeszcze burze kobiecymi imionami. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że słusznie. Kobiety są bardzo silne.

– Nie rozumiem.

Memphis chichocze, potem wstaje i z brzękiem wstawia kubek do zlewu.

– Przestań zawracać sobie głowę tą plamą, dobrze? Ona nie zejdzie. Jest głęboko w słojach, tu może pomóc tylko



cyklinowanie. Ona strasznie krwawiła, a on jeszcze nie zabejcował podłogi.

Dahlia siedzi sparaliżowana.

– Co? – Tylko na tyle może się zdobyć.

– Była burza. Kobieta nazwiskiem Tain Fish przyszła do tego domu i zakrwawiła całą podłogę. Stąd ta plama. Nie da się jej usunąć. Możesz dać sobie z nią spokój.

\*

Tej nocy, gdy była burza, huragan – Memphis nie pamiętała już, jak się nazywał – uderzył w wybrzeże Zatoki Meksykańskiej nie tylko raz, lecz dwa razy; za pierwszym razem dotarł do wybrzeża wcześniej rano, za drugim gwałtownie zawrócił do zatoki, zakręcił się i wywołał drugą falę deszczu w drodze do Północnego Teksasu.

W nocy Quinn stała przy oknie kuchennym, nalewając do szklanki wodę z kranu. Obudziła się i nie mogła zasnąć, bo deszcz bębnił o dach, a cały dom drżał w posadach rozdzierany podmuchami, jakby jakiś porywczy duch wiatru postanowił za wszelką cenę unicestwić świat. Nolan chrapał na górze, rozsiewając wokół siebie zapach chemikaliów, którymi przesiąkła jego skóra.

Poczuła skurcz, a potem tępy ból w brzuchu i wtedy niebo przecięła błyskawica, a ona zauważyła w jej świetle ruch za drzewami, blisko ziemi – może kojot albo lis? Potem dotarło do niej, że to nie może być zwierzę, bo porusza się za wolno i nawet nie próbuje szukać schronienia pod jałowcami ani znaleźć szpary między deskami obory. Nie było błyszczących ślepi, nagłego czmychania, tylko biały tobołek wielkości dużego psa. To mógł być pies Seymoura, Duch, duży, biały i kudłaty, zaganiający kilka żalonych kóz swojego pana, unurzanych w błocie po ulewie.

Może Duch przestraszył się piorunów i uciekł? Może gałąź spadła i poraniła go, gdy szukał schronienia?

Quinn otworzyła drzwi, zapaliła światło na werandzie i obserwowała otoczenie przez siatkę w drzwiach. Krople deszczu biły ją po twarzy, a siatka łopotą tak mocno, że Quinn się bała, że może się podrzeć. „Deszcz” nie było właściwym słowem na określenie tego, co zaczęło się kilka godzin wcześniej, gdy wiatr i mżawka zamieniły się w najgwałtowniejszą burzę, jaką kiedykolwiek widziała. Wiatr nie wył, lecz wrzeszczał, deszcz nie padał, lecz ostro, bezlitośnie smagał ziemię, zdecydowany ukarać ją za jakieś przewinienia. Drzewa nie kołysały się na wietrze, tylko się pochylały, trzeszczały i zawodziły, gdy odrywały się dorodne gałęzie. Część tyczek z zielonym groszkiem przewróciła się i leżała rozrzucona na łące; jabłonie zostały wyrwane z korzeniami, całkowicie pokonane, nie do uratowania.

Kolejna błyskawica, a tobolek się nie poruszył. Quinn wyszła na dwór i niewiele myśląc, ruszyła w jego stronę; w niespełną sekundę koszula nocna szczelnie ją oblepiła, a ona biegła pochylona, mając nadzieję, że wiatr nie rzuci nią o ziemię tak, jak blaszanym wiadrem, które z głuchym hukiem uderzyło właśnie tuż obok niej.

Gdy dotarła do tego dużego, kulistego czegoś, głupio przywodzącego jej na myśl jajo dinozaura, zamarła. Wokół niej zamarło też wszystko, co się ruszało, umilkło to, co wyło i ryczało; wiatr i deszcz uspokoiły się nagle, zupełnie jak mikser, który pracował na najwyższych obrotach i w pewnej chwili został wyłączony. Quinn i to wielkie jajo znaleźli się w spokojnym zakątku świata pogrążonego w chaosie. Kolejna błyskawica i grzmot i Quinn zdała sobie sprawę, że patrzy na ciało, na duży, opuchnięty brzuch, znacznie większy niż normalnie się zdarza. Od razu przypomniała sobie mnóstwo potwierdzonych podobno opowieści o trumnach i ciałach wynurzających się na powierzchnię, o rozdętym ciele pływającym w wodzie twarzą do

dołu.

Ciało odwróciło się i poruszyło, pokazała się twarz – policzki, czoło, usta, oczy – twarz młodej kobiety, bardzo młodej, właściwie dziewczynki. Twarz zapadnięta jak sflaczały balon. Quinn pognała do domu, wbiegła po schodkach na werandę, krzycząc: „Nolanie! Nolanie! Nolanie! Pomóż mi! Szybko! Nolanie! Nolanie! Nolanie!”.

Nolan pojawił się na werandzie bez koszuli, w rozpiętych spodniach niedbale wepchniętych w wysokie buty. Zawahał się, spod zmrużonych powiek popatrzył na deszcz, dygocząc na wietrze. Nie trwało to jednak długo, w jednej chwili podbiegł do leżącej na ziemi kobiety, ostrożnie, żeby nie nadepnąć na nią ciężkimi butami. Podniósł ją delikatnie, biorąc jedną ręką pod szyję, drugą pod kolana, i pokuśtykał do domu. Kobieta zwisała na jego rękach jak szmaciana lalka, koński ogon miała potargany, luźne włosy opadały na twarz tak spokojną, że Quinn bała się, że jest już za późno.

Ona nie żyje, pomyślała. Świat znów zamarł, ziemia zanegowała prawo ciężenia, zatrzymała się. W głowie Quinn kotłowały się myśli, spadały na nią niczym liście i gałęzie dookoła, bezsensowne, do niczego nieprowadzące, rozbiegane. W nabrzmiętym brzuchu coś się poruszyło; Quinn mogłaby przysiąc, że widziała zarys stopy pod naciągniętą jak na bębnie skórą pod białą sukienką.

Rozetnij ją, chciała krzyknąć Quinn, rozetnij ją, żebyśmy mogli uratować dziecko. Ponieważ to było jej dziecko. Tak powiedziała Aella, tak powiedziała. To jej dziecko, jej!

Wiało coraz mocniej, bezlitośnie, z taką siłą, że Quinn traciła oddech, wiatr przyciskał ją do futryny, jakby próbował zatrzymać ją w bezpiecznym miejscu, a tymczasem Nolan z dziewczyną w ramionach przewrócił się na werandzie – wobec nich wiatr miał najwyraźniej inne plany. Ostatnim obrazem, jaki później przypominała sobie Quinn, były czarne włosy

dziewczyny bezwstydnie przylepione do nagiej piersi Nolana. Zaniepokoiło to Quinn, podeszła jednak do męża i pomogła mu przenieść dziewczynę przez próg.

\*

Quinn widziała kotkę rodzącą małe. Najpierw wyłonił się z niej balon z czarną wodą, potem pękł, w kilka minut urodziło się, jedno po drugim, pięcioro kociąt; niektóre wyszły łebkami, inne nóżkami, a jeden tyłem. Każdy kociak był owinięty galaretowatą błoną wypełnioną przejrzystym płynem. Pręgowana kotka mocno wylizywała maluchy, niszcząc błonę, żeby mogły wziąć pierwszy oddech, potem przegryzała pępowinę i zaczynała po kolei karmić je piersią. Przez cały poród cicho mruzczała.

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Dziewczyna uczepiła się Quinn, kurczowo złapała ją za koszulę nocną, jakby chciała zerwać z niej tę koszulę. Nolan chodził w tę i z powrotem, deszcz bębnił o szyby, niebo rozświetlały błyskawice, a w całym domu było słycać przeraźliwe krzyki dziewczyny.

Nolan przestraszył się, gdy zaczęła krzyczeć, i zamiast zanieść ją do kuchni, położył w przedpokoju, na owalnym dywaniku. Gwałtownym ruchem zdjął ze ściany słuchawkę telefonu, jakby się spodziewał, że linia została już naprawiona. Quinn uderzyła głupota tego pomysłu, zdała sobie sprawę, że Nolan zachowuje się absurdalnie, chodząc tam i z powrotem, niezdolny podjąć sensownej decyzji.

W pewnej chwili, Quinn dokładnie nie pamiętała kiedy, Nolan wsiadł do furgonetki i pojechał po pomoc, lecz wrócił po kilku minutach.

– Nie mogę dojechać do drogi, wszędzie są gałęzie i zwalone drzewa.

Stał nieruchomo, a dziewczyna krzyczała całą sobą – szeroko

otwarte oczy i usta, wychudzona, kredowobiała twarz, zaciśnięte pięści z pobielającymi knykciami, ciało naprężone, sztywne. Wiła się na dywaniku, krzycząc, i nagle zapadła się w sobie i zamilkła.

Quinn musiała myśleć szybko. Jeśli umrze matka, umrze także dziecko, a nic na tym świecie nie powstrzyma jej od zdobycia własnego dziecka. Jej dziecka. Wszystkie te pieniądze, wszystko, co zrobiła, miało teraz przynieść owoce. Poczula, że traci zmysły, jakby zamordował je jakiś obłąkany złodziej, i usłyszała swój głos, choć słowa zdawał się wypowiadać ktoś inny.

– Przynieś mi nóż z kuchni. – Nolan nie poruszył się, stał błądy i nieruchomy jak słup soli. – Przynieś mi nóż – powtórzyła, tym razem powoli, niemal łagodnie, wyraźnie wymawiając każde słowo. Przynieś. Mi. Nóż.

Zadarła sukienkę dziewczyny do góry i to tam było. To coś. Maleńkie. Trudno powiedzieć, że noworodek, ponieważ to było wielkości bochenka chleba, pokryte czymś grubym i białym. I wcale się nie ruszało.

Wszystko na próżno. Nie było o co błagać, nie było nic do zaoferowania i nic do dostania w zamian. Quinn zrobiła to, czego zażądała Aella, dotrzymała umowy, zapłaciła tej kobiecie po królewsku i wszystko, co dostała, to właśnie to? To malutkie coś z wyłupiastymi oczami, wydłużoną głową i przezroczystą skórą?

Nie było pępowiny do przecięcia. Całe łóżysko leżało na wełnianym dywaniku, krwistoczerwone drzewo z białym pniem z pępowiny, które spełniło swoje zadanie i nie było już potrzebne – ofiara dla bogów, którzy najwyraźniej okazali się głusi na błagania Quinn.

Nolan podał żonie ręcznik; musiał zabrać go z kuchennego stołu, gdzie leżało schludnie ułożone pranie. Quinn zawinęła dziecko w ręcznik kąpielowy, zostawiając odkrytą buzię, a Nolan zaniósł dziewczynę na górę, do jednej z wolnych sypialni. Quinn poszła za nim, a gdy mężczyzna przyniósł miskę z wodą, zaczęła myć szmatką uda dziewczyny, aż woda zrobiła się

ciemnoczerwona. Trzeba ją było zmieniać trzy razy, zanim cała krew została zmyta.

Po wyjściu Nolana z pokoju Quinn usiadła przy łóżku. Dziewczyna leżała już spokojnie, nie dygotała. Oczy miała czerwone i zapuchnięte. Quinn podała jej dziecko, pytając łagodnie:

– Chcesz je potrzymać?

Dziewczyna trzymała dziecko w objęciach. W pewnej chwili zaczęła niewprawnie kołysać zawiniątko, jakby dziecko żyło. Quinn zeszła na dół i znalazła leżącego na kanapie męża, spitego do nieprzytomności. Na stoliku kawowym stała pusta butelka po piwie słodowym.

Gdy wróciła na górę, dziewczyna spała już głębokim snem, jej zamknięte powieki były zupełnie nieruchome. Quinn przebrała się w suchą i czystą koszulę nocną, z zapięciem z przodu, zabrała zawiniątko śpiącej dziewczynie i poszła do swojego pokoju. Usiadła na łóżku, przytuliła noworodka do piersi – zdawała sobie sprawę z groteskowości swojego zachowania, nie potrafiła się jednak powstrzymać – i wepchnęła sutek w zimne usta dziecka.

Wciąż przelatywały jej przez głowę obrazy tego nabrzmiałego brzucha, tej krwi, której było tak dużo, wciąż słyszała krzyk dziewczyny, widziała martwe miniaturowe rączki, czuła zimne, fioletowe usteczka na swoim sutku, a gdy te obrazy i dźwięki zniknęły, pozostał tylko smutek. To takie okrucieństwo, drwiny, zostawić ją tu z ciałem zmarłego dziecka, tak nie powinno być. Zmarnowane życie jej, tej dziewczyny, tego maleństwa. Quinn spojrzała na noworodka – to był chłopiec – i zapragnęła do niego dołączyć. Jaki sens miało ciągnięcie takiego życia? Niczego nie dokonała, wszystko straciła.

Później odniesie to dziecko i zostawi przy śpiącej matce. Na dworze pioruny i błyskawice prawie ustały, pozostał tylko monotony szum ulewy, przerywany od czasu do czasu dalekimi pomrukami burzy.

\*

Następnego rana słońce świeciło na bezchmurnym niebie, jakby w nocy nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, a cały świat wydawał się pokryty liśćmi, gałęziami i różnymi szczątkami, zielonym confetti i gruzami, które spadły z góry. Quinn weszła do szopy, a Nolan aż się wzdrygnął, gdy wymówiła jego imię. Pachniało alkoholem i wilgotną ziemią.

– Pomóc ci? – zapytała Quinn.

Nolan odwrócił się i spojrzał na nią przekrwionymi oczami.

– Czy ta dziewczyna żyje?

– Tak.

– Co my teraz zrobimy? Zadzwonimy na policję?

– Nie potrzebujemy policji. A telefon wciąż nie działa – powiedziała Quinn, choć nawet nie próbowała dzwonić.

– Czy ta dziewczyna coś mówi? Obudziła się?

– Śpi.

– Spróbuję przywiązać drzewa do furgonetki i zepchnąć z drogi. Zawiozę ją do szpitala.

– Po co, Nolandzie? – Quinn delikatnie dotknęła ramienia męża. – Ona czuje się dobrze. Urodziła dziecko, to wszystko. Nie potrzebuje lekarza.

Nolan gwałtownie się odsunął.

– Trzeba wezwać księdza. Tak się nie robi ze zmarłymi. Dziecko musi być pobłogosławione i należycie pochowane, z modlitwą. A my musimy zawieźć matkę do szpitala.

Matkę. Ta dziewczyna nie była matką bardziej niż Quinn.

– Czy mogę to wziąć? – Quinn wskazała drewnianą skrzynkę wielkości dużego pudełka na buty, ze słoikami na przetwory owocowe.

Nolan wydał dziwny dźwięk, ni to sapnął, ni to prychnął.

– Nie będę kopał dołu. Mogłabyś przynajmniej zapytać ją, co chce zrobić z ciałem. To jej dziecko.

– Ona nie jest w stanie kopać. A skoro nie chcesz pomóc, zrobię to sama – rzuciła Quinn, chwytając skrzynkę. To było moje dziecko, chciała dodać, uznała jednak, że Nolan nie musi wiedzieć o zawartej przez nią umowie, nie zrozumiałby.

Miała do wyboru wiele miejsc; zastanawiając się nad nimi, doszła do wniosku, że środek łąki się nie nadaje, na kawałku ziemi za stodołą wciąż stała woda i roiły się komary, rabata kwiatowa za domem dzień w dzień przypominałaby jej o tym, co się stało, zdecydowała się więc kopać pod cyprysem, przed płotem, tuż przy łące.

Weszła na palcach do pokoju dziewczyny. Spała. Wyjęła spod jej ramienia zawiniątko, zadowolona, że nie musi niczego tłumaczyć, i cichutko wyszła. Pod drzewem zrobiła z kawałka ręcznika przykrywającego buzię dziecka prowizoryczną poduszkę i ułożyła małe ciało w skrzynce. Pasowała idealnie, jak zrobiona na zamówienie.

Zmusiła się do zrobienia tego, co miała zrobić, zanim dziewczyna się obudzi. Zaczęła wbijać łopatę z ziemię, ale po wielu próbach się poddała. Udało jej się wykopać dół głębokości zaledwie trzydziestu centymetrów. Ziemia była mokra i ciężka, ale łopata nie poradziłaby sobie nawet z suchą, tak była zbita i kamienista. Znalazła w stodole taczki z wyschniętą, sypką ziemią. Nie było to rozwiązanie idealne, ale zawsze jakieś.

Włożyła skrzynkę do płytkiego dołu, przechyliła taczki i wysypała ziemię. Był ranek, ale świat wokół wydawał się zrobiony z cieni, a każdy oddech zostawiał dziurę w piersiach. Quinn rozrzuciła ziemię gołymi rękoma i udeptała ją. Wyobrażała sobie, że ziemia szybko osiadzie i nie zostanie nic, co przypominałoby jej o tym, co się stało, oprócz małego wzgórk.

\*



W nocy obudziło Quinn wycie kojotów gdzieś daleko. Powietrze w sypialni było gęste i ciężkie. Zawodzenie wydawało się przesadne, żalosne i płaczące, jakby zwierzęta wyczuły w jakiś sposób, co wydarzyło się na farmie. Quinn nie przejęła się tym zbyt, odwróciła się tylko i odsunęła jak najdalej od Nolana.

\*

Pozwoliła dziewczynie spać dwie noce i trzy dni, a ona prawie się nie ruszała, nie prosiła o jedzenie, nie otworzyła nawet oczu.

Nolan pomógł jej przy ściąganiu zakrwawionej pościeli spod dziewczyny i zamianie jej na świeżą. Pod koniec trzeciego dnia Quinn zaniósł ją do miski zupy.

– Musisz jeść – powiedziała i delikatnie pogłaskała ją po ramieniu. Dziewczyna leżała na plecach, z głową lekko odwróconą na bok. Quinn przyjrzała się uważnie jej twarzy, drobnej, o dużych oczach i gęstych brwiach. Dziewczyna wydawała się w jakiś sposób obca, bo choć była biała i miała jasną karnację, było w niej coś egzotycznego. Może z powodu kształtu twarzy, pełnych warg, czarnych włosów? – Jedz, proszę – naciskała Quinn, zastanawiając się, czy byłoby właściwe pogłaskać ją po policzku. Teraz niepokoiła się o nią i myślała, że może jednak powinni zawieźć ją do szpitala.

Nolan prawie całkowicie oczyścił drogę, nie udało mu się usunąć tylko jednego zwałonego drzewa, nawet po przywiązaniu go do furgonetki. Pień nie chciał oderwać się od korzeni i ani drgnął, jakby trzymany jakimś niewidzialnym imadłem.

– Proszę, otwórz chociaż oczy – błagała Quinn, mając nadzieję, że zapach rosółu z kurczaka sprowokuje jakąś reakcję.

Nagle dziewczyna wychrypiała coś niezrozumiałego.

– Powtórz – poprosiła Quinn i niewiele myśląc, chwyciła ją za rękę, nie większą niż dłoń dwunastolatki.

Dziewczyna chrząknęła, a Quinn podała jej szklanekę wody z szafki przy łóżku. Wypiła wodę łapczywie, tak dużymi haustami, że aż się zakrztusiła. Gdy przestała kasłać, rozejrzała się po pokoju, jakby spodziewała się zobaczyć w rogu kołyskę. Quinn poczuła się nieswojo.

– Pochowałam go – wyjaśniła i wyciągnęła rękę w stronę okna. Tam, za domem, werandą i podjazdem stał potężny cyprys, a pod nim, pod zaledwie półmetrową warstwą ziemi, leżała drewniana skrzynka. Dziewczyna, nie okazując żadnych emocji, podążyła wzrokiem za dłonią Quinn, lecz nic nie powiedziała. Quinn usiadła przy niej na łóżku i delikatnie podsunęła łyżkę rosołu do jej bladych ust, najpierw zaciśniętych, po chwili otwartych. Karmiła ją łyżką po łyżce, chciała w ten sposób tchnąć w tę dziewczynę trochę swojej siły. Mówiła do niej, z początku cicho, by jej nie przestraszyć, potem głośniejszym głosem, opowiadała o burzy, o drzewach rozciągniętych w poprzek drogi i przypominających szew chirurgiczny na otwartej ranie.

Nocą Quinn znów się obudziła, a gdy weszła do pokoju dziewczyny, zobaczyła, że stoi przy oknie; jej brzuch wciąż wydawał się duży. Księżyc jasno świecił, a Quinn wzięła dziewczynę za rękę, sprowadziła ją ze schodów, potem poszły przez frontowe drzwi i werandę w stronę cyprysu. Ziemia wciąż była mokra, deszcz wyrył w niej miniaturowe wąwozy. Stały w milczeniu pod drzewem, trzymając się za ręce, mała, dziecięca dłoń dziewczyny w jej drżącej dłoni. Quinn czuła, że jej rozgoryczenie słabnie.

Powiedziała dziewczynie, jakie imiona mają ona i jej mąż.

– Tain – odezwała się dziewczyna. – Nazywam się Tain Fish.

– Możesz u nas zostać, jak długo zechcesz.

Wydawało się, że Tain chce jeszcze coś powiedzieć, a Quinn zastanawiała się, co to mogło być.

# Rozdział dwudziesty szósty

## Dahlia

W tygodniu w Lark Inn niewiele się dzieje. Przyjeżdżają tu mężowie z żonami innych mężczyzn, od czasu do czasu kierowca ciężarówki, który zjechał z autostrady, ponieważ wolał spędzić obowiązkową przerwę w łóżku, a nie w samochodzie, i różni ludzie, którzy zatrzymują się na kilka godzin i zostawiają po sobie zużyte prezerwatywy w plastikowych koszach na śmieci pod umywalkami. Gdy pokoje są już posprzątane, siadam z Bordeaux w biurze, pijemy kawę, a on objaśnia mi, jak działa Frontdesk, program zarządzania hotelem. Wszędzie te komputery.

– W razie gdybym nie przyszedł, musisz wiedzieć, jak się z tym obchodzić. Jeśli system padnie, a informatycy, jak zwykle, każą na siebie czekać, możesz użyć programu offline i przypisać pokój. To się często zdarza, ale bez obaw. Są procedury. Wydajesz po prostu odręczne karty meldunkowe zamiast wydruków – mówi James, wskazując szufladę. – Tu jest ich cały stos. Później aktualizujesz dane w systemie. To wszystko.

Jane Doe zatrzymała się w tym motelu, zanim skończyła w lesie. Zastanawiam się, czy piła tu kawę i jadła pączki. Chciałabym zapytać Bordeaux, który pokój zajmowała, chciałabym znaleźć jej zgubioną kartę meldunkową. Nie powinnam jednak o niczym wiedzieć, więc nie pytam.

Wyjmuję karty z szuflady, aby się im przyjrzeć. Numer pokoju, data pobytu, cena za noc, nic więcej. To moja pierwsza podwójna zmiana, myśli mam rozproszone i ziewam mimo czterech

kubków kawy.

– Te godziny ci nie pasują? – Bordeaux składa lokalną gazetę i rzuca na kontuar.

– Po prostu potrzebuję więcej kawy, to wszystko.

– Wiesz, że możesz uciąć sobie krótką drzemkę, jeśli pościel i ręczniki są czyste, a wszystkie pokoje gotowe. Idź do pokoju 101, jest najbliżej.

Utnij sobie drzemkę. 101. Bordeaux jakoś dziwnie na mnie patrzy, ale zanim zdążę się zastanowić nad jego słowami, on już pochłonięty jest zdmuchiowaniem cukru pudru z klawiatury.

Trzęsę się od nadmiaru kofeiny, a do tego nic nie jadłam. W głowie mi dudni, wyrzucam kawę do kosza i wyglądam za okno. Szyba pokryta jest na dole odciskami dłoni niesfornych dzieciaków, smugami dżemu, maźnięciami przywodzącymi na myśl abstrakcyjne murale. Kładę dłonie na zimnej tafli i przypominam sobie opowieść matki o plamie krwi. Patrzę przez okno i wyobrażam sobie okno kuchenne na farmie, a gdy mrużę oczy, widzę Quinn i Tain stojące pod cyprysem, oplakujące martwe dziecko.

Wzdragam się, gdy Bordeaux z trzaskiem zamyka za moimi plecami szufladę. Bierze do ręki gazetę. Odwracam się znów do okna i nad smugami na szybie widzę stację benzynową. Bobby, jak zawsze, siedzi w radiowozie. Czeka.

– Gliny chyba nie mają tu zbyt dużo do roboty – mówię, próbując przypomnieć sobie, jak sprawdzić status pokoju w komputerze. Zupełnie wyleciało mi z pamięci.

– Chodzi ci o de la Vege? – pyta Bordeaux znad gazety.

– Po prostu widzę wóz patrolowy parkujący cały czas przed stacją. Nie wiem czyj – kłamię.

Bordeaux odkłada gazetę.

– Bobby’ego. – Składa gazetę w kwadrat. – Zapomniałem, że byliście kiedyś nierozłączni.

– Znaliśmy się od dziecka. Ale nigdy nie byliśmy parą. Może on

przyjeżdża tu po prostu coś zjeść.

– De la Vega zawsze tu parkuje. Jeśli którego dnia się nie pojawi, będę wiedział, że stało się coś naprawdę złego.

– Czy on kogoś obserwuje? Jakąś milutką kasjerkę z tej stacji?

– Goni za duchami – rzuca Bordeaux, a potem pokazuje ręką szklane drzwi. – Wygląda na to, że będziemy mieli zajęcie.

Nie udaje mi się go zapytać, za jakimi duchami goni Bobby, ponieważ z vana wysiada sześć osób, a za nimi jeszcze trzy.

– Sprzedają czasopisma, zawsze tędy przejeżdżają. – James porusza myszką i komputer wraca do życia. W holu zbiera się dziewięć osób. Wokół ekspresu do kawy i pudła z paczkami z rannej dostawy kłębi się prawie tłum. – Tylko po dwie osoby w pokoju, znacie zasady! – woła Bordeaux. – Zniżka dla grupy. Biercie paczki i pokażcie mi jakieś dowody tożsamości. – Zdejmuje pięć pierwszych par kluczy z haczyków, od pokoi 102 do 106, i z brzękiem rzuca je na kontuar.

Bobby goni za duchami. Ciekawe, co James chciał przez to powiedzieć.

– Dahlio, zanieś to do schowka z rzeczami znalezionymi – mówi Bordeaux, gdy wszyscy są już zameldowani. Rzuca na kontuar wydanie kieszonkowe jakiegoś horroru, sądząc po krzykliwej okładce z kroplami krwi.

Idę chodnikiem i wpada mi w oko mężczyzna po drugiej stronie ulicy. Kilka sekund później zdaję sobie sprawę, że to Bobby wysiada z radiowozu i z hukiem zamyka drzwi, jakby chciał oznajmić całemu światu, że tu jest.

Pomieszczenie, w którym Bordeaux przechowuje znalezione rzeczy, jest zimne, wilgotne i brudne. Nie wchodzę tam, rzucam tylko książkę przez próg w stronę pojemników. Słyszę głuchy odgłos, egzemplarz ląduje na podłodze. Nie zawracam sobie głowy podnoszeniem go, po prostu zamykam drzwi i przekręcam klucz.

\*

Gdy moja zmiana się kończy, wychodzę z Lark Inn i parkuję obok radiowozu. Fotel kierowcy jest pusty. Wchodzę na stację benzynową, a tam Bobby stoi przed automatem z napojami i zastanawia się, co wybrać. Podchodzę niepostrzeżenie i klepię go w ramię. Odwraca się i uśmiecha. Przez sekundę chcę mu powiedzieć o duchach, o których wspominał Bordeaux, ale rozmyślam się. To może poczekać.

– Jesteś mi potrzebny – mówię.

Bobby bierze z półki dwie mrożone herbaty.

– Muszę powiedzieć, że okazałaś się wiecznie potrzebującą dziewczyną – żartuje i sięga po jeszcze jedną puszkę. – Czego potrzebujesz? – Płaci za napoje i wsiadamy do radiowozu.

– Zawsze tu jesteś? Z jakiegoś powodu?

– Rozmawialiśmy już na ten temat – mówi, otwierając puszkę.

– To małe miasto i muszę gdzieś parkować. Jak praca?

– To dopiero kilka dni, ale w porządku. – Przez chwilę prowadzimy niezobowiązującą pogawędkę o matce, farmie i ludziach z naszego liceum. Bobby opowiada mi o osobach, których nazwiska wydają mi się znajome, ale ich samych nie mogę sobie przypomnieć, żartujemy, śmiejemy się. Jak dawniej.

– A więc do czego jestem ci potrzebny?

– Mam trochę dziwne pytanie.

– Pytaj.

– Jak długo może się zachować DNA? Na przykład w plamach krwi?

– To zależy, czy ktoś próbował czyścić taką plamę, czy nie. Jeśli jest zachowana w idealnych warunkach, może przetrwać nawet całe lata – tłumaczy Bobby i zgniata puszkę w dłoniach. – Dlaczego pytasz?

Zastanawiam się, czy wspomnieć o kobiecie, która urodziła dziecko na farmie; ta historia jest chyba zbyt nieprawdopodobna.

– To tylko coś na farmie. Wygląda na krew, a ja nie mogę tego wyczyścić, nie wiedząc, co to jest. Jeśli zastosuję nieodpowiednie środki, plama zostanie na zawsze.

– A więc czego ode mnie potrzebujesz?

– Dałoby się sprawdzić, czy to krew? Tak, żebym wiedziała, co to jest, zanim pogorszę sprawę? Chcę tylko wiedzieć, czy to naprawdę krew, i nie będę się więcej starała jej wyczyścić. Stary dywanik dobrze ją przykrywa.

– Pewnie, są testy na krew. Na miejscu przestępstwa stosuje się różne środki chemiczne. Nie wiem nic o czyszczeniu plam, ale mogę to sprawdzić. Istnieją firmy, które zatrudniamy do sprzątania miejsc zbrodni, wiesz, zagrożenie dla człowieka i środowiska, te rzeczy.

– Bordeaux coś dzisiaj powiedział.

– Co takiego?

– Że zawsze tu jesteś, ponieważ gonisz za duchami.

– Gonię za duchami?

– To jego słowa.

– A gdybym ci powiedział, że byłoby lepiej, gdybyś znalazła sobie inną pracę?

– Wzięłabym to pod rozwagę, ale w okolicy nie ma zbyt wielu wolnych posad – przerywam i sięgam do drzwi. – Co on miał na myśli? Czy to ma coś wspólnego z Jane Doe?

– To tylko takie gadanie. Nie zwracaj na niego uwagi. Wpadnę później na farmę, żeby zobaczyć, czy czegoś wam nie potrzeba.

Przez kilka pierwszych miesięcy po moim powrocie zachowywaliśmy się jak obcy sobie ludzie, teraz chyba odnaleźliśmy to, co zgubiliśmy wiele lat temu.

Ale przecież w mieście takim, jak to, nic nie ginie. Nawet duchy.

**Bakersfield, Kalifornia, hrabstwo Fair, 1993**

Kolejka jest długa i panuje straszliwy upał. Oblepia mnie całą, mam spocony kark. Podobno taka pogoda jest idealna na wyprawę do wesołego miasteczka. Chmury wyglądają jak wata cukrowa, prognoza pogody mówi, że w najbliższych dniach nie będzie padało. Kolejka posuwa się bardzo powoli, zza ogrodzenia dobiegają ciche dźwięki muzyki, co jakiś czas przerywane okrzykami radości.

Przyglądam się temu wszystkiemu zafascynowana – kolejce górskiej, górującemu nad nami diabelskiemu młynowi, ludziom grającym w gry zręcznościowe, wchodzącym do beczki śmiechu, strzelającym do butelek. Są tu także duże i małe karuzele, pociąg z Dzikiego Zachodu, nadmuchiwane domki, gdzie można skakać do woli. Dzieci trzymają w rękach rożki z lodami, roztopiony smakołyk spływa im po palcach.

Smród zwierzęcych odchodów dochodzący z zagrody dla kucyków miesza się z zapachami hot dogów, nachos i rozmaitych smakołyków smażonych w głębokim tłuszczu. Wyłapuję zapach popcornu i widzę ofertę za szybą przyczepy: „Wata cukrowa – Popcorn – Jabłka w karmelu i kandyzowane – Faworki – Rożki lodowe – Napoje bezalkoholowe”.

Zerkam na stojącą z boku matkę. Zmieniła się od czasów Vegas, już nie wygląda jak Marilyn, lecz kobieta z cyganerii o jasnobrązowych lokach, w letniej sukience na ramiączkach. I ma chłopaka. Nazywa się Henry Cobb. Jest trochę za gruby w pasie, a jego dłonie wyglądają tak, jakby regularnie robił manicure. Jest sobota, więc jego warsztat naprawy samochodów nie pracuje.

– Jestem właścicielem tego warsztatu i prowadzę go – powiedział mi – choć nie mam pojęcia o samochodach.

Nie ma własnych dzieci i nie chce ich mieć. I wydaje się dość nudny.

Henry Cobb stoi w kolejce za mną, udając, że sprawdza zawartość portfela. Potrąca mnie, a moja torebka ześlizguje się



z ramienia na zgięcie łokcia.

– Przepraszam – mówi cichym i drżącym głosem, prawie jak u zwierzątka z kreskówki. Udaje, że jest mu przykro.

Wcale nie jest mu przykro. A do tego robi się jakiś dziwny, przyprawia mnie o gęsią skórkę. Ledwie go mogę znieść, ale staram się być miła ze względu na matkę, która chyba bardzo go lubi.

Mama i ja mieszkamy w przyczepie stojącej na trawiastym terenie, latem jednak słońce sprawia, że zamiast trawy otaczają nas łyse placki spękanej ziemi. Przy drewnianych schodkach do naszej przyczepy leży porzucona zabawka – dziecięcy samochodzik. Za każdym razem, gdy wchodzimy, schodki kołyszą się niczym beczka śmiechu.

W tym czasie matce udało się już kupić nowy samochód. Pracuje teraz w kasynie Wild West przy autostradzie 58. Kasyno jest otwarte całą dobę, a matka pracuje na tyle zmian, ile da radę, więc rzadko ją widuję. W różnych miejscach w przyczepie ukrywa zwitki banknotów dolarowych, z napiwków, jak przypuszczam; pusty słoik po ciastkach tu, miseczka z pokrywką tam, choćby w lodówce. Nie chowa przede mną pieniędzy – mam je liczyć i ich pilnować, czasami wykorzystuje nawet takie momenty, by uczyć mnie rozwiązywania zadań z matematyki – a ja pewnego dnia pytam ją, dlaczego nie włoży po prostu tych pieniędzy do banku. Czuję się naprawdę zakłopotana faktem, że matka zmusza mnie do odliczania w sklepie pojedynczych, jedno- lub pięciodolarowych banknotów, podczas gdy ja wolałabym wypisać czek lub zapłacić kartą kredytową, jak wszyscy dookoła.

– Otwórz rachunek w banku – proszę.

– To nie takie proste.

– Dlaczego?

Zanim matka zdąży coś powiedzieć, znam odpowiedź:

dokumenty. Tę rozmowę odbyliśmy wiele miesięcy przed pojawieniem się Cobba w naszym życiu; matka powiedziała mi wówczas, że nieraz musimy szybko wyjeżdżać i nie będzie czasu na rachunki i banki, a gdy ma się gotówkę, zabiera się ją po prostu ze sobą.

W wesołym miasteczku kolejka zbiorowo przesunęła się o krok do przodu, a mnie udało się stanąć za Cobbem. Wołałam mieć na niego oko. Cobb prawi kazania o upadłych istotach, a ja nie mam pojęcia, o czym mówi, dopóki nie dociera do mnie, że upadłe istoty to dzieci, a przede wszystkim dziewczynki, które kończą w tarapatach. Tak to nazywa. Nie rozprawia o tym przy mojej matce. Gdy ona jest w pobliżu, zachwyca się nią i prawie nie zwraca na mnie uwagi.

– Dziewczynki potrzebują ojca – powtarza Cobb – w przeciwnym razie zostają aresztowane za awantury z jakimiś złymi, prostackimi chłopakami na parkingu przy barze otoczonym kaktusami w wielkich meksykańskich donicach, z niedopałkami wetkniętymi w suchą ziemię.

Zwykle wypowiada się w podobnie kwiecistym stylu i przez chwilę wydawało mi się to nawet zabawne. Mama przewraca oczami, gdy on nie widzi, i zmienia temat, ale teraz to już nie jest zabawne. Przynajmniej dla mnie. A on mówi o wiele dziwniejsze rzeczy, gdy jestem z nim sama; większości z nich nie rozumiem. Szczególnie obchodzi go sposób, w jaki siedzę i w jaki zakładam nogę na nogę. Proponuje, że podaruje mi ubrania za małe dla jego bratanicy. Nigdy nie poznałam tej bratanicy, ale te ubrania okazały się bielizną. Nigdy nie powiedziałam o tym mamie, po prostu unikam zostawiania z nim sam na sam.

Stoimy w kolejce, przyglądam się przechodzącym ludziom i wyobrażam sobie ich życie. Wypełniam puste miejsca, łączę punkty, bo ludzie zwykle nie mówią prawdy. Jeśli chce się ją poznać, trzeba czytać między wierszami. Gdy patrzę przez

okno pokoju w motelu, nad stacją benzynową czy w którejś z przyczep, gdzie właśnie mieszkamy, opowieści rodzą się same z siebie. Ale to tylko fantazje, a ja zastanawiam się, jak i gdzie zdobyć dokumenty, żeby zrobić coś rzeczywistego. Na przykład pójść do szkoły.

Wszystko stało się bardziej skomplikowane i obowiązuje teraz tak wiele niewypowiedzianych reguł, że gdybym chciała je wymienić, nie wiedziałabym, od czego zacząć. Moja matka dużo kłamie, lecz nie jest to ten rodzaj kłamstw, który wciąga kogoś innego w kłopoty, to tylko drobne kłamstewka w odpowiedzi na pytania typu: skąd jesteśmy, gdzie mieszkamy i gdzie przedtem pracowała. Notuje daty i nazwiska, widziałam strony wypełnione jej starannym pismem wychodzącym poza marginesy, jakby czuła potrzebę zapisywania swojego życia w obawie, że mogłaby zapomnieć.

Patrzę na banknot dolarowy, który mam w ręku; dał mi go Cobb. Czuję, że ten człowiek gapi się na mnie. Zawsze się na mnie gapi, gdy moja matka nie widzi; gapi się na moje chude ramiona, bezwłose pachy. A także na moje nogi, i jest to dziwne, zważywszy na fakt, że pokryte są różowymi plamami po strupach i śladami po komarach. Cobb ma zwyczaj wycierania ust staroświeckimi bawełnianymi chusteczkami do nosa z ozdobnie wyhaftowanym monogramem HC. Składa te chusteczki na pół i ciągle wyciera nimi kąciki ust.

Noszę biały, obcisły podkoszulek bez rękawów z wszytym biustonoszem, choć nie jest on mi jeszcze potrzebny. To wynalazek Armii Zbawienia. Na ramionach mam mnóstwo ranek po ukąszeniach owadów, na różnych etapach zagojenia. Na ramięczku podkoszulka widać smugę krwi.

Straciłam na chwilę czujność i Cobb znów stoi za mną. Gapi się na moją szyję, a mnie robi się nieswojo. Odwracam się do niego plecami, czuję jednak, że jego oczy błędzą tam, gdzie kończą się moje wystrzępione szorty. Zastanawiam się, co by

się stało, gdyby ci wszyscy ludzie wokół mnie – rodzice, dzieci, dziadkowie, nastolatki, klauni – usłyszeli jego myśli, gdyby te myśli podano do wiadomości publicznej przez megafon, a Cobb został zdemaskowany. Nie wiem, jak powiedzieć mojej matce, jak jej uświadomić, że nie powinna nigdy zostawiać mnie z nim samej. Teraz jest niedaleko, a i tak skóra na mnie cierpnie.

Po raz pierwszy w życiu mam ochotę spakować się i wyjechać w środku nocy, żeby od niego uciec. Nie lubię Cobba, ale nigdy nie powiem tego matce, ponieważ wydaje się szczęśliwa, gdy on jest obok niej. Boję się. Ale tego też nie powiem matce. Boję się, że całkowicie mu zaufa, a on wpadnie do mnie, gdy ona będzie w pracy, i nikogo to nie zdziwi, ponieważ Cobb często się tu kręci, nawet gdy matki nie ma. Ale ten dzień przyjdzie. Wiem to. Dlatego się boję. I jest to tylko kwestia czasu.

Nie mam pojęcia, skąd wiem, że tak się stanie. Czasami przez kilka dni nie myślę o Cobbie, a potem nagle rozlega się dzwonek i pojawia się on z torbą moich ulubionych ciastek, przekąsek i książek, przypominając mi, że ma wobec mnie jakieś zamiary. Gdy osiągnęłam dojrzałość, powiedział mi – byliśmy wówczas sami – że muszę się szorować, myć gąbką i splukiwać, by pozbyć się obrzydliwego zapachu.

Kolejka posuwa się do przodu, a on jest teraz bliżej niż kiedykolwiek.

– Twoja matka jest bardzo piękna – mówi i uśmiecha się do mnie. Robimy kolejny krok do przodu, jesteśmy następni w kolejce. – Mógłbym poprosić ją o rękę i byłbym wtedy twoim tatą.

Nagle muzyka zwalnia, staje się smutna i tęskna, jakby grano ją na jakimś starym, zardzewiałym instrumencie. Potem milknie na chwilę i wraca jako dziecięca, radosna melodia.

– Nie sądzę, żeby ona szukała męża – mówię.

– Idę jutro na ryby. Chciałabyś pójść?  
– Chcę przejechać się na karuzeli. I nie lubię łowić ryb.  
– Myślę, że by ci się spodobało... – Cobb marszczy brwi. –  
Twoja matka pozwoliłaby ci pójść ze mną, gdybyś poprosiła?  
– Nie lubię łowić ryb, już mówiłam – powtarzam nieco ostrzejszym tonem.

Wzdragam się, czując rękę Cobba na swojej szyi, popychającą mnie do przodu. Nigdy wcześniej mnie nie dotykał. Chcę się wyszarpnąć, ale nie mogę robić scen. Mama mówiła, żebym nie robiła scen.

Ręka błędzi po mojej szyi, czuję na skórze każdy palec, gorący, jakby Cobb był cały rozpalony. Nachylam się, aby poprawić pasek u sandałka niewymagający poprawienia i widzę matkę. Siedzi na ławce i czeka na nas. Obserwuje. Nasze oczy się spotykają, na twarzy matki maluje się stoicki spokój, a ja zastanawiam się, dlaczego ona do mnie nie macha. Robimy z Cobbem ostatni krok do przodu i stoimy przy ladzie, składa zamówienie.

– Powiedziała mi, że nie lubi łowić ryb i już. No i dobrze – mówi Cobb, gdy dołączamy do matki na ławce. – Po jedzeniu przejedźmy się na szalonym smoku.

Mama patrzy na mnie uważnie. Gdy Cobb opada na ławkę koło mnie, przesuwa mój talerz po nierównym stole piknikowym.

– Usiądź przy mnie – mówi i pokazuje miejsce obok siebie. – Nie widzę cię dobrze.

Istnieje słowo na określenie osób takich jak on, sprawdziłam je. „Zboczeniec; osoba, której zachowanie odbiega od normy, zwłaszcza w sferze seksualnej”.

Jemy w milczeniu, a po przejażdżce na smoku i strzelaniu – Cobb ani razu nie trafił do celu – odwozi nas do domu.

– Wejdz i włącz telewizję, ja zaraz wracam – mówi matka. Wysiadam, ale mam inny plan, zamiast oglądać telewizję stanę

przy oknie i będę ich obserwowała. Bawię się kluczami, upuszczam je, a one spadają na nierówną listewkę prymitywnych schodków i z brzękiem lądują na ziemi. Zeskakuję i nurkuję pod schody. Widzę parę monet i sięgam po nie. Przez szczeliny między stopniami obserwuję Cobba, który wysiada z samochodu, aby, jak zawsze, otworzyć drzwi mojej matce, matka wysiada jednak, zanim on zdąży okrążyć wóz. Stoją i rozmawiają. Plecy matki są sztywno wyprostowane. Twarz Cobba robi się purpurowa, oczy ma wytrzeszczone. Nie słyszę, co mówi, ale rozwścieczony wyrzuca z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

Matka nachyla się bliżej do niego, twarz ma bladą, lecz niewzruszoną. Stoją w otwartych drzwiach po stronie pasażera, a gdy Cobb próbuje wepchnąć mamę z powrotem do samochodu, ona pluje mu w twarz. Cobb z zamkniętymi oczami sięga do kieszeni po chusteczkę, trzymając się wozu. Matka staje za nim i z hukiem zamyka drzwi. Rozlega się krzyk, który przechodzi w zawodzenie; patrzę, jak Cobb otwiera drzwi samochodu. Dłoń zwisa mu bezwładnie, z palców kapie krew.

Matka, nie okazując żadnych emocji, odchodzi spacerowym krokiem, jakby przechadzała się po parku w słoneczny dzień. Siedzę pod schodami wśród rozrzuconych monet i papierków po cukierkach i zastanawiam się, jak daleko posunęłaby się matka, by mnie chronić. Nagle rozpiera mnie radość, bo najgorsze, co sobie wyobrażałam, właśnie przestało istnieć, nigdy nie nastąpi. Ponieważ moja matka dba o to, żebym była bezpieczna.

Ciekawe, jak bardzo by się rozgniewała, gdybym opowiedziała jej o Cobbie. Prawdopodobnie lepiej się stało, że tego nie zrobiłam. Matka nie lubi takich sytuacji.

Kocham cię, zawsze będę dobrą córką.

Obiecuję.

# Rozdział dwudziesty siódmy

## Memphis

Memphis wie, że Dahlia jest zmęczona po pracy i niepokoi się o psa, ona musi jednak dokończyć historię Quinn. Nie chce dokładać córce, będącej w nie najlepszym stanie psychicznym, kolejnych wstrząsów, lecz jest wiele bolesnych spraw, które muszą zostać wyjawione.

– Ona musi być operowana – rzuciła Dahlia, wchodząc do kuchni pierwszego wieczoru, który spędziły na farmie. Po psie nie było śladu, Memphis wiedziała więc, że jest niedobrze.

– Co się stało?

– Miała szczeniaki, jeden się nie urodził i został w niej. Nigdy nie słyszałam o czymś takim. Musi być operowana.

Serce jej się krajało, gdy patrzyła, jak Dahlia dzielnie powstrzymuje łzy, nie chcąc okazywać bólu.

Nawet teraz, obserwując, jak Dahlia je zupę z garnka zostawionego dla niej na kuchni, Memphis dostrzega, jak bardzo córka jest krucha; wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Może ich trudne życie odbiło się na Dahlii o wiele mocniej, niż Memphis podejrzewała. To smutne, że ona je zupę w taki sposób, trzymając za ucho przechylony garnek, by nie zostawić ani kropli. Memphis nagle zbiera się na płacz, ale nie jest zdenerwowana, nie będzie płakała; nauczyła się przełykać łzy i pozwalać, by rozpuścił je kwas w żołądku. Spogląda na Dahlię wyskrobującą łyżką resztki z boków garnka. Żałuje, że gdy córka była dzieckiem, nie pozwoliła jej na psa, ale to jeszcze bardziej utrudniłoby im życie. Dahlia nieraz błagała o psa, lecz Memphis

się nie zgodziła. Co by było, gdyby musiały go zostawić albo nie mogły znaleźć mieszkania, albo pies by zachorował, a one nie miałyby pieniędzy na weterynarza? Miała tak dużo powodów, by nie dawać małej tego, o co prosiła. Powinna jednak pozwolić Dahlii na wzięcie psa ze schroniska, małego, niezbyt szczekliwego, bo dziecko miałoby jakieś towarzystwo, a nie siedziało samo w domu całymi dniami.

Gdy łyżka skrobie już po dnie, Memphis widzi wyraźnie, że zrobiła córce krzywdę. Ale nigdy, nigdy nie pozwoliła, by coś jej się stało, nie pod jej opieką. Gdy Dahlia była dzieckiem, pewien mężczyzna źle na nią patrzył, spakowały się więc i wyjechały. Nie zatrzymywały się w miejscach, gdzie nie było bezpiecznie. A nigdy nie było bezpiecznie. Memphis zawsze spodziewała się pukania do drzwi i bała się, że ją zaborą, a co wówczas stałoby się z Dahlią? Niepokój, strach przed schwytaniem towarzyszyły jej nieustannie. Wtedy jednak nic nie miało znaczenia, poświęciła się dobrowolnie i sama była zaskoczona siłą uczuć, jakie rozbudziła w niej ta dziewczynka. Powinna wtedy pozwalać jej na więcej; pies nie oznaczałby końca świata. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że dochowywanie sekretów niosło ze sobą o wiele poważniejsze konsekwencje, niż się spodziewała.

– Mam nadzieję, że ona wyzdrowieje. Lubię ją.

Dahlia spojrzała na matkę zaskoczona.

– Ten pies. Tallulah – wyjaśniła Memphis. – Mam nadzieję, że będzie dobrze.

– Też mam taką nadzieję.

– Kiedy wraca do domu?

– Czekam na telefon od weterynarza, że mogę ją zabrać. Jest już lepiej. Nie denerwuj się.

– Potrzebujesz pieniędzy?

Kolejne zaskoczenie. Memphis rozumie ten wyraz zdziwienia na twarzy córki, ponieważ propozycja pieniędzy z jej strony to rzecz niezwykła, a Dahlia prawdopodobnie zastanawia się, jak



duży zasiłek matka może wycisnąć z wszystkich tych prac opłacanych pod stołem.

– Nie, ale dziękuję.

– Gdzie pracujesz? – Memphis przejmuję się tą sprawą z psem i nie jest pewna, czy zapomniała, czy Dahlia nigdy jej nie mówiła, czym się teraz zajmuje.

– W Lark Inn. Pracuję na podwójne zmiany.

– Ile będzie kosztował weterynarz?

– Kilka tysięcy.

– Chcę za to zapłacić.

– Masz takie pieniądze?

Memphis widzi, że Dahlia żałuje tych słów, bo mocno zaciska usta, ale nie może ich już cofnąć.

– Nie martw się o to. Powiesz mi, jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy? Niczego więcej nie chcę.

Dahlia zjada ostatnią łyżkę zupy z garnka. Zmywa naczynia i obie zaczynają czytać gazetę, lecz Memphis tylko przewraca strony, musi czytać każdy akapit po dwa razy i dalej nic nie rozumie. W końcu się poddaje.

– Ta historia, którą ci opowiadałam, o kobiecie i dziecku... – Zawiesza głos, chce dać do zrozumienia, że może mówić i ma nadzieję, że Dahlia nie zerwie się i nie pójdzie naprawiać czegoś w domu, tylko zostanie i pozwoli jej dokończyć opowieść.

– Co z tą kobietą i dzieckiem? – pyta Dahlia.

Zostań ze mną, chce powiedzieć Memphis, mam powód, dla którego ci to mówię, przekonasz się, to będzie warte twojego czasu. Patrzy, jak Dahlia wyłania się zza gazety, a wyraz jej twarzy zdaje się mówić: ona znów wyskakuje z tą bajką o kobiecie, która urodziła w przedpokoju.

Za każdym razem trudno jest zacząć, znaleźć to miejsce, ten punkt w czasie, w którym historie Tain Fish, Nolana Creela i Quinn łączą się w jedno.

Memphis wstaje i obejmuje Dahlię, bierze ją w ramiona.

Dahlia siedzi sztywno. Wprawdzie obejmowały się już wcześniej, ale nigdy tak jak teraz. Memphis trzyma córkę mocno i jest jej z tym dobrze. Czuje, że Dahlia w końcu się rozluźnia.

– Jest jeszcze coś więcej – mówi Memphis i odgarnia czarne włosy z twarzy córki.

Wyczuwa bijący od niej zapach prania i środków czyszczących, coś jej to przypomina.

Gdy Dahlia opiera nogi na krześle i zapala papierosa matki, jakby były przyjaciółkami gawędzącymi o znajomych, Memphis zaczyna mówić tak głośno i wyraźnie, jak tylko może.

– Nic dobrego nie wydarzyło się po tych narodzinach martwego dziecka. Nic. Przynajmniej przez jakiś czas.

\*

Tain trzymała się na dystans, dumiała i wpatrywała się w przestrzeń. Rzuciła się na jedzenie jak zdziczałe zwierzę; siedząc na tylnej werandzie, rysowała kijem dziwne rysunki na ziemi. Była pełna rezerwy, ale wyczuwało się w niej napięcie. Quinn przyglądała się jej uważnie i widziała, że wcale nie jest przygnębiona, była na to zbyt spięta, wręcz nieobecna. Dużo się uśmiechała – unosiła kąciki warg, co sprawiało wrażenie, jakby niecierpliwie na coś wyczekiwała – i niczego przy tym nie udawała, Quinn obserwowała ją bowiem z daleka i zawsze widziała tę samą uśmiechniętą i nieobecną Tain. Zdystansowaną, poranioną, wyczekującą.

W wiadrze w jedynej łazience na górze Tain zostawiała zakrwawione podpaski i niemal dwa miesiące po porodzie wciąż krwawiła. Quinn codziennie opróżniała wiadro, a gdy krwawienie ustało, zaproponowała, że kupi dziewczynie ładną bieliznę i odpowiedni biustonosz, lecz choć Tain nosiła te rzeczy, ramiączka stanika zawsze miała poskręcane i wciąż wyglądała

niechlujnie.

Nolan przez cały czas przyglądał się Quinn podejrzliwie. Całe dnie spędzał w szopie, a gdy wracał do domu, ignorował Tain, prawie jej nie zauważał. Nie odzywał się do niej, nie wymawiał jej imienia, aż w końcu przestał tolerować jej obecność.

– Jak długo zostanie? Nie może tu siedzieć wiecznie, musi mieć gdzie rodzinę. To, co robimy, jest po prostu niewłaściwe – mówił, patrząc za okno, na drzewo i mały grób pod nim, gdzie spoczywała mała istota ludzka wielkości lalki. Ziemia wciąż się nie wyrównała, mały wzgórek pośród zupełnie płaskiego pejzażu zdawał się niepokoić Nolana, ciągle mu przypominał o tamtym strasznym wieczorze.

Quinn wiedziała w czym rzecz. Nolan bardzo dbał o to, co uważał za swoją własność, o swoją szopę, swój dom – Tain nie było wolno przekroczyć progu ich sypialni – nawet o najmniejsze rzeczy, takie jak jego kubek. Głupi niebieski kubek, wyszczerbiony i popękany. Gdy zobaczył, że Tain z niego pije, wypadł z domu, trzaskając drzwiami.

– Gdy tylko poczuje się lepiej i dojdzie do siebie, pomożemy jej odnaleźć rodzinę – powiedziała Quinn. – Nie jest jeszcze na tyle silna, żeby odejść.

– A jeśli to nieletnia i trzymanie jej tutaj jest niezgodne z prawem? To może wpędzić nas w duże kłopoty.

– Nie łamiemy żadnego prawa, pozwalając jej tu zostać. Co, twoim zdaniem, mam zrobić? Rozwiesić w mieście ulotki? To na pewno narobi szumu.

– Jak myślisz, ile ona ma lat?

– Około dwudziestu – skłamała Quinn. – Wiedziała, że zęby trzonowe Tain nie w pełni się jeszcze wykształciły, co mogło oznaczać, że jest ona o wiele młodsza. Quinn nie wiedziała jednak dostatecznie dużo o zębach, by mieć pewność.

– Ona musi odejść, Quinn. To nie jest w porządku.

Była zaskoczona sprzeciwem męża, jego ciągłym narzekaniem

na Tain i jej obecność. Dziewczyna nie stwarzała żadnych problemów i dużo pracowała w domu i na farmie. To nie było w porządku? Jeśli już, to nie było fair wobec niej, Quinn. Czy to uczciwe, że nie mogła pokazać światu dziecka mimo wszystkich tych pieniędzy, które zapłaciła Aelli? Czy to w porządku, że wciąż miała skurcze w brzuchu i krzywiła się z bólu za każdym razem, gdy podnosiła coś cięższego? Że mimo pełnego, wzdętego brzucha i piekącego bólu w piersiach co miesiąc dzieje się to samo? Czy to fair, że zwijała się z bólu, a gdy poczuła się lepiej i zaczynała odzyskiwać siły, skurcze wracały, jakby jej trzewia same skręcały się w ciasną spiralę?

– Co zamierzasz z nią zrobić? A jeśli ona nie ma dokąd pójść? Chcesz, żebym wysłała ją na ulicę? Co ja mam robić?

– Quinn, nie mówię, żeby wyrzucić ją jutro, ale powinniśmy mieć jakiś plan. Popytam tu i tam.

Gdy zobaczył twarz Quinn, podniósł ręce w obronnym geście.

– Nie, nikomu o niej nie powiem, po prostu dowiem się, gdzie ktoś taki, jak ona, mógłby się zwrócić.

– Ktoś taki jak ona?

– Mam na myśli bezdomny. Proszę tylko o plan, o datę, nieprzekraczalny termin, cokolwiek. Ona nie może zostać tu na zawsze.

– Nie wyrzucę jej stąd, dopóki nie będzie miała dokąd pójść. Dobrze wiesz.

– Co chcesz, żebym zrobił z tą podłogą? – Nolan z brzękiem wstawił do zlewu naczynia po śniadaniu. – Ciągłe widzę tę plamę krwi. Mam wymienić deski? Zabejcować ją?

Nolan nie był już tym samym mężczyzną, który przyniósł Tain do domu, delikatnie położył ją na podłodze, wsunął jej pod głowę swoją zwiniętą marynarkę. Nie był już chętnym do pomocy mężem, który kładł nowe tapety, sadił kwiaty – teraz obchodziła go tylko krew, która wsiąkała w niedokończoną podłogę w przedpokoju. Zależało mu, by wszystko to – poród, krew, Tain –

znikło, nie pozostawiając żadnego śladu.

– Nikogo nie obchodzi podłoga, Nolanie. Nikt nie zwraca na nią uwagi prócz ciebie. Nie zamartwiaj się tym, z pewnością masz ważniejsze rzeczy do zrobienia. Zostaw to mnie. Po prostu idź i...

Idź i zajmij się czymkolwiek, nieważne czym. Patrząc na męża, na poplamione spodnie i zwiotczałe przez lata ciało tego człowieka, który już nie pracował, nie stukał młotkiem, tylko grzebał w czymś w szopie, Quinn jasno sobie uświadomiła, że ma go dość. Gdyby teraz od niej odszedł, nie miałyby nic przeciwko temu. Nie przejęłyby się, równie dobrze sama mogłyby odejść, zabrać ze sobą Tain i zacząć z nią nowe życie gdzieś indziej. To jest jakiś pomysł, pomyślała Quinn, mogłabym po prostu wyjechać stąd z nią, spakować te kilka naszych rzeczy do furgonetki Nolana i wyruszyć w środku nocy. Zanim rano wygrzebałyby się z łóżka i pokuśtykał do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje, one jechałyby już na wschód, do jakiegoś większego miasta, albo na południe, gdzie z każdym kilometrem było coraz mniej i mniej domów i farm.

– Idź i zrób to, co masz do zrobienia. – Quinn udało się to powiedzieć o wiele łagodniejszym tonem. – Ja się zajmę podłogą.

Nolan szybko wyszedł, potem Quinn usłyszała skrzypienie drzwi do szopy i wtedy rzuciła się do otwierania i przetrząsania szuflad, aż w końcu znalazła młotek. Chwyciła prawą ręką gładki drewniany trzonek, palcami lewej przebiegła po ostrym pazurze do wyciągania gwoździ i tępej powierzchni obucha. Pogrzebała głębiej w szufladzie i wybrała najdłuższe gwoździe, a potem przeciągnęła dywanik z pokoju dziennego do przedpokoju i ułożyła tak, aby zakrywał plamę krwi. Szybkim ruchem ręki uniosła młotek i uderzyła w główkę gwoździa.

Quinn pamiętała ojca, ale nie mogła już przypomnieć sobie zapachu jego garniturów ani wody po goleniu. Sigrid także coraz bardziej bladła w jej wspomnieniach, lecz dźwięk młotka uderzającego o gwoździe wywołał obraz Benita i jego wuja,

mocujących kratownice dla róż, a zaraz potem martwo urodzonego dziecka. Quinn starała się powstrzymać łzy, nie zdołała pozbyć się widoku małego ciała.

Bum. Bum. Bum.

Quinn uderzała młotkiem raz po raz, nie przytrzymując palcami gwoździ, dopóki Tain nie chwyciła jej za rękę i nie wzięła jej w objęcia. Quinn zawsze wstydziła się płakać, Tain wydawała się jednak nie mieć nic przeciwko temu, by dała upust ogromowi swojego żalu. Płakała rozpaczliwie, z trudem łapiąc powietrze. Przez wszystkie te lata spędzone z Nolanem czuła, że choćby krzyczała na cały głos, na cztery strony świata, nikt by jej nie usłyszał. Tain trzymała ją bardzo mocno, nie puściła nawet wtedy, gdy Quinn próbowała się wyrwać i sięgnąć po młotek.

Razem opadły na kolana i siedziały bez ruchu, nieświadome upływu czasu. Quinn kołatała się po głowie tylko jedna myśl – że jej los został przypieczętowany.

\*

Nolan z determinacją dążył do pozbycia się Tain. Coraz bardziej się denerwował, gdy dziewczyna niezdarnie przewracała filiżanki z kawą, wylewając parujący płyn na obrus. Quinn po prostu wycierała stół kuchenny, on zaś, kręcąc głową, krążył po frontowej werandzie, potykając się o wiadro z wodą. Im bardziej Nolan przyglądał się Tain, tym więcej katastrof ona przyciągała. Quinn zdawała sobie sprawę z jej niezdarności, starała się być w pobliżu i ostrzegać ją: „Uważaj, schody” albo: „Nie przewróć tego kubka, teraz ostrożnie”.

Po tygodniach takiego bezdusznego zachowania Nolana Quinn doznała olśnienia – przyczyną irytacji męża było to, że Quinn i Tain zbliżyły się do siebie. Nie znosił, gdy chichotały i śmiały się, kręcił wówczas głową na znak, że nie podoba mu się taka

zażyłość. Gdy Quinn doprowadzała do porządku sypialnię na górze dla Tain, Nolan obserwował, jak przenosiły tam wiklinowy stół z werandy, mający służyć jako stolik nocny. Quinn przetrząsnęła kołdry w szafie z pościelą, w większości pełne dziur po molach i pożółkłe na brzegach, i znalazła jedną, która wydawała się w o wiele lepszym stanie, tuftowaną, z dużym różowym wieńcem wyszytym pośrodku. Uprały białą pościelową, wyszorowały podłogi i rozłożyły kołdrę na łóżku z baldachimem. Wszystkiemu Nolan przyglądał się podejrzliwie.

Quinn chciała, by Nolan widział, że Tain przykłada się do pracy, przydzielała jej mnóstwo obowiązków, aby dziewczyna zawsze miała zajęcie, i od czasu do czasu ją kontrolowała. Tain wynosiła śmiecie, robiła pranie, prasowała, myła podłogi; praca wydawała się ciężka, powstrzymywała ją jednak od rozmyślań i wpatrywania się w nicość. Quinn czuła, że musi chronić Tain przed nią samą i w końcu to dziewczyna przejmowała ciężar wszystkich obowiązków, gdy Quinn kładła się do łóżka i tylko wyrzucała kolejne podpaski do kubła w łazience. Tain opróżniała za nią kubel, Quinn zaś co rano budziła się z uczuciem wdzięczności, że chociaż teraz nie musiała udawać, że jest silna.

Nadeszła zima, a Nolan zachorował na grypę; ataki jego kaszlu wstrząsały domem, całymi dniami pluł flegmą i wymiotował. Quinn za nic nie mogła zasnąć obok niego, Tain zaproponowała jej więc swój pokój.

– Nie, nie mogłabym cię prosić, żebyś spała na kanapie.

Tain roześmiała się, pokazując zęby, a Quinn zdała sobie sprawę, że dziewczyna ostatnio stała się pogodniejsza.

– Możesz spać ze mną, dopóki Nolan nie poczuje się lepiej. To łóżko jest dostatecznie duże.

Zaczęły więc spać plecami do siebie, dzieląc się dużą kołdrą i oddychając nocami tym samym powietrzem, a Quinn nic nie mogła na to poradzić, ale miała wrażenie, że są sobie bliskie jak siostry.

Czasami, na przykład gdy drylowały wiśnie na dżem albo rozciągały i składały prześcieradła przemyślanymi i skoordynowanymi ruchami, zastanawiała się, czy Tain jest dzieckiem, które jak zapewniała Aella, pojawi się w jej życiu. Wciąż pragnęła dziecka, choćby jednego, zastanawiała się jednak, czy potrafiłaby się zadowolić Tain, tym przypominającym młodą sarnę stworzeniem, które pogrążało się często we własnym świecie i patrzyło przez okno lub na obrazek na ścianie nieobecny wzrokiem.

Może trzeba na tym poprzestać, myślała Quinn, na opiece nad kimś, kto jej potrzebował, może to właśnie chciał dać jej los – nie noworodka, którego trzymałaby w ramionach. Bezbronność ma tak wiele postaci i być może już otrzymała dar od losu i nie należało czekać na coś, co nigdy się nie wydarzy.



# Rozdział dwudziesty ósmy

## Dahlia

Weterynarka dzwoni z informacją, że pojawiły się komplikacje. Od czterech dni Tallulah ma gorączkę.

– Taki stan dobę czy dwie doby po operacji jest czymś zupełnie normalnym, teraz jednak Tallulah najprawdopodobniej walczy z kolejną infekcją. Podajemy jej antybiotyki. To będzie gra na przeczekanie, ale jestem optymistką. Prawie cały czas śpi, i o to chodzi. Może pani przyjść ją zobaczyć, lecz najlepiej byłoby jej nie odwiedzać. Nie chcemy, żeby zbyt szybko się pobudziła. Nasz personel doskonale się nią opiekuje i spędza z nią czas, gdy akurat nie śpi.

– Nie przyjdę, jeśli tak będzie dla niej najlepiej – mówię i próbuję powstrzymać łzy. Nie chcę, żeby matka widziała, jak płaczę. Zaproponowała, że zapłaci za leczenie, ale pamiętam, że sprzeciwiała się wzięciu psa. Nie chcę okazywać słabości, przypominam sobie, jak surowo mnie oceniała. W takich momentach nigdy nie okazywała mi współczucia.

Zaczynam płakać dopiero wówczas, gdy wpada Bobby, a ja wychodzę do niego na werandę. Przyciąga mnie do siebie, obejmuje ramionami, jego uścisk jest serdeczny i czuję się bezpiecznie. Bardziej niż kiedykolwiek przy mojej matce.

Rozsiadamy się z Bobbym na werandzie, na starych krzesłach ogrodowych, które skrzypią za każdym razem, gdy tylko się poruszamy. Mój przyjaciel zapomniał kupić piwo, w lodówce zostało tylko parę butelek taniej sangrii, kupionej na stacji benzynowej. Wypijamy kilka szklaneczek tego napoju i gdy

przyzwyczajamy się już do jego słodczy, rozmawiamy, a sangria sprawia, że miękną mi kolana, a w brzuchu czuję mrowienie.

Słońce niedługo zajdzie, zaczyna się ściemniać, świat traci swoje kolory, wszystko wokół przybiera różne odcienie szarości, a na tym ponurym tle budynki na farmie zdają się pływać niczym łódki na stojącej wodzie. Zaczynają cykać świerszcze, wkrótce przyjdzie zmierzch, wyraziste cienie wtopią się w tło, a jedynym źródłem światła będzie księżyc nad nami.

Wspominamy zabawne wydarzenia z liceum – w pewnym momencie wstaję i parodiuję sposób tańczenia pewnej dziewczyny, która pracuje teraz w dyskoncie Family Dollar, a wówczas rzucała w tańcu górną częścią ciała i niezgrabnie robiła zamaszyste kroki tylko w jedną stronę. Spryskujemy się obficie środkiem przeciw owadom roboty mojej matki; jest to mętny płyn z kawałkami skórki cytrynowej w butelce z rozpylaczem. Co pewien czas potrząsam butelką, żeby na dnie nie zbierał się osad. Dziś wieczorem nie pozwalam, żeby cokolwiek osiadało. Czuję potrzebę, by świat wokół mnie pozostał w ruchu.

Bobby wspomina także smutniejsze rzeczy, opowiada o trenerze, który spadł z drabiny i jest sparaliżowany, o ładnej czirliderce, która skończyła w przyczepie kempingowej na parkingu nazywanym przez nas „najgorszym miejscem do życia w Aurorze”, z trójką dzieci, ale bez męża. Większość naszych kolegów niczego nie osiągnęła – czy to wyjeżdżając z miasta, czy tu zostając; dwa razy grubsi niż dawniej nadal sprzedają sprzęt rolniczy albo pracują w sklepie spożywczym, aby zarobić na alimenty. Tymczasem słońce jest już bardzo nisko na niebie. Rezygnujemy z dalszej walki z komarami i wchodzimy do domu. Bobby nigdy nie był w środku, zerknął tylko ukradkiem na przedpokój tego dnia, gdy wyłamaliśmy drzwi. Bierzymy czyste szklanki z kredensu i kolejną butelkę sangrii z lodówki. Dzień skończył się już na dobre i – jakby to wywoływanie wspomnień

z przeszłości skierowało nas na drogę, którą nigdy nie chcieliśmy pójść – oboje wiemy, że teraz liczymy się już tylko my.

– To miejsce jest jakieś inne – mówi Bobby, idąc za mną do pokoju dziennego.

Kanapa na środku pokoju to tani, zapadający się grat, pamiętający lepsze czasy. Aksamitne obicie w duży kwiatowy wzór może przyprawić o ból głowy, pełno w nim rozdarć i dziur. Jaskrawe niegdyś kolory wyblakły, brązy zamieniły się w różowość, a w rogach poduszek tkanina się marszczy. Zapadliśmy się w tę kanapę z hukiem.

W pewnym momencie, nie pamiętam kiedy, ale po tym, jak słodycz drugiej butelki sangrii rozeszła mi się po całym ciele, czuję silne pragnienie, by zacząć życie od początku, właśnie tu i teraz, żeby od tej chwili wszystko wyglądało inaczej i aby przeszłość i wszystko, co się z nią wiąże, straciły znaczenie.

Trzymamy się za ręce. Przez chwilę jesteśmy zakłopotani, potem się całujemy. Bobby smakuje cytrusami z domieszką jabłka i początkowo pocałunek nie robi na mnie wrażenia, jakbym całowała się z kimś zupełnie obcym, lecz chwilę później to się zmienia. Znam Bobby'ego i choć wielu rzeczy o nim nie wiem, nie jest on niebezpiecznym zaułkiem, lecz nieodkrytym pokojem w moim własnym domu. Mimo oszołomienia alkoholem gdzieś w tyle mojej głowy tkwi obawa, że nie będziemy mogli tego cofnąć, że nasza przyjaźń zmieni się w innego rodzaju relację, z której nie wiadomo, co wyniknie, ale przez cały czas zdaję sobie sprawę, że mój opór zaczął słabnąć już dawno temu.

Poddaję się w momencie, gdy usta Bobby'ego dotykają mojej szyi, a gdy jego ręce zaczynają błaznić po moim ciele, rządzi już nami coś innego. Pocałunki stają się mocniejsze, bardziej gorące, jedna ręka Bobby'ego wędruje w moich włosach, druga otacza i przyciąga mnie bliżej do jego pachnącego cytryną ciała. Może sam ten pokój wydaje nam polecenia – przecież czas tu stanął,

a my także cofamy się do pewnego momentu w czasie, tego, gdy dorastaliśmy, a jednocześnie rodzimy się właśnie tu i właśnie teraz.

A potem chcę – po prostu chcę więcej Bobby’ego, więcej życia i szczęścia, i żeby ten moment trwał, i chcę widzieć, jak on się rozpada na części, i w tym samym czasie chcę sama pójść na dno. Czuję jego oddech na swojej szyi, później gorące usta na skórze. Ubrania powoli z nas spadają, jego nagie ciało leży na moim. Wrażenie, że on jest we mnie, emocje na jego twarzy i w jego oczach, sposób, w jaki nasze ciała zdają się cicho śpiewać i wibrować, to zapadanie się w siebie nawzajem trwa całą wieczność. Patrząc mi w oczy, Bobby zaczyna poruszać się powoli, wręcz niezdolnie powoli, a ja przesuwam ręce po jego plecach, czuję go pod swoimi palcami. Kręci mi się w głowie, poruszamy się, poruszamy, wciąż patrząc sobie w oczy. Nie jesteśmy już w tym domu na farmie, na tej starej zakurzonej kanapie i ze śpiącą na górze matką, jesteśmy tymi, którymi kiedyś byliśmy i zarazem tymi, którymi będziemy.

Później natrafiam wzrokiem na szklanę sangrii na stole i zaczynam powtarzać Bobby’emu wszystkie opowieści mojej matki. Słucha, trzymając mnie za rękę, a ja czuję się tak, jakbym całe życie opowiadała mu historie o krwi na podłodze, szopach i cykających świerszczach. Teraz wydają mi się tylko wytworem wyobraźni mojej matki, dziwnymi wymysłami kobiety powoli popadającej w szaleństwo.

Po wyjściu Bobby’ego idę na górę, do swojego pokoju. Powoli przekręcam gałkę w drzwiach i wchodzę do środka. Zapalam światło, pokój wraca do życia – łóżko z baldachimem, wyszywana haftem krzyżkowym kołdra z różowym wieńcem, okrągły wiklinowy stolik nocny. Zupełnie jak w opowieści mojej matki o kobiecie i dziewczynie, które może mieszkały tu wcześniej, a może nie mieszkały. Niczego w tym pokoju nie zmieniałam, nie przesunęłam nawet stołu, a jedynymi moimi osobistymi

rzeczami są kartonowe pudła, starannie ułożone przy ścianie naprzeciwko łóżka. Jedno pudło jest otwarte, ze zwisającymi bezwładnie klapami.

Kładę się i gaszę lampę i już mam zapaść w sen, gdy kątem oka zauważam przyczepiony do ściany portret pamięciowy zaginionej kobiety. Senność od razu mi przechodzi. Mam jeszcze do rozpakowania wszystkie pudełka; nie wyjęłam papierów, nie skompletowałam wydruków na ścianę zaginionych, nie myślałam o tym od wielu dni. Czyżbym w momencie jakiegoś zaćmienia zrobiła jednak ścianę zaginionych taką samą, jak w domu matki? Nie pamiętam. Zapalam lampkę na stoliku nocnym, ale w pokoju wciąż panuje mrok.

Przeszłość się materializuje i przykrywa teraźniejszość warstwą kurzu, jakby była mocniejsza niż wszystko, co dzieje się w tej chwili. Opowieści mojej matki o ludziach, którzy tu mieszkali, o martwo urodzonych dzieciach i mężach, którzy znikają w szopach, wydają się aż nadto prawdziwe.

Gdzieś daleko słyszę skrzypienie zamykanych z trzaskiem drzwi. Albo otwieranych, nie mam pewności. Ale jedno wiem – ta farma i ten dom mają swoje własne życie.

# Rozdział dwudziesty dziewiąty

## Memphis

Gdy Memphis wchodzi do pokoju dziennego, wie, że w nocy Bobby i Dahlia byli razem na kanapie. Przez chwilę słyszała, jak rozmawiali na werandzie, wspominali dawne czasy, a jedno musiało prowadzić do drugiego, tak się kończy rozgrzebywanie przeszłości. Jest jak wzbicie kurzu pokrywającego wszystko w tym domu, nałożenie deformującej warstwy na obraz życia, który pozostawał nietknięty przez dziesiątki lat.

Memphis pamięta zapach unoszący się w sypialni Sigrid po wyjściu Człowieka z cadillaca. Pamięta przyjemną początkowo woń tytoniu i wanilii, które stopniowo zamieniały się w smród potu i płynów ustrojowych. Inaczej pachniał Benito i koc w tamtym lesie, zapachy były słodkie, wonne, przesycone czułością. Myśliwi cuchnęli moczem jelenia, słonym i piekącym jak obtarta skóra, wymieszanym z zapachem krwi, nasienia i bólu, surowym i przejmującym.

Bobby mógł trochę namącić Dahlii w głowie, Memphis obawiała się tego, ale nie zamierzała się mieszać. Zeszłej nocy, gdy przez okno do jej sypialni dochodziły ich głosy i śmiech, weszła do pokoju córki i otworzyła wszystkie pudła schludnie ułożone pod ścianą. Znalazła w końcu to ze zdjęciami i artykułami o zaginionych ludziach, na których punkcie Dahlia miała ostatnio obsesję. Nie jest pewna, co przydarzyło się dziewczynie znalezionej przez córkę w lesie, ale ten portret pamięciowy to coś, o czym Dahlia powinna pamiętać.

Memphis aranżuje więc na ścianie kompozycję, która wydaje

się najwłaściwsza – portret pamięciowy pośrodku, artykuły z gazet dookoła niego, jakby od kobiety z portretu zależało wszystko inne. Jest z siebie dumna. Opowieść układa się w całość, lecz Dahlia jest podejrzliwa i Memphis wie, że musi być ostrożna, podawać ją córce powoli, po jednej łyżce, tak jak komuś znalezionemu na pustyni podaje się wodę po kropelce, bo wypita łąpczywie mogłaby mu zaszkodzić.

Dahlia nie poradzi sobie, jeśli teraz okaże słabość. A ta jej praca w motelu, szorowanie toalet i zmienianie brudnej pościeli, polerowanie kranów i rozkładanie mydełek. Memphis zna to wszystko aż za dobrze, całe życie wykonywała podrzędne prace, lecz ostatnią rzeczą, jakiej chciałaby dla córki, jest pozostawanie na łasce szefa, który wyznacza jej podwójne zmiany w tym obrzydliwym miejscu, w ogóle pozostawanie na łasce mężczyzn.

Memphis nie wie też, co zrobić z Bobbym.

Od Teksasu przez Nowy Meksyk i Nevadę po najdalszą na zachód Kalifornię zawsze zapewniała Dahlii bezpieczeństwo. Owszem, często musiały pakować się i wyjeżdżać, przeważnie w środku nocy. To były sceny jak z filmu akcji, które pochłaniały każdego dolara skrupulatnie odkładanego przez Memphis w miesiącach, gdy sama pracowała na dwie zmiany. Mężczyźni stanowili problem, zawsze tak było, a gdy Dahlia skończyła dwanaście lat, matka nie mogła już jej chronić. Stała się uparta i niezależna, nie przestawała zadawać pytań, buntowała się przeciwko życiu, które wiodły, i w końcu zupełnie uniemożliwiła ich dalsze ukrywanie się.

Memphis wróciła do Aurory, nie wiedząc, czy ktoś jej szukał, miała jakieś podejrzenia, czy ktoś znalazł groby. Przez cały czas, przez wszystkie te lata drżała na myśl o wielkiej powodzi, która podmyje groby i kości wypłyną na powierzchnię.

Henry Cobb, właściciel warsztatu samochodowego, początkowo wydawał się dobrą partią, potem jednak Memphis zauważyła, że patrzy on na Pet trochę dziwnie, a zdarzały się

chwile, gdy twarz dziewczynki mówiła sama za siebie. Memphis próbowała tego nie zauważać, w końcu jednak musiała zmierzyć się z faktem, że ten człowiek wprawiał Pet w zakłopotanie, że jego ręka zbyt często lądowała na ramieniu lub karku dziewczynki, a on sam, co gorsza, realizował jakiś plan. Memphis gorąco kochała Pet, kochała od chwili jej narodzin, takiej zaróżowionej, zdrowej, doskonalej. Dziwne, że takie szczęśliwe dziecko musi wiedzieć wszystko, do końca. Zawsze tak było, ponieważ Dahlia po prostu miała taką naturę, nieustannie musiała dociekać prawdy. Tak jak kilka dni temu, gdy robiły porządki w szafach i znalazły kołdrę, pod którą wiele lat temu spała Tain. Ze wszystkich koców i kołder ta jedna nie została nadjedzona przez mole i przechowała się w niemal idealnym stanie. Gdy Memphis szarpnęła za tę kołdrę, z jej fałd wypadła biała kurtka bouclé, z wyszytym zielonym królikiem i zepsutym zamkiem błyskawicznym. Zawinięta w kołdrę, nie pożółkła i pachniała drewnem cedrowym, którym Nolan wyłożył szafy. Memphis ukryła kurtkę między pościelą a kocami, lecz Dahlia ją znalazła i zaczęła śledztwo.

– Co to jest? – zapytała, a Memphis wzięła córkę za rękę.

– Pamiętasz tę kobietę, o której ci opowiadałam?

Dahlia wydawała się zdezorientowana, nie rozumiała – była na to za młoda – że spotkanie z przeszłością może sprawić, iż puszczą tamy i zdradzimy sekrety, choćbyśmy nie chcieli.

– Tę, której dziecko urodziło się martwe?

Memphis pomyślała, że teraz może przyszedł czas powiedzieć Dahlii, do czego zdolne są kobiety, prędko jednak odrzuciła ten pomysł. Po jednej łyżce, nie więcej.

Ta kobieta. Memphis zastanawia się, czy Dahlia zadaje sobie pytanie, dlaczego każda rozmowa zaczyna się od tej kobiety. Czuje, że musi opowiedzieć szczególnie istotną część całej historii. Sama nie wie dlaczego. W odpowiednim czasie, myśli, w odpowiednim czasie wszystko zostanie ujawnione.



Memphis chwyta dziecięcą kurtkę i kontynuuje opowieść. Tak wiele jeszcze zostało do opowiedzenia, a z każdym dniem staje się to coraz trudniejsze.

Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione. Tak to już jest z sekretami. Wychodzą na światło dzienne.

\*

– Ona przynosi pecha – powtarzał Nolan, gdy Tain nie było w pobliżu. – Nigdy nam nie zaufa, nie ufa nikomu. Można ją karmić, rozpieszczać, ale zawsze będzie dzika. Musisz to wiedzieć. – Nolan delikatnie ścisnął Quinn za ramię, lecz ona strząsnęła rękę męża.

– To jeszcze dziecko, jest bardzo młoda. Nie mów tak o niej. Ona potrzebuje rodziny.

– W tej kwestii się z tobą zgadzam. Potrzebuje rodziny. Ale my nie jesteśmy jej rodziną. Ktoś jej chyba szuka?

– Gdyby tak było, już byśmy o tym wiedzieli.

– Pamiętasz tę kotkę, która przychodziła pod tylne drzwi i czekała na jedzenie? – zapytał Nolan, nie zważając na to, że Tain może być w pokoju obok i go usłyszeć. – Jedzenie ją tu trzymało, ale potem przestraszyła się, gdy próbowałeś ją pogłaskać, i więcej jej nie zobaczyliśmy. Ta dziewczyna odejdzie stąd tak czy inaczej, to tylko kwestia czasu. Wymyśl coś, inaczej cała historia źle się skończy.

To mnie stanie się coś złego, chciała powiedzieć Quinn, wiedziała jednak, że chodzi po kruchym lodzie, więc milczała.

– Rób, co chcesz, ale jej dni są policzone. Ona musi odejść.

– Stała się taka samodzielna, przejęła wszystkie obowiązki, mogę odpocząć. – Quinn zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to samolubnie. – Lubię jej towarzystwo. Jest jak siostra, której nigdy nie miałam.

– Po Bożym Narodzeniu. To moje ostatnie słowo. Na Nowy Rok ma jej tu nie być.

– Chcesz wyrzucić ją na zimno?

– Wtedy albo teraz. Co wybierasz?

Quinn zbierało się na płacz, ponieważ wiedziała, że dłużej nie będzie mogła sprzeciwiać się mężowi. Pod wieloma względami miał rację – a jeśli ktoś rzeczywiście jej szukał? – lecz Quinn chciała zatrzymać dziewczynę, lubiła mieć ją przy sobie. Postanowiła zrobić Tain zdjęcie i pokazać je w okolicy, może ktoś ją rozpozna. Kupiła aparat fotograficzny, zaczęła robić zdjęcia, a w końcu zapytała Tain, czy zechce jej pozować.

– To jest stodoła – mówiła i pstrykała zdjęcie. – A to jest Tain przy stodole. Uśmiechnij się, Tain. Uśmiechnij się do obiektywu. – Quinn namawiała i kusiała, jak tylko mogła, lecz dziewczyna protestowała, nie chciała się uśmiechać na zawołanie ani pozować. Stała spokojnie przez sekundę, jednak to nie wystarczało, by zrobić wyraźne zdjęcie. Tain zawsze wydawała się nieuchwytna, nie chciała być obserwowana, jakby wolała pozostać w ich życiu tylko kimś przelotnym, tymczasowym. Mimo to Quinn fotografowała ją w nadziei, że choć niewielka część zdjęć wyjdzie dobrze; miesiące zajęło jej zdobycie około dziesięciu wyraźnych podobizn, a na kliszy pozostało mnóstwo ujęć, w większości zamazanych.

Tain już dawno zauważyła niechęć Nolana i ze wszystkich sił go unikała. Quinn nie miała o to do niej pretensji. Nie mogła pozbyć się uczucia, czy raczej przeczucia, że dziewczyna jest pod wieloma względami ograniczona. Dawała jej książki do czytania – początkowo brała z półek przypadkowe pozycje, później wybierała głównie książki dla dzieci, z dużym drukiem, ale żadna z nich nie wciągnęła Tain. Dziewczyna czekała, aż Nolan przeczyta gazetę codzienną kupowaną każdego rana na stacji benzynowej, a gdy już skończył, przewracała strony gazety jedną po drugiej, oglądając zdjęcia. Patrząc na nią, Quinn nie mogła

pozbyć się wrażenia, że ma przed sobą dziecko, które udaje, że potrafi czytać.

Pewnego dnia, gdy składały pranie, Quinn zauważyła, że Tain zagryza dolną wargę, a jej oczy błyszczą. Początkowo próbowała powstrzymać łzy, nie udało się, stała więc tylko, patrząc w ziemię, a potem odwróciła się plecami zakłopotana.

Quinn zabolalo, że po tym wszystkim, co się stało, Tain chciała ukryć przed nią łzy, lecz tak właśnie przejawiał się ten ograniczony zakres emocji, ta oczywista prostoduszność, która wydawała się rządzić Tain, jakby była dzieckiem, a jej wybuchy płaczu brały się z rozczarowania, nie zaś ze zrozumienia sytuacji.

– O co chodzi? – zapytała Quinn, zmuszając się do pogodnego uśmiechu, choć jej samej chciało się płakać. Objęła Tain i pozwoliła jej się wypłakać, a potem wytarła łzy z jej twarzy. Za każdym razem, gdy ją przytulała, czuła zaskoczenie, jak drobna jest ta dziewczyna w jej ramionach, jak kruche ma kości i małe dłonie – nigdy nie widziała tak małych dłoni u dorosłej osoby. Gdy Tain odzyskała spokój, wyjaśniła, że wie, iż Nolan chce się jej pozbyć, i boi się tego.

– Nigdzie nie pójdziesz, dziecko – rzuciła Quinn i od razu poczuła się nieswojo, że nazwała ją dzieckiem. Miała nadzieję, że Tain nie poczuła się dotknięta.

– Dlaczego on mnie nie lubi?

– Bardzo cię lubi. Jest po prostu zrzędlivy, to wszystko.

– To z powodu tego dziecka?

Quinn zamarła, zbierało jej się na płacz. Nie wiedziała, jakie słowo byłoby tu właściwe – dziecko, które umarło? Martwo urodzone dziecko? Dziecko, którego Quinn nie ma i nigdy nie będzie miała?

– On chce dziecka, wiem to – powiedziała Tain.

Quinn przełknęła łzy, opanowała się, wróciły do składania pościeli.

– Cóż, czasami nie dostajemy tego, czego chcemy. Mamy za to

wszystko inne, prawda? – Quinn zamaszystym ruchem ręki omiotła kuchnię, dom, farmę, wszystko. – Nie warto płakać nad czymś, czego nie możemy zmienić, mam rację?

– Będę miała dziecko dla ciebie – obiecała Tain cichym, łagodnym głosem, ot tak sobie, jakby proponowała Quinn, że odwiesi jej płaszcz.

– Co takiego?

Tain tylko popatrzyła na nią, przekrzywiając głowę, a jej oczy zadawały się mówić: „Słyszałaś, co powiedziałam”.

– Będę miała dziecko dla ciebie – powtórzyła w końcu.

– Natychmiast przestań opowiadać bzdury.

Tain wzruszyła ramionami, oczy miała zaczerwienione, lecz pozbawione wyrazu, jakby nie potrafiła wybrać emocji wyrażających to, co właśnie się stało. Quinn powątpiewała, czy dziewczyna w ogóle wie, co mówi. Wróciły do składania pościeli, cofając się, gdy rozciągały szwy, podchodząc do siebie przy dopasowywaniu rogów; Quinn przytrzymywała brzegi, a Tain wygładzała płótno. Układały sztuka po sztuce na kuchennym stole w idealnie równy, schludny stos.

\*

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok przyszły i minęły, a Nolan pozostawał nieugięty i wciąż chciał pozbyć się Tain. Quinn podejrzewała, że męża denerwowała jeszcze jedna osoba do nakarmienia, ktoś obcy wałęsający się po domu i zmuszający go do udawania, że ma coś do roboty.

Nolan często znikał na cały dzień w swojej szopie, a gdy wracał na kolację, Quinn ukradkiem zaciskała palcami nos, ponieważ z każdego pora jego ciała bił obrzydliwy odór. Zmuszała się jednak do uśmiechu, choć w żołądku jej się przewracało. Chciała, by mąż pozwolił Tain zostać, więc jeśli musiała znosić ten smród,

niech tak będzie. Nolan pozostawał jednak niewzruszony i w końcu zaczął ignorować Quinn, tak jak wcześniej Tain. Dzień w dzień krążył po farmie, zaglądając w każdy zakątek i w każdą dziurę, albo znikał w szopie na całe godziny. Quinn widziała, jak chodzi ze szkłem powiększającym i przeprowadza inspekcję całego domu i werandy, przypuszczała więc, że szuka insektów.

– Czy tu są termyty? – zapytała. Wiedziała, że termyty żywią się drewnem i potrafią przez lata zniszczyć każdy drewniany budynek, czyniąc go niezdatnym do użytku. Zaproponowała, by wezwać tępicieła, Nolan nigdy jednak nie brał jej sugestii pod uwagę, dała więc spokój.

Nie mogła już znieść dotyku męża. Starła się nie tracić cierpliwości, gotować mu posiłki, prać jego ubrania, w zasadzie być jego żoną, nie znosiła jednak jego rąk na swoim ciele. Gdy próbował, odwracała się od niego bez słowa, a on rozumiał. Nie rozmawiali ze sobą tygodniami, a nocą leżeli, udając, że śpią. Quinn radziła sobie z chłodem męża, ale z tym jego siedzeniem w szopie nie mogła się pogodzić. Nasłuchiwała się różnych historii od Aelli i wiedziała już, że mężczyźni z rodziny Creelów nie zostali stworzeni do pracy na farmie i mają swoje osobliwe hobby, a gospodarstwo w końcu zawsze znajdzie się w opłakanym stanie. Mają sekrety, mówiła Aella, mroczne sekrety. A Quinn patrzyła coraz bardziej podejrzliwie na Nolana krzątającego się po farmie, a zwłaszcza przesiadującego w szopie.

Szopa, nie większa niż łazienka, miała początkowo służyć jako domek do zabawy dla dzieci. Nolan pomalował deski na jasnożółty kolor i nawet pokrył dach gontem. Lata mijały, Quinn nie zaszła w ciążę, a on w końcu pozwolił zamienić budkę w kurnik i oborę. Gdy Quinn weszła do szopy ostatni raz, klepisko było pokryte kurzymi odchodami, piórami i skorupkami jajek. Może już czas dowiedzieć się, co Nolan tam robił, bo Quinn nie była w tym miejscu od dawna i dręczyła ją niepewność.

Szopa była zwichrowana, dziwne, że wystarczyły cztery lata – Quinn dwukrotnie to policzyła – by wypaczyły się krokwie, ściany i drzwi. Otworzyła te drzwi, rygiel nie chciał ustąpić, ale szarpnęła i napierała na nie, dopóki się nie poddał. W środku panowały zupełne ciemności, przez szczeliny nie wpadał ani jeden promień światła słonecznego; wydawało się, że do tego miejsca żadne światło nie ma wstępu. Zapach jakichś chemikaliów był tak silny i duszący, że Quinn zaczęło dudnić w skroniach.

Okna zostały usunięte – Quinn zorientowała się dopiero teraz – a otwory zabite deskami. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyła stare ramy okienne oparte o ścianę niczym obrazy w galerii. Usunięto z nich niektóre szyby, służyły teraz jako ścianki licznych gablotek. Stół pokrywały kwadraty szkła, kawałki drewna, młotki gwoździe i klej. Quinn spodziewała się pił, kos i naostrzonych siekier, narzędzi opartych o ścianę oraz zapachu smaru i benzyny, w powietrzu unosiła się jednak woń eteru i chloroformu, więc natychmiast zakryła nos.

Na ławce pod oknem stały słoiki, niektóre otwarte, inne zamknięte, z białym osadem na dnie i czarnymi drobinkami czegoś, czego Quinn nie była w stanie rozpoznać. Leżało też mnóstwo gumowych i metalowych krążków, jakby Nolan wekował tajemnicze rzeczy, w szopie nie było jednak elektryczności ani potrzebnej do tego kuchenki elektrycznej czy na drewno.

Quinn podeszła bliżej, wciąż zakrywając nos rąbkiem bluzki. Na podłodze pod starym stołem zobaczyła skrzynki sklepowe, jakieś deski, nieotwarte pudełka słoików na przetwory, koszyk z fiolkami i plastikowe pojemniki z jakimś proszkiem. Na jednym z pudeł – przypominało ono Quinn pudełko proszku do namaczania – widniał jaskrawopomarańczowy napis: „Gips modelarski”. Na ścianie nad stołem wisiały trzy krzywe, prymitywne gablotki zrobione ze starych desek i szyby. W kącie

zwisła z kija siatka na motyle.

Quinn weszła głębiej do szopy. Gdy zobaczyła zawartość gablotek, szarpnęła się do tyłu. Chciała, by jej oddech zwolnił, ale tak się nie stało, zaczęła dyszeć, serce tłukło jej się w piersi jak u ściganego zająca. Wszystko wokół zawirowało, przykucnęła, w głowie miała zupełny zamęt, z każdą chwilą coraz większy.

Przypomniła sobie, jak leżała przyciśnięta do ziemi, z policzkiem na gałęziach, patykach, kamieniach. Kościste Palce trzyma rękę na jej szyi, długimi paluchami sięga do drugiego policzka, nie pozwalając jej zamknąć ust, zmuszając do połykania igieł sosnowych i odłamków kory. Gdy tak leży unieruchomiona pod Kościstymi Palcami, przy jej twarzy pojawia się świerszcz, przedziera się przez żółędzie i kasztany i dociera do jej otwartych, bezdźwięcznych ust. Umysł Quinn eksploduje, czułki owada łaskoczą ją w podniebienie, świerszcz zaraz wejdzie do gardła. I wtedy przychodzi załamanie. Nie ma gdzie się zwrócić, można tylko uciec w szaleństwo. Quinn rozpada się jak domek z kart i staje się inną sobą, cieniem samej siebie, duchem. Ale tamtego dnia, stojąc w szopie i patrząc na to, co robił Nolan przez cały ten czas, gdy nie zajmował się farmą, wiedziała już wszystko.

I wtedy doznała objawienia, nagle dotarło do niej, że popełniła błąd. Zamiast zamieniać się w widmowy cień samej siebie, powinna była walczyć. Zostać wojowniczką z tarczą, w wojennych barwach, pióropuszu i z modlitwą na ustach. A zamieniła się w ducha, duchy zaś są bezsilne i mogą tylko nękać żyjących. Podobnie jak drzewa, które szeptały do niej, że wiatr nie może ich złamać, jeśli się uginają, ona także próbowała się naginać, stać się kimś innym, czy raczej czymś innym, a teraz jest tu, w tej szopie, otoczona przez świerszcze w gablotkach i w słoikach. Świerszcze.

Spośród wszystkich owadów – kolorowych motyli i ważek o koronkowych skrzydłach – Nolan wybrał i zbierał świerszcze. I wkrótce wszystkie one, w gablotkach, za starymi szybami,

znajdą się w jej domu i będą wszędzie. W każdym pomieszczeniu.

Od tamtego dnia w lesie, gdy ci mężczyźni sponiewierali ją i upokorzyli, Quinn nie była w stanie nawet spojrzeć na świerszcze. Na ich widok odwracała oczy. Z trudem znosiła odgłos cykania, od razu przypominała sobie długie czułki i szpiczasto zakończone odwłoki na swojej skórze, i to, jak zapadała się w ciemność.

Był też Nolan – jego ręce niczym czułki świerszczy jeszcze bardziej nękały jej ciało, przywoływały wszystko to, czego nie trzeba było przywoływać, ponieważ czuła to całą sobą, każdego dnia swojego życia. A mąż nie tylko budził w niej złe wspomnienia, bezmyślnie, jakby wzbijał kurz na spękanej drodze prowadzącej do farmy, lecz także oślepiał ją, dusił, uniemożliwiał oddychanie. Równie dobrze mogłaby siedzieć zamknięta w słoiku jak świerszcz.

Do diabła z nim. Do diabła z Nolanem i jego pomysłami na życie. Z Nolanem, który nie potrafi prowadzić farmy ani traktować kobiety tak, jak powinna być traktowana, nie jest w stanie użyć narzędzia ani wbić gwoźdźca, ani zabejcować podłogi. I raz, tylko ten jeden raz, Quinn znalazła siłę, by obwinić męża za to, że nie zaszła w ciążę; nie widziała już żadnego powodu, by poczuwać się do winy, bo gdyby on był prawdziwym mężczyzną, do tego czasu już byłaby w ciąży. Lekarz dużo jej wytłumaczył, powiedział, że ciąża dobrze by jej zrobiła, zatrzymała krwawienia na dziewięć miesięcy, pozwoliła ciału wydobrzeć. Nikt nie stwierdził, że zajście w ciążę było niemożliwe – trudne, tak, niezwykle trudne, ale z pewnością nie niemożliwe. Quinn wiedziała również, że kwestią czasu było zajęcie przez bank farmy, która jedynie pochłaniała pieniądze, a nie przynosiła żadnego dochodu; farmy, której gospodarz spędzał całe dnie w szopie pełnej świerszczy i chemikaliów, gdzie działały się różne nonsensy prowadzące wyłącznie do uszczuplenia



tej niewielkiej sumy pieniędzy, które posiadali.

Quinn obmyśliła więc plan, postanowiła zostać wojowniczką, co powinna była zrobić już wiele lat wcześniej. Musiała nabrać sił, wzbudzić w sobie determinację, a później położyć kres wszystkim tym nonsensom, świerszczom i Nolanowi, zachowującemu się tak, jakby to on wszystkimi rządził. Nie ma potrzeby komplikować sobie życia. Może właśnie Tain była dzieckiem, które zesłał jej los, i niech tak będzie; Quinn nie zamierzała pozwolić Nolanowi na wyrzucenie dziewczyny. Tain zostanie i będą wszyscy mieszkali na tej farmie, a jeśli on zechce odejść, niech sobie idzie.

Chciała sprawdzić swą determinację, swą nowo odkrytą siłę. Nie zamierzała rzucać się na oślep, tylko iść naprzód małymi kroczkami. Pomyślała o strumieniu za domem, w pobliżu lasu, lecz nie w lesie. Dotąd nie postawiła nogi w tym strumieniu i zastanawiała się, czy był on taki, jak opisywał Nolan, tak przejrzysty, że widziało się gładkie kamienie na dnie. Marzyła, by zanurzyć w nim ręce, nie za głęboko, na tyle, aby nabrać wody w dłoń i wylać z powrotem do strumienia, jeśli będzie miała ochotę. Mogłaby to zrobić. Pomyśli o tym jeszcze przez dzień i noc, żeby zebrać więcej odwagi, a potem pójdzie nad strumień.

Stojąc w szopie, Quinn zauważyła drewnianą skrzynkę ze słoikami na przetwory. Wzięła jeden z nich, a potem przyglądała się ziemi, dopóki nie wypatrzyła kilku martwych świerszczy leżących odnóżami do góry. Znalazionym obok liściem zgarnęła owady do słoika i szczelnie go zamknęła.

W domu postawiła słoik na kuchennym oknie i zabrała się do krojenia brzoskwiń i drylowania wiśni, czekając na Tain.

Mijały godziny, Tain się nie pokazywała, Quinn zaczęła się więc denerwować. A jeśli jest już za późno? Jeśli Nolan zawiózł ją do miasta albo na najbliższą stację kolejową lub dworzec autobusowy w Palestine? Wyszła na dwór, obeszał stodołę, lecz nigdzie nie znalazła zguby. Wróciła do kuchni i zastała Tain nad

miską wydrylowanych wiśni; wybierała owoce garściami i wpychała je do ust. Gdy Quinn zapytała ją, gdzie się podziewała, Tain wzruszyła tylko ramionami, oblizując palce z soku.

Właśnie w chwili, gdy Quinn przymierzała się do dokładnego wypytania dziewczyny, na podjeździe pojawiła się furgonetka Nolana. Zatrzymał wóz i wyskoczył z dużą paczką w ręce. Było w nim coś dziwnego, innego, wydawał się rozluźniony, chociaż raz zadowolony. W jego uśmiechu pojawiła się nuta radości, policzki nie były już tak napięte, lecz gdy Quinn go zawołała, zeszywniał, odwrócił się plecami i wsunął pakunek na pakę furgonetki, pod jakieś szpargały przykryte dużym workiem.

Zupełnie jakby ukrywał tę paczkę ze wstydu.

# Rozdział trzydziesty

## Dahlia

Bobby pomaga przestawiać meble, naprawia zdezelowane szuflady, przybija obłuzowane deski w podłodze i zanim się zorientujemy, robi się wieczór. Wypijamy po parę drinków i idziemy do mojego pokoju.

Nie zapalamy nawet światła, potykając się, po prostu docieramy do łóżka, podczas gdy moja matka tłucze się po domu.

Leżymy na łóżku w ciemnościach, opieram głowę na piersi Bobby'ego, nasze splecione ciała lśnią od potu. Naprzeciwko mnie majaczy ściana zaginionych. Wyplątuję się z uścisku Bobby'ego, schodzę na dół po lód i natykam się w zamrażalniku na butelkę Johnniego Walkera.

– Spójrz, co znalazłam – mówię, zamykając drzwi, i podaję Bobby'emu butelkę.

– Pamiętasz to? – pyta Bobby i chwyta whiskey, gdy jestem już z powrotem w łóżku. Delikatnie przekręca złotą zakrętkę dokładnie trzy razy, tak jak James Bond w filmie, który widzieliśmy lata temu. Śmiejemy się oboje. Bobby nalewa do obu szklanek whiskey na dwa palce, a ja patrzę na bogaty złocisty kolor z domieszką bursztynu. Wdycham delikatne nuty rodzynek, toffi, świeżego słodu, śmietanki. Biorę łyk, czuję whiskey na języku, ma leciutki posmak dębu i migdałów. Wciąż zastanawiam się nad naszą sytuacją, jeszcze się do niej nie przyzwyczaiłam.

Bobby wrzuca do mojej szklanki lód, by złagodził ostrość alkoholu. Opróżnia swoją szklankę i nalewa sobie kolejną porcję.

Oboje nic nie jedliśmy i wystarczy kilka minut, by zaczęło mi szumieć w głowie i bym poczuła rozchodzące się po całym ciele ciepło. Moje ruchy stają się miękkie, powolne i nie obchodzi mnie już nic poza nami dwojgiem.

Kochamy się. Jak wariaci. Pijemy i bierzemy prysznic. Bobby opowiada o swojej zmarłej na raka matce, czuję jego ciepły, pachnący alkoholem oddech przy swoim uchu, ale zaraz zaczynamy wspominać zabawne wydarzenia, jedno po drugim i wszystkie naraz. Bobby nuci piosenkę, której często słuchaliśmy w liceum. Uśmiecham się i wtóruję mu, dopóki nie zaczyna mnie całować.

Gdybyśmy się właśnie poznali, tak samo leżelibyśmy tu, wypytując się nawzajem o dzieciństwo, rodziców i rodzeństwo, wady i zalety naszych rodziców, o głupie nastoletnie wysoki, o ukochanych i o to, kogo my porzuciliśmy, a kto odszedł od nas. Większość z tego wiedzieliśmy jednak o sobie już wcześniej. Teraz na przemian śmiejemy się i całujemy, i tak jest dobrze, a mnie nagle ogarnia uczucie, że prędzej umrę, niż pozwolę mu odejść, raczej padnę, niż go stracę.

Później słucham oddechu Bobby'ego, z początku trochę nierównego; po chwili wzdycha i zaczyna oddychać spokojnie, rytmicznie. Świat, w którym się zanurzyliśmy, ma przyjemny rytm, znajome tony, jest harmonijny. Podnosi na duchu. I właśnie w momencie, gdy uznaję, że znam siebie samą, dociera do mnie, że jest jeszcze o wiele więcej, że o wielu rzeczach nawet nie pamiętałam, na przykład o tej piosence, którą nucił Bobby, a ja nie myślałam o niej od lat, czy o tym, jak otwierał butelkę metodą Bonda – to wspomnienie nigdy by do mnie nie wróciło, gdyby nie obecność Bobby'ego. Przeszłość o nas pamięta, płynie i posuwa nas do przodu, porusza jak piękna melodia. I mówi mi, że jest coś więcej. O wiele więcej.

Zamykam oczy i w końcu zasypiam. Gdy się budzę, słońce atakuje mnie nagle, nie pojedynczymi smugami promieni, lecz

jakby ktoś włączył je na cały regulator, ostre i bezlitosne.

Zasłony są rozsunięte. Bobby stoi nagi na środku pokoju, wpatrując się w ścianę zaginionych. Stoi bez ruchu, sparaliżowany.

Wstaję, dołączam do niego. Oboje patrzymy na ścianę, na portret pamięciowy w centrum, na ułożone wokół niego w wachlarz wydruki, na moją Jane.

– Bobby – mówię łagodnie, bo przemknęła mi przez głowę myśl, że może on lunatykuje. Bobby kręci głową, jakby mówił: „Nie teraz”. – Co się dzieje?

– Jak to jest możliwe? – Sięga po butelkę i pociąga łyk alkoholu.  
– Nikt jej nie szuka. Nikt nie zgłosił zaginięcia.

– Policja prowadzi dochodzenie. – Czuję odrobinę satysfakcji. Nie jestem jedyną osobą zadającą pytania, nie tylko mnie obchodzi, że sprawa tożsamości mojej Jane utknęła w ślepym zaułku.

– Oni po prostu grają na przeczekanie, liczą, że się obudzi. Gdybym ja się tym zajął... – Nie kończy zdania, znów pociąga z butelki. – Nigdy ich to nie obchodziło.

– Nie rozumiem.

– Były inne kobiety, Dahlio. Przez lata. Już wtedy, gdy mój ojciec był szeryfem. – Otwieram usta, a on podnosi rękę. – Nie, poczekaj. Nie było tak, jak myślisz. Nie jak z Jane Doe, nic z tych rzeczy. Nie prowadzono żadnych śledztw, nic konkretnego. Niektóre były nielegalnymi imigrantkami; jedna dziewczyna zniknęła, gdy podrosła i wypadła z systemu opieki zastępczej. Były kobiety, które nikogo nie obchodziły, po prostu znikwały i ciach – Bobby zrobił gest ręką – nikt ich więcej nie widział. Żadnych ciał. Żadnych zgłoszeń. Ale mówiło się o tym. Mój tata powiedział mi o tych przypadkach, gdy zostałem gliną, a on jeszcze potrafił odróżnić lewe od prawego. Twardo obstawał przy swoim, musiałem mu obiecać, że będę miał na niego oko.

– Na kogo?

– Na ojca Bordeaux. Gdy byliśmy starsi, James stopniowo przejmował od ojca zarządzanie hotelem. Bordeaux senior spędził ostatnie lata życia w fotelu na kółkach. Myślę, że miał stwardnienie rozsiane. Umarł pięć lat temu.

Biorę Bobby’ego za rękę, a on nie protestuje. Pamiętam ojca Bordeaux. Sprawialiśmy mu mnóstwo kłopotów, przynosiliśmy do hotelu alkohol, imprezowaliśmy i zostawialiśmy po sobie bałagan. Bordeaux senior był niewysokim, gładko ogolonym, spokojnym mężczyzną. Miał długie, cienkie palce. A więc już wówczas, dwadzieścia lat temu, coś się wokół niego działo.

– Umarł, a ja pomyślałam: „Niech tak będzie. Opuść sobie. Nie ma niczego do udowodnienia, niczego do zbadania. Dotrzymałem obietnicy, już po wszystkim”. Ale potem była ta dziewczyna w lesie. – Odwrócił się, spojrzał na mnie. – I ze wszystkich ludzi właśnie ty musiałaś ją znaleźć. Wróciłaś i znalazłaś ciało w lesie.

– Ale Bordeaux senior dawno nie żyje. Czy ta sprawa ma coś wspólnego z Lark? To dlatego obserwujesz to miejsce?

– Obserwuję je, od kiedy znalazłaś tę dziewczynę. Bordeaux zawsze trzymał się z boku, zachowywał się dziwnie, od kiedy byliśmy dziećmi. A potem ty zaczęłaś tam pracować.

Czuję mrowienie w stopach i wyobrażam sobie biegające pod podłogą termity. I że ta zniszczona podłoga zaraz się zapadnie. Stoję bez słowa, jedyny dźwięk to skrzypienie desek pod moimi stopami. Nie chcę myśleć o tym, o czym właśnie myślę.

– Jaki ojciec, taki syn – mówi Bobby.

# Część trzecia

„Ludzie i lwy nie zawierają układów”.

Achilles

# Rozdział trzydziesty pierwszy

## Dahlia i Quinn

Idę do szopy, ale nie wchodzę. Stoję bez ruchu w drzwiach i świecę latarką do środka.

Robię krok naprzód. Teraz czuję zapach. Nie zniknął przez lata, utrzymuje się niczym smród zarośniętego stawu. Jedyne ruch, jaki dostrzegam, to drganie kurzu, który wzbiłam, stanąwszy na progu. Snop światła przebija się przez ciemności, wydobywa mnóstwo skrzynek ze słoikami na przetwory i pudła ustawione w rogu. Trochę światła przedostaje się także przez szczelinę w zabitym deskami oknie, poza tym szopa pogrążona jest w mroku.

Coś mi mówi, żebym nie wchodziła. Chodzi nie tylko o to, że się boję, czuję także, że jeszcze nie mam prawa tu być. Pamiętam twarz mojej matki, gdy przyjechałyśmy na farmę, a ona zobaczyła szopę – „Nie wchodź tam”, zdawała się mówić – teraz jednak matka zachowuje się zupełnie inaczej. Jej opowieść rządzi się własnymi prawami, a ja muszę je respektować. Nie mogę przeć naprzód, muszę poczekać, aż opowie mi resztę historii.

Zamykam drzwi i gaszę latarkę.

Później pytam matkę o słoik ze świerszczami na oknie. Zapalając papierosa, odpowiada:

– To słoik do zabijania. – Wydmuchuje dym jednocześnie nosem i ustami. – Wkłada się środek chemiczny i owady, które zdychają.

– Ale dlaczego trzymałaś w tym świerszcze? – Jestem skonsternowana, nie rozumiem, co to wszystko znaczy.



– Te świerszcze zebrała Quinn – mówi matka.

Nic na to nie poradzę, ale wydaje mi się, że matka jest prowadzona na niewidzialnych sznurkach, trzymanyh przez jakiegoś niezdarnego lalkarza, który nie potrafi ustać w miejscu.

Długie milczenie przechodzi w potok słów.

– Quinn musiała czegoś dowieść. Musiała tego dowieść sobie samej. Nie było innego...

– Dowieść czegoś? Na przykład czego?

Matka z początku nie odpowiada, potem się prostuje i szybko wyrzuca z siebie:

– Chciała dowieść, że może być silna. Widzisz, niektórzy mężczyźni są okrutni ponad wszelkie wyobrażenie. Trzeba być twardą.

\*

Czas spędzony w szopie uświadomił Quinn, że musi stać się twarda, musi się uodpornić, aby zupełnie nie stracić rozumu. Nie ma się czego bać, powtarzała w myślach, patrząc przed siebie. Z daleka łąka wydawała się spokojna – tylko płytka niecka otoczona bardzo wysokimi sosnami, porośnięta wysoką, bujną trawą, bo ziemia była tam urodzajna – a po wyjściu za płot Quinn oceniła odległość na jakieś osiemset metrów. Za łąką były lasy i strumień, tak pokazywała mapa geodezyjna terenu; Quinn obejrzała ją, była więc przygotowana i zdeterminowana, żeby dotrzeć tam, gdzie zaplanowała.

Gdy przechodziła przez łąkę, trawa drapała ją w nogi; Quinn odetchnęła z ulgą na widok ścieżki na skraju łąki, pełnej bruzd, dziur i dołów wykopanych przez pręgowce. Trawa cicho szeleściła na wietrze, gdy Quinn szła w stronę potoku, który, jak się spodziewała, będzie o tej porze roku jedynie wąską strużką. Ale nigdy nie wiadomo, na północy mogły spaść deszcze

i przesunąć się tutaj. Gdy dotarła na miejsce, znalazła wolno płynący, lecz całkiem spory strumyk. Przy brzegach panoszyło się zielsko, w niektórych miejscach rosły jednak niezapominajki.

Stała w lesie, wśród drzew, zapach żyznej ziemi aż zapierał jej dech w piersiach. Obawiała się, że dostanie mdłości lub serce zacznie jej walić, lecz nic takiego się nie stało. Ten spokojny potok w niczym nie przypominał strumienia w lasach pod Beaumont, gdzie na jej drodze stanęli myśliwi i nie pozwolili jej przejść.

Quinn zdjęła sandały i usiadła na brzegu, zanurzając stopy w wodzie. Przyszła tu, aby stać się wojowniczką. Nie cierpieć ani jeden dzień dłużej. Po raz pierwszy z własnej woli miała wywołać wspomnienie tych mężczyzn, ich głosów, zapachów, ich rąk na swoim ciele. Wiedziała, że jeśli stanie się to nie do zniesienia, wystarczy tylko wyobrazić sobie niemowlę, które trzymała w ramionach na plaży w Galveston, i wszystko zostanie wytarte niczym zaparowane lustro.

Uspokoila się, odwróciła w lewo i natychmiast pojawiły się obrazy.

Kościste Palce z grubsza obmył ją z krwi i tego, co na niej zostawił, potem wyciągnął ją z wody na gąbczaste poszycie lasu.

– Wasza kolej – rzucił do kolegów.

Mężczyźni pokrzykiwali i wrzeszczeli, rzucając butelkami. Ból był wszechogarniający, z każdym mężczyzną coraz większy; za każdym razem, gdy myślała, że to już koniec, robiło się jeszcze gorzej. Potem wszystko ucichło, a Quinn stanęła obok siebie, udało jej się wywołać ciało z innego świata, takie, którego nie można dotknąć, własnego ducha, znajdującego się w pobliżu i obserwującego, ducha, który wszystko później jej zrelacjonuje, jeśli będzie tego chciała.

Jej ciało, to roztrzęsione i zimne, zostało rzucone na brzuch.

Duch, którego wywołała, płakał nad nią.

Krzycząc bezdźwięcznie szeroko otwartymi ustami, wydłużył

się jak cień, stał niedaleko, przyglądając się jej tak, jakby była uschniętą gałęzią leżącą na ziemi i nie miała nic wspólnego z zielenią, bujnością i życiem.

Gdy Koński Ogon i Brodaty przyciskali ją do ziemi, gdy ból rozpalonego ciała stał się nie do zniesienia, właśnie wtedy duch odmówił uczestniczenia w tym. Przestał płakać. Wyrwał się spod jej kontroli, po prostu odwrócił się i odszedł, schował się za drzewem, nie chciał patrzeć, jak ci ludzie szarpią nią i miętoszą jej piersi. Zanim jednak odwrócił wzrok i odszedł, powiedział jej, aby była silna. A potem zniknął w lesie, zostawił ją, rozdzielił ciało i rozum. Jakby Quinn opuściła swoje ciało, wyskoczyła na chwilę po mleko, a potem wróciła do kogoś całkiem innego, do innej kobiety, która narodziła się tego dnia, choć nazywała się tak samo; dopiero po latach nazwała się inaczej.

Mężczyźni stawali się coraz brutalniejsi. Ból ogarnął całe ciało, krążył po plecach i nogach; rozpalona do białości Quinn wyobrażała sobie, że stoi na stosie, przywiązana do słupa niczym czarownica, a płomień liżą już jej uda. Leżała na ziemi, patrząc na długie, cienkie pnie drzew. Choć równoległe, wydawały się zbiegać, pochylać do siebie, a ona zwinęła się w kłębek. W lesie dookoła niej panował spokój, tylko wiewiórka śmigła po pobliskim drzewie. Quinn pomyślała, że Bóg nacisnął jakiś wyłącznik i sprawił, że wiatr zamarł, nie szeleściły nawet liście.

Ból był głęboko w niej, jakby tliła się od środka. Wydawało jej się, że gdzieś z daleka słychać śmiech mężczyzn, wiedziała jednak, że dawno odeszli. Przypomniła sobie mit o rzece oddzielającej świat żywych od świata umarłych. Nie interesowała jej mitologia grecka, ci wszyscy bogowie, herosi, ich pochodzenie, konflikty i udręki; nie rozumiała, jakie znaczenie mają mity, pamiętała jednak rzekę Styks, granicę między tym światem a krainą zmarłych, i to, że jej umysł się rozpadł i zostawił ją po tej drugiej stronie rzeki.

W pobliżu rozległo się pohukiwanie, głębokie, ciche, rytmiczne

hu, hu, hu. Na drzewie tuż nad Quinn przysiadła sowa i patrzyła na nią smutnymi brązowymi oczami. Nagle się przestraszyła i odleciała bezgłośnie w gąszcz liści. Quinn nie była pewna, czy sobie tego nie wyobraziła, ponieważ zaledwie kilka sekund później ta brązowo-biała sowa drzemała na gałęzi po prawej stronie.

Wstała i pokuśtykała w kierunku strumienia, po nogach spływały jej woda i płyny, zamieniając się, zanim dotarły do stóp, w różową strugę. Chciała znaleźć się pod wodą i zabrać ze sobą ból, jej ciało było brudne i nic niewarte. Ci mężczyźni zrobili z nią, co chcieli, i zostawili, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że padlina jelenia jest więcej warta niż ona.

Stojąc na brzegu rwącego strumienia, zasilanego przez obfite deszcze daleko na północy, Quinn wypatrzyła kamień, postawiła na nim stopę, pośliznęła się, omal nie upadła, lecz się nie poddała, znalazła większy kamień. Oceniała wzrokiem głębokość i ruszyła z prądem, przeskakując po kamieniach i głazach. Gdy uznała, że doszła do najgłębszego miejsca, zeszła z kamieni do pędzącej szaleńczo wody.

Zanurzyła się, nie zostawiając na powierzchni ani centymetra swojego ciała. Pragnęła być odporna na rany, nietykalna jak Achilles. Strumień w Teksasie nie był jednak Styksem, a ona – herosem.

Wyszła z wody w ubraniu oblepiającym ciało, nie znalazłszy broni ani ochrony na wypadek przyszłych bitew. Podobnie jak Achilles miała pozostać podatna na ciosy.

\*

Quinn przypominała sobie samej, że to tylko wspomnienie o czymś, co wydarzyło się wiele lat temu. Wróciła do rzeczywistości, wsłuchiwała się w szemranie strumienia i szelest

liści nad głową, wdychała zapach czarnej ziemi, czuła pod rękami mech, miękki i aksamitny.

Przyszedł ten czas i nic ani nikt nie zrobi z niej zakładnika, już nie. Ani ciąża, ani Nolan, ani ta farma, ani to miasto. Nagle zdała sobie sprawę, jak wiele rzeczy utraciło nad nią władzę; zebrała przecież więcej świerszczy do słoika – choć wciąż nie odważyła się dotknąć ich gołymi rękami, tylko zgarniała je do słoika łyżką – a ten słoik stał na parapecie w kuchni, aby wciąż jej przypominać, że może przewyciężyć strach.

Pragnęła mieć przy sobie Tain, dziewczyna znów jednak zniknęła, a do tego z każdym dniem stawało się coraz bardziej oczywiste, że Tain jest słaba na umyśle. Na początku wydawała się dzika, nie umiała się umyć, nie zmieniała ubrania poplamionego przy jedzeniu, a ostatnio wyglądało na to, że zamknęła się w swoim własnym świecie. Nuciała dziwne piosenki, zbierała gałęzie, związywała je w duże pęki i układała w kącie swojego pokoju. Biedna Tain, zaofiarowała się, że urodzi dziecko za Quinn. Wyraźnie nie rozumiała, co znaczy urodzić, a potem oddać dziecko. Jak w ogóle mogła wpaść na taki pomysł?

Quinn wyciągnęła nogi ze strumienia, aby wyschły, włożyła sandały. Wracała przez łąkę, a dochodząc do farmy, rozejrzała się dookoła. Wciąż ani śladu Tain. Szopa spokojnie stała i nic nie wskazywało na to, że ktoś spędza tam całe dni, grzebiąc w owadach i chemikaliach. Nawet z odległości mniej więcej trzech metrów Quinn czuła zapach tych chemikaliów, z każdym krokiem mocniejszy.

Otwarte drzwi do szopy były podparte dużym kamieniem. Quinn podchodziła powoli, aby nie wystraszyć męża. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, gdy weszła do środka, było otwarte pudełko na stole, wystająca z niego bibuła delikatnie powiewała na wietrze. Pudełko pochodziło z domu towarowego w mieście.

Quinn usłyszała hałas dochodzący zza szopy, jakby ktoś pocierał o siebie kawałki drewna lub jakby rozsypał się stos kłód

porąbanych na opał. Słysząc było także brzęk przypominający rytmiczne postukiwanie widelcem. Może to wiatr gdzieś czymś wydzwania, pomyślała Quinn, ale najbliższa farma była odległa o ponad półtora kilometra, trudno więc sobie wyobrazić, by dźwięk stamtąd doszedł do Creel Hollow.

Quinn poszła za tym dźwiękiem na tył szopy.

Najpierw rzuciła jej się w oczy sukienka. Błękitna jak niebo, niemal turkusowa. Odcień zupełnie nie na miejscu w tym otoczeniu. Uszyta z jedwabiu, połyskliwego jak materiał na koszule nocne. Potem Quinn pomyślała, że ten jaskrawy błękit wygląda pięknie na oliwkowej skórze Tain. A w końcu jej mózg zaskoczył i zdołał zinterpretować scenę, która się przed nią rozgrywała. Tain na stosie drewna na opał, na rozłożonym pod nią czarnym brezencie. Nolan w spodniach opuszczonych do kostek. Pajęcze nogi Tain wokół jego talii. Sprzączka u paska Nolana rytmicznie uderzająca o drewno, jego ręka na ustach Tain. Quinn wiedziała, co się dzieje, jednak pierwszą rzeczą, jaką czuła się w obowiązku zrobić, było ostrzeżenie:

– Nie zniszcz tej ładnej sukienki.

Liście leżące na ziemi nagle uleciały w powietrze, jakby ta scena zaczęła emanować jakiegoś rodzaju energią. Gałęzie drzew kołysały się jak upiorne ramiona zapraszające Quinn, by podeszła bliżej. Dygotała, ale jej mózg odzyskał sprawność. Krzyknęła.

Nolan się odwrócił; twarz miał czerwoną, oczy szeroko otwarte, zmieszany podciągnął spodnie, nie udało mu się jednak zapiąć sprzączki, ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Ulotnił się, podtrzymując pasek. Potknął się raz, ale utrzymał równowagę.

Przez ułamek sekundy Tain leżała obnażona, z rozłożonymi nogami, po czym ześliznęła się z brezentu, stanęła boso na ziemi i obciągnęła sukienkę. Quinn zauważyła, że dziewczyna jest szczupła – cienkie ręce i nogi, wystające obojczyki, drobne piersi – lecz umięśniona. Było jednak coś jeszcze, co sprawiało, że cała

reszta nie miała znaczenia.

Quinn i Tain stały, patrząc na siebie. Nagle Tain zrobiła krok do przodu, zarzuciła patykowate ramiona na szyję Quinn, zaczęła zawodzić, płakać, krzyczeć i nie mogła przestać. Quinn czuła od niej zapach grzechu, z każdego pora jej skóry cuchnęła niegodziwość. Z Tain, tą tyczkowatą dziewczyną, niepotrafiącą wypowiedzieć składnego zdania, gdy się zdenerwowała, działo się jednak coś dziwnego. Te rozpaczliwe, zdławione krzyki wydobywające się z jej ust, te ramiona, których nie chciała oderwać od Quinn, mimo że ta desperacko próbowała wydostać się z jej uścisku. Tain trzymała ją mocno i za każdym razem, gdy Quinn udało się zdjąć jedno ramię, drugie zaciskało się wokół niej jeszcze mocniej i w końcu Quinn się poddała; stała tam z dziewczyną uwieszoną na sobie, szlochającą spazmatycznie.

Wiatr przywiał w ich stronę zapach lasu, zapach zdrady i czegoś, co miało zmienić wszystko.

Brzuch Tain. Zaokrąglony i lekko wypukły, czego nie było widać wcześniej. Tain była w ciąży.

# Rozdział trzydziesty drugi

## Aella

Q. była inna. Aella widziała to w jej rozgorączkowanym spojrzeniu, w sposobie, w jaki patrzyła na linię drzew prowadzącą do lasu, nigdy nie zatrzymując tam wzroku dłużej, niż było to konieczne. Wiedziała, że Q. udaje tylko, że chce, aby Aella jej powróżyła, powiedziały jej to karty. W końcu ustąpiła.

\*

– Chcę mieć dziecko – powiedziała Q. rzeczowo, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

Aella sądziła, że słyszała już wszystko, wielu kobietom pomogła zajść w ciążę, nigdy jednak nie spotkała kobiety, która prosi o życie tak, jakby tego rodzaju pragnienia po prostu dało się spełnić ot, tak sobie, bez wysiłku. Q. nie mogła zajść w ciążę, ale chciała dziecka, a jedynym sposobem, aby je zdobyć, było wzięcie go od innej kobiety. Aella ostrzegała ją przed tym, lecz ona nie słuchała. A potem powiedziała, że jej mężem jest Creel.

Aella wiedziała, że wszyscy Creelowie mężczyźni byli jacyś dziwni, chodzili z głowami w chmurach, a kobiety, które sobie wybierali, nie były od nich lepsze. Creelowie posiadali dawniej setki hektarów, dokładnie mówiąc, połowę hrabstwa, lecz ponieważ zajmowali się malarstwem, uprawiali hazard, a jeden nawet hodował orchidee, rok po roku sprzedawali po kawałku ziemi i wreszcie mąż Q., ostatni z Creelów, skończył z zaledwie



dwudziestoma hektarami – okruczem tego, co jego rodzina niegdyś miała.

Aella spokojnie uświadomiła Q., jakie konsekwencje może mieć ta sprawa.

– Powiem ci, czego nie toleruję. Dróg na skróty i wymówek. Jeśli skłamiesz, nie będę wiedziała, ale one będą. – Aella nigdy nie wyjaśniła dokładnie Q., kim są one, ona jednak wiedziała, ponieważ dobrze się z nimi zaznajomiła, odkąd przeżyła załamanie.

Zdaniem Aelli Q. widziała więcej, widywała duchy i może nawet umiała je wywoływać. To było w jej oczach, ruchach, zachowaniu, Q. miała jednak męża, który dbał o nią, o dom, o farmę, Aella zaś nie mogła opędzić się od myśli, czym się stanie ta kobieta, jeśli pozostawi się ją samej sobie. Jak daleko może się posunąć, by dostać to, czego pragnęła.

Rozmawiały. W przypadku wzgardzonych kochanków i niewiernych mężów taka rozmowa nie jest konieczna, ale Q. chciała mieć dziecko, więc Aella jasno wyłożyła sprawę.

– Prosząc o życie, musimy liczyć się z ceną. Dziecko się rodzi. To wydaje się takie łatwe; wyłania się głowa, toruje sobie drogę na ten świat, ale uczestniczą w tym moce i te moce pozostają na ziemi. Po narodzinach pojawia się pustka, pustka w kobiecie, która dała życie – używam tu słowa „dać” w luźnym sensie – i druga pustka, o wiele bardziej kosztowna, jeśli się ją zignoruje. Po przestrzeni zajmowanej przez dziecko wcześniej, zanim się urodziło, w innym świecie. Ta przestrzeń przychodzi wraz z dzieckiem na ten świat. Pustka po drugiej stronie pozostaje i dom a ga się zapełnienia.

Q. tylko skinęła głową.

– Wyobraź sobie – ciągnęła Aella – wyobraź sobie, że budujesz dom. Powiedzmy, że wykorzystujesz miejscowy materiał, na przykład piaskowiec. W ziemi pozostaje po nim dziura, dosłownie. A ty także bierzesz kamienie z niewidzialnego świata,

które będą widoczne na tym świecie. Nie mówimy o domu. Ty nie prosisz o dom, domagasz się życia. Życia.

Q. patrzyła na nią niepewna, czy dobrze zrozumiała.

– Dziury, które po sobie zostawiasz, coś biorąc, muszą zostać wypełnione. Rozumiesz?

Q. znów tylko skinęła głową.

– Wdzięczność wymaga, abyś zapełniła te dziury. Musisz się odwdzięczyć za to, co dostałaś.

– Jak się odwdzięczyć?

– Musisz odpłacić widzialnemu światu tym, co ci dano. I musisz odpłacić się także niewidzialnemu światu.

– Po prostu powiedz mi, co mam zrobić. Nie rozumiem, o co chodzi z tym odwdzięczaniem się. – Q. była już zniecierpliwiona.

– Rodząc się, zaciągasz dług, a twoja śmierć jest ostateczną spłatą. Ale tymczasem musisz okazywać wdzięczność, dopóki ten dzień nie przyjdzie.

– Chyba rozumiem, ale powiedz mi tylko, co chcesz, żebym zrobiła.

– Te moce nie będą siedzieć beczynn timer i cierpliwie czekać. Przemyśl więc to dokładnie. Otrzymanie dziecka powiększa twój dług. Nie możesz o tym zapomnieć. A może zostaniesz poproszona o więcej, niż chcesz dać.

– Nie zapomnę. Na pewno.

– A więc powiem ci, czego od ciebie potrzebuję – zakończyła Aella i wyłożyła jej wszystko szeptem, na ucho.

Quinn zgodziła się. Miała dużą wprawę w oszukiwaniu bez mrugnienia okiem. Była również hojna. Do kwoty, którą pobierała Aella za zatrzymanie kochanka czy pozbycie się wroga, dodała dwa zera i pomnożyła ją przez trzy.

Wkrótce potem się pożegnały. W życiu Q. były demony – Aella niemal je widziała, obserwując, jak kobieta zmierza w stronę swojej furgonetki tego dnia. Doganiały ją, niektóre były tak blisko, że już owijały się wokół jej szyi. Aella pomyślała, że Q.

z pewnością czuje, iż wysysają z niej powietrze. Wydawała się żywić niezbitę przekonanie, że dziecko odmieni jej los, skłoni go, by przestał ją dręczyć. Szukała miłości, miłości tak mocnej, że mogłaby ją uleczyć.

Gdy Quinn dojechała do drogi, Aella pokręciła głową. Powinna była powiedzieć jej tylko jedno – że miłość jest potężna, ale losu nikt i nic nie powstrzyma.

# Rozdział trzydziesty trzeci

## Dahlia

Patrzę, jak moja matka wyciąga rzeczy z szafy. Rzuca je na chybił trafił na łóżko, gdzie tworzy się bezładna sterta.

– Dobrze się czujesz? – pytam, gdy ściąga z wieszaków kilka ostatnich ubrań.

– Szukam czegoś. – Słyszę w odpowiedzi.

Przyglądam się, jak zdejmuje z wieszaka żółtą sukienkę, delikatnie rozprostowując fałdy spódnicy. Strzepuje z niej kurz. Chyba znalazła to, czego szukała, wydaje się mniejsza, ramiona jej opadły, ruchy stały się wolne. Na moich oczach matka zanurza się we własnym świetle, ten widok mnie przeraża.

Ostatnio wyglądała na zupełnie zdrową – nie podpaliła domu, nie uciekała, nie zażyła podwójnej dawki leków – a jej niepokój ustąpił zupełnie odmiennemu nastrojowi. W takich chwilach metamorfozy staje się osobą, jakiej nie znałam. Dużo się dzieje; rozmawiamy, a ona nagle odlatuje, jakby właśnie postanowiła być gdzieś indziej. Zmianę widać gołym okiem, jej twarz rozpada się na części, dopiero po chwili wraca do normalnego wyglądu. Matka pogrąża się w myślach do tego stopnia, że robi się nieobecna, a potem prostuje się i strząsa to zamyślenie.

– Brakowało mi jej – mówi matka, a ja nie wiem, o co jej chodzi.

– Kogo? – pytam.

Matka patrzy gdzieś daleko, wędrując dłońmi po wyblakłej już teraz sukience z widocznymi dziurami po molach.

– Kocham cię, mamo. Dobrze się czujesz?

– Doskonale – rzuca szybko matka i z powrotem wiesz na drewnianym pręcie sukienkę, jedyną rzecz, którą chciałyby zachować, podczas gdy reszta leży w stercie na łóżku. Czuję się jak intruz, więc nic już nie mówię.

W pokoju wkładam buty, patrząc na ścianę zaginionych. Nie wygląda znajomo i nie jest zakomponowana dokładnie tak, jak ja bym to zrobiła. W tym momencie zdaję sobie sprawę, wiem z całą pewnością, że to nie moje dzieło, tylko mojej matki. Sądząc z przypadkowego sposobu ułożenia wydruków – ja ułożyłabym je chronologicznie – matka chciała po prostu, bym je zauważyła. I miała przed oczami. Rozmyślała nad nimi. Ale nie wiem dlaczego. Nie rozumiem, co ona próbuje mi powiedzieć. Może to nic nie znaczy, może to tylko przypadkowy wyskok jej skołatanego mózgu.

Świat wokół mnie zaczyna się zamazywać jak na nieostrej fotografii. W głowie mam zamęt, jestem jednocześnie przerażona i podekscytowana. Ściana wiruje, papiery się zlewają, głowa ciąży ku podłodze, wszystkie mięśnie się napinają, gdy spływa na mnie olśnienie: widzę właśnie coś ważnego.

Patrzę na zdjęcie bransoletki Jane, przypominam sobie jej połamane paznokcie, breloczek w kształcie koła sterowego. Spadam w dół, w coś pode mną, co nie ma dna – może do studni, ponieważ czuję zapach stojącej wody – ale nie uderzam o ziemię, lecz spadam dalej, tylko świat wokół mnie robi się całkowicie czarny.

Słyszę muzykę, widzę siebie samą idącą po łące pełnej kwiatów. Czuję radość, jakbym uciekła ze szkoły, ale gdy przyśpieszam, ktoś chwyta mnie za rękę. Odwracam się i widzę Jane. Trzyma mocno moją dłoń. Próbuję się wyswobodzić, ale nie mogę; zerkam w dół i widzę bransoletkę na jej nadgarstku. Breloczki wydzwaniają przyjemną melodię. Cóż za uroczy obrazek.

Ale to nie wszystko.

Ktoś idzie za nami. Trzymam Jane za rękę, zaczynamy biec. Boję się, że goni nas czarny pies z obnażonymi kłami, próbuję nie wpaść w przerażenie. Strach mnie przygniata, ale wiem, co robić – muszę przywołać całą odwagę, która pomagała mi, gdy jako dziecko siedziałam sama w jakimś nieznanym pokoju hotelowym.

Dłoń Jane wyślizguje się z mojej. Ktoś łapie mnie za ramię, gwałtownie się zatrzymuję.

Dogonił mnie Bordeaux.

Spadam w otchłań – nie, lecę w nią i boję się, że będę szybowiała po świecie pełnym wirujących srebrnych świecidełek przez całą wieczność.

\*

Matka wezwała karetkę, zabrano mnie do szpitala. Nic z tego nie pamiętam. Ani karetki, ani Bobby’ego, ani mojej matki w szpitalu, żadnych lekarzy ani pielęgniarek.

Doktor Wagner mówi mi w swoim gabinecie, że miałam ciężki atak, pierwszy z serii. Ciężki atak padaczkowy. A drugi w karetce w drodze do szpitala.

– Sytuacja była krytyczna, Dahlio. Krytyczna.

Jestem obolała, ale poza tym czuję się dobrze. Początkowo nie rozumiałam jego słów, potem do mnie dotarło. Tego rodzaju atak może zabić.

– Twoje lekarstwa są ustawione właściwie, musimy więc przyjąć, że nie pomogą, nie zadziałają na ataki takiego typu, jak twoje. Obawiam się, że będziesz musiała podjąć decyzję.

– Decyzję?

– W sprawie operacji. Będziemy musieli usunąć ci opuszkę węchową.

– Operacja na mózgu?

– Tak.

– Brzmi poważnie.

– Następnym atak może cię zabić, Dahlio. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. Te ataki powodują, że czujesz zapachy i masz wizje, ten mógł być ostatni. Musimy wyeliminować źródło problemu.

Chcę opowiedzieć mu o mojej Jane, o tym, że wszystko się ze sobą wiąże i będę potrzebowała trochę czasu, żeby to uporządkować.

– Brzmi poważnie, zgadzam się – mówi doktor Wagner. – Rozumiem, że potrzebujesz czasu, aby to przemyśleć. Porozmawiamy za parę dni, dobrze? Musisz podjąć decyzję kilka dni wcześniej, konieczne są badania ogólne, krwi i wszystkie inne, żeby przygotować cię do operacji. Ale nie powinnaś długo zwlekać.

– A jeśli... – Waham się, próbuję znaleźć właściwe słowa. A jeśli odmówię? Jeśli się nie zgodzę?

– Dahlio, w ciągu niewielu dni przesłaś od częściowych ataków, które minęły niezauważone, do dwóch silnych napadów padaczkowych w odstępie kilku minut. Operacja jest naprawdę jedynym wyjściem.

– Co się zmieni po usunięciu tej opuszki węchowej?

– Stracisz zmysł węchu. Jedzenie będzie nijakie. Wydzielanie feromonów może zostać zakłócone.

Myślę o zapachu polnych kwiatów na łące za farmą. O zapachach zepsutego jedzenia, dymu papierosowego, brudnej pościeli, rozlanego alkoholu – one wszystkie atakują mnie, gdy wchodzę do pokoju w Lark. O aromacie kawy w holu, zapachu pączków, waniliowego i lawendowego odświeżacza powietrza. O farmie pachnącej drewnem i zapachu Tallulah po kąpielach. O zapachu skóry Bobby'ego, sangrii i whiskey. O aromacie obieranych pomarańczy, rozchodzącym się tak nagle, jakby wybuchał. O papierosach mojej matki, zapachu jej farby do

włosów, jej lotionu przywodzącego na myśl dojrzałe śliwki.

Mam zaledwie parę dni na decyzję w sprawie operacji, a zbyt dużo na głowie. Gubię się w tych wszystkich „jeżeli” i „ale” i powtarzam sobie, że teraz nie mogę przestać. Nie mogę pozwolić, aby coś przeszkodziło mi w kontynuowaniu poszukiwań akurat w momencie, gdy wysłuchuję opowieści mojej matki i mam zdjęcie bransoletki, a Bordeaux pojawił się w mojej wizji. Ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba, to przerwa w życiorysie i operacja mózgu. Za duże ryzyko, że stracę możliwość pozbierania tego wszystkiego w całość. W dodatku oprócz matki muszę zająć się Tallulah, która wreszcie wróciła dziś do domu.

Wychodzę z gabinetu doktora Wagnera, a u weterynarza płacę na widok wchodzącej Tallulah. Wygląda dobrze, ma wesołe oczy i cała się rusza, kręcąc kółka ogonem. Liże mi ręce i twarz. Delikatnie głaszczę ją po ogolonym brzuchu. Pojawia się lekarka, daje mi instrukcje co do opieki nad suczką. „Proszę pilnować, aby nie drapała rozcięcia na brzuchu... Szwy rozpuszczą się same... Nie ma potrzeby tu z nią wracać... Proszę dzwonić, gdyby coś się działo... Odezwiemy się za kilka dni, aby się dowiedzieć, jak ona się miewa”. Kładę Tallulah na fotelu pasażera, przez całą jazdę na farmę jej łapy mocno opierają się o deskę rozdzielczą.

Wyobrażam sobie, że muszę odwiedzić ją z powrotem do schroniska, ponieważ moja matka nie jest w stanie zaopiekować się nią pod moją nieobecność. I od razu wiem, że operacji nie będzie.

Wieczorem Tallulah zwija się w kłębek na kanapie obok mnie, przysypia, ale często się budzi. Za każdym razem, gdy otwiera oczy, głaszczę ją za uszami, żeby wiedziała, że jest w domu i tu zostanie.

Matka siedzi ze mną i zaczyna snuć swoją opowieść. Początek jest niewinny, krótkie obrazki, niektóre szokujące, inne mniej,



z życia kobiety nazywanej przez matkę Quinn. Istnieją dwa typy gawędziarzy – tacy, którzy opowiadają ciekawe historie, i tacy, którzy opowiadają wielkie kłamstwa – a ja po prostu nie wiem, do którego typu należy moja matka. Sądząc z jej przeszłości, do tego drugiego.

A potem opowieść matki przybiera dziwny obrót. Dziwny, ponieważ zaczyna wiązać się z teraźniejszością w sposób, o którym nigdy nie pomyślałabym, że jest możliwy.

# Rozdział trzydziesty czwarty

## Memphis

Memphis powtarza sobie, że musi być uczciwa, oceniając Dahlię. Przecież ona nie wie nic o ofiarach, o rzeczach, które Memphis musiała poświęcić. Raz po raz musiała się przeprowadzać i wszystko zostawiać – przeprowadzki były najczęściej nieprzemyślane i niepotrzebne, ale dla niej ważniejsze niż wszystko inne – i teraz ma nadzieję, że Dahlia musi zrozumieć. Gdy skończy opowiadać tę historię, Dahlia musi zrozumieć.

Obserwuje córkę słuchającą jej z przechyloną głową, chłonącą każde słowo. Memphis stara się nie ujawniać wszystkiego, przedstawić jej wygładzoną wersję – Dahlia jest ostatnio coraz słabsza przez te ataki i wizje – a historia Quinn wydaje się czasami daleka od rzeczywistości, Memphis musi więc przypominać sobie, że to, co robi, to więcej niż przywoływanie schowanych głęboko wspomnień. Skrywała je przez wiele lat, a teraz ma obowiązek wydobyć je z pamięci.

Dahlia była w szopie na dzień przed atakiem, który zakończył się szpitalem. Memphis obserwowała, jak córka wchodzi przez otwarte drzwi, przyświeca sobie latarką, a potem odwraca się i wychodzi. Memphis otworzyła te drzwi i zostawiła je niedomknięte, żeby zapraszały do wejścia, Dahlia nie zobaczyła jednak tego, co Memphis widzi za każdym razem, gdy przechodzi obok tej rozchwierutanej drewnianej budy.

Bądź cierpliwa, mówi sobie Memphis, wszystko w swoim czasie. Powtarza to sobie trzy razy niczym zaklęcie.

Patrzy na Dahlię, która siedzi na kanapie i drapie psa za

uszami.

Zwierzęta zawsze zajmowały szczególne miejsce w sercu jej córki. Memphis wciąż ubolewa, że przez wszystkie te lata włóczęgi nigdy nie pozwoliła dziecku przygarnąć psa, nie pozwalała mu nawet zaprzyjaźniać się z bezdomnymi kotami z parkingów hotelowych, zabierała i chowała miski z jedzeniem i spodka z mlekiem; nie chciała, aby Dahlia przywiązywała się do zwierząt, a potem musiała je zostawiać. Byłoby to dla niej bolesne przeżycie.

Memphis otrząsnęła się z rozważań o przeszłości, nakazała sobie trzymać się tematu.

– Był taki mężczyzna, który dawno temu mieszkał w pobliżu. Miał białego psa, nazwał go Duch i to imię do niego pasowało.

Dahlia wciąż drapie za uszami Tallulah, która przysuwa się jeszcze bliżej do swojej pani.

– Opowiem ci o Duchu – mówi Memphis. – Ten pies miał najpiękniejszą sierść, jaką można sobie wyobrazić.

\*

Quinn była wściekła. Owładnięta trawiącym ją od środka szalonym gniewem nie odzywała się do męża, traktowała go jak powietrze. Nienawidziła go i nie chodziło o to, że romansował z Tain. Dziewczyna tu nie zawiniła. To wszystko wina Nolana.

Gwałt. Tak, to był przecież gwałt. Ta naiwna, ograniczona umysłowo dziewczyna ledwie potrafiła utrzymywać czystość osobistą. Była bardziej dzieckiem niż kobietą, pod tak wieloma względami zależała od Quinn. Dobrze wywiązywała się z codziennych obowiązków, nikt nie mógł jednak oczekiwać od niej samodzielnego podejmowania decyzji. Przechodziła obok otwartego okna, przez które deszcz wpadał na świeżo wyfroterowaną podłogę, dopóki nie polecono jej zamknąć tego

okna. Do fasoli zabierała się dopiero wtedy, gdy jej przypomniano, nigdy dlatego, że zbliżała się pora przygotowywania kolacji.

Ale to dziecko – chodziło przecież o dziecko. Quinn zupełnie straciła nadzieję. Tej nocy, gdy urodziło się martwe niemowlę, była zdruzgotana, wiedziała jednak, dlaczego tak się stało. Aella wyraziła się jasno: – Wykonuj moje polecenia, nie rób nic na własną rękę – a potem zapytała, czy Quinn zrobiła wszystko, jak należy.

Quinn potwierdziła. Ale było to kłamstwo. Nie mogła zrobić tego, o co prosiła ją Aella. Po prostu nie mogła. Zgodnie z poleceniem Quinn musiała znaleźć ciężarną sukę i przed porodem powiesić ją – dosłownie powiesić ją na drzewie, a gdy suka zdechnie, rozciąć jej brzuch, wyjąć pierwsze żywe szczenię i zanieść je Aelli.

Takie właśnie dostała zadanie, wiedziała jednak, że nie będzie w stanie tego zrobić. Potrzebowała jednak szczeniaka, poszła więc do Seymoura, starego emerytowanego nauczyciela, wiedziała bowiem, że jego pirenejski pies górski niedługo urodzi. Quinn odwiedzała sąsiada, pytała, skąd wiadomo, że poród jest bliski, a Seymour powiedział jej, po czym można to poznać – Duch wymykała się do stodoły, robiła legowisko z trawy i koców. Nocą Quinn zakradła się do stodoły Seymoura, gdzie suczka miała lada dzień urodzić szczenięta.

Było jednak za późno. Pieski przyszły już na świat, suczka leżała wyczerpana na boku, a one piły z jej obrzmiałych sutków. Jedno ze szczeniąt, mniejsze niż pozostałe, leżało trochę dalej. Było zimne, Quinn przypuszczała, że urodziło się martwe. Jaką to robi różnicę, jeśli weźmie to martwe szczenię zamiast tego, które miała zabrać zgodnie z poleceniem Aelli? Quinn dobrze wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie zrobić czegoś tak strasznego, nie wyjmie maleństwa z brzucha zabitej przez siebie matki. Była wobec siebie uczciwa, zdawała sobie sprawę, że

w odpowiednich okolicznościach mogłaby się posunąć daleko, na przykład zabić w momencie desperacji, ale popełnić tak potworną zbrodnię na niewinnym zwierzęciu – nie, do tego nie była zdolna.

Przyświecając sobie latarką, wzięła martwe szczeniátko w ramiona. Dmuchnęła ciepłym powietrzem w różowy nosek, jakby miała nadzieję, że je ożywi, tchnie w nie swoje własne życie. Suczka podniosła głowę, spojrzała na ssące szczeniátka, z powrotem położyła głowę na słomie i zamknęła oczy.

Quinn owinęła martwego pieska w znaleziony w stodole kawałek materiału i wyruszyła do przyczepy Aelli w lasach. Zapukała do drzwi, kobieta otworzyła i wpuściła ją do środka. W przyczepie pachniało dymem i ziołami, słodko i pikantnie. Quinn wręczyła Aelli zawiniátko, a ona je rozwinęła i uśmiechnęła się. Nie był to perwersyjny uśmiech kogoś, kogo cieszy widok sztywnego małego ciała, nagiego brzuszka i różowych opuszek pod łapkami, lecz po prostu wyraz szczerego zadowolenia z tego, że Quinn wypełniła jej polecenie.

– Co mam teraz robić? – zapytała Quinn. – Tylko czekać?

– Zostań i patrz – odparła Aella i podeszła do kuchenki.

Quinn zrobiło się słabo, ale usiadła przy kuchennym stole, mocno sfatygowanym, zastawionym doniczkami z ziołami i różnymi innymi roślinami.

Obserwowała, jak starsza kobieta robi niezrozumiałe dla niej rzeczy. Paliła zioła w ogniu, tak że przyczepa wypełniła się dymem. W pewnym momencie położyła szczenię i wyszła na podwórze. Quinn widziała przez okno, że kopie pod dębem, potem wróciła i wlała zawartość szklanej butelki do garnka stojącego na kuchence i zwiększyła płomień. Po chwili z garnka z wrzącą wodą buchnęły kłęby pary, jakich Quinn nigdy wcześniej nie widziała. Okna zaparowały w mgnieniu oka i wydawało się, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze. Nie było go widać, Quinn czuła jednak, że nie są same.

Aella zaczęła mówić do tego kogoś – Quinn nie zrozumiała ani słowa – a potem skierowała parę buchającą z garnka w stronę Quinn.

– Podejdz bliżej – poleciała i odsunęła się na bok.

Quinn zrobiła, co jej kazano, usilnie starając się nie patrzeć do garnka, nie musiała się jednak martwić – para i dym wokół kuchenki były zbyt gęste, żeby cokolwiek zobaczyć. Quinn wzięła głęboki oddech. Poczowała się dziwnie podniesiona na duchu, rozjaśniło jej się w głowie. Potem dym zgęstniał, a jej zaparło dech w piersiach. Rozkasłała się, musiała usiąść i pozostała na krześle, dopóki czary nie zostały odprawione.

– To jest teraz w tobie – powiedziała Aella. – Już po wszystkim.

Gdy Quinn znalazła się wreszcie w łóżku, nie mogła zasnąć. Tej nocy przeszła pieszo kilkanaście kilometrów, ale mimo to nie czuła zmęczenia.

\*

Tak, szczenię urodziło się martwe, a Quinn okłamała nie tylko Aellę, lecz także duchy, zrobiła z nich głupców. Może dlatego pierwsze dziecko Tain umarło, zanim przyszło na świat – czy mogła być jakaś inna przyczyna? – w końcu jednak dziecko będzie.

Tain była w ciąży za sprawą Nolana, a Quinn dostanie to, czego pragnęła. Sądząc z rozmiarów brzucha, dziecko urodzi się wiosną. Quinn wypełniała pustkę, wyobrażając sobie, że wszyscy troje mieszkają z dzieckiem na farmie w swego rodzaju komunie, podobnej do tej, o której opowiadała jej kobieta – Quinn nie pamiętała już jej imienia – na plaży w Galveston.

Szybko okazało się jednak, że tak się nie stanie. Quinn codziennie uśmiechała się do Tain, wystrzegając się nawet niezadowolonej miny, ale Nolana wciąż nienawidziła za to, co

zrobił. Ta nienawiść nie ustępowała, przeciwnie, wzmagala się. Nolan okazał się draniem, ale jeszcze gorsze było to, że kręcił z Tain za jej plecami. Quinn nie winiła dziewczyny, bardzo ją kochała, lecz mąż to zupełnie inna sprawa.

– Ona jest tylko dzieckiem, Nolanie. – Próbowwała zachować spokój, jednak jej się nie udawało. Co niedziela musiała patrzeć na niego w kościele, takiego pobożnego, ze śpiewnikiem w ręce, a mimo to jego umysł był brudny. – Co ty sobie myślisz? Ona jest w ciąży. Już nie wiem nawet, kim ty jesteś.

Kłócili się godzinami, krzyczeli na siebie. Quinn zaczęła błagać, próbowała sprawić, by Nolan zrozumiał, czasem przez krótką chwilę wydawało się, że przemówiła mu do rozumu, on jednak nie przestawał się bronić.

– Powtarzałem ci miesiącami, żebyś ją odprawiła. Nie słuchałaś. A teraz to ja jestem winny?

– Obwiniam twoje podejście. Jak mogłeś ją wykorzystać? Ona nic nie zawiniła. Wiesz o tym. – Quinn przyjrzała się z bliska twarzy męża. Może to światło robiło sztuczki, ale przysięgłaby, że zobaczyła w jego oczach coś w rodzaju żalu. – Powiedz mi dlaczego.

– Dlaczego co?

Czy był na tyle okrutny, że chciał, by mu to tłumaczyła?

– Dlaczego z nią kombinujesz?

– Quinn Creel, jesteś najgłupszą kobietą, jaką znam. Najgłupszą. Nie rozumiesz, że to wszystko twoja wina?

Quinn zamknęła oczy.

– Moja wina? Oszalałeś? Zupełnie straciłeś rozum? – On uważa ją za winną, podczas gdy to właśnie Quinn robiła wszystko, aby być dobrą żoną. Stała bez słowa, ręce jej drżały. Lśniące przedmioty na stole, na ścianach szopy wołały jej imię, kusily, by go uciszyła. Młotek na stole. Piła wisząca na ścianie. Długie srebrne gwoździe starannie ułożone.

– Nie rozumiesz, co zrobiłaś? Pozwoliłaś jej zostać, choć

blagałem cię, żebyś skłoniła ją do odejścia. Potem się z nią zaprzyjaźniłaś. Spędzałaś z nią całe dni, nawet spałyście razem. A ona cię kocha, Quinn. Kocha cię i myśli o tobie, wysila dla ciebie cały swój słaby rozum. Chce sprawić ci przyjemność jak pies swojemu panu. Zrobiłaby dla ciebie wszystko.

– O czym ty mówisz?

– Zrobiła to dla ciebie. Widziała, jak płaczesz, opiekowała się tobą, gdy miałaś okres i nie mogłaś wstać. Ocierała ci łzy. A ty bez przerwy, w kółko mówiłaś o dzieciach. Nigdy nie odpuściłaś. Byłem zadowolony z życia, pogodziłem się z sytuacją, ale ty wciąż do tego wracałaś. Zatrulaś jej umysł. A ona tylko dała ci to, czego zawsze chciałaś.

– Sam nie wiesz, co mówisz, Tain nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Wykorzystała mnie. Może jest ograniczona umysłowo, ale potrafi dostać to, czego chce. Przypuszczam, że gdzieś się tego nauczyła. Posłużyła się mną, żeby dać ci dziecko. To nie ja ją wykorzystałem. Owszem, zrobiłem błąd, przyznaję. Ale nie lekcewaź jej. Ona wie, co robi. A to wszystko stało się z twojego powodu.

Nolan twierdził, że to wszystko stało się przez nią.

Nienawiść do męża pozostała, lecz coś innego wkradło się do jej głowy. Jakiś wewnętrzny głos, nieprzyjazny i bezwzględny, szeptał jej: „Wszystko poszło źle i to jest tylko twoja wina”. Świat zdawał się zacieśniać wokół niej, powietrze zgęstniało tak bardzo, że trudno było oddychać. Myśli miała tak rozproszone, jakby coś spowodowało zwanie w jej głowie, było ich za dużo naraz, żeby mogła wychwycić jakiś sens.

W końcu jej nienawiść do męża stała się zimna, wolna od emocji, jakby Quinn doszła sama ze sobą do porozumienia – sprawa jest zupełnie prosta, Nolan musi zostać ukarany.

\*



Jedynymi zwiastunami narodzin były lekki spadek temperatury i całkowita cisza, jaka zapadła nad farmą. Tain, jakby rozumiejąc znaczenie tego, co właśnie następowało, zaczęła się bać, nie chciała przeć i zapomniała, jak oddychać podczas skurczów, a jedyne, co potrafiła robić, to krzyczeć przenikliwym, wysokim głosem i wyczerpywać cierpliwość Quinn.

– Czy ono już wyszło? – pytała Tain raz po raz, zupełnie jakby była niewidomą siedzącą z boku i czekającą na nowiny, nie zaś kobietą rodzącą dziecko. Quinn zrozumiała wówczas, jak bardzo prostą istotą jest Tain, jak potulną, niemal opóźnioną w rozwoju.

W przebłysku jasności Quinn zobaczyła przyszłość, ich przyszłość. Tain pozostanie z nimi na farmie. Będzie miała dziecko po dziecku z Nolanem, a może nawet z innymi mężczyznami z miasta, będzie jak suka w rui. A ludzie będą gadać, będą przyglądać się im w kościele i nawet jeśli wszyscy troje przestaną chodzić na mszę, będą zmuszeni jeździć do sklepów, do ratusza, banku i lekarza i wszyscy wokół będą plotkowali o tym, że mieszkają razem. Nolan nadal będzie przyszpilał owady i w pokoju na tyłach płodził dzieci z niedorozwiniętą dziewczyną, a żona będzie na to patrzyła.

Czy ono już wyszło? Czy ono już wyszło? Czy ono już wyszło? To trwało godzinami, a Quinn dziesiątki razy powtarzała, kiwając głową, jakby chciała przekonać siebie samą:

– Prawie. Przyj mocniej.

Quinn odczuwała pewną przyjemność, że znalazła się bliżej tego, co miało się wydarzyć. Po martwym dziecku i Nolanie wykorzystującym Tain byłaby dostatecznie szczęśliwa, gdyby to dziecko urodziło się zdrowe; zadowoliliby się tym. Chciałaby jednak zatrzymać Tain i niemowlę na farmie, dopóki Nolan nie odejdzie. Wylała zbyt wiele łez, zniosła już wystarczająco dużo upokorzeń, by pragnąć jego odejścia. Tak, to dziecko należało do nich dwóch, do niej i do Tain.

Przyszło na świat dopiero w środku nocy. Quinn

instynktownie zsunęła pępowinę z twarzy noworodka – był nią owinięty i siny – mając nadzieję, że niechcący nie zacisnęła jej mocniej. Dziecko, dziewczynka, nie płakało, nie wydało nawet gniewnego krzyku.

Quinn poczuła ucisk w klatce piersiowej. Nigdy więcej, chciała krzyknąć, żadnego więcej dziecka. Strach to było zbyt łagodne określenie tego, co przeżywała. Wytarła małe ciało energicznie, lecz delikatnie. Dziewczynka zaczęła kwilić, z początku nieśmiało, później jej głos nabrał siły i przeszedł w przeciągłe zawodzenie. Wytarłszy dziecko, Quinn zawinęła je w pieluszkę i podała Tain, lecz ona odepchnęła maleństwo.

W czasie porodu Tain stawała się coraz mniej świadoma, a gdy wszystko się skończyło, wbiła wzrok w przestrzeń. Quinn pamiętała ten brak emocji po pierwszym porodzie, brak łez i obojętność, jakby dziewczyna przyglądała się rodzącej krowie i śmiertelnie ją to nudziło.

– Musisz nakarmić dziecko. Nie mam mleka dla niemowląt – powiedziała Quinn, a Tain niechętnie posłuchała i przyłożyła niemowlę do piersi. Zdumiona przyglądała się, jak dziewczynka chwyciła ustami jej sutek, potem go wypuściła i zaczęła płakać, a Tain tylko rozglądała się bezradnie dookoła.

Quinn pojechała do miasta kupić pieluchy, maść przeciw odparzeniom i zapas mleka, przypuszczała bowiem, że Tain wkrótce odmówi karmienia dziecka. Codziennie musiała przypominać młodej matce, by podawała maleństwu jedzenie, kąpała je i przebierała.

Tydzień po narodzinach małej poruszyła sprawę wyboru imienia.

– Wybrałaś już jakieś? – Kołysała dziecko, a Tain nawijała mokre włosy na palce wskazujące. Wzięła prysznic tylko dlatego, że Quinn ją o to poprosiła. Quinn nie była pewna, co ta dziewczyna wie o zapłodnieniu, miała jednak nadzieję, że zdaje sobie sprawę z podstawowych rzeczy i rozumie, że cała ta sprawa

z Nolanem musi się skończyć.

– Nie – odparła Tain. – Ty wybierz imię. – Rozejrzała się po pokoju. – A gdzie ona będzie spała?

– Pojedziemy kupić kołyskę. Możemy ustawić ją przy oknie; tam będzie przewiew, a mała będzie słyszała ptaki. Kupimy zabawkę grającą melodie. I może zmienimy stół.

Quinn obawiała się reakcji Nolana na pomysł kupowania czegoś nowego, wiedziała, że zdenerwuje go wiadomość, ile to będzie kosztowało. Unikała męża, jak mogła, zamieniała z nim kilka słów tylko wtedy, gdy było to konieczne, lecz może teraz przyszedł czas na rozmowę.

– Porozmawiam z Nolanem, zobaczę, czy pomoże mi z meblami. – Quinn spojrzała na dziewczynkę; spała, jej oczy lekko drgały, usta były zaciśnięte. Była piękna, miała nieskazitelną cerę i czarne włosy, jak jej matka, i zupełnie nic z bezbarwnego, jasnowłosego Nolana. – Odpocznij trochę, a jeśli będziesz czegoś potrzebowała, jestem na górze.

Tain skinęła głową i zamknęła oczy. Była wyczerpana, Quinn nie mogła mieć o to pretensji. Ułożyła dziecko przy matce, blisko jej piersi.

– W ten sposób będzie słyszała bicie twojego serca – wyjaśniła i odwróciła się. Tain już spała z córką przy boku.

Quinn zobaczyła furgonetkę Nolana na podjeździe, wyszła tylnymi drzwiami i skierowała się do szopy. Zawołała męża, lecz nie było odpowiedzi. Pchnęła obiema rękami odporne początkowo drzwi, które w końcu ustąpiły.

Nolan siedział na taborecie przy starym stole pełniącym funkcję warsztatu. Odwrócił się z uśmiechem, zaraz jednak twarz mu zastygła, jakby spodziewał się Tain, nie żony.

Quinn zdała sobie sprawę, że znów narasta w niej gniew. W powietrzu unosił się zapach chemikaliów, klepisko było pokryte czymś białym, a ona czuła do niego tylko wstręt. Sprowadził ją tutaj, a potem, ponieważ nie zaszła w ciążę, karał

obojętnością. Próbował pozbyć się Tain, od kiedy tylko się pojawiła, chciał zostawić ją na pastwę losu i umyć ręce. Zrobił jej dziecko. Ale Quinn obchodziło już teraz tylko jedno – jak pozbyć się Nolana i zapewnić pieniądze i miejsce do życia sobie, Tain i dziecku; jak przekonać go, żeby odszedł. Może trzeba stale powtarzać, że zgrzeszył, że ta wina powinna skłonić go do odejścia, do zniknięcia z ich życia?

Quinn otworzyła usta, gotowa przedstawić swoją sprawę, Nolan powstrzymał ją jednak gestem ręki.

– Quinn, od dłuższego czasu wiedzieliśmy, że to się stanie. To trwa zbyt długo i jest sprzeczne ze wszystkim, w co wierzę. Wszystkie te kłamstwa dzień po dniu. A teraz jeszcze dziecko – powiedział nosowym, irytującym głosem.

Zaczął rozwodzić się o grzechu, odkupieniu, o tym, czego wymaga od niego Bóg, że on sam nigdy, nigdy nie sprzeciwiał się słowu Bożemu, że mężczyzna musi zadbać o siebie i porzucić wszystkich innych, że czasami sprawy toczą się własnym torem i my wszyscy zasługujemy na szczęście. I że z ciężkim sercem podjął decyzję i nie ma nic więcej do powiedzenia.

– Ani słowa, Quinn. Muszę postąpić właściwie. Czasami dokonujemy złych wyborów, ale Bóg żąda, abyśmy czynili te złe wybory dobrymi.

Z początku Quinn nie zwracała uwagi na leżących na stole kilkanaście gablotek z martwymi owadami za szkłem, potem jednak zauważyła, że gablotki miały przymocowane z tyłu drucziane uchwyty i były gotowe do zawieszenia na ścianie. Rozejrzała się po szopie i zorientowała się, że nie ma w niej miejsca na gablotki – na ścianach wisiały na gwoździach narzędzia, brudne fartuchy, rozmaite przybory. I wtedy Nolan zaczął mówić tak głośno, jakby chciał mieć pewność, że ona usłyszy i zrozumie, ponieważ nie będzie powtarzał, bo jego słowo jest prawem.

– Potrzebuję twojej zgody na rozwód. Chcę ożenić się z Tain

i wychować moją córkę. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Z dalszej części jego wywodu Quinn początkowo nic nie rozumiała, w końcu dotarło jednak do niej, że Nolan chce odebrać jej jedyną rzecz, na której jej zależało.

Bóg. Dziecko. Obowiązek. Za każdym razem, gdy otwierał usta, wpadała w większy gniew. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Za wszystkie te lata wyrzutów, krytyki i spojrzeń pełnych dezaprobaty, wszystkie te lata spędzone przez niego w szopie, gdy zajmował się czymś, czego Quinn bała się najbardziej, czym gardziła. Mogła znieść nocne koszmary, te wyimaginowane ręce na swoim ciele, umiała je odrzucić, ale świerszcze, te przekłete świerszcze przygotowane do zawieszenia w jej domu, na jej ścianach, to już było za dużo.

Wyobraziła sobie jedną z tych gablotek na ścianie swojej sypialni i Tain śpiącą w jej łóżku, kochającą się z jej mężem. Nie czuła żadnej nienawiści do tej dziewczyny, niewątpliwie upośledzonej umysłowo, ale nienawidziła Nolana, który okazał się taki bezwzględny. Przez wszystkie te lata nie odpowiadała na jego kąśliwe uwagi, żyła odcięta od świata na tej niszczej farmie, z uśmiechem wypełniała obowiązki, które należały do niego. A teraz on posyłał ją do diabła.

– Proszę! – krzyknął Nolan, wyciągając z kieszeni marynarki jakieś papiery. – Proszę, przepisałem farmę na twoje nazwisko. To wszystko jest twoje. Ja już tego nie chcę. Nie chcę już niczego, możesz mieć to wszystko. Chcę tylko rozwodu i dziecka.

Całymi latami przekonywała go, żeby sprzedał farmę i kupił dom na przedmieściach, przynosiła prospekty reklamowe, pokazywała plany domów, a on po prostu ją ignorował. A gdy pojawiła się Tain, gotów był zostawić farmę i wszystko inne, byle tylko dostać rozwód.

Ogarnęła ją niepohamowana wściekłość, nagła i niszcząca, wylało się wszystko, co tak skrzętnie skrywała przez długie lata. Nigdy wcześniej nie uciekała się do przemocy, ani razu, nawet

w dzieciństwie, nigdy. Ale teraz zauważyła na stole młotek z pazurem do wyciągania gwoździ, nowy i lśniący, z dużą główką. Zanim się zorientowała, gładki trzonek znalazł się w jej mocno zaciśniętych dłoniach, miała teraz większy zasięg i mogło się wydawać, że to, co potem nastąpiło, nie było jej sprawką, lecz młotka wybranego po to, by jej bronić.

Quinn była silna, to ona przez wszystkie te lata rąbała drewno, podczas gdy Nolan zabawiał się w szopie lub w stodole jakimiś głupstwami. Obróciła młotek rozwidlonym końcem do przodu, podniosła prawą rękę i wycelowała w głowę Nolana, w miejsce, gdzie cofała się linia włosów i gdzie pazur mógł przebić czaszkę, dosięgnąć mózgu i po prostu jednym uderzeniem zniszczyć tkwiące w tym człowieku zło, jego nikczemne i niemoralne myśli.

Mocne ramię Quinn zawisło w powietrzu na chwilę dostatecznie długą, by Nolan zobaczył wyraz jej twarzy.

Krzyknął. Otworzył szeroko usta, już miał podnieść upstrzone plamkami ręce, by ją powstrzymać. Odrobinę za późno.

Lewa ręka Quinn dołączyła do prawej, palce splotły się na drewnianym trzonku. Zataczając idealny półokrąg, Quinn opuściła młotek zza swojej głowy na czaszkę męża.

Rozległ się odgłos pęknięcia, ciepła ciecz rozprysnęła się na jej twarzy – Quinn zamknęła oczy – a potem, usłyszawszy dźwięk tłuczonego szkła, pomyślała, że Nolan rozzłościł się na nią za to, że potłukła jego słoiki i gablotki. W końcu dotarło do niej, że już po wszystkim. Zaskoczyło ją, jak niewiele wysiłku wymagało wbicie pazura w jego głowę.

Wspominała później ten moment, tę chwilę, gdy została wojowniczką, choć zdecydował o tym raczej przeznaczony jej los niż świadomy wybór.

Należało mu się. Nolan chciał się jej pozbyć, był mściwy i podły, zasłużył na to, co go spotkało. W jednej minucie mówił o Bogu i wierze, a w następnej był zwykłym draniem. Należało

mu się.

Quinn była zaskoczona, jak mało przejęła się tym, co zrobiła.

# Rozdział trzydziesty piąty

## Dahlia

Moje ciało jest zmęczone, a umysł nie pozwala mi odpocząć. Życie upływa mi na oczekiwaniu, że wydarzy się coś ważnego, coś, czego nie potrafię nazwać. Leżę w łóżku, patrząc w sufit, powietrze stoi i wtedy spływa na mnie objawienie – powrót do Aurory był błędem. Nikt nie musi pobierać mi krwi ani wpychać do cylindra, żebym wiedziała, że przeszłość jest dziką bestią gotową mnie przenicować, przeciwstawić mój stan psychiczny z jednej strony wyjaśnieniu tajemnicy mojej matki z drugiej. Jest jeszcze Bobby – nie zaczęłam nawet doprowadzać naszych relacji do jakiegoś porządku – a po prostu wygląda na to, że każdego dnia nagle wraca do mnie kolejny fragment przeszłości; opowieści mojej matki i ułamki pojawiających się ostatnio wspomnień z dzieciństwa tworzą przedziwną mieszankę.

I do tego farma, dom i związane z nim niedogodności. To on jest przyczyną tego, że mój umysł znajduje się w stanie zawieszenia, podobnie jak moje ciało – krzywe podłogi sprawiają, że tracę równowagę, przeszłość przenika przez ramy okienne, a potem wzbiera i powoduje, że tapety odpadają ze ściany. Mam wrażenie, że wszystkie te porzucone przedmioty, które kiedyś pełniły swoje funkcje, próbują mi coś przekazać – kołdra z różowym wieńcem, pod którą śpię każdej nocy, jest w doskonałym stanie, podczas gdy inne rzeczy są pożółkłe i wystrzępione po wieloletniej walce z molami. Nie wiem, czym to wytłumaczyć. Dom wydaje się drzeć i nawet jeśli otworzę wszystkie okna, światło niechętnie wpada do środka, w pokojach



zawsze panuje mrok. Czy odmalowanie ścian i zapach piekącego się w kuchni ciasta zmienią ten stan rzeczy? Wątpię.

Szopa. Jeszcze tam nie byłam – gdy pierwszy raz próbowałam wejść, nie poradziłam sobie z rygłem; za drugim razem drzwi były otwarte, lecz tylko stałam w nich, świecąc latarką. Nigdy nie weszłam do środka i może powinnam zrobić to właśnie teraz, dla własnego spokoju.

Narzucam na piżamę bluzę z kapturem. Na zewnątrz słońce już wstało, lecz z wielkim trudem przebija się przez strzępiaste chmury. Niebo wciąż się zmienia, kolory przechodzą z błękitów w różowości i oranże, nakładają się na siebie, ale zaraz potem nisko wiszące chmury przesłaniają barwy i spowijają świat szarą mgiełką. Chmury gniewnie napierają na siebie, a wszystko wokół żyje, rośnie z każdą mijającą chwilą, na moich oczach trwa nieustająca zmiana.

Popycham drzwi, zgrzytają zawiasy. Drzwi się otwierają na całą szerokość, jakby gościnnie zapraszały mnie do wejścia. W środku wszystko pokryte jest grubą warstwą kurzu, a w słabym świetle, które zdaje się wpadać gdzieś zza mnie, widać cząsteczki kurzu zawieszony w stojącym powietrzu. Szybko się rozglądam i nie widzę nic istotnego, nic, co potwierdzałoby opowieść matki lub jej zaprzeczało, ale czego właściwie się spodziewałam? Zarysu ciała?

Wnętrze jest w opłakanym stanie, zalega w nim nie tylko kurz, lecz także liście i różne śmieci, pełno tu pajęczyn. Odkurzenie i wyszorowanie tego miejsca niczego by nie ujawniło. Są tu ramy okienne i szyby spowite pajęczynami, słoiki na przetwory, w większości w kawałkach, na ziemi. Na stole leży młotek, ale dlaczego miałoby go tu nie być? To jest szopa, a w szopie przechowuje się narzędzia, nie ma więc w tym nic podejrzanego. Mimo to przyglądam się młotkowi, pokrytemu jakąś białą substancją, która częściowo odpadła, pajęczyną i jajami pająków w kształcie kuleczek lub miękkich, puszystych zwojów

pajęczyny. Nie chcę tego dotykać.

Słyszę trzask i odsuwam się. Ziemia jest miękka, niemal sprężysta, zapada mi się w nią czubek buta. Nachylam się, odgarniam na bok liście i śmieci, klepisko pod spodem jest twarde. I białe. Gips. Gips modelarski.

Na zewnątrz słońce chowa się za chmurami, do szopy nie wpada ani odrobina światła, nawet przez wybite okno nic się nie przedostaje.

Nie mogę pozbyć się uczucia, że to miejsce żyje, a jednocześnie jest martwe. Świetnie ma się tu tylko rozgrzane stojące powietrze, naładowane czymś, co staje się oczywiste: być może opowieści mojej mamy nie są tylko wymysłami?

\*

W Lark próbuję unikać patrzenia w lustra w pokojach, które sprzątam. Jestem tak blada jak gips, który znalazłam na ziemi w szopie, a po głowie kołacze mi się bardzo dużo pytań. Dlaczego matka opowiada mi te historie? Czy losy Quinn mają odciągnąć moją uwagę, powstrzymać mnie od zadawania pytań dotyczących mojej własnej przeszłości? A może ona jest po prostu dobra w opowiadaniu historii? Mogę potwierdzić, że to prawda.

Gdy układam na wózku utensylia do sprzątanania i pościel, a zza moich pleców wyłania się Bordeaux, aż podskakuję. Mam złe przeczucie. Serce zaczyna mi bić mocniej i szybciej, ręce bezwiednie się poruszają, udaję, że liczę ręczniki i prześcieradła.

– Nie wyglądasz dobrze – mówi.

– Wszystko w porządku – zapewniam i nie przerywam liczenia ręczników w nadziei, że sobie pójdzie. – Przestań się podkradać.

– Nie zamierzasz źle się poczuć, upaść, uderzyć się w głowę, a potem mnie pozwać, prawda? Martwię się o ciebie. Czujesz się

tak źle, jak wyglądasz?

Bordeaux jest zaniepokojony, dwie osoby pracują tutaj na trzy zmiany, więc nie może mnie stracić.

– Chodź ze mną do recepcji. Usiądź i odpocznij. Muszę wyskoczyć na chwilę.

Później pijemy kawę, ja przy kontuarze, Bordeaux za kontuarem, waląc w klawiaturę.

– Czasami przeraża mnie wyraz twojej twarzy. Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć.

– Czuję się dobrze. Lekarstwa pomagają – kłamię i patrzę na wózek, by się upewnić, że załadowałam potrzebne środki czyszczące, ręczniki i pościel. – To jest naprawdę ciężkie. Bez obaw, nie upadnę i nie rozbiję sobie czaszki.

– Jesteś pewna?

Patrzy na mnie jakoś dziwnie, jakby chciał mnie przejrzeć na wylot.

– Nie ma czym się denerwować – zapewniam.

– Skoro tak mówisz. – Bordeaux patrzy na ekran komputera. – Mamy zarezerwowane trzy pokoje, pięć innych się zapowiada. Jest problem na parkingu dla kamperów, coś z instalacją wodno-kanalizacyjną, i niektóre kampery muszą tu zostać, dopóki problem nie będzie rozwiązany. – Nadal przygląda się ekranowi. – Wskoczę po więcej kawy i pączków, może jeszcze sok pomarańczowy. Przez kilka dni będziemy mieli komplet, doceniam więc twoje zaangażowanie. Nie wyglądasz dobrze, ale się nie poddajesz. Naprawdę to doceniam. Zaraz wracam, to nie potrwa długo.

– Nie ma sprawy – mówię. W gruncie rzeczy Bordeaux jest teraz tylko wymizerowanym facetem, który wygląda na piętnaście lat starszego niż w rzeczywistości. Czegoś w nim brakuje, w sposobie, w jaki traktuje klientów, zawsze rzeczowo, oschle. Zastanawiam się, czy tu, w tym biurze, w szufladach i pudłach, ukryte są jakieś rzeczy, które pozwoliłyby mi

dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Gdy Bordeaux wsiada do samochodu i odjeżdża, przeszukuję szuflady za kontuarem. Na próżno, nie ma w nich nic prócz pokwitowań, czasopism, piór i ołówków, jakichś drobniaków. Zupełnie nic. A poza tym nie mam pojęcia, czego szukam.

Słyszę dzwonek u drzwi, wchodzi Ariana, ciągnąc za sobą woń miękczacza do tkanin i chusteczek zapachowych do suszarki.

– *Chica* – mówi – cieszę się, że wróciłaś. – Ariana jest po czterdziestce i udaje o dziesięć lat młodszą, ma perfekcyjnie wyregulowane brwi i usta obwiedzione konturówką, przez co wydają się one nienaturalnie wydęte. Ariana pracuje w biustonoszu typu push-up i obcisłych dżinsach i ma pięć córek, których imiona zaczynają się na literę A, ale nie jestem w stanie zapamiętać ani jednego. Niedawno powiedziała mi, że mogłaby jeszcze postarać się o chłopca, gdyby nie to, że jej mąż jest kierowcą ciężarówki i rzadko bywa w domu. – Nie cierpię pracować tylko z Bordeaux. To menda. Lepiej się czujesz?

– Tak, czuję się lepiej. Zrobisz coś dla mnie?

– Jasne, o co chodzi?

– Miej oko na recepcję i napisz do mnie esemesa, jak będzie wracał.

– Oczywiście, *chica*. Co chcesz zrobić?

– Muszę coś sprawdzić.

– Idź. Jego nie będzie jakiś czas. Kupuje tańsze pączki na drugim końcu miasta. Nie denerwuj się.

Zostawiam wózek przed pokojem 101, idę korytarzem do numeru 120, potem przechodzę przez parking do apartamentów. Nie wiem, czego szukam. Bobby zapewne nie pochwaliby mojego węszenia, ale przecucie, jakiś instynkt podpowiada mi, że te budynki po prostu czekają, żeby je przeszukać.

Wiem, że pokoje tam są równie stare jak reszta motelu i żaden z nich nie był odnawiany – wyjątek zrobiono dla holu – od czasu budowy w końcu lat sześćdziesiątych. James Earl Bordeaux

senior pracował w Lark przez całą moją szkołę średnią i później, jak mówił Bobby, dopóki nie został przykuty do wózka inwalidzkiego; wówczas prowadzenie motelu przejął jego syn, James Bordeaux junior.

Stojąc przed budynkiem, jedno wiem na pewno – w grze „prawda czy wyzwanie” zawsze wybierałam wyzwanie. Zatrzymuję się przed pierwszymi drzwiami i wycieram palcami brudny numer. 301. To musi być magazyn.

Wchodzę do środka, posługując się kluczem uniwersalnym, i zostawiam uchylone drzwi. Stoję przez chwilę, aby oczy przyzwyczyły się do panującego tu półmroku. Powietrze jest gęste, wydaje się, że nawet najlżejszy powiew nie przedostał się za próg tego pokoju. Szybko się rozglądam – duży wybór nieużywanych mebli, wezglowia łóżek ustawione jedno za drugim, materace oparte o ścianę, zestawy składające się z małych lodówek i kuchenek mikrofalowych, około sześciu, ustawione jeden na drugim. Na wszystkim warstwa kurzu. Wychodzę, wstrzymując oddech, i dopiero po zamknięciu drzwi zaczynam normalnie oddychać.

Pokoju 302 nie udaje mi się otworzyć kluczem, przechodzę więc do 303. Wygląda na nienaruszony, choć nie ma materaca ani pościeli. Tam, gdzie powinny być komoda i stolik z telewizorem, są tylko trzy tanie metalowe półki, na których stoją pojemniki oznaczone numerami. Na podłodze leży książka, którą wrzuciłam tam wiele dni temu.

Podchodzę do pojemników. Przyglądam się numerom, jednemu po drugim, zastanawiam się, próbuję zrozumieć, co oznaczają, i wreszcie mam rozwiązanie. Numery oznaczają lata, 6972 to 1969 do 1972, 7375 to 1973 do 1975 i tak dalej. Przeglądam zawartość pojemników i nie znajduję nic niezwykłego, są tam pluszowe zwierzątka, zegarki, pojedyncze kolczyki, książki, buty, ubrania, kilka telefonów z klapką i torby podróżne. Pojemniki są pokryte kurzem, między niektórymi widać pajęczynę. Jedynym

przedmiotem, który zwraca moją uwagę, jest teczka z czerwonej skóry, z zamkiem szyfrowym, mniej zakurzona od pozostałych rzeczy. Ta teczka nie tylko wydaje się nie na miejscu, ale wygląda, jakby trafiła tu niedawno.

Dzwoni moja komórka, widzę numer Ariany. Coś mi mówi, że nie mam nic do stracenia, mogę zwrócić tę rzecz później, a nawet jeśli tego nie zrobię, nikt nie będzie po niej płakał, chwytam więc teczkę i wracam do wózka przed pokojem 101, a po drodze wrzucam ją na tylne siedzenie samochodu. Odbija się z głuchym odgłosem, spada na podłogę i pozostaje tam, schowana częściowo pod fotelem pasażera.

Reszta dnia mija szybko. Turyści z kamperów proszą o wskazówki, gdzie znaleźć pralnie samoobsługowe i sklepy spożywcze, a po wyjściu Ariany myję mopem hol i zmiatam ze stolików cukier puder.

Wycierając rozlaną kawę, postanawiam zdobyć się na odwagę. Nie wiem, jak daleko mogę się posunąć, jak daleko powinnam się posunąć, ale czuję się dostatecznie silna. Nie jestem sama – Bobby siedzi w radiowozie po drugiej stronie ulicy, jak zawsze. Tak musiała czuć się Quinn, gdy już nazbierała świerszczy do słoika. Nie można żyć w ciągłym strachu. Człowiek się oswaja, a potem idzie naprzód.

– James – pytam – czy mam się do ciebie zwracać James, czy Bordeaux?

– Bordeaux jest w porządku.

– Myślałam o czymś. O tej dziewczynie z lasu, o której wszyscy mówią.

– Co z nią?

– Nie wiem, czy wiesz, ale to ja jestem tą joggerką, o której mówili w wiadomościach. – Czekam na jego reakcję, ale nie ma żadnej.

– Ty ją znalazłaś? To musiało być ekscytujące. – Głos ma bezbarwny, w niebieskawym świetle padającym z ekranu

komputera wygląda tak, jakby nie było w nim życia.

– Nie powiedziałam ci reszty, prawda? – rzucam, obserwując go z bliska.

– Czego mi nie powiedziałaś?

– Odkąd wpadłam do strumienia i uderzyłam się w głowę, mam ataki. Widzę różne rzeczy, słyszę głosy.

– Nie powinnaś lekceważyć wstrząśnienia mózgu. Rozmawiałaś z kimś o tym? Bierzesz lekarstwa? – pyta, uderzając w klawiaturę.

– To nie jest wstrząśnienie mózgu ani w ogóle problem medyczny, Bordeaux, to raczej... raczej... – nie patrzę mu w oczy, jakbym próbowała znaleźć właściwe słowa – kwestia psychiki. Po prostu boję się, że coś się stanie innej dziewczynie – rzucam niby od niechcienia.

Zaskoczony podnosi wzrok, lecz natychmiast się opanowuje.

– Masz dużą wyobraźnię.

– Nigdy nie wiadomo. Jane zatrzymała się tu, prawda? – Zerkam na zegarek i wrzucam kubek do kosza na śmieci. Czuję, że nie mam nic do stracenia. – Czy gliniarze w ogóle cię przesłuchiwali? W związku z nią? Sądzę, że musieli.

– Jak mówiłem, niewiele o niej wiem. Zatrzymała się na jedną noc, a rano wyjechała.

– Lepiej już pójdę. Popatrz, jak się rozgadałam.

Bordeaux włącza neon: „Wolne pokoje”; napis przez chwilę mruga, a potem zalewa hol upiornym czerwonym światłem.

Wychodzę z Lark i odjeżdżam szybciej niż zwykle. Gdy docieram do farmy, włączam górne światło w samochodzie i kładę teczkę na kolanach. Szyfr składa się z trzech przypadkowych cyfr; zastanawiając się, jakiego narzędzia użyć do podważenia zamka, uderzam pięścią i zamek puszcza. Podnoszę wieko i widzę dwanaście kwadratowych przegródek z kasetkami z biżuterią, starannie ułożonych na warstwie szarej pianki. W rogu każdej kasetki widnieje wydrukowany

ozdobnymi złotymi literami napis: „Kosztowności”. Podnoszę brzeg pianki, pod spodem są jeszcze dwie warstwy. Tylko w górnej trzy przegródki są puste, w pozostałych znajduje się po dwanaście kasetek. Wyjmuję jedną kasetkę i otwieram.

W środku jest bransoletka z breloczkami. W przegródce teczki znajduję spis jej zawartości: „36 kasetek. Bransoletki z breloczkami. Tuzin każdego rodzaju. Tylko do prezentacji”. Wymienione są typy bransoletek: z motywem podróży, motywem baśniowym i motywem chińskiego zodiaku.

Układam kasetki na fotelu pasażera. W chińskim zodiaku są zwierzęta: szczur, bawół, tygrys, królik, smok, wąż, koń, koza, mała, kogut, pies, świnia. Motyw podróży przedstawiają: koło sterowe, kompas, globus, walizka, wieża Eiffa, samolot, paszport, statek wycieczkowy, sombrero, wieniec z napisem: „Aloha”. Motyw baśniowy to: bucik, klucz, zegar, ręczne lustro, imbryk, pierścionek, krzesło, pióro i żaba. Nie widzę w tym sensu, jestem dezorientowana, nie mogę liczyć, breloczki mi się mieszają. Brakuje mi miejsca, zsuwam część breloczków na matę podłogową przy fotelu pasażera i znów próbuję liczyć. Gdy ręce przestają mi drżeć, zaczyna boleć głowa, doliczyłam się jednak – mam jedenaście bransoletek ze znakami zodiaku, jedenaście z motywem podróży i dziesięć z motywem baśniowym. Wkładam dygoczące ręce pod uda.

W pamięci mam dwa obrazy – wydruk ze zdjęciem bransoletki Jane Doe z breloczkami w kształcie koła sterowego, kompasu, globusa, walizki, aparatu fotograficznego, samolotu, paszportu i sombrera; obraz drugi to błysk srebra na ziemi, między liśćmi i żołądkami, gdy Jane zaczęła się poruszać. Świecidełko połyskujące w poszyciu lasu.

To amulet mający chronić przed złem lub zapewnić szczęście, pamiątka z podróży, prezent z breloczkami dodawanymi przez lata, dla niektórych dziewcząt element rytuału przejścia. Dla zabójcy to przynęta, sztuka biżuterii dawana w prezencie na



wabika. Myślę o Bobbym, o tym, co szeryf de la Vega powiedział mu wiele lat temu. Było więcej kobiet. Łatwy łup, nielegalne imigrantki, kobiety, których nikt nie szuka. Takie, które mogą być wszędzie. I nigdzie.

Widzę związek Bordeaux z tą sprawą, ale niczego nie mogę dowieść. Biorę głęboki oddech. Potrzebuję więcej czasu, żeby to wszystko uporządkować. Ale każdy zapach, każdy cień, każde wspomnienie, które udaje wizję, może być dla mnie ostatnie.

# Rozdział trzydziesty szósty

## Memphis

Gdzieś w oddali rozległ się krzyk, którego echo dobiegło do szopy, przywracając Quinn do rzeczywistości. Skaleczył ją jak odłamek szła. Znała ten wrzask, słyszała go już wiele razy. Rzuciła zakrwawiony młotek, który z hukiem spadł na stół, odbił się i przejechał po blacie, uderzając we wszystko, co miał na drodze; niezakorkowane butelki się przewróciły, niektóre się potłukły, ich zawartość wylała się i zmieszała; odór był tak silny, że Quinn o mało nie zemdląła.

Czuła się oszołomiona, słyszała jednak ostro, wyraźnie. Krzyki, a właściwie krótkie wrzaski, jeden po drugim, nie cichły. Od razu rozpoznała głos Tain i bała się o dziecko, o jego życie. Nie miała czasu do stracenia, a przecież zdołała uderzyć Nolana tylko raz. Quinn chciała, aby jego śmierć była wyjątkowa, tak straszna, jak straszny był sposób, w jaki mąż ją traktował. Wytarła twarz, potknęła się na progu, omal nie upadła na jego ciało, ledwie zdążyła przytrzymać się drzwi. Rygiel, zimny i zardzewiały, jakby włożyła w jej rękę jakaś siła wyższa, tylko on pozwolił Quinn utrzymać się na nogach i nie upaść. Chciała, by Nolan znalazł się w potrzasku, uwięziony w smrodzie, brudzie i nieprzyzwoitości. Gdyby nie umarł od uderzenia młotkiem w czaszkę, powinien zostać pochłonięty przez te swoje chemikalia, odejść z płucami pełnymi trucizny. Modliła się, by szopa się rozpadła, zawaliła na niego, byłby to odpowiedni sposób pochówku dla człowieka takiego jak Nolan.

Nie widziała wyraźnie, znalazła jednak ścieżkę i ruszyła przed

siebie, skupiając się na nierówności spękanego gruntu, a z każdym krokiem krzyk stawał się coraz głośniejszy i bardziej przeraźliwy. Quinn upadła na duchu, wiedziała, co się zaraz stanie – wbiegnie na piętro, wejdzie do sypialni Tain i znajdzie dziecko sine i bez życia. Ta dziewczyna o ptasim mózdzku przewróciła się we śnie na niemowlę i udusiła je; była jak nieświadomy dzieciak, który zasypia na lalce. Quinn nie obwiniła jednak Tain. To był jej błąd, nigdy nie powinna była zostawiać Tain, bezrozumnej Tain, z maleństwem; powinna była przewidzieć, że tak się może stać, i to ona ponosiła winę.

Quinn wpadła przez frontowe drzwi i pognała schodami, skacząc po dwa stopnie naraz. Czuła się niemrawa, chemikalia sprawiły, że jej ciało zdawało się przypominać miękkie, rozciągliwe ciasto – jak w jednym z tych snów, w których nogi poruszają się powoli, jakby była pod wodą, bezsilna, zupełnie pozbawiona energii. Zatrzymała się na szczycie schodów.

Kolejny krzyk. Ostry, przeszywający. Przejmujący. Nie dochodził z piętra, lecz z kuchni. Quinn odwróciła się, potknęła, udało jej się chwycić poręcz, podciągnąć się i stanąć na nogach. Schodzenie na dół okazało się o wiele trudniejsze niż wbieganie; stopnie wydawały się zlewać, tak że nie była pewna, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi.

Tain stała w kuchni, w nocnej koszuli przylepionej do ciała, spływało po niej mleko, a ona tkwiła w miejscu jak wrośnięta w ziemię i wrzeszczała.

– Co się stało? Gdzie jest dziecko?

Krzyki nie ustawały, Tain wydawała je jeden po drugim, jakby absolutnie nie mogła znieść ciszy. Quinn zlustrowała wzrokiem kuchnię, nie zauważyła niczego niepokojącego i wróciła na górę, tym razem ostrożnie, krok za krokiem, aby nie upaść i nie zrobić sobie krzywdy. Sypialnia Tain była pusta, podobnie jak pozostałe pokoje.

Po powrocie na dół Quinn objęła Tain i w końcu dziewczyna

przestała krzyczeć, uspokoiła się.

– Dziecko. Tain, gdzie jest dziecko? Co z nim zrobiłaś?

Quinn trzymała dziewczynę za ramiona i potrząsała nią, dopóki jej głowa nie zaczęła podskakiwać w przód i w tył. Nie wydobyła jednak z Tain ani słowa, tylko jakiś charkot.

Przeszukała dom. Zaczęła od góry, sypialnia po sypialni, zajrzała do łazienki, przesunęła nawet zasłonę przy wannie, potem sprawdziła kuchnię, pokój dzienny i tylną werandę. Ani śladu.

Zastanawiała się nad zawiadomieniem szeryfa o zniknięciu dziecka, ale on zapytałby o Nolana, potem znaleziono by ciało w szopie, a ona skończyłaby w więzieniu. Nazwisko Creel wciąż jeszcze dużo znaczyło w Aurorze, nadal pamiętano w mieście tę niegdyś zamożną i wpływową rodzinę. Quinn to nie obchodziło, dla niej liczyło się tylko dziecko. Wyszła z domu, najpierw do stodoły, później do studni. Zdjęła pokrywę i zajrzała do środka, zastanawiając się, co robi, jeśli usłyszy kwilenie. Albo jeśli zobaczy pływające ciało.

I nagle, jak za sprawą czarów, usłyszała kwilenie. W pierwszej chwili pomyślała, że to wytwór jej wyobraźni, po prostu figiel spleatany przez jej mózg, ale nie, coś popiskiwało, z początku cicho, zaraz potem z niecierpliwością, a wreszcie wybuchł głośny płacz. Nie dochodził ze studni ani ze stodoły, ani zza stodoły czy szopy, lecz z piętra domu, przez otwarte okno.

Gdy Quinn dotarła na górę, zorientowała się, że płacz dobiegał z łazienki. Odbijał się echem od wykafelkowanych ścian, lecz dziecka nigdzie nie było. Zerwała zasłonę przy wannie – dziecko musiało tam być, ponieważ kwilenie wyraźnie dochodziło z ręczników i bielizny pościelowej zostawionych tam do prania, którego Quinn nie zdążyła jeszcze zrobić. Po rozsunięciu ręczników i prześcieradeł okazało się, że mała tam leży. Wymachiwała rączkami, bezpieczna i zdrowa, z wykrzywioną od płaczu twarzą.

Quinn zaglądała do wanny wcześniej, dziecko zapewne wtedy spało. Tain musiała zapomnieć, że włożyła tam córeczkę, może chciała skorzystać z łazienki, może nie, trudno powiedzieć, co działo się w głowie tej dziewczyny. Jedną rzecz Quinn wiedziała na pewno – dziecko nie było z Tain bezpieczne. Co więcej, nie było bezpieczne nawet z Tain i z nią. Takie rzeczy będą się zdarzały, dopóki Tain będzie w pobliżu. Dopóki pewnego dnia nie zostawi gdzieś małej w wózku, nie poda jej złego lekarstwa albo zbyt dużej dawki lekarstwa, albo w ogóle zapomni o lekach, w nocy zaśnie, a dziecko sturla się z łóżka albo spadnie ze schodów, lub zostawi dziewczynkę w rozgrzanym samochodzie albo gdzieś na zewnątrz, na zimnie. Tyle możliwości, wszystko może się wydarzyć. A jeden z tych przypadków okaże się fatalny w skutkach. Dziecko było bezpieczne z tylko Quinn, z nikim innym.

\*

Minęły trzy dni. Quinn obserwowała szopę z okna kuchennego. W końcu będzie musiała tam pójść i załatwić sprawę, lecz jeszcze nie była na to gotowa. Wciąż miotała nią wściekłość na męża – nie powiedziała mu tak wielu rzeczy, a chciała, żeby o nich wiedział. Teraz nie będzie już miała szansy.

Po pięciu dniach Tain zaczęła pytać o Nolana.

– Czy on nas zostawił? – pytała bez przerwy z szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

– Nie jestem pewna. Nie wiem więcej niż ty. Może ma interesy w mieście?

– Słyszałam, jak kłóciliście się w szopie.

– Może on wciąż tam jest. Może nocuje w furgonetce albo w stodole.

– Będziemy go szukały?

– Powinnyśmy? – zapytała Quinn, ogarnięta lekkim poczuciem winy, że tak oszukuje. Nolan był przecież ojcem tego dziecka. Podjęła już decyzję, doszła do wniosku, że wszystko musi wyglądać na wypadek, a Tain z pewnością nie domyśli się i nie będzie kwestionować okoliczności. Mimo to Quinn musiała zachować pozory.

Siódmego dnia oznajmiła Tain, że pójdą poszukać Nolana. Przed stodołą poinstruowała ją, jak należy trzymać dziecko – dziewczyna wciąż zapomniała o podtrzymywaniu główki – położyła niemowlę w zgięciu łokcia Tain, pokazała, jak podtrzymywać je drugim ramieniem, i upewniła się, że kocyk nie zasłania nosa ani ust.

– Wejdzmy do środka – powiedziała, a gdy znalazły się w ciemnym, zimnym i wilgotnym wnętrzu, zaczęła wołać Nolana, wykrzykiwać jego imię. Nic się nie poruszyło, tylko kurz wirował w powietrzu. Quinn stanęła przy drabinie na strych, gdzie leżało siano – chodziło o to, by Tain zapamiętała poszukiwania, gdyby kiedyś ją o to pytano – i zaczęła przekonywać dziewczynę, że nie ma możliwości, by Nolan był w stodole, on nie stanąłby na drabinie, ponieważ szczeble są tak słabe, że tylko głupiec by po nich wchodził, że nie załamie się jedynie pod dzieckiem, a gdyby Nolan wszedł na górę, ten lichy strych załamałby się pod ciężarem dorosłego mężczyzny. W końcu wyszły ze stodoły i ruszyły w stronę szopy, jakby to była zwykła popołudniowa przechadzka; Tain szła za Quinn jak kaczę prowadzone przez matkę.

– Tylko zerknę do środka – powiedziała Quinn, gdy stanęły przed szopą. – Wszystkie te chemikalia są szkodliwe dla dziecka. Poczekaj tutaj. – W chwili gdy położyła lewą dłoń na ryglu, a prawą ręką pchnęła drzwi, poczuła ten zapach. Nie tylko chemiczną woń kleju, rozpuszczalnika i alkoholu – nie, dawało się wyczuć coś jeszcze, jakiś inny zapach. Słodkawy, przypominający smród zgniłych owoców. Przejrzałego ananasa,

gruszek na podwórku, gdy była dzieckiem; te gruszki spadały z drzewa i głośno uderzały o ziemię, powoli robiły się brązowe i miękkie, a gdy Quinn na jakąś nastąpiła, słodkawy odór uderzał ją prosto między oczy. Tylko że ten zapach był intensywniejszy, bardziej skondensowany. Mocny.

– Pamiętaj, masz tu poczekać – powtórzyła. – Zapach chemikaliów nie jest dobry dla dziecka.

Quinn przekroczyła próg i stanęła nad ciałem Nolana. Jeden krok więcej i by go dotknęła. Słoiki i butelki leżały potłuczone, wszędzie widać było kawałki szkła, przezroczystego, brązowego i zielonego. Młotek, którym rąbnęła Nolana, leżał na stole, jego pazur tkwił w kałuży czegoś białego. Takiej samej, jak koło głowy Nolana.

Palce zmarłego były skierowane ku górze, sztywne i rozcapierzone, jakby zastygły w czasie konwulsji, jego ciało wyglądało brzydko i odstręczająco, wstrętnie się rozkładało. Poczowała coś w rodzaju triumfu. Świerszcze i żuki Nolana umierały w słoikach, on zaś zakończył życie w szopie. Unikając spojrzenia w jego zastygłe oczy, Quinn podeszła do stołu i chwyciła papiery.

Akt przekazania własności był jedyną rzeczą w szopie nieupstrzoną plamkami gipsu lub zalaną chemikaliami. Quinn uznała to za dobry znak. Zbierało jej się na śmiech. Długo odpędzała myśli o winie i wierzyła już tylko w to, że w jej sprawie musiała interweniować opatrność. A ponieważ uważała, że Nolan powinien zostać ukarany, tak się rzeczywiście stało. Uwięziony niczym owad w swoim własnym słoiku do zabijania Nolan dostał to, na co zasłużył.

# Rozdział trzydziesty siódmy

## Dahlia

Quinn, Nolan, Tain i Aella wirują i przybierają kształt, tracą swą ulotność i stają się coraz bardziej wyraziści. Odwiedzają mnie w dziwnych momentach, w pracy, podczas jazdy do domu. Na farmie słyszę odgłosy ich kroków w przedpokoju. Rozsuwają zasłony, trzaskają drzwiami, jestem jednak przekonana, że to nie wszystko.

Pojawienie się ich na farmie mogło oznaczać, że to miejsce od samego początku zamierzało nam obu zaszkodzić, domagać się czegoś ode mnie i mojej matki. Ale jak można zweryfikować opowieści starej zdziwaczalej kobiety, która przez lata zachowywała się w sposób niezrozumiały, w najlepszym razie nieracjonalny. Nawet jeśli założymy, że te opowieści są prawdziwe, zgodne z faktami, Aurora nie jest już miasteczkiem, którego mieszkańcy stanowią zżyłą społeczność, gdzie wszyscy wiedzą o sobie wszystko i gdzie miało się sąsiadów takich jak Seymour. Teraz znajduje się tu przetwórnia, której otwarcie przyciągnęło przed laty mnóstwo nowych mieszkańców; kilka kilometrów stąd jest sad jabłkowy rozciągający się na setkach hektarów, odwiedzany przez turystów; jest hotel Barrington, gdzie odbywają się konwencje i zebrania, i farma na południe od miasta, dokąd sezon po sezonie przyjeżdżają robotnicy rolni na zbiór teksańskich grapefruitów. I kompleks więzienny około pięćdziesięciu kilometrów na zachód. Ramón de la Vega, ojciec Bobby'ego, wiedziałby, ale jak mówi Bobby, jest zdzięcznialy i nawet jeśli pamiętał, rozmowa mogłaby przywołać niechciane



wspomnienia – a i tak Bobby nigdy nie pozwoliłby mi go przepytować, dał to wyraźnie do zrozumienia.

Późnym wieczorem mówię Bobby’emu, że matka przyznała, iż akt przekazania własności jest autentyczny. Znów opowiadam mu całą historię, poczynając od burzy, od której się wszystko zaczęło. Muszę mu to dokładnie zrelacjonować.

– Potężny huragan w Aurorze. Wyobrażam sobie – mówię.

– Były tu huragany, przychodziły z nad wybrzeża i jeśli przynosiły ze sobą burze, mogło padać bardzo intensywnie setki kilometrów w głąb lądu. Powiedziałaś, że w którym to było roku?

– Przed moim urodzeniem, w końcu lat siedemdziesiątych. Tak więc ta dziewczyna, Tain, przyszła na farmę, Quinn ją znalazła, a ona urodziła dziecko w przedpokoju. Dziecko zmarło, a Quinn kłóciła się z Nolanem, który nie chciał pozwolić, aby dziewczyna została. Nolan to imię z aktu przekazania własności. W opowieści matki Nolan umiera w tej szopie. Quinn zabiła go młotkiem, a potem zostawiła w szopie z chemikaliami.

Widzę wyraz twarzy Bobby’ego, szeroko otwarte oczy, uniesione brwi, głowę lekko przekrzywioną na bok, i dociera do mnie, jak to musi wyglądać – opowiadam o tych osobach jak o członkach rodziny lub moich znajomych. Ostatnio po przebudzeniu złapałam się na tym, że zastanawiam się, gdzie oni są, czy Nolan jest w szopie, Quinn krząta się w kuchni, a Tain wałęsa bez celu po farmie, zrywając kwiaty na grób zmarłego dziecka.

– Quinn Creel – mówi Bobby i milknie na chwilę. – Nie brzmi znajomo.

– Farma Creel Hollow. To ma sens. – Coś szarpie mnie w środku, każe mi otworzyć oczy. – Chyba uda mi się to sprawdzić, prawda? Burza, wielkie deszcze w Aurorze. Narodziny dziecka na farmie Creel Hollow. Powinny być jakieś źródła.

– Dahlio – zaczyna Bobby i wyraźnie zastanawia się, jak powiedzieć coś, czego nie może już dłużej dusić w sobie. – Ten

akt przekazania własności i wszystkie te opowieści twojej matki. Nie chcę, żebyś przesadziła.

– Przesadziła?

– Próbuję ci powiedzieć, że boję się o ciebie. To wszystko, co opowiadałaś mi o swoim dzieciństwie, jest przejmujące. Samo słuchanie ciebie sprawia, że się niepokoję. Chcę, żebyś wiedziała, że rozumiem, dlaczego nie możesz odpuścić. Nie tylko z twoją matką, lecz także z Jane Doe. Dobrze rozumiem. Ale nadal się denerwuję.

– Wiem o tym – zapewniam, ale nie jestem do końca pewna, co chciał mi dać do zrozumienia. Bobby tu się urodził, tu dorastał. Drzewa, na które się wspinał, jego dom rodzinny wciąż tu stoją. Jego życie jest jak otwarta książka, podczas gdy moje jest jak skrytka, do której klucze trzyma moja matka.

Chcę przynieść teczkę z bransoletkami i zdjęcie bransoletki z ręki Jane, wahać się jednak, czy pokazać to Bobby’emu. Może jeszcze nie pora. Dla mnie on wciąż jest nastolatkiem rozglądającym się za mną, uparcie próbującym mnie chronić, upewniać się, że wszystko u mnie w porządku.

– Nie wiem, ile prawdy jest w opowieściach twojej matki i jeśli nie wynajmiesz prywatnego detektywa, możesz nigdy się tego nie dowiedzieć. Wiemy tyle, że ta farma została przepisana na Quinn Creel, która z kolei przekazała ją twojej matce, Memphis Waller. Może łączyło je jakieś pokrewieństwo, a może twoja matka po prostu kupiła to miejsce. Nie wiem.

– Matka nigdy nie miała pieniędzy.

– Co spodziewasz się znaleźć? Dlaczego zajmujemy się tym teraz?

– Przede wszystkim dlatego, że jestem zmęczona tymi kłamstwami. I dlatego, że w końcu mamy coś konkretnego, czemu możemy się przyjrzeć.

Gdy wychodzimy z domu, zatrzymuje się w przedpokoju.

– To tutaj? – pyta Bobby i podnosi czubkiem buta brzeg

dywanika.

– Tutaj.

– Jeśli to krew – mówi takim tonem, jakby opowiadał mi straszną historię w Halloween – to stanowi dowód, którego bardzo trudno się pozbyć, zwłaszcza jeśli powierzchnię nie można zeszkrobać ani wybielić.

– Zmywałam tę plamę, ale ona wciąż tam jest.

– Jeśli wsiąkła w słoje drewna, nic jej nie usunie. Chyba że zerwanie podłogi. Poczekaj tu. – Bobby znika we frontowych drzwiach. Parę sekund później słyszę, jak otwiera i zamyka bagażnik. Zwijam zakurzony dywanik i ustawiam go przy ścianie. Klękam i przyglądam się uważnie plamie, dużej, o wyraźnie widocznych brzegach. Wygląda inaczej, niż zapamiętałam; może rzecz w tym, że teraz widzę ją z bardzo bliska. Przebiegam palcami po porowatych deskach podłogi, wypaczonych wokół plamy. Najprawdopodobniej ktoś nałożył kiedyś na nie drugą warstwę bejcy, niezbyt grubą, i ta warstwa także się starła.

Bobby pojawia się za mną, w rękach ma latarkę i pudełko z napisem „Luminol”.

– Pamiętasz, prosiłaś mnie o środek do wykrywania krwi. – Podaje mi latarkę, a ja szukam dziurek po gwoździach, które utrzymywały dywanik na miejscu.

Pamiętam, że matka opowiadała mi, jak Quinn przybijała dywanik. Wydaje mi się, że powinno tam być około dziesięciu dziurek tworzących owal, bo wełniany dywanik miał właśnie taki kształt. Ale mogłam się mylić.

– Cofnij się o krok – mówi Bobby, a ja się odsuwam.

Bobby otwiera pudełko, wyjmuje małą butelkę sprayu i spryskuje całą podłogę od frontowych drzwi do kuchni po prawej stronie i do pokoju dziennego po lewej. Nic, ani śladu, nic się nie świeci, żadnego błysku choćby wielkości robaczka świętojańskiego.

– Nie musisz użyć niebieskiego światła? – pytam, a Bobby studiuje nalepkę na butelce.

– Nie trzeba niebieskiego światła. Tu jest napisane, że aby reakcja chemiczna była widoczna, miejsce musi być całkowicie zaciemnione.

Bobby gasi światło w przedpokoju i daje mi znak ręką, bym zrobiła to samo w kuchni. W domu zapada ciemność.

Spoglądam w dół i zamieram.

Na podłodze przede mną pływają niebieskie koła, potem to dostrzegam – dużą plamę, niebieską i świecąca, z mnóstwem mniejszych plamek dookoła. Mój umysł doszukuje się kształtów i postaci i znajduje coś, czego nie chcę zaakceptować – zarys małej stopy, tak maleńkiej, że mogłaby należeć do laleczki.

– Bobby – mówię głosem małej dziewczynki. Latarka wyslizguje mi się z ręki i z brzękiem ląduje na podłodze. Po ledwie sekundzie wahania Bobby obchodzi owalną plamę, ostrożnie, aby nie nastąpić na nią ciężkimi butami.

Cała się trzęsę niczym drzewo uderzane siekierą, jeszcze się trzymam, ale kilka uderzeń więcej i upadnę na ziemię. Nagle zapala się światło – nie zakurzony żyrandol w przedpokoju, lecz jasne, ostre światło zalewające cały przedpokój.

Kątem oka widzę na szczycie schodów sylwetkę w białej nocnej koszuli. Obserwuje nas. Nie porusza się, nie mówi, tylko wyczekuje, a ja się zastanawiam, czy matkę wyrwał ze snu hałas, którego narobiliśmy.

To nie może być moja matka, ta osoba jest niższa, młodsza, ma długie czarne włosy, jak ja. Sądząc z zamazanego konturu, w ogóle nie jest człowiekiem, ale raczej duchem kobiety w białej koszuli nocnej; kobiety, która w niczym nie przypomina mojej matki, ale jest podobna do mnie. W wyciągniętych rękach trzyma coś dość dużego. Nic na to nie poradzę, ale pytam samą siebie, czy ja umieram, czy może już umarłam, a moje widmo uniosło się na schody. Nie mogę być martwa. Mam ciężkie ręce

i nogi, czuję własny ciężar, który przyciąga mnie do ziemi. Upadam, a Bobby'emu ledwie starcza czasu, by mnie złapać.

Głowa mi pęka, lecz wciąż mogę myśleć, choć wiem, że zaraz stracę przytomność. Kim są ci ludzie? Skąd moja matka zna te historie i dlaczego, na miłość boską, dlaczego ta kobieta na szczycie schodów wygląda jak ta z portretu pamięciowego przypiętego do ściany w moim pokoju? Rozumiem każdą cząstką swej istoty, że to halucynacja, a nie rzeczywistość. Na podeście nie ma kobiety, która patrzy na mnie z góry, a mimo to ona jest realna.

Czuję, jak ktoś znosi mnie po schodach do przedpokoju. Trzyma jak dziecko. Bobby podnosi mnie z podłogi, przenosi do pokoju dziennego i kładzie na tej paskudnej kanapie, i w tym samym momencie czyjeś ramiona zabierają mnie stamtąd do przedpokoju i frontowych drzwi. Na dworze zasypują mnie drobiny lodu. Zamieć. Otacza mnie, ale jestem w samym jej centrum.

Tym razem wizja nie rozprasza się jak te, które miałam wcześniej. Trwa. Widzę otwarty samochód i kobietę, jej twarz jest dla mnie niewidoczna – to nie jest ta sama kobieta, która stała na schodach – układającą dziecko – mnie? – na tylnym siedzeniu, na górze poduszek i koców. A potem zamieć pochłania wszystko i nie widać niczego, słychać tylko warkot silnika samochodu.

\*

Doktor Wagner ma rację. Dojście do siebie zabiera mi coraz więcej i więcej czasu. Mięśnie mam wciąż zeszywniałe, umysł nie wrócił jeszcze do formy sprzed ataku, a pierwsze kroki, jakie robię, są w najlepszym razie niepewne. Odsuwam na bok myśli o konsekwencjach – teraz nie czas, żeby się tym martwić. Muszę opowiedzieć Bobby'emu o aktówce i bransoletkach, to może

zmienić wszystko.

Budzą mnie trzaśnięcie zamykanej w kuchni szuflady i wpadający do mojego pokoju zapach kawy. W kuchni zastaję wykąpaną i ubraną matkę, która przygotowuje jajka i tosty. Matka ma na sobie żółtą sukienkę, za dużą, lecz doskonale jej w tym kolorze. Wskazuje mi ręką stół kuchenny, więc posłusznie do niego podchodzę.

– Siadaj – mówi stanowczym głosem, jak do dziecka, które trzeba nauczyć dobrych manier.

– Co się dzieje? – pytam. Przede mną na stole leży książka. Wybawienie mojego dzieciństwa, książka z odpowiedziami na wszystkie pytania, których nie odważyłam się zadać matce. Moja encyklopedia.

– Miałaś to przez cały czas? – pytam. Chcę wziąć książkę do ręki, ale tego nie robię.

– Przechowałam wiele rzeczy, których nie miałam zamiaru przechowywać – odpowiada matka. – Po tym, jak Quinn zabiła Nolana... – Przerywa na chwilę. – Jest jeszcze coś, co musisz wiedzieć.

Coś się dzieje. Nie wiem, czego się spodziewać – opowieści o ucieczce i schwytaniu Quinn, a może jej przyznaniu się do winy, nie jestem pewna – Quinn jest dla mnie tak realna, zupełnie sama w swoim mrocznym, pokręconym świecie, i zastanawiam się, czy w tej historii, którą zaraz usłyszę, jest karma.

– Powiedz mi, że ona uciekła – rzucam lekko, jakby żartem.

– Nikt nigdy nie ucieknie – mówi matka. – Tak to nie działa.

# Rozdział trzydziesty ósmy

## Memphis

Zapach w szafie w ogóle się nie zmienił, nadal jest ostry, wytrawny jak aromat cedru i słodki niczym woń gałązek lawendy, które rozkładałam w całym domu. Szukam tylko jednej rzeczy. Żółtej sukienki.

Zdejmuję ją z wieszaka i kładę na łóżku. Widać dziury po molach, a jaskrawożółty dawniej materiał wyblakł. Pamiętam ją dobrze – na plecach ma wycięcie i kokardę zawiązywaną po to, by sukienka obciskała w talii, i rozszerzaną spódnicę z zakładkami.

Wkładam sukienkę przez głowę, na ramionach są dziury, i zawiązuję kokardę z tyłu tak ciasno, jak to możliwe. Nic nie jest w porządku. Sukienka zwisa na mnie, jakby była uszyta dla kogoś innego. Doskonale pasowała na Quinn, nie była przeznaczona dla mnie, czego więc się spodziewałam? Nie chcę spojrzeć w lustro, żeby nie poczuć jeszcze większego rozczarowania.

Dzisiaj zamierzam opowiedzieć Dahlii resztę tej historii. Mogę tylko wyobrazić sobie, jak to musi brzmieć, a nie chcę posunąć się tak daleko, by przyznać, że mój umysł szwankuje – nie jestem zadowolona z tego, co zrobiłam, tyle mogę powiedzieć, ale nie miałam wyboru. Przyparta do muru nie znalazłam innego wyjścia, chcę jednak pozwolić Dahlii, by mnie osądziła.

Na widok encyklopedii na kuchennym stole Dahlia jest zaskoczona; nie wiedziała, że ją przechowałam, może nawet uznała ją za kolejny wytwór swojej wyobraźni.

Słyszę własny głos, zadziwiająco pewny i stanowczy.

– Gdy Quinn znalazła ciało Nolana w szopie, powiedziała Tain, że się nim zajmie. Zabrała dziewczynę do domu, a nocą zaczęła kopać grób pod cyprysem, obok grobu tamtego dziecka. Ułożone w koszyku niemowlę spało spokojnie na werandzie, a gdy się obudziło i chciało jeść, Quinn zaniósła je Tain i wróciła do kopania dołu. Zanim wzeszło słońce, ręce miała pokrwawione i pokryte pęcherzami, lecz się nie poddawała. Przeciągnięcie ciała Nolana do dołu w ziemi, centymetr po centymetrze, zabrało jej całą noc.

Sukienka pachnie wilgocią; kurz, pleśń i dziesiątki lat zamknięcia w szafie zrobiły swoje. Kilka dni temu widziałam Dahlię spacerującą z Bobbym i psem. Przystanęli, trzymając się za ręce, pies węszył dookoła. Cieszę się, że ten pies nie ma skłonności do kopania dołów. Obserwowałam, jak przechodzą przez łąkę, dawniej porośniętą jaskrami. Przez lata pojawiało się tam coraz więcej polnych kwiatów i teraz było ich mnóstwo, najróżniejszych, we wszystkich kolorach, tak jak powinno być. Dahlia, przechodząc tędy, będzie odtąd za każdym razem zerkąła w stronę cyprysa.

Musi zrozumieć, że opowiadam jej o czymś ważnym, a nie jakąś wymyśloną historię z fikcyjnymi bohaterami. Pozostała jeszcze jedna rzecz, o której musi wiedzieć, i jest to prawdopodobnie najtrudniejsza część tego wszystkiego. Zdaję sobie sprawę, że złamię jej serce. Jest silna, ale najsilniejsi ludzie mają słaby punkt, a ja wiem również, że jeśli istnieje najmniejsza szansa, że Dahlia stanie się kimś, kim miała się stać, muszę to zrobić.

Chcę trzymać ją za rękę, opowiadając zakończenie tej historii, nie zniosłabym jednak, gdyby odsunęła się ode mnie, więc w ogóle jej nie dotykam.

– Jest coś jeszcze – mówię. – O Tain i Quinn.

Dahlia wydaje się zdziwiona, nie wie, co z tym zrobić. W jej



przekonaniu ta opowieść dobiegła już końca. Zastanawiam się, czy się domyśliła, czy dodała dwa do dwóch.

Przy drzewie są przecież trzy groby.

# Rozdział trzydziesty dziewiąty

## Aella

Włóczędzy nie wrócili po dziewczynę, tak jak obiecywali. Przejeżdżały inne grupy, lecz nie ta, która ją zostawiła. W końcu Aella dowiedziała się przypadkiem, że ci ludzie zostali w drodze do Luizjany aresztowani za oszustwo. Aella przekazała wiadomość dziewczynie, nie zrobiło to jednak na niej większego wrażenia.

– Kiedy urodzisz? – zapytała.

– Za dwa miesiące, może trzy.

Aella zdała sobie sprawę, że dziewczyna nie jest w tak zaawansowanej ciąży, jak przypuszczała. Jej drobna budowa sprawiała, że brzuch wystawał bardziej niż u wyższej i nie tak chudej kobiety.

– Czy ono dużo się rusza? Byłaś u lekarza?

– Kopie. Mamy lekarza w obozie. Nie chodzimy do lekarzy w mieście – odparła dziewczyna, bezmyślnie drąc na strzępy liście szaławii.

Szałwia nie nadawała się do okadzania, rosła bujnie i szybko, więc Aella się tym nie przejmowała. Opowiadała dziewczynie o ziołach w ogrodzie, nie była jednak pewna, czy Tain zapamiętała jakąkolwiek informację. Słuchała uważnie, a przynajmniej tak się wydawało. Zaciekawilo ją wróżenie z dłoni, Aella nauczyła ją więc podstawowych zasad przepowiadania przyszłości. Trzy linie, ich głębokość i ciągłość – ludzi tak łatwo było nabrać.

Dziewczynie szybko znudziła się nauka, zaczęła włóczyć się po

lasach, wracała z kwiatami, które nie rosły nigdzie w pobliżu przyczepy – najbliższe pole łubinu teksańskiego znajdowało się kilometry stąd – Aella miała jednak nadzieję, że uroki, które odprawiła, ochronią Tain. Nie wiadomo, w co mogłaby się wpakować.

\*

Przyszedł wrzesień, burze okazały się niezbyt groźne – deszcz padał mocno, lecz nigdy nie trwał dłużej niż dzień i noc, a rano przez chmury przedzierało się słońce. Błyskało, ale sporadycznie, błyskawice rozdzierały ciemności i znikwały w mgnieniu oka. Podczas burzy Aella starała się zająć czymś Tain. Parzyła jej ziołowe herbaty, które ją usypiały, tak że budziła się dopiero rano, gdy burza już się skończyła.

Pewnego dnia Aella poczuła, że skóra jej cierpnie, a słuch ma bardziej wyostrzony niż zwykle. Wiedziała, że szykuje się coś nowego. Większość ptaków odleciała już na zimę – tylko dla niektórych było jeszcze za wcześnie – ale zniknęły pszczoły, jakby te skrzydlate stworzenia wiedziały coś, o czym jeszcze nie miała pojęcia reszta świata.

Wszystko, czego Aella nauczyła Tain o pogodzie i jej zwyczajach, miało się teraz urzeczywistnić. Dziewczyna obsesyjnie się z nią spierała, bez końca mówiła o nadchodzącej burzy, fruujących dachach i samochodach przewracanych przez wiatr. Aella próbowała ją uspokoić, lecz gdy burza nadeszła, zaczął wyc wiatr, a w przyczepie zrobiło się ciemno jak w nocy, choć było południe, Tain do reszty straciła rozum. Wiatr szarpał wierzba przed przyczepą, gałęzie uderzały w szyby okienne, a ona siedziała na podłodze, kiwając się w przód i w tył. Aella zaprowadziła ją do łóżka polowego w kącie; wydawało jej się, że w świetle błyskawic zauważyła czerwone plamy na

podłódze w miejscu, gdzie Tain kulila się ze strachu. Podała dziewczynie kolejną dawkę laudanum, a gdy ta zasnęła, obserwowała ją. Kilka godzin później Aellę obudził trzask otwieranych drzwi, pośpiesznie rzuciła się więc do łomoczącej o ścianę gałki. Przed oczami mignęła jej sylwetka Tain zbiegającej po schodach z rozwianymi włosami.

– Nie! Wracaj! – krzyknęła, lecz w deszczu, wśród grzmotów nie słyszała nawet własnego głosu. Stanęła w progu, krzyczała, nawoływała, a potem przyczepa zaczęła trzeszczeć tak jak drzewa dookoła i robiło się coraz głośniejsze. Aella spojrzała w górę, by się upewnić, że dach jest wciąż na miejscu. Ta nawałnica w niczym nie przypominała burz nawiedzających zwykle tę część Teksasu – Aurora leżała zbyt daleko od wybrzeża, tak daleko w głąb lądu każda burza traciła swą siłę. To, co działo się teraz, było o wiele potężniejsze, gwałtowniejsze.

Gdy burza minęła, Aella zaczęła się rozglądać za dziewczyną, lecz nigdzie jej nie było. Trochę wcześniej, po tym jak słońce przedarło się przez chmury, znalazła krew na podłódze w kącie i zorientowała się, że czerwień, którą widziała przedtem, nie była złudzeniem. Dziewczyna, przerażona burzą, zaczęła rodzić, Aella zaś pomyliła się, biorąc to za atak paniki. Nie wiadomo, co stało się z nią i z dzieckiem. Nikt nie zdołałby przeżyć w takich okolicznościach, a zwłaszcza rodząca kobieta.

Dopiero po dwóch latach – dwóch latach przeżytych w poczuciu winy i wstydu – Aella znów zobaczyła dziewczynę. Niemal zupełnie zapomniała o kobiecie, którą nazywała Q., a tymczasem pewnego dnia Q. pojawiła się na jej posesji. Aella rozpoznała jasnoniebieską furgonetkę, a gdy drzwi się otworzyły, pomyślała, że widzi ducha.

Q. wysiadła, potem otworzyły się drzwi pasażera. Początkowo postać, która szła za Q. do przyczepy, wydawała się tylko zamglonym, rozmazanym konturem jak na źle zrobionym zdjęciu. Dopiero gdy znalazła się kilka metrów od Aelli, przybrała

kształt – to była ta dziewczyna, która uciekła podczas burzy ponad dwa lata temu. Trzymała w ramionach małe dziecko o błyszczących oczach i jasnej, niemal przejrzystej cerze. Q. poleciła dziewczynie z dzieckiem usiąść na krześle pod wierzbą.

Aella szybko policzyła i nic się jej nie zgadzało; dziecko w ramionach dziewczyny miało najwyżej pięć miesięcy, z pewnością nie więcej. To nie mogło być dziecko Tain. Nie zamierzała jednak zadawać żadnych pytań ani zastanawiać się nad tą sprawą.

– Ona musi odejść – brzmiały pierwsze słowa Q. wypowiedziane tak, by Tain nie mogła ich słyszeć. Aella wiedziała, że choć Q. miała łzy w oczach, mówiła poważnie. – Musisz zabrać ją z powrotem. Przysłałaś ją do mnie, a teraz ona musi odejść. Kocham ją, ale nie mogę pozwolić jej zostać.

Aella cofnęła się o krok. Na chwilę zapadła całkowita cisza, a potem znachorka zrozumiała. Była mistrzynią w rozpoznawaniu intencji ludzi na podstawie ich zachowania i już wiedziała, że w przypadku Q. w grę nie wchodziła małostkowa zazdrość czy brak zaufania, lecz prawdziwy strach.

– Gdy wrócą ci włóczędzy, będziemy mogły odesłać ją z nimi – powiedziała Aella, bardzo uważnie przyglądając się twarzy Q. Odesłanie dziewczyny z tymi, z którymi przyszła, wydawało się rozsądne, nie było w tym nic niewłaściwego.

– Kiedy oni wrócą? Wkrótce? – Quinn, wyraźnie napięta, oddychała szybko. Nieustannie rozglądała się dookoła, jakby sprawdzała, co dzieje się z dziewczyną i dzieckiem.

– Niedługo będą szukali pracy. Skontaktuję się z nimi, gdy...

– Nie, nie, nie. Nie rozumiesz. Ona nie może być w pobliżu dziecka. Ani minuty dłużej.

Aella współczuła Quinn od początku. Zawsze wydawała się złamana, a teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Przywieź ją jutro – powiedziała. – I pieniądze, przywieź pieniądze. Ci ludzie zabiorą ją do Karoliny Południowej, ale nie

mogę zagwarantować, że ona nie wróci. Wiedz o tym. Chyba że...  
– Aella chciała zaproponować, że jej powróży; układała już w głowie, co będzie jej do tego potrzebne: ziemia z cmentarza, paznokcie...

Q. przerwała jej rozmyślenia.

– Żadnych wróżb, po prostu spraw, żeby ona wyjechała.

– Ona może wrócić. Jesteś na to przygotowana?

– To już moje zmartwienie – rzuciła Q.

– Mam pytanie. – Aella odwróciła się i przyjrzała Tain i dziecku. Dziewczyna przesuwiała niemowlę z biodra na biodro, nie poprawiała przekrzywionej czapeczki na jego głowie, nie zwróciła uwagi, że spodenki podjechały do góry, odsłaniając gołe nóżki. – Czy ona wie, że wyjeżdża?

– Powiem jej dziś wieczorem. – Q. odwróciła się, aby odejść. Idąc do samochodu, odezwała się jeszcze raz. – Jutro? – zapytała ze strachem w oczach, jakby się bała, że Aella nie dotrzyma obietnicy.

– Tak, jutro. Podrzucić ją. Ona poczeka, dopóki ci ludzie nie będą wtedy przejeżdżali.

\*

Q. przywiozła dziewczynę następnego rana. Wysiadła z furgonetki, a Tain bez słowa zniknęła w przyczepie.

– Co jej powiedziałaś?

– O czym?

– O tym, dokąd ona wyjeżdża. Co jej powiedziałaś?

Oczy Q. zrobiły się duże i błyszczące.

– Ona wraca tam, skąd przyszła. Do ludzi, do których należy.

– Posłuchaj. Nie traktuj tego lekko. – Aella przerwała, szukając odpowiednich słów. – Nie chcę tu żadnych scen. Jeśli pojawią się kłopoty, odeślę ją z powrotem na twoją farmę. Wiedz o tym.

– Bez obaw – uspokoiła ją Q. i zanim odeszła, poruszyła jeszcze jedną kwestię. – Muszę z kimś porozmawiać. Niedawno zmarłym. – Umilkła, a ponieważ Aella również się nie odezwała, dodała: – Musisz wiedzieć, jak to zrobić.

– Są sposoby. Balsamy. Wywołujące sny. Ale one są trujące... Musisz być ostrożna.

– Tam są duchy. Na farmie.

– Ludzi, którzy tam mieszkali? I przeszli na drugą stronę?

– Tak.

– Chodzi ci o dusze. Nie duchy.

– Mniejsza o to. Muszę z nimi porozmawiać. Chcę, żeby odeszli.

Aella bez wahania otworzyła szufladę. Poszperała w niej przez chwilę, po czym wręczyła Q. mały pojemniczek balsamu z rysunkiem stopy na wieczku. Był to jeden z najsilniejszych balsamów, jakie sporządzała, przeznaczony do usuwania barier między tu i tam, tym światem i światem duchów. Jej babka zwykła nazywać go kluczem do innego królestwa.

Odrobina krwawnika dla ochrony w czasie lotu.

Odrobina bielunia dla lepszego wzroku.

Tojad, naparstnica, belladona, lulek czarny dla księżycowej nocy.

\*

Aella nigdy nie sprzedawała ani nie rozdawała balsamu, stosowała go sama, tylko w małych ilościach i nigdy na przeciętą skórę, poruszyło ją jednak coś w oczach Q., podała jej więc metalowe pudełeczko.

– Proszę. Nakładaj go na wierzch stopy. Ale oszczędnie. To cię może zabić, jeśli nie będziesz ostrożna.

– To wszystko?

Aella nigdy więcej jej nie widziała. Q. była silną kobietą, silną,

ale skrzywdzoną. Takie są niebezpieczne.

Tain pozostała u niej prawie tydzień. Gdy przyjechali koczownicy, spakowała się; Aella obserwowała, jak dziewczynka z lalką w ramionach chwyciła Tain za rękę, uśmiechając się do niej. Dziewczyna, zdezorientowana, rozglądała się dookoła.

– Dokąd ja wyjeżdżam?

– Czy nikt ci nie powiedział? Pamiętasz? Przyjechałaś tu z nimi.

– Aella wskazała na grupę ludzi, z hukiem zatraskujących właśnie bagażniki wozów. Była do głębi poruszona, przeklinała Q. pod nosem, nie była to jednak jej sprawa. – Nie denerwuj się. Przypomnij sobie, skąd przyjechałaś. To tam cię zabierają.

– Skąd przyjechałam? – Tain z wahaniem poszła za dziewczynką z lalką w stronę samochodu.

Szła lekkim krokiem, zupełnie bezgłośnie. Zatrzymała się, zrobiła krok naprzód, znów się zatrzymała. Była wyraźnie wystraszona, Aella dostrzegła jednak jej odwagę. A potem w oczach dziewczyny pojawił się błysk, jakby coś sobie przypomniła. Wymamrotała kilka niezrozumiałych słów, Aella o nic jednak nie pytała.

Tain wsiadła do samochodu, kawalkada ruszyła w drogę. Gdy pojazdy zniknęły już w oddali, Aella przypomniła sobie bezgłośnie kroki tej młodej kobiety. Oznaczało to tylko jedną z dwóch możliwości – albo że część Tain pozostanie tu na zawsze, albo że ona wróci.

Aella stanęła pod wierzbą i patrzyła w niebo. Błękitne jak ocean. Bezkresne, nieograniczone w swoich możliwościach.



# Rozdział czterdziesty

## Dahlia

– Po wyjeździe Tain Quinn myślała, że to już koniec kłopotów, no wiesz – mówi moja matka. – Myślała, że będą mieszkały na farmie. Będą szczęśliwe.

Milczę. Przykro mi widzieć ją tak zdenerwowaną, obserwuję więc Tallulah, przebierającą łapami przez sen.

– Rozumiesz teraz? – pyta matka.

– Co mam rozumieć? – Tylko na to zdołałam się zdobyć. Nagle zaczynam się bać własnych myśli, domysłów rodzących się w tyle głowy.

– Ta farma. Ten dom. Wszystko.

Zwykle moja matka milczy, nie odpowiada na niewygodne pytania, ale teraz jest inaczej. Po raz pierwszy widzę, że stara się coś wyjaśnić.

– Ten akt własności, ta farma na nazwisko Quinn. – Jest cała roztrzęsiona. I przerażona, słyszę to w jej głosie.

– Dlaczego jest na twoje nazwisko?

– Pamiętasz ten dzień, gdy przyjechałyśmy do Aurory? Szeryfa i Bobby’ego...? To wtedy poznałaś Bobby’ego.

– Pamiętam.

– Ten szeryf. Ramón de la Vega.

– Mamo, wiem. Co próbujesz powiedzieć?

Mam wrażenie, że na głowę wali mi się tysiąc cegieł naraz. Mimo to czekam. Chcę usłyszeć to z jej ust.

Matka się załamuje.

– Przepraszam, przepraszam – powtarza.

Nie ośmielałam się zapytać, za co przeprasza. Opowiada o sobie, potem zaczyna mówić o Quinn i znów wraca do „ja”.

– Widziałam tych ludzi w każdym mężczyźnie spotkanym na ulicy – mówi. – Gdy wydawało mi się, że się z tego otrząsnęłam, wszystko wracało, jakbym była uwiązana na gumce, która pozwalała mi oddalić się na krótki dystans po to, żeby znów mnie przyciągnąć. Musiałam wciąż z tym walczyć, raz po raz.

Nie przestaje mówić, ciągle powtarza to samo, a potem dodaje cichym, udręczonym głosem:

– Ten moment, gdy mężczyzna przestaje normalnie oddychać i zaczyna dyszeć na tobie, powietrze robi się gęste i oblepia twoje ciało obrzydzeniem. Budzisz się co rano i myślisz, że to był zły sen, a potem to wraca. Nie odchodzi. To jest twoje życie, musisz żyć, bo nic nie można zrobić. I tak bez końca.

Matka wraca do tej części opowieści, w której Quinn budzi się w lesie po tym, jak Benito, jej kochanek, już odszedł. Znów przywołuje każdy najdrobniejszy szczegół, jakby rozpamiętywała go setki, a może tysiące razy; w tej relacji wszystko ma swoje specjalne miejsce, wszystkiemu przypisane jest znaczenie. Księżyc patrzył na mężczyzn gwałcących Quinn, więc teraz za każdym razem, gdy ona patrzy na księżyc, obrazy wracają. Las połknął Quinn, dlatego ilekroć do niego wchodzi, obrazy wracają.

Chcę jej przerwać, powiedzieć, że już to słyszałam, wszystko wiem. Coś w jej oczach każe mi milczeć. A ona znów mówi o polowaniu, o zapachu jeleniej uryny, o tym, jak zastąpili jej drogę, jak ciągnęli...

– Ciągnęli mnie jak padlinę jelenia, po kamieniach, korzeniach, jeżynach, jakbym była martwym zwierzęciem, niezdolnym niczego czuć.

Ciągnęli mnie. Nadal milczę. A potem robi się gorzej. Trzy słowa rzucają mnie na kolana. Trzy słowa, których się bałam, ale jakoś przekonywałam siebie, że nie mogą być prawdą. Jak mogłam być tak ślepa? Zajmowałam się zaginionymi kobietami,

sobą, Bobbym, Tallulah. Powinnam była szybciej powiązać fakty.

– Quinn to ja – mówi matka.

Tyle czasu, ile zajmuje zamieszanie kawy w kubku, złożenie ręcznika lub zawiązanie sznurowadeł – tyle czasu zajmuje mi zrozumienie tego, co zawsze miałam przed oczami. Memphis to Quinn. Nolan był jej mężem.

Powietrze stoi w bezruchu, nie mogę oddychać. To nie jest jakaś opowieść, to opowieść o niej.

„Przepraszam”. To słowo nie ma żadnego znaczenia. Do czasu.

– Tain była twoją matką.

\*

– Tain, kochanie, jak miała na imię twoja matka? – Quinn nie znalazła lepszego sposobu, by zacząć. Jej dziecko miałyby na imię albo Nolan, albo Frances, po jej matce.

Tain po prostu odwróciła wzrok.

– A jak nazywał się twój ojciec?

– Peter.

– Był dobrym człowiekiem?

– Dość dobrym.

– Cóż, to jest dziewczynka, nie możesz nazwać jej Peter. Nie znam żeńskiego odpowiednika Petera i nie wiem, czy jakiś istnieje.

– Petra – oznajmiła Tain. – Podoba mi się Petra.

– Petra. – Quinn zastanawiała się przez chwilę. Imię wydawało się mocne i niezniszczalne, ale jej się nie podobało. Było surowe, nie miało w sobie żadnej miękkości.

– Jeśli ci się podoba, niech będzie Petra.

– Dobrze. Ona ma na imię Petra.

\*

Chcę powiedzieć: „Zamknij się. Ani słowa więcej. Dość już powiedziałaś. Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się”.

– Nie – wychrypiałam; na tyle tylko mogłam się zdobyć. W mojej głowie rozbrzmiewa echem: „To niemożliwe”. Nie jestem pewna, czy powtarzam te słowa w myślach, czy wypowiadam je głośno. Wszystkie te ponure, mroczne zakamarki znalazły się teraz w pełnym świetle.

Jestem tym dzieckiem, jestem dzieckiem Tain. Dzieckiem, którego zawsze pragnęła Quinn.

Moja matka – kobieta, którą uważałam za swoją matkę – została brutalnie zgwałcona. Zrobiono jej coś strasznego, nie mogę zaprzeczyć. Ale ona zabiła Nolana, mojego ojca, zabrała dziecko Tain i pozbyła się Tain. Pozbyła się mojej matki.

Zabiła mojego ojca i ukradła dziecko mojej matce.

Ogarnia mnie nienawiść, silna i niepozostawiająca wątpliwości. Nienawiść szybko przechodzi w smutek wywołany tymi wyznaniem, zbrodniami popełnionymi przez zagubioną, udręczoną kobietę imieniem Quinn. Quinn to Memphis. We własnej osobie.

To boli. Nie jak po przypadkowym skaleczeniu się nożem w palec, nie jak nagle szarpnięcie bólu, który później zamienia się w pieczenie; to jest ból taki, jakby w moich plecach wciąż tkwił wbity przez kogoś nóż. Z każdym oddechem nóż wchodzi głębiej, a mimo to muszę dalej żyć i iść przed siebie. Nożem tkwiącym w moich plecach jest matka, a ja widzę w niej teraz szaloną, obłąkaną kobietę, która wychowywała mnie po kryjomu. Zabrała mnie i próbowała utrzymać przy sobie, posługując się swym wypaczonym umysłem, usiłowała zrobić ze mnie współniczkę w swoich pokreconych grach. Jestem eksperymentem.

Patrzę na nią, naprawdę na nią patrzę. Przyglądam się każdemu jej ruchowi, drżącym rękoma, łzom w jej oczach

i wszystko mi przypomina, że ona jest oszustką. Przystępczynią. Psychopatką. To z jej winy byłam zaniedbana, żyłam w biedzie, wciąż w drodze, nie mogłam się uczyć, cierpiałam. Ona jest źródłem wszelkiego zła.

Wstaję, potykam się, z hukiem wpadam na szafki. Tallulah, która budzi się, gdy zrobię najmniejszy hałas, zrywa się i przybiega do mnie. Staje na tylnych łapach, drapie mnie po udzie, jakby chciała powiedzieć: „Już dobrze. Jestem tu. Jestem tu”. Nie zwracam na nią uwagi, a ona wraca do kąta z podkulonym ogonem.

Biegnę do samochodu najszybciej, jak potrafię, chcę znaleźć się jak najdalej od matki. Zatrzymuje mnie cyprys, wyniosły, olśniewający zielenią. Szydzi ze mnie. Przez wszystkie te tygodnie mieszkałam przy grobach wykopanych przez moją matkę. Ale kobieta, którą zostawiłam w tym domu, nie jest w ogóle moją krewną. Absolutnie. Dociera do mnie coś jeszcze – Ramón de la Vega to Benito. Każdy jest kimś innym, z wyjątkiem Bobby’ego. On jest sobą. Jest po prostu Bobbym.

Kobieta, która mnie wychowała, jest zbrodniarką, a ja jestem jej największą zbrodnią. Uosobieniem wszystkich popełnionych przez nią zbrodni.

Wskakuję do samochodu i błyskawicznie odjeżdżam. Podczas jazdy niczym diabeł z pudełka wyskakuje wspomnienie tamtego popołudnia w restauracji. I już wiem.

Dahlia. Memphis. Zbrodnie, które wstrząsnęły światem.

„Wybierz numer”, powiedziała matka i na stronie siódmej znalazła artykuł: *Zbrodnie, które wstrząsnęły światem*. Kazała mi wybrać numer, sprawiła więc, że wybierając siedem, to ja wybrałam te imiona. Trójka z Memphis. Czarna Dahlia. Byłyśmy nagłówkami z gazet. Kobieta, która odebrała mnie matce, skłoniła mnie do wybrania imion z gazety. Nie przypadkowych imion z artykułów, nie, wybrałam nazwę miasta, gdzie popełniono zbrodnię, i przydomek ofiary innej zbrodni.

Zbrodniarz i ofiara złączeni ze sobą na zawsze.

Zrobiła ze mnie swoją współniczkę. Ponosi winę za wszystko. Za życie w nędzy i w ukryciu. Nagle coś przeskakuje mi w głowie i dociera do mnie, że ona także jest ofiarą. Za dużo tego wszystkiego, tych wyrwanych z kontekstu chwil, definicji słów, określających mnie przymiotników, dziesiątków lat typowych zachowań i przyzwyczajzeń. Czuję zamykające się wokół mnie mury, dręczą mnie zagadki, których nie potrafię rozwiązać, i mam świadomość, że odmawianie sobie prawa do zemsty powiększa zbrodnie, które ona popełniła.

Smutek znów zamienia się w nienawiść i ta nienawiść narasta. Ogarnia mnie gniew. Marzę o zemście, jakby wydanie tej kobiety w ręce policji miało być największą karą za lata cierpień.

\*

Bobby, jak zawsze, parkuje przy stacji benzynowej. Gdy zatrzymuję się obok radiowozu, patrzy na mnie zaskoczony. Opuszczam szybę.

– Jedź za mną – mówię, ale on nie robi żadnego ruchu. – Jedź. Po prostu jedź – nalegam, tym razem ostrym głosem.

Bobby odpala silnik.

– Do magazynów – rzucam.

Ruszamy w drogę.

\*

Magazyny od lat stoją puste. Na ogrodzonym drucianą siatką terenie widać mnóstwo liści, papierów, rozmaitych śmieci.

Bobby zatrzymuje się przy bramie zamkniętej ciężkim łańcuchem. Tabliczka z napisem: „Wstęp wzbroniony” jest zniszczona i ledwie czytelna. Miejscowi wiedzą, że lepiej tam nie

wchodzić, dziś nawet licealiści mają prawdopodobnie gdzie indziej ulubione miejsca spotkań, takie, w których nie grozi zawalenie się dachu na głowę.

– Co my tu robimy?

W głowie mi się mąci od wyznań matki, nie wiem, od czego zacząć, ale zdaję sobie sprawę z tego, że im dłużej będę zwlekała, tym trudniej będzie mi cokolwiek powiedzieć.

– To, co opowiadała moja matka o ludziach i tej farmie, jest prawdą. – Biorę głęboki oddech. – Te opowieści są nie tylko prawdziwe, lecz także dotyczą jej samej.

– Nie rozumiem.

Opowiadam mu wszystko; zaczynam od gwałtu popełnionego na Quinn, a kończę na Memphis i Dahlii oraz tamtym dniu w restauracji. Dniu, w którym się poznaliśmy. Mówię Bobby’emu, że jego tata, Ramón de la Vega, to Benito. Nie wspominam, że wzgórze na farmie kryją groby, jeszcze nie, ale mówię o akcie własności i o tym, że jego tata pomógł Memphis zacząć nowe życie.

– Nic z tego nie rozumiem. Mój ojciec znał twoją matkę. Nie wiem, co powiedzieć. Kiedy się dowiedziałaś? Właśnie teraz? – Bobby jest mniej zaskoczony, niż się spodziewałam; może się jednak czegoś domyślał. – Miałem przeczucie, że oni mogli się znać, ale nic więcej.

– Powiedziała mi, a ja uciekłam, po prostu zviałam. – Przelykam łyżę i mamrocze sama do siebie: „Ona zabiła mojego ojca i nie jest moją matką”, lecz brzmi to zbyt niesamowicie, zbyt szokująco, aby mogło być prawdą. Gwałt, o którym opowiadała matka i który powracał w jej wspomnieniach raz po raz, to jej osobista sprawa. Zaczynam nawet odczuwać coś w rodzaju współczucia i nie jest mi z tym dobrze. – Muszę ci powiedzieć o czymś jeszcze.

Oczy Bobby’ego ciemnieją, a ja wiem, że myśli o swoim tacie. Obejmuje mnie, a gdy zwalnia uścisk, lecz wciąż jest blisko,

zaczynam pragnąć, aby to trwało, chcę tu z nim zostać.

– Po prostu nie wiem, co powiedzieć, Dahlio. Tak mi przykro.

– To nie wszystko.

Chcę mu opowiedzieć, że wzgórki, te nietypowe wzniesienia pod cyprysem, to groby. Mam ochotę nazwać Memphis morderczynią i chcę, żeby Bobby kazał mi iść na policję, aby skłonił mnie do wydania jej, ale zanim to zrobię, muszę powiedzieć mu o teczce. I bransoletkach.

– Nie wszystko?

– Kilka dni temu weszłam do magazynu w Lark Inn – zaczynam, uwalniając się z jego objęć. – Zniosłam zostawioną przez kogoś książkę i znalazłam pojemniki, ale tego dnia nie wchodziłam właściwie do środka, tam jest brudno i pełno kurzu. Tak czy inaczej... – Biorę głęboki oddech i kontynuuję: – Wróciłam tam ze zwykłej ciekawości. Znalazłam różne rzeczy. Między innymi teczkę, którą zostawił prawdopodobnie jakiś akwizytor będący tu przejazdem lata temu. To coś w rodzaju teczki z próbkami. One są różne, ale w każdym razie... – próbuję mówić rzeczowym tonem, lecz słowa wylatują same, na jednym oddechu, bez przerw i przecinków, bez ładu i składu – tam było pełno bransoletek z wisiorami. – Przerywam i obserwuję twarz Bobby’ego. Jest pozbawiona wyrazu. – Jane nosiła bransoletkę z wisiorami, pamiętasz?

Bobby milczy, patrzy przed siebie. Wyłącza radio, które trzeszczało i coś gadało przez cały czas.

– Gdzie jest ta teczka?

– Zabrałam ją i przeliczyłam pudełka. Odłożyłam z powrotem na to samo miejsce. Od razu następnego dnia.

– I są na nich twoje odciski palców?

Zaczynam się niecierpliwić.

– No to co? Nie wiedziałabym, co w nich jest, gdybym ich nie przejrzała.

– Dahlio, zdajesz sobie sprawę, że to ty znalazłaś Jane w lesie.



I ty pracujesz w Lark, a twoje odciski palców...

– A więc teraz jestem podejrzana?

– Nie, ale jako dowód teczka może być teraz bez wartości. Dlaczego mi o niej nie powiedziałaś?

Nic nie jest stracone. Nic. Bardzo mi się nie podoba, że Bobby poddaje się tak szybko, że ważniejsze jest dla niego przestrzeganie przepisów. Czuję, jak coś się we mnie rodzi, kielkuje niczym ziarno rzucone na urodzajną ziemię. Bobby, ten Bobby, który nigdy nie kłamie, nigdy mnie nie zdradził, który nigdy... Ale o najważniejszym, co mu się przydarzyło – o umierającej na raka matce i danej ojcu obietnicy, że będzie miał oko na Bordeaux – nigdy ze mną nie rozmawiał. Jest tak samo skryty, jak moja matka.

– Dlatego wtedy nie powiedziałeś mi o Bordeaux, o podejrzeniach twojego ojca? Byliśmy przyjaciółmi, bliskimi przyjaciółmi.

Głos Bobby'ego dochodzi gdzieś z daleka.

– Musisz mi teraz zaufać.

– Ufam ci – zapewniam i od razu zdaję sobie sprawę, że to kłamstwo. Wcale nie mam pewności. Jest nam bardzo dobrze razem, ale przecież w takich sytuacjach zawsze jest dobrze, dopóki nie zaczyna się psuć. – Wiedziałeś o tych bransoletkach z wisiorami w Lark? I o tym też nigdy mi nie powiedziałeś?

Bobby milczy.

Słońce świeci w dach samochodu i choć w środku jest gorąco, cała drzę.

– Dahlio, posłuchaj mnie. – Bobby chwyta mnie za rękę, trzyma je w swoich dłoniach. – Musisz dać temu spokój, musisz z tym skończyć, dziś. Przykro mi z powodu twojej matki. Okropna historia. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co czujesz. Ale Bordeaux to coś całkiem innego. To sprawa policji. Nie popadaj w obsesję. Musisz się cofnąć o krok i...

– J a popadam w obsesję? A co z tobą?

– Co ze mną? Myślałem, że robię coś dobrego. Zostałem gliną. Obserwowałem Bordeaux seniora do dnia jego śmierci. Miałem na niego oko. Przez lata, Dahlio, przez lata. W ciągu dziesięciu, piętnastu lat można się ożenić, mieć dzieci. Obchodzić święta i urodziny, wyjeżdżać na wakacje. Piętnaście lat to kawał życia. Przez całe te piętnaście lat, cały ten czas ciebie tu nie było. A wiesz, co ja wtedy zrobiłem? Przegrałem swoje małżeństwo, życie, które próbowałem budować, ponieważ nie mogłem wyjechać z tego cholernego miasta.

– Nie osądzam cię. – Chcę powiedzieć, że wiem, przez co przeszedł, ale byłyby to tylko pusty frazes. Nie mam o tym pojęcia, podobnie jak on nie wie, czym stało się moje życie.

– Obietnica to poważna rzecz, Dahlio. Obiecałem mojemu tacie mieć oko na Bordeaux. Być czujnym. Dotrzymałem obietnicy. Co więcej, z tego powodu zostałem gliną. A teraz spójrz na mnie, mam związane ręce. Wtargnęłaś bezceremonialnie i znalazłaś teczkę i bransoletki, a ja tylko siedzę w tym samochodzie dzień w dzień i patrzę na ten przeklęty motel.

Bobby chwyta mnie za ramiona i ściska.

– Czy ty nie widzisz, co robisz ludziom? Twojej matce? Zobacz, co się z nią dzieje, z wami obiema. Co się dzieje, od kiedy uczepiłaś się tej sprawy, nie kierując w gruncie rzeczy swoim postępowaniem, choć uważasz, że wiesz, co robisz. Nie ma szansy na normalne życie, najmniejszej szansy. Oboje coś o tym wiemy. A twoja matka? Całe życie się ukrywała, próbowała nie dać się schwytać. – Bobby odwraca się i wyjmuję kaburę. – Nie zrobię tego innego dnia. – Przy ostatnim słowie głos mu się załamuje.

– Co ty mówisz?

– Przechowaj moją broń, dobrze? Zostaw ją na farmie, ukryj gdzieś, tylko nie w swoim samochodzie. Zabiorę ją później.

Podaje mi broń. Nie jestem pewna, dlaczego to robi – czy się obawia, że mógłby jej użyć, ma się skonfrontować z Bordeaux

i boi się, że go zastrzeli? Może nie chce ujawniać się jako glina, może są jakieś powody prawne takiego postępowania, a on chce tylko uzyskać odpowiedzi – biorę więc broń i rzucam ją na tylne siedzenie. Gdy się odwracam, Bobby jest już w swoim radiowozie.

– Słyszałeś, co ci mówiłam? Ta teczka!... – wołam za nim.

Nie kończę jednak. Muszę pozwolić mu odjechać. Siedzę w samochodzie i mam wrażenie, że trwa to całe godziny. Myśli kotłują mi się w głowie i nagle uświadamiam sobie, że Memphis i ja nie zbliżyłyśmy się nawet do końca jej historii, naszej historii. Wychodząc rano, mijałam wzgórkę, a teraz, choć większość opowieści matki wciąż wydaje się jakąś niewiarygodną płataniną, jeden wątek zaczyna nabierać szczególnego znaczenia. Trzy groby, niedawno miałam je przed oczami i wiem, że w jednym z nich leży moja matka, Tain. Memphis jeszcze mi o tym nie opowiedziała.

Nie mam żadnych wątpliwości, że popełniła jeszcze jedną zbrodnię. I zażądam, aby mi powiedziała, dlaczego i w jaki sposób zabiła moją matkę.

\*

W domu chowam broń Bobby'ego w małej szafce nad lodówką. Memphis siedzi na tylnej werandzie, pali papierosa i obserwuje każdy mój ruch. Siadam obok niej.

Gdy milczenie staje się nie do zniesienia, pytam:

– Jak umarła moja matka? – Wytrzymuję jej spojrzenie. – To ona tam leży, prawda? – mówię, wskazując wzgórkę ruchem głowy.

Memphis ani mrugnie. Zaciąga się papierosem, by zyskać więcej czasu na znalezienie odpowiedzi.

– Ona nie mogłaby się tobą opiekować. Musisz mi uwierzyć.

Powstrzymuję łzy. Czuję się rozdarta; nie mogę nie wziąć pod uwagę tego, że Tain była ograniczona umysłowo, niezdolna do opiekania się mną, a Memphis sądziła, że musi ją w tym zastąpić.

– Wiem, że to jest dla ciebie trudne – mówi Memphis i wstaje. – Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać. – Rusza w stronę grobów, a ja w mgnieniu oka widzę przyszłość: żółta taśma policyjna, białe namioty, specjaliści w kombinezonach i ochraniaczach na buty badają miejsce przestępstwa, wywracając to miejsce do góry nogami. Idąc za Memphis, mijam dwa groby przy cyprysie, dochodzimy do trzeciego.

– Gdy przyszli – mówi – nie powinnam w ogóle otwierać drzwi.

# Rozdział czterdziesty pierwszy

## Memphis

Jesień oznaczała dla kobiety i dziewczynki koniec słonecznych dni. Całe lato spacerowały po farmie, zbierały kwiaty na wielkiej łące, bawiły się w chowanego między powiewającymi na wietrze prześcieradłami, karmiły kurczęta, łuskały kukurydzę na frontowej werandzie. Jeszcze zanim na dobre nastąpiła zima, słońce zachodziło wcześniej i wieczorami nie pozostawało nic innego, jak tylko pójść do łóżka. Dziewczynka nie lubiła tego i protestowała, a nawet jeśli usnęła, budziła się po kilku minutach.

Zapowiadano front atmosferyczny, niebo wydawało się ciemniejsze niż zwykle zimą; czegoś takiego kobieta jeszcze nie widziała. Nagły spadek temperatury sprowadził mroczne i gniewne chmury z domieszką błękitu. Jednocześnie przyszedł bardzo obfite opady, zbliżający się front wydawał się więc jeszcze groźniejszy.

Kobieta tłumaczyła dziewczynce, że nadchodzą długie dni samotności, że mróz zmusi je do siedzenia w domu i że będą się grzały przy kominku. „Będziemy po prostu czytały książki i grały w różne gry”, wyjaśniała, a dziecko się uśmiechało. Kobieta zastanawiała się, czy dziewczynka pamięta Tain i spędzony z nią czas, choć prawdopodobnie wtedy była zbyt mała, aby pamiętać cokolwiek. W niemowlęctwie Tain opiekowała się nią bardziej jak niania niż matka, a dziewczynka nigdy o nią nie zapytała. Przez krótki czas Quinn czuła się winna z powodu odesłania Tain, lecz wszelkie rozmyślenia nad tą sprawą prowadziły ją do

wniosku, że przecież jej nie porzuciła, zrobiła tylko to, co musiała, aby zapewnić dziecku bezpieczeństwo. Próbowwała całkowicie wyrzucić tę dziewczynę z pamięci, zwłaszcza że miała też inne problemy.

Codziennie działy się przerażające rzeczy. Widziała cień koło szopy. Cień utykającego, zgarbionego mężczyzny zmierzającego szybko w stronę szopy. Chciała do niego zawołać: „Nolanie!”; chciała, żeby się zatrzymał i porozmawiał z nią. Początkowo zamierzała powiedzieć mu to, co nie zostało powiedziane przez wszystkie lata ich małżeństwa – że traktował ją jak swoją własność, nigdy nie starał się sprawić, by była szczęśliwa, nigdy jej nie słuchał, zdradził ją, odebrał jej najlepszą przyjaciółkę. Chciała powiedzieć wszystko to, czego mu nie mówiła, gdy jeszcze żył. Ale kiedy jego duch zaczął pojawiać się codziennie, zmieniła zamiar. Zima była długa, a ją stopniowo zaczęło ogarniać coś w rodzaju poczucia winy; chciała prosić go o wybaczenie, dowiedzieć się, co jeszcze mogłaby zrobić, może po prostu okazać mu szacunek. Miała nadzieję, że jeśli to zrobi, ciemne chmury się rozproszą. Całą zimę dręczył ją paniczny strach i gdyby nie dziecko, pełne życia, radosne, kto wie, do czego by się posunęła.

Quinn używała balsamu, który dała jej Aella. Nakładała go oszczędnie, pamiętając ostrzeżenie, że jest trujący, ale jedynym powodem, dla którego nie wysmarowała się nim po prostu od stóp do głów, była obawa, że balsam ją zabije, a dziecko znajdzie ją martwą. Wyobraziła sobie tę scenę i wiedziała, że nigdy do tego nie dopuści. Wcierała odrobinę balsamu w wierzch stopy, w miejsca, gdzie wyraźnie było widać żyły. W rezultacie budziła się w środku nocy, z trudem łapiąc powietrze, a w głowie kłębiły jej się chaotyczne wizje. Nie rozumiała dlaczego, skoro był to sen, naprawdę czuła ucisk na piersiach, potem zobaczyła jednak ducha Nolana siedzącego po drugiej stronie łóżka. Wrócił, szykował się do zdjęcia butów i położenia na łóżku obok niej.

Wzdrygnęła się, nie ze strachu, ale z prostego powodu: duchy zwykle mają jakieś sprawy do żyjących. Ale za każdym razem, gdy do niego przemówiła, on zniknął, rozwiewał się na jej oczach, pękał jak bańki mydlane, które robiła dla dziecka z płynu do mycia naczyń i gliceryny. Quinn nie bała się duchów nawet jako dziecko, sama była duchem od tamtego poranka w lesie; wiedziała, że one nie robią żadnej krzywdy. Mimo to sprawy nie zostały dokończone i niezależnie od tego, jak bardzo się starała, nie potrafiła przestać o nich rozmyślać.

Za dnia nie widywała ducha Nolana, przynajmniej nie w domu. Dziewczynka miała już trzy lata, Quinn zaś nie mogła pozbyć się wrażenia, że życie w całkowitej izolacji na tej farmie nie może skończyć się dla niej dobrze. Codziennie, gdy zapadał zmrok, czuła się coraz gorzej. Ogień w kominku ledwie ogrzewał pokój; Quinn przynosiła herbatę rumiankową i pozwalała dziewczynce ogrzać dłonie na fajansowym kubku, a gdy zaczynała pić, herbata była już prawie zimna.

Żyła w ciągłym strachu. Wystarczyło, aby ktoś z miasta zaczął zadawać pytania, a wszyscy będą się domagali odpowiedzi. Może sprawy przybiorą inny obrót z nadejściem wiosny, ale po wiosnie przyjdzie lato, potem kolejna jesień i znowu zima.

Quinn była osamotniona, a dziewczynka zaczęła ją męczyć, domagała się wychodzenia na dwór, zabawy; dawno minęły dni, gdy stanowiła źródło czystego szczęścia i radości. Była uparta i bezczelna, a one wiodły monotonne, nudne życie, w głowie Quinn zaczęła więc kiełkować myśl, która w końcu stała się jasna jak słońce – nie ma możliwości, żeby spędziła resztę życia na tej farmie, w ukryciu, tylko po to, żeby ludzie nie zadawali żadnych pytań.

Nie wyobrażała sobie, że nic innego nie może jej czekać.

Dziecko ją męczyło, ale było jej darem z nieba, jej zbawieniem. Gdy Quinn obserwowała, jak mała uczyła się chodzić na niepewnych nóżkach, chwiała się i upadała, śmiała się i klaskała

w rączki, wszystkie mroki nagle się rozpraszały. Była takim szczęśliwym dzieckiem, zawsze radosnym i takim pięknym. Roześmiana biegła do niej z rozpostartymi ramionkami, chciała, by wziąć ją na ręce; takie chwile trzymały Quinn przy życiu, przypominały jej, że ludzie są z natury dobrzy i kochający. Gdyby nie to dziecko, ciężar wspomnień już dawno by ją przygniótł i zniszczył.

\*

Tego dnia przygotowywały obiad. Była piąta po południu, Quinn przeciągała, najdłużej jak się dało, każdą nawet najdrobniejszą czynność. Pozwoliła dziewczynce umyć ziemniaki w zlewie, nie poganiała jej przy obieraniu, ciągle sprawdzała, czy już są miękkie.

W chwili gdy pochylały się nad garnkiem w zlewie, wdychając parę, rozległo się pukanie do drzwi. Słysząc je było w całym domu. Quinn zapaliła światło na werandzie, rozsunęła zasłony i zobaczyła dwa stojące bez ruchu cienie.

Dopiero gdy wyższy z dwóch cieni podniósł rękę i jeszcze raz zastukał, dotarło do niej, że to nie duchy, tylko Tain z jakimś mężczyzną o niechlujnej brodzie i rozczochranych włosach. Quinn nie wiedziała, co robić, po prostu stała, jednak pukanie się powtórzyło, a ona zdawała sobie sprawę, że jest tylko kwestią czasu, kiedy tych dwoje zacznie się domagać, by ich wpuściła. Pomyślała o śrutówce Nolana, wciąż wiszącej na ścianie nad kominkiem. Nie miała pojęcia, czy strzelba jest naładowana i czy w ogóle działa. Poleciała dziewczynce iść do jej pokoju. Otwierała drzwi z myślą, że ta wizyta nie skończy się dobrze.

Tain była szczupła, jej brązowe oczy wyglądały jak czarne kamyki na śniegu. Twarz wydawała się bledsza, niż Quinn zapamiętała, głowa zbyt duża, by mogło ją utrzymać wątłe ciało.



Wkrótce po wejściu do domu mężczyzna, który przedstawił się jako Delbert, zażądał alkoholu.

– Piwo, jeżeli masz – rzucił z krzywym uśmiechem, odsłaniając rząd zepsutych zębów.

– Nie ma piwa. Nie piję. Ale mam gdzieś w domu butelkę whiskey – odparła Quinn. – Muszę jej poszukać.

– Poszukaj. – Delbert wszedł do pokoju dziennego i padł na kanapę, opierając nogi w brudnych butach na brzegu stołu.

– Masz też coś do jedzenia?! – krzyknął w stronę kuchni.

Quinn nie odpowiedziała, ale usłyszała, że Tain otwiera lodówkę za jej plecami, wyciągając wszystko, co wpadło jej w ręce, a nie wymagało gotowania, i wpychając sobie ser do ust.

Miała ochotę wyrwać dziewczynie jedzenie z rąk, powiedziała sobie jednak, że Tain nie miała pojęcia, jak długą podróż musiała odbyć z dzieckiem do sąsiedniego miasta, by kupić żywność. Pozwoliła Tain jeść, pamiętała bowiem, że nigdy nie udało jej się nauczyć tej dziewczyny jakichkolwiek manier.

– Jak leci? – zapytała i obserwowała Tain ściągającą buty; skarpetki ledwie trzymały się na jej kościstych piętach. Stopy miała pokryte pęcherzami, poobcierane i oblepione brudem.

– Potrzebuję pieniędzy – rzuciła Tain, nie patrząc na Quinn; pochylona, krzywiąc się, odrywała kawałki martwego naskórka.

– Należę ci trochę ciepłej wody, wymoczysz stopy. – Quinn podeszła do kuchenki, by nastawić czajnik. – Mam gdzieś jodynę. Nie chcesz, żeby się wywiązało zakażenie.

– Zostaniemy tu na noc, potem pójdziemy. Ale potrzebuję pieniędzy i...

– Pozwól po prostu sobie pomóc – przerwała jej Quinn i z gniewnym brzękiem postawiła czajnik na kuchence.

Tain nie zapytała nawet o dziecko, nie rozejrzała się dookoła, by zobaczyć, czy są jakieś ślady jego obecności. Quinn zastanawiała się, czy ona zupełnie zapomniała o córce, czy dziecko zwyczajnie jej nie obchodziło.

Gdy woda się zagrzała, Quinn wlała trochę mydła w płynie do plastikowej miednicy i przyglądała się Tain, krzywiącej się z bólu, gdy zanurzała stopy w mydlanej wodzie.

– Kim jest ten mężczyzna? – zapytała, robiąc kanapki.

– To mój chłopak. – Tain ugryzła solidny kęs.

Quinn położyła na talerzu jeszcze dwie kanapki i poszła do pokoju dziennego, gdzie Delbert jedną ręką dłubał w nosie, a drugą zmieniał kanały telewizyjne. Ona sama nigdy nie oglądała telewizji i nie obchodziło jej, że z powodu anteny powietrznej odbiór był kiepski.

– Znalazłaś już whiskey? – Delbert, który wydawał się bardzo niezadowolony z opieszałości pani domu, wyrwał jej z rąk talerz z kanapkami.

Quinn wzdrygnęła się, gdy dotknął jej rąk palcami. Był bardzo brudny, a ona będzie musiała wyczyścić kanapę po jego wyjściu. Nie dotknęłaby niczego, na czym siedział ten człowiek.

– Jeszcze nie – powiedziała i aż podskoczyła, bo z góry dało się słyszeć zawołanie. Miała nadzieję, że małej coś się tylko przyśniło. – Pójdę po tę whiskey. Zaraz wracam.

Quinn pobiegła szybko po schodach, bojąc się, że on pójdzie za nią, zdenerwuje i przerazi dziecko, a ono zacznie głośno płakać. Było jeszcze małe, nieprzyzwyczajone do obcych ludzi i robiło się niespokojne, gdy ktoś patrzył na nie zbyt długo. Nierozgarnięta Tain mogła chwycić dziewczynkę, podnieść ją z ciepłego łóżka i mocno przycisnąć do siebie, zbyt mocno – nigdy nie umiała miarkować porywów uczucia – a potem będą łzy, krzyki i lament. A jeśli oni po prostu zażądają, żeby Quinn spakowała walizkę małej? Ona była córką Tain, biologiczną, ale nikt nie odbierze Quinn tego dziecka. Nikt.

Dziewczynka szeroko otworzyła brązowe oczy.

– Mama – pisnęła, obejmując ją chudymi ramionkami.

Quinn przytulała ją, jak jej się wydawało, całe pięć minut, Pet w końcu zamknęła oczy, ale zaraz gwałtownie się obudziła.

– Jesteś tu, mamusiu? – Wyraźnie się bała, że gdy znów się obudzi, Quinn przy niej nie będzie.

W końcu usnęła, a Quinn poszła do swojej sypialni wziąć z szafy butelkę whiskey i parę skarpetek dla Tain. Rozglądała się gorączkowo za nożem lub jakimś ostrym przedmiotem, którego mogłaby użyć, gdyby sprawy źle się potoczyły, a ona nie zdążyłaby chwycić śrutówki. Nie znalazła jednak nic oprócz szklanej karafki, którą podarowała jej Sigrid, ale trudno byłoby uznać karafkę za broń. Nagle Quinn uświadomiła sobie, że był piątek, nie miała więc po co iść do banku aż do poniedziałku rano, a do tego czasu w żaden sposób nie mogła dać im pieniędzy. Kasjer poprosi ją, by poczekała kolejny dzień lub dwa, ponieważ tak dużej sumy w gotówce nie ma w kasie – Quinn po prostu wiedziała, że nieobliczalna Tain poprosi o bardzo wysoką kwotę – i wręcz nie mogła sobie wyobrazić, że spędza cały weekend albo nawet dłużej z nią i z tym okropnym brudasem zalegającym na kanapie. Tain nie była już tą dziewczyną, którą знаła; teraz prowadziła się z kryminalistą – Quinn wystarczyło na niego popatrzeć – i w ogóle nie pytała o dziecko, zażądała tylko jedzenia, picia i pieniędzy.

Wokół panowała zupełna cisza, Quinn zastanawiała się więc, co oni robią na dole; nie wiedziała, czy uda jej się dopaść do śrutówki, wycelować w nich i pociągnąć za spust. Czy zdołałaby tak po prostu wpaść do pokoju dziennego i zastrzelić tego kryminalistę, który trzyma zabłocone buciska na jej stole i dłubie w nosie na jej kanapie? A Tain? Co miałyby z nią zrobić? Nigdy nie oddałyby dziecka w tej dziewczynie, doskonale wiedząc, że mała nie byłaby z nią bezpieczna; więzy krwi nie miały tu znaczenia. A potem panika zaczęła powoli ustępować miejsca zimnej determinacji, twardemu postanowieniu, że nie można odpuścić. Gdyby zabrali jej dziecko, zostałyby zupełnie sama na tej farmie, zupełnie sama na świecie.

Na dole Quinn znalazła tego człowieka śpiącego na kanapie

i Tain wciąż moczącą nogi. Pogrzebała w dużej szufladzie w kuchennym stole, gdzie leżały różne drobiazgi, do których nie powinna dobrać się Pet, takie jak zapalki, nóż, pułapka na myszy. Aspiryna. Były tu również rzeczy, które przypominały jej Nolana; niektóre leżały w szufladzie od lat.

Tain trzymała w ręce kubek Nolana, przekręcała go, gładziła kciukiem, przyglądała mu się uważnie, jakby kryła się w nim odpowiedź na jakieś pytanie. Odstawiła kubek z hukiem.

– To jest kubek Nolana. On nigdy nie lubił, gdy ktoś inny z niego pił. Nolan byłby na ciebie wściekły.

Co za idiotka. Quinn chciała coś powiedzieć, krzyknąć: Śmiesz wspominać Nolana, a nie poświęciłaś ani jednej myśli swojej córce?! Co ty masz w głowie? Tain nie zrozumiała by jednak, zaczęłyby płakać, zdenerwowałyby się, a wtedy wtrąciłby się ten zbir z kanapy, zrobiłoby się zamieszanie, Pet by się obudziła i kto wie, co jeszcze mogłoby się zdarzyć. Quinn wzdrygała się na samo jego imię, Delbert. Ten typ mógłby wziąć dziecko na ręce, przytulać je, głaskać po pupie, wcale by się nie zdziwiła, gdyby dotykał małej w nieodpowiedni sposób; to byłoby do niego podobne, a Quinn zawsze miała wyczucie w takich sprawach. Mężczyźni mają niektóre rzeczy wyraźnie wypisane na twarzy, tak jak ci myśliwi z lasu. Delbert był ulepiony z tej samej gliny, widziała to w jego oczach. Był złym człowiekiem, bez dwóch zdań. A Pet nie mogła być bezpieczna z nikim oprócz niej. Nikt inny nie będzie jej dotykał.

– Dlaczego piłaś z jego kubka? – dopytywała się Tain tak natarczywie, że Quinn musiała siłą woli powstrzymać się od podniesienia głosu.

– Jakie to ma dla ciebie znaczenie? – Zaczynała tracić cierpliwość. – Jego nie obchodzi już ten cholerny kubek, prawda?

– Powiem wszystkim, co mu zrobiłaś.

No i proszę. Tak po prostu. Powiem wszystkim.

– A co mu zrobiłam?

– Zabiłaś go. Wiem o tym – oznajmiła Tain i sięgnęła po skarpetki, które Quinn kurczowo trzymała w ręce. – Pomóż mi je włożyć.

Co za tupet. Cała Tain. Quinn przyjęła ją pod swój dach, pielęgnowała w chorobie, kupiła jej całą garderobę, żywiła ją, kochała, a ta dziewczyna w zamian tylko zabawiała się z jej mężem. Mimo to Quinn współczuła Tain, oprócz niej kochała w życiu jedynie ojca, Benita i Nolana, choć jego tylko przez chwilę; traktowała Tain jak siostrę, której nigdy nie miała. Dała jej wszystko, rozważała nawet porzucenie męża, chciała pomóc w wychowaniu Pet.

Tain była jednak kretynką, po prostu durną kretynką, nie rozumiała nawet najprostszyc rzeczy. Teraz chciała pieniędzy, a czego zażąda następnym razem? Pet? Tej farmy? Ona się nie zmieni, nie przestanie żądać, a nie potrafi ogarnąć rozumem, że w końcu pieniądze się wyczerpią. Zupełnie jak Pet, która zobaczyła zdjęcie ciastka w kolorowym magazynie i chciała zjeść to ciastko, nie rozumiejąc, że najpierw trzeba je upiec; dziecinne umysły chcą dostać to, czego chcą, nie zastanawiając się, czy jest to możliwe, czy też nie. Taka właśnie była Tain, zawsze domagała się czegoś jak dziecko, ale teraz miała przy sobie tego oprycha z kanapy, a on nie będzie się bawił. Był wysoki, miał duże ręce i nie zmartwi się szczególnie, jeśli zrobi krzywdę jej lub Pet.

Quinn podała dziewczynie skarpetki.

– Znalazłam tę maść w szufladzie – powiedziała Tain.

Quinn rzuciła okiem. Magiczny balsam, który dała jej Aella, „klucz do innych światów”, jak go nazywała. Środek pozwalający zobaczyć ukochanych zmarłych. Utykający duch Nolana. „Tylko odrobinę. Nigdy na przeciętą skórę. Trujący”.

– Mam posmarować tym stopy? Pomoże? – zapytała Tain.

– Spróbuj. – Quinn patrzyła, jak Tain otwierała okrągły pojemnik i skrzywiła się, poczuwszy zapach balsamu.

Nie za dużo, to może cię zabić. Psianki to w naturze

najsilniejsza trucizna, powiedziała jej Aella.

Tain przyglądała się uważnie rysunkowi stopy na wieczku pojemnika. Quinn uklękła na podłodze i delikatnie wyjęła z wody stopy dziewczyny. Wytarła je do sucha, starając się nie trzeć zbyt mocno, a potem nałożyła grubą warstwę balsamu, pilnując, by całe stopy zostały nim pokryte.

– Piecze? – zapytała, pomagając Tain włożyć skarpetki. Trochę się bała, ale jednocześnie czuła ulgę, coś jej mówiło, żeby zostawiła ten balsam tam, gdzie go nałożyła. Umyła ręce, a potem pomogła Tain wstać i podtrzymała ją za łokieć.

– Gdzie jest Delbert? – Tain rozglądała się dookoła, jakby bez tego mężczyzny czuła się zagubiona.

– Na kanapie.

– Zostanę z nim. Zaprowadź mnie do niego.

Quinn zaprowadziła ją do pokoju dziennego, gdzie Delbert siedział, śpiąc z głową odchyloną do tyłu, po brodzie spływała mu ślina. Butelka whiskey na stole była do połowy opróżniona. Tain klapnęła na kanapę, Delbert na chwilę otworzył oczy, coś wymamrotał i znów zapadł w pijacki sen. Dziewczyna ułożyła się obok niego, z nogami na poduszce kanapy.

– A więc do zobaczenia jutro – rzuciła Quinn, ale została w pokoju, aby zobaczyć, czy zajdą jakieś zmiany w zachowaniu dziewczyny. Podejrzewała, że z upływem lat balsam stracił swoją moc. Co gorsza, zdawała sobie sprawę, że to wszystko nie ma sensu. Patrząc na strzelbę wiszącą na ścianie nad kominkiem, wiedziała, że jest ona stara i zardzewiała, od lat nieczyszczona. Nie miała pojęcia, gdzie są naboje i czy w ogóle są jakieś w domu, wiedziała też, że nie byłaby w stanie zastrzelić tych dwojga, mogła jednak uciec. Musiała się spakować. Zanim się obudzą, ona i dziecko będą już daleko.

Quinn poszła na górę, wyciągnęła walizkę, spakowała wszystkie ubrania swoje i Pet – nie miały ich dużo – książki, zabawki i wszystkie odłożone pieniądze. Była to dość duża suma,

a reszta pieniędzy ze spadku po ojcu leżała na rachunku w banku; co rok opłacano z nich podatki od nieruchomości, ale wystarczą jeszcze na długie lata. Nikt nie będzie niczego podejrzewał, jeśli ona nigdy nie wróci na farmę – ludzie mogą pomyśleć, że dołączyła do męża, który znalazł pracę gdzieś poza miastem, choćby na polu naftowym na wybrzeżu. Na razie będą bezpieczne.

Delbert i Tain spali, a tymczasem zaczął padać śnieg – naprawdę szczęśliwy traf, ponieważ śnieg był w Teksasie rzadkością, nie pamiętała nawet, kiedy ostatni raz go widziała. Była to tylko lekka zadymka, śnieg topniał, ledwie dotknąwszy ziemi, lecz gdy Quinn niosła do samochodu owiniętą w koce Pet, wciąż rozspaną i dezorientowaną, dziewczynka obudziła się i zaczęła się dopytywać, dlaczego wstały w środku nocy. Gdy tylko zobaczyła śnieg, podekscytowana wykopała się spod koców. Chciała go poczuć, nie wiedziała, co to jest, i wciąż domagała się odpowiedzi. Quinn udało się ją uspokoić i zanim ułożyła małą na tylnym siedzeniu, ona już spała i przy odrobinie szczęścia następnego dnia niczego nie będzie pamiętała. A Quinn wymyśli jakąś historię, którą opowie jej w drodze.

Właśnie w chwili, gdy Quinn zamykała drzwi furgonetki, z domu dobiegł jakiś hałas i brzęk tłuczonego szkła. Chciała wsiąść do wozu i odjechać, nie obchodzili jej Tain ani ten żul, musiała jednak wziąć jeszcze koc, krakersy ze spiżarni dla Pet i jej ulubiony magazyn do oglądania. Poszła więc szybko do domu, lecz w chwili, gdy przekraczała próg, już wiedziała, że dzieje się coś złego.

Zapaliła światło, w pokoju dziennym zrobiło się jasno. Na kanapie leżała Tain, wymachiwała rękoma. Delbert stał nad nią, chwiejąc się w przód i w tył, jak ktoś postrzelony z pistoletu ze środkiem uspokajającym. Tain nie mogła złapać powietrza, ciężko dyszała. Quinn patrzyła przerażona, jak dziewczyna szarpie na sobie ubranie, jakby ją dusiło.

– Co ci jest? Co ci jest?! – krzyczał Delbert, sam ledwie mogąc złapać dech. – Dziecinko, dziecinko, dziecinko – powtarzał bez końca niczym zepsuta płyta.

Dobrze mu tak, pomyślała Quinn, marnuje życie, ciągnąc za sobą dziewczynę taką jak Tain, namawia ją do robienia rzeczy, których nigdy by nie zrobiła, gdyby zostawiono ją samej sobie. Patrzyła na Delberta, który padł na kolana i potrząsał Tain, jakby dręczył ją koszmar nocny, a on musiał ją tylko obudzić i wszystko skończy się dobrze. Podeszła bliżej i zobaczyła wymioty na dywanie; zrobiło jej się niedobrze, w głowie zaczęło jej wirować. Miała wrażenie, że pokój zamienił się w wielką karuzelę, początkowo kręcącą się wolno, potem nabierającą rozpędu. Delbert odwrócił się i spojrzał na Quinn, jego twarz lśniła od potu, a potem Quinn patrzyła, jak zbierał rzeczy ze stołu, fajki, folię, zapalniczki i różne inne przedmioty, których nie rozpoznawała.

Włożył buty i ruszył do drzwi, niepewnym krokiem wyminął Quinn, po czym zmienił zamiar.

– Co jej jest? – zapytał drżącym głosem.

Quinn miała ochotę uderzyć go w twarz, co oznaczało jednak, że musiałaby go dotknąć, a tego nie zamierzała zrobić.

– Skąd mam wiedzieć? – Odwróciła głowę, aby nie czuć smrodu tego człowieka, i spojrzała w stronę kanapy. Tain była szara, niemal woskowa na twarzy, Quinn wydawało się, że życie z niej uszło. Balsam zrobił swoje. Powinna była odjechać furgonetką, nie zaś wracać na tę zapomnianą przez Boga i ludzi farmę. Mogłaby już być dziesiątki kilometrów stąd, a tymczasem stała tu z tym prymitywnym drabem i musiała wymyślić, co z nim począć. – Co ty jej zrobiłeś?

– Obudziłem się i ona już taka była. Nie wiem.

– Musiałeś coś zrobić. Spójrz na nią. – Ciało Tain wydawało się rozluźnione, lecz szeroko otwarte oczy się zapadły, a na ustach widać było pienistą ślinę.



Delbert chwycił Quinn za kołnierz płaszcza i zacisnął go wokół jej szyi.

– Wyjdz. Po prostu wyjdz. – Tylko tyle zdołała wykrztusić. – Zapomnij, że kiedykolwiek tu byłeś.

– Daj mi trochę pieniędzy.

– Nic ci nie dam.

– Zawiadomię policję. Widziałem, jak pakowałaś rzeczy do furgonetki. Coś przede mną ukrywasz. Nie jestem głupi.

– Daj mi kilka dni, zorganizuję pieniądze dla ciebie. Ale musisz już iść – rzuciła Quinn. Potrzebowała tylko trochę czasu, żeby stąd uciec.

Puścił jej płaszcz, a ona się zachwiała. Bała się, że mężczyzna zażąda kluczyków do furgonetki i odjedzie, nie zauważywszy Pet na tylnym siedzeniu, albo wyrzuci dziecko z samochodu. Zaczęła krzyczeć, głośno, przenikliwie, a Delbert ruszył do frontowych drzwi.

– Wrócę, a ty lepiej przygotuj dla mnie pieniądze albo zawiadomię policję.

Quinn obserwowała, jak biegł, jego brudne, tłuste włosy prawie się nie rozwiewały, poruszał się niepewnie jak Nolan, a ona miała wrażenie, że ten zadyszany zbir zupełnie straci oddech, nie martwiło jej to jednak. Delbert, nie spojrzawszy nawet na furgonetkę, pobiegł w stronę łąki i rosnącego za nią lasu. On tu wróci, ale ich już dawno nie będzie. Pochłonie go świat, w którym żył, zanim spotkał Tain, i już tam zostanie; zginie zabity w bójce na noże, skończy w więzieniu albo ktoś go zatłucze w jakimś ciemnym zaułku.

Quinn zaniósła Pet z powrotem na górę i położyła dziewczynkę do łóżka, zostawiła jednak jej rzeczy w samochodzie. Wiedziała, że ziemia nie jest zamarznięta, nie zdążyła jeszcze stwardnieć, a ona miała przecież doświadczenie w kopaniu grobów.

Zabrało jej to kilka godzin, musiała zrobić przerwę i zająć się Pet, wykąpać ją, dać jej śniadanie, a gdy dziewczynka się

zdrzemnęła, wróciła do kopania. Pod cyprysem wyrósł kolejny, trzeci wzgórek. Quinn zastanawiała się, czy ktoś, kto będzie tędy przechodził, może je zauważyć, liczyła jednak, że w miarę upływu lat ziemia osiadzie, wyrówna się, i nikt się nie zorientuje, że są tu groby.

Przemknęła jej przez głowę myśl, że to bardzo dziwne, wręcz niezwykle, iż kobieta musiała pogrzebać trzy osoby na farmie, pod drzewem, i trochę się tym zmartwiła – przypomniała sobie powiedzenie „zostawiać za sobą śmierć” – usłyszała jednak, że Pet ją woła, odwróciła się więc i szybko poszła do domu, nie tracąc już ani sekundy na rozmyślania o śmierci.

Następnego rana wyjechały. Quinn zastanawiała się nad tym – Delbert nie należał do osób godnych zaufania, jej zaś pozostałoby tylko oglądać się przez ramię i podskakiwać na każde pukanie do drzwi; nie dałaby rady żyć w ten sposób. Znajdą gdzieś nowy dom. Będzie działała powoli, ostrożnie. Na początek inny stan, a zanim ktoś się zorientuje, będą mieszkały w przyjemnym domu, może w samej Kalifornii.

Pet się obudziła i zaczęła płakać za swoją zabawką, lawendowym króliczkiem. Quinn nie pamiętała, czy zostawiły go w domu, czy wpadł w błoto gdzieś na farmie. Zatrzymała się i przeszukała bagażnik, każdą walizkę, każdą torbę – Pet przez cały czas krzyczała – aż w końcu znalazła zabawkę pod tylnym siedzeniem. I dopiero gdy Pet zasnęła, z króliczkiem kurczowo przyciśniętym do piersi, Quinn się rozpłakała. Tylko na chwilę, zaraz potem zaczęła trzeźwo myśleć o tym, w co się wpakowała.

Ale nie chciała zbyt szybko się zapuszczać w mroczne regiony. Jak trudne może być nowe życie? W porównaniu z tym, co przeżyła do tej pory, przyszłość wydawała się niewinną igraszką.

# Rozdział czterdziesty drugi

## Dahlia

Zatrzymuję się na parkingu policyjnym w Aurorze. Dzwoniłam do Bobby'ego dziesiątki razy, ale odzywała się tylko poczta głosowa.

W dusznym wnętrzu samochodu, w środku miasta, w którym nikogo nie obchodzę, czuję się jak duch. Ostatnich kilka tygodni, to, czego się dowiedziałam, obróciło moje życie wniwecz. Czas będzie płynął jak zawsze, za kilka miesięcy drzewa na tym parkingu zapłoną czerwienią, a z przyjściem jesieni i spadkiem temperatury będą wiedziały, że pora zrzucić liście i ujawnić się, pokazać, czym są naprawdę.

Oto, co zdarzy się za chwilę: pójdę na policję i wydam moją matkę jako morderczynię. Dokładnie powtórzę policjantom historię, którą opowiedziała mi Memphis. Nie zapomniałam żadnego szczegółu. Będę miała pewien problem z imionami – Quinn, Tain, Memphis, którą nazywałam swoją matką – ale jakoś sobie z tym poradzę. Nie chodzi o doniesienie na Memphis, tylko o fakt, że zaledwie kilkaset metrów od domu, w którym mieszkałam ostatnich kilka tygodni, są pogrzebane trzy ciała.

Mówię sobie, że powinnam wysiąść z samochodu i wejść do budynku, lecz moja ręka nie sięga do drzwi, a nogi nawet nie drgną. Na tylnym siedzeniu leży moja długo niewidziana encyklopedia. Memphis powinna była oddać mi ją dawno temu. Dlaczego ją zatrzymała? To dla mnie kolejny problem, te jej niepotrzebne kłamstwa, zbyteczne sekrety, gierki.

Opuszczam szybę i patrzę w lusterko po stronie kierowcy.

Dopiero gdy Memphis wyznała, że nie jest moją biologiczną matką, zaczęłam naprawdę uważnie przyglądać się swojej twarzy. Zawsze myślałam, że mam po niej szpiczasty nos, tylko trochę ładniejszy; byliśmy tego samego wzrostu, tak samo szczupłe. Jestem zaskoczona brakiem emocji na swojej twarzy. W środku kłębi ich się bardzo dużo, zawsze tak było, ale nauczyłam się nad nimi panować. Wściekłość, frustracja i wszystkie inne splątały się w coś, czego nie umiem nazwać. Lusterko pokazuje kobietę taką, jaką widzą inni, nie zaś osobę, którą naprawdę jestem. Nie ujawnia, jak bardzo jestem wyciszona, nie mówi, że nie podnoszę głosu, nigdy nie tracę panowania nad sobą, nawet nie gestykuluję. Boję się, jak daleko zajdę. Co mogłabym zrobić.

Tain miała tupet. Czy tak właśnie myślała o niej Memphis? Ja myślę o Tain jako o prostej, ograniczonej dziewczynie. Memphis utrzymywała, że nie była ona w stanie mnie wychowywać, ale nie wiem, czy mogę jej ufać, jeśli chodzi o Tain. Chciałabym, aby nie miało to znaczenia, chcę wierzyć, że Memphis zrobiła to wszystko dla mnie i mimo że próbuję szukać jakichś usprawiedliwień jej zachowania, wciąż pozostaje morderczynią.

Czy w tej historii kryje się coś więcej? Czy powinnam wrócić, wysprzątać szopę, wywrócić dom do góry nogami? Zakasać rękawy i zabrać się do tego, zobaczyć, co wyniknie z dokładnego przejrzania tych gablotek, pokrytej kurzem szopy, ciemnych kątów stodoły. Jest tylko jeden sposób, by się przekonać, czy Memphis mówiła prawdę – ekshumować te ciała. Oznacza to również wsadzenie jej do więzienia na resztę życia. Ilekroć myślę, że wiem, co zrobić, odczekuję kilka minut i wszystko znów przedstawia się inaczej.

Jedno wiem na pewno – wybierając ukrywanie się, Memphis wybrała jednocześnie moją izolację, nędzę, w której żyłyśmy. Ciągły strach, kombinowanie i ucieczki. Decydując się na coś, chcąc nie chcąc, decydujemy się też na coś innego. Ona

postanowiła uciekać, uciekać wraz ze mną. Jej zbrodnie stały się moimi. Ja jestem największą zbrodnią ze wszystkich. Pozwoliłam, aby ta prawda dotarła do mojej świadomości: kobieta, która wychowywała mnie w nędzy, zabiła moich rodziców.

Nagle przypominam sobie pierwszy dzień w szkole, w ósmej klasie szkoły podstawowej w Aurorze. Byłam taka zagubiona; nigdy przedtem nie chodziłam do szkoły, nie siedziałam w klasie w tłumie dzieci. Te długie korytarze, te dzieciaki, potrącanie się, hałas, zapachy, galop, żeby zdążyć na lekcję. Cały czas byłam zdenerwowana. Bobby to zauważył. Nie miałam problemów z żadnym przedmiotem – od kiedy pamiętam, spędzałam całe dni, czytając i ucząc się, byłam lepsza od innych dzieci z prawie wszystkich przedmiotów z wyjątkiem matematyki – ale on dawał mi rady, które bardzo mi pomogły. Nie tłumaczył, nie rozwodził się, mówił po prostu: „Nie przejmuj się i tyle”. Nie radziłam sobie z koleżankami, nie rozumiałam tych wszystkich zawilości dziewczęcych przyjaźni. Bobby na to: „Jeśli trudno ci się z nią zaprzyjaźnić, nie zawracaj sobie nią głowy. Nie warto”. Tego właśnie potrzebuję teraz. Potrzebuję Bobby’ego, żeby powiedział mi, co to wszystko znaczy.

Sięgam na tylne siedzenie i przekładam encyklopedię na kolana. Jest ciężka i nieporęczna, nie umiem sobie wyobrazić, jak dawałam radę ciągnąć ją wszędzie ze sobą już jako dziewięciolatka. Książka wydaje się znajoma i zarazem nieznajoma, to swego rodzaju relikwia. Brązowa okładka wygląda jak płócienna, lecz jest zrobiona z mocnego kartonu, tytuł wytłoczony zielonymi literami brzmi: *The Columbia Encyclopedia*, a nad nim korona z trzema krzyżami. Niewielkie zakładki wskazują litery alfabetu. Otwieram na przypadkowej stronie. Litery są małe i muszę mrużyć oczy, aby je odczytać.

Strony otwierają się łatwo, jakby ktoś pozakładał je specjalnie dla mnie. Niektóre hasła są podkreślone, co może świadczyć, że

je czytałam, na wielu stronach widać odręczne komentarze. Nie pamiętam, dlaczego robiłam te notatki ani co one znaczą – przy hasle „dywan” napisałam na przykład rozchwianymi literami: „może być czarodziejski i latać”. Przerzucam strony, raz po raz wpadają mi w oko pojedyncze hasła. Niektóre wydają się znajome, lecz jest to bardziej wspomnienie wspomnienia niż prawdziwa pamięć.

Najgorsze ze wszystkiego jest to, że kocham Memphis. Zawsze ją kochałam. Była jedyną stałą między Teksasem a Nowym Meksykiem, Vegas a Kalifornią. Tylko my dwie. Bardzo chcę pójść na komisariat policji i powiedzieć, co zrobiła, a jednocześnie równie mocno pragnę ją chronić. Muszę porozmawiać o tym z Bobbym; on będzie wiedział, co robić. Wybieram jego numer i znów odzywa się poczta głosowa.

Za moimi plecami zaczyna się jakieś zamieszanie, otwierają się drzwi wielu samochodów i z trzaskiem się zamykają. Na parking wjeżdżają furgonetki z antenami, także satelitarnymi. Ludzie krzyczą, biegają, a potem cały tłum z mikrofonami i kamerami rozkłada sprzęt na schodach do komisariatu. Obok mojego samochodu zatrzymuje się biała furgonetka z kilkoma antenami satelitarnymi na dachu.

Opuszczam szyby.

– Hej, co tu się dzieje? – pytam pierwszą osobę, która wysiada z furgonetki.

– Przygotowujemy się do konferencji prasowej – wyjaśnia mężczyzna, kładąc na ramieniu kamerę.

– Na jaki temat?

– Tej kobiety z lasu – rzuca mężczyzna i rusza biegiem w stronę komisariatu. Odwraca się i dodaje: – Została zidentyfikowana.

\*

– Dzień dobry. Jessica Valdez z KDPN – przedstawia się reporterka. – Wkrótce policja przekaże nam najświeższe informacje o kobiecie znalezionej w lesie przez joggerkę. Wiadomo już, że się wybudziła i może mówić.

Stoję z boku, za kilkoma rzędami ludzi. Napięcie jest wyraźnie wyczuwalne, a ja nie potrafię zebrać myśli. Wiem tylko, że moja Jane się obudziła.

– Dowiedzieliśmy się, że tożsamość kobiety, znalezionej kilka tygodni temu przez joggerkę w okolicznych lasach, jest już znana. Niczego więcej nam nie powiedziano. Gdy tylko zacznie się konferencja prasowa, przerwiemy program i będziemy nadawać na żywo. Komendant policji Walter Goode poda nam najnowsze informacje dotyczące sprawy, budzącej w ostatnich tygodniach żywe zainteresowanie mieszkańców Aurory. Jessica Valdez z telewizji KDPN w Aurorze.

Kręci mi się w głowie. Nareszcie to wszystko zmierza do końca. Nie będzie już więcej zastanawiania się, drażenia tej kwestii. Widać już koniec.

Rozsuwają się szklane drzwi, wychodzi dwóch umundurowanych policjantów, komendant Walter Goode, tęgi mężczyzna z czupryną siwych włosów, oraz dwaj mężczyźni w garniturach. Bez powitań, nikogo nie przedstawiając, Walter Goode od razu przechodzi do rzeczy.

– Z przyjemnością informujemy, że młoda kobieta znaleziona w lesie przez joggerkę odzyskała świadomość. Wykonane w szpitalu badania wykazały niezbicie, że padła ona ofiarą napaści i doznała poważnych obrażeń. W odpowiednim czasie podane zostaną informacje o stanie jej zdrowia. Lekarze przedstawiają je jeszcze dziś.

Kobieta wybudziła się i może mówić. Nazywa się Kayla Hoffman. Pochodzi z Hot Springs w Arkansas i jest studentką drugiego roku Trinity Methodist University w Dallas. Uczelnia nie miała świadomości, że kobieta nie uczęszcza na wykłady, dlatego

nie zgłoszono zaginięcia. – Komendant Goode wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł czoło. Rozłożył kartkę i obniżył mikrofon. – Kayla Hoffman przejeżdżała przez Aurorę i spędziła noc w miejscowym motelu. Została uprowadzona, a podejrzany jest w areszcie. Trwa dochodzenie, w tej chwili nie będę więc odpowiadał na żadne pytania.

Wśród dziennikarzy podniosła się wrzawa. „Jak długo ona była... Czy może pan przeliterować... W którym motelu... Gdzie jest jej rodzina... Czy będzie wydane oświadczenie... Czy pytano ją o... Czy uczelnia wydała oświadczenie...” Pytania nie skłaniają komendanta do odpowiedzi, Walter Goode się wycofuje, ignorując dziennikarzy.

Nie jestem pewna własnych uczuć, ale dominuje ogromna ulga. Chciałam przecież wiedzieć, jak się skończy całe to szaleństwo. Teraz wiem, kim ona jest, Jane ma nazwisko, a podejrzanego zatrzymano.

Przeskakując po dwa schodki naraz, wbiegam na komendę. Mijam recepcję, nie zważając na pytania policjanta, i ruszam korytarzem. Po prawej stronie, o kilka drzwi od recepcji, w pokoju z oszklonym prześwitem widzę Bobby’ego odpinającego swą odznakę. Po drugiej stronie pokoju stoi Bordeaux z rękami na plecach. W małym pomieszczeniu tłoczy się jeszcze dwoje policjantów i trzech detektywów w cywilnych ubraniach. Patrę przez szybę, próbując zrozumieć, co się dzieje; Bordeaux ma czerwoną, pokrytą plamami twarz i przekrwione oczy. Jakbym oglądała niemy film, bohaterowie poruszają ustami, ale nic nie słychać. Ostatnie, co widzę, zanim stanie przede mną policjantka, to Bordeaux, który krzyżuje nadgarstki, jakby mówił, żeby go skuto. Śmieje się, odrzucając głowę do tyłu.

– Nie wolno pani tu przebywać – mówi kobieta, staje między mną a szybą i dotyka mojego ramienia. Cofam się, potem się odwracam i biegnę do drzwi.



# Rozdział czterdziesty trzeci

## Memphis

Przestawiam krzesło na werandzie na prawo – to najlepsze miejsce, mogę stamtąd widzieć kuchnię – i obserwuję Dahlię przez okno. Gdyby trzydzieści lat temu zapytano mnie, jakie życie sobie dla niej wyobrażam, byłoby to zupełnie inne życie. Dahlia porusza się powoli, jest pogrążona w myślach, nieufnie nastawiona do rzeczywistości, nawet do tego, co oczywiste. Próbuje się zachowywać tak, jakby nic, co powiedziałam, jej nie dotyczyło, widzę jednak, że miota nią furia. Trzyma karty przy orderach, nigdy ich nie odkrywa, nigdy nie pozwala sobie na całkowitą szczerość. Opowiedziałam jej wszystko, w najdrobniejszych szczegółach, jednak gdy zadaję sobie pytanie, co dobrego z tego wynikło, nie znajduję odpowiedzi. Prawda jej nie wyzwoliła – przywołała tylko przeszłość i sprawy, o których Dahlia zdążyła zapomnieć. Życie, które wiodłyśmy, sprawiło, że ominęło ją wiele rzeczy. To, co zrobiłam, zbrukało czystą kartę, jaką było to dziecko, i teraz jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

Podczas długich godzin przed wschodem słońca, gdy słabe światło brzasku przechodzi stopniowo w jaskrawe i tworzy ruchome cienie na ścianach, doszłam do wniosku, że zostało mi tylko jedno: muszę to jakoś naprawić.

Muszę pozwolić jej zacząć wszystko od początku, jakby nic strasznego się nie wydarzyło, jakbym nie zabiła jej ojca i nie otruła matki. Postąpiłam słusznie, zatrzymując dziecko. Ale żądałam czegoś, czego nie dostaje się na życzenie, dlatego teraz muszę za wszystko zapłacić. Pozwolenie Dahlii na nowy początek

oznacza oddanie jej tego, co jej się słusznie należy, przede wszystkim farmy, farmy jej ojca. To miejsce należy do niej, podobnie jak pieniądze ze spadku po moim ojcu. A jej życie... Ona musi mieć własne życie, lecz dopóki ja tu jestem, nic się nie zmieni. Dahlia zawsze będzie rozdarta uczuciami, z którymi nie zdoła dojść do ładu, nigdy nie uda jej się spojrzeć na sprawy z właściwej perspektywy.

Z tego najlepszego miejsca, które znalazłam sobie na werandzie, obserwuję, co się dzieje w kuchni. Patrzę, jak Dahlia chowa broń Bobby'ego w szafce nad lodówką, gdzie trzymam puszkę z pieniędzmi z reszty wydawanej mi przy zakupach spożywczych. Gdy Dahlia wychodzi, zabieram broń i razem z mocnym sznurem znalezionym w stodole wkładam do płóciennej torby. Wychodzę z domu tylnymi drzwiami, nie odwracając się za siebie. Aella powiedziała mi kiedyś, że jeśli chcemy zostawić coś za sobą, naprawdę zostawić, trzeba odejść i nie pozwolić, by zatrzymał nas odgłos kroków ani ujadanie ducha psa, ani trzepot prześcieradeł na wietrze.

Jestem zmęczona, bardzo zmęczona. Każdy dzień ciągnie się jak rok. Uważnie przyglądam się ziemi przed sobą; nie mogę się potknąć ani upaść. Skręcona kostka zepsułaby wszystko. Zbieram się w sobie, zmuszam nogi, by stąpały lekko i żwawo. Sił dodaje mi żółta sukienka, którą przed laty podarował mi Nolan. Myślę o Benicie i robi mi się ciężko na sercu. Gdy wróciłam do Aurory, był szeryfem Ramónem de la Vega, miał żonę i syna. Jego żona ciężko chorowała. Był dobrym człowiekiem. Powiedział mi później, że po gwałcie wuj i reszta rodziny zmusili go do wyjazdu z miasta – bali się, że zostanie uznany za winnego, i wysłali go do Meksyku. W końcu wrócił i zamieszkał z rodziną w Aurorze. Wytropiłam go tam, gdy miałam już dość Kalifornii.

Po latach spędzonych na szosach, na uciekaniu z jednego miejsca do drugiego, miałam dość wszystkiego. Zadzwoiłam do Benita, powiedziałam mu, że wracam do Aurory i błagałam, aby

pomógł mi zacząć nowe życie. Mnie i Pet. Jego żona umierała na raka, a on ją kochał i nie był już tym samym chłopcem, którego znałam lata wcześniej; teraz najważniejsza była dla niego rodzina. Pomógł mi zmienić nazwisko i od tamtego dnia nazywałyśmy się Memphis i Dahlia Waller. Wystarczyło wypełnić jeden formularz, aby zapisać Dahlię do szkoły; nikt nie zadawał pytań, gdy szeryf stał koło mnie, podsuwając dokument do zaakceptowania. Nikt nie pytał, nikt nie kojarzył nas z farmą Creel Hollow. Byłyśmy po prostu matką i córką, które pragnęły osiedlić się w małym mieście.

Po wyjeździe Dahlii żyłam spokojnie, bez wstrząsów. A potem, ni z tego, ni z owego, ona wróciła do domu. Znow musiałam być czujna, upewniać się, że nikt się niczego o nas nie dowie. Stare kobiety nie zwracają na siebie uwagi, ale obecność Dahlii zawsze wytrącała mnie z poczucia bezpieczeństwa. Kto by się spodziewał, że biegając po lesie, znajdzie tę dziewczynę, a na nas zwrócą się oczy całego miasta? To była ta cena, którą, jak mnie uprzedzano, będę musiała kiedyś zapłacić. Potem Dahlia zaczęła zadawać pytania i domagać się odpowiedzi. Zawsze była i wciąż jest moim fatum i wreszcie to fatum, zmęczone długim wyczekiwaniem, wydało na mnie wyrok.

Mleko się rozlało i tyle.

Gdy docieram na skraj lasu, zaczynam się wahać. Wokół panuje mrok i choć powtarzam sobie, że wszystko złe już się wydarzyło i nie ma potrzeby się bać, narasta we mnie panika. Muszę przyznać, że może nie będę w stanie zrobić tego, po co tu przyszedłam. Nie chodzi o to, że brak mi tchu, zemdleję, że jestem za słaba, ale o to, że nie doceniłam mocy tego lasu.

Wchodzę między drzewa, robi się zimno, zaczynam dygotać w tej sukience bez rękawów. Powietrze jest gęste od kurzu i zapachu butwiejących liści. Potykam się, tracę równowagę i upadam na kolana. Lasy Aurory przywołały wspomnienie tamtych lasów Beaumont sprzed lat, a ja znow jestem w lesie

z myśliwymi.

Ciii... Rób, co ci mówię.

Brodaty, Kościste Palce, Pyszczaty i Koński Ogon tak po prostu się pojawiają i stoją wokół mnie, rzucając robaki na moje nagie krwawiące ciało. Chcę, żeby zniknęli, mówię sobie, że to jest inne miejsce i inny czas, a lasy nie mają pamięci. Że nic mi nie grozi i nie mam powodu do niepokoju.

Wstaję i ruszam przed siebie w nadziei, że znajdę to, czego szukam. Nie ma mapy ani żadnych drogowskazów, jest tylko wąska ścieżka pokryta splątanymi korzeniami, ale wystarczy dostosować do nich długość kroków. Panująca wokół cisza działa mi na nerwy, słyszę tylko swój świszczący oddech.

Nie krzycz. Ani słowa.

Wypieram myśli, lecz pustkę natychmiast wypełnia panika; za każdym razem, gdy nastąpię na gałązkę lub potknę się o kamień, zamieram z przerażenia. Boję się, że jest już za późno, zmrok zapada szybko i bez litości. Czarne pnie na ciemnym tle przybierają kształt myśliwych z wyciągniętymi strzelbami.

Ścieżka przede mną rozwidła się, skręcam w lewo. Widzę potężny dąb i wiem, że znalazłam to, czego szukałam. Przyglądam się grubemu, czarnemu pniowi w środku najciemniejszej części lasu, gdzie cieni jest aż nadto. Gałęzie są mocno splecione, nawet taka stara kobieta jak ja łatwo może się po nich wspinać prawie jak po schodach. Między gęstymi liśćmi jest dość miejsca, by umocować i przywiązać sznur. Przyciskam palce do szorstkiej kory i wdycham zapach lasu.

Zarzucam torbę z bronią i sznur na ramię i zaczynam się wspinać. Z każdym centymetrem nabieram odwagi, moja determinacja rośnie. Pnę się w rytmie: stopa, ręka, stopa, potem ręka, stopa, stopa, i zanim się zorientuję, jestem wysoko nad ziemią. Znajduję gałąź, na której stojąc, mogę oprzeć się o pień, siadam, biorę sznur i zaczynam przywiązywać się do drzewa. Szybkimi ruchami, aby nie stracić odwagi. Na początek stopy,

potem uda, biodra, talia i piersi. Ostatnia jest lewa ręka. Owijam sznur wokół rączek torby i robię ostatni węzeł, przywiązując broń do ręki. Mocno.

Te słoiki w szopie Nolana, pełne świerszczy – tych, które umierały na łożu z gipsu z wykręconymi do góry nogami i czułkami skierowanymi donikąd – jakiś czas temu uświadomiły mi, że całe swoje życie spędziłam w takim słoiku. Duch, którego stworzyłam, był na zewnątrz, udając, że żyje; ta druga, prawdziwa ja, była uwięziona.

Chcesz tego. Błagaj. Błagaj o to.

Przeszłość to więcej niż wspomnienie. Nie ma od niej ucieczki, ale teraz będę bliżej wolności niż kiedykolwiek.

Zapach lasu robi się słabszy, za to wiatr mocniej szeleści liśćmi. Myśl, że mój ostatni oddech zostanie poniesiony przez ten wiatr, jest naprawdę wspaniała.

Odwracam broń w stronę serca i pociągam spust. Jestem świadoma tego, że wydaję ostatni oddech, w uszach mi dzwoni.

Pachnie śmiercią. Las ugina się pod tym zapachem.

Potem wszystko robi się czarne, a ja radośnie zapadam się w ciemność.

# Rozdział czterdziesty czwarty

## Dahlia

James Earl Bordeaux junior przyznał się do winy. Bobby, oddawszy mi swoją broń, poszedł do Lark, żeby się z nim rozmówić. Jednocześnie dostał wiadomość telefoniczną, że Jane Doe wybudziła się ze śpiączki. Bobby okłamał Bordeaux, powiedział mu, że Jane go zidentyfikowała, zabrał go na komendę, a w czasie przesłuchania Bordeaux się przyznał.

Kayla Hoffman doświadczyła strasznych rzeczy, ale przeżyła. Historia w końcu złożyła się w całość, kawałek po kawałku. Kayla opuściła kampus uniwersytecki, powiedziawszy przyjaciołom, że wróci za kilka dni. Robiła tak już wcześniej, dlatego jej zniknięcie nie wzbudziło żadnych podejrzeń. Ilekroć zaczynała odczuwać zbyt wielkie napięcie, zaszywała się w jakimś hotelu i wracała po kilku dniach z nową chęcią do życia. Dużo hałasu robiono wokół faktu, iż po zakończeniu sprawy jej rodzina nabrała wody w usta, ale chodziło przecież tylko o to, że studentka college'u nie wytrzymała napięcia związanego z nauką i ocenami. Kayla jest już w domu, bezpieczna. Ostatnią rzeczą, jakiej chce dla niej jej rodzina, to znajdować dzień po dniu własne nazwisko w gazetach.

Gdy tym razem Kayla postanowiła uciec, dotarła do Aurory i zameldowała się w Lark. Bordeaux zwęszył okazję, nigdy nie wprowadził jej nazwiska do bazy danych. Informacje były sprzeczne, lecz zdaniem Bobby'ego, nie ma żadnego dowodu na to, że tamtego dnia system nie działał. Jestem pewna, że podczas procesu wyjdą na jaw najdrobniejsze szczegóły. W skrócie

wyglądało to tak: Bordeaux podał jej środek usypiający i zawiózł do lasu, a tam zgwałcił i pobił. Właśnie ją zakopywał, gdy pojawiłam się na polnej drodze i wbiegłam do lasu. Gdy znalazłam Kaylę, stał w pobliżu i mnie obserwował. Obserwował, gdy krzyczałam, biegłam, wpadłam do strumienia.

I zastanawiał się, czy powinien mnie zabić.

– Miałaś szczęście – mówi Bobby. – Gdybyś od razu nie pognąła jak szalona i nie wpadła do strumienia, gdybyś go tam zobaczyła, gdyby Kayla mogła mówić, gdybyś po prostu się rozejrzała... – Przerzywa i przygląda mi się uważnie.

– On był tak blisko?

– Stał tuż obok, za drzewem.

Pamiętam, że gdy znalazłam Kaylę, miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, że w tym lesie coś się czai.

Jaki kaprys czy zrządzenie losu sprawiło, że tego rana pokłóciłam się z matką i wyszłam pobiegać później, niż zamierzałam? Co skłoniło mnie do wejścia do lasu? Idę dalej tym tropem – co sprawiło, że Memphis stanęła na drodze tym myśliwym, co przywiodło Tain do przyczepy Aelli, co wywołało burzę, która sprowadziła Tain na farmę Creel Hollow? A gdyby Memphis nie stanęła przy oknie kuchennym i nie zauważyła jej w ulewnym deszczu?

– Nie myśl o tym za dużo – mówi Bobby. – Już po wszystkim.

– A te pozostałe bransoletki? – Z teczki zginęły jeszcze trzy. Chciałabym wierzyć, że kobiety, które je nosiły, uszły z życiem.

– Próbkę w teczce pochodzą z końca lat dziewięćdziesiątych. Sprawdzamy przypadki zaginięcia kobiet od lat osiemdziesiątych, mających jakieś powiązania z Lark i Aurorą. Właśnie w tej chwili trwa dokładne przeszukanie motelu.

– A więc wszystko zaczęło się od Bordeaux ojca, a syn to kontynuował?

– Tak się wydaje.

Zastanawiam się, czy mogłabym być jego następną ofiarą.

W moim przypadku wyjazd z miasta byłby prawdopodobny – kolejna kłótnia z matką, kolejna utrata pracy, moje zniknięcie nikogo by nie zdziwiło. Kto by mnie szukał? Matka? Niewykluczone, że radiowóz Bobby’ego koło Lark, po drugiej stronie ulicy, uchronił mnie od okropnego losu.

– Wiesz, w pewnym momencie Bordeaux i ja byliśmy przyjaciółmi.

Bobby mówi mi, że razem wagarowali i że Bordeaux zmieniał się przez lata, zwłaszcza po alkoholu. Któregoś dnia wyciągnął nóż i przechwalał się, że nikt mu nic nie może zrobić.

– To dowodzi, że tak naprawdę nie wiemy, do czego zdolni są ludzie – rzucam i chcąc nie chcąc, myślę, że w gruncie rzeczy winę ponoszą skrywane przez ludzi sekrety. One ich zżerają. Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione.

Światło rozprasza mroki.

Quinn, Tain i Nolan żyją, tak jak żyli lata temu, i mieszkają tam, gdzie mieszkali. Na farmie dzieją się dziwne rzeczy, których nie potrafię wyjaśnić. Pojawiają się ruchome światła – nie, zupełnie nie przypominają duchów, nic z tych rzeczy – to raczej coś, co tam zastygło i trwa. Czasami wyłania się kontur twarzy, ale może mi się wydaje, i tylko jakieś okrągłe kształty wyglądają jak szeroko rozstawione oczy, lecz te kształty są bez życia. Bezwolne i bierne, a gdy robię krok w kierunku tego czegoś, ono znika. Bardzo bym chciała nawiązać z nim kontakt. Czasami słyszę odgłos kroków dochodzący gdzieś z daleka albo trzaśnięcie drzwi, wydaje mi się wówczas, że Nolan i Tain pogrywają sobie ze mną. Są już jednak mniej rozgniewani, nie nawiedzają mnie w nocy, jakby oni także chcieli wyjść na światło dzienne.

Wszyscy potrzebujemy domknięcia tej sprawy.

Memphis nigdy tak naprawdę nie przyznała się do winy. Nie powiedziała: „Zabiłam twoją matkę”. Nie posunęła się tak daleko. Sądziła, że wystarczy jej wyznanie; powiedziała prawdę, swoją prawdę, a teraz my obie po prostu będziemy żyły dalej.



Nigdy nie zapomnę naszej ostatniej rozmowy.

– A co ze mną? I z Tain? Moją matką? – zapytałam.

Przekrzywiła głowę, potem odwróciła wzrok. Nazwałam Tain swoją matką.

– Tain nie była w stanie cię wychować – powiedziała. – Nie dożyłabyś pierwszych urodzin. Zrobiłam to, co uważałam za słuszne. Uwierz mi, Dahlio, proszę. Proszę.

– Dlaczego mówisz o sobie? A co ze mną?

– Z tobą, Dahlio?

Pokręciłam tylko głową, powstrzymując łzy.

– Dlaczego to było dla ciebie takie trudne? Miałyśmy co jeść, byłyśmy bezpieczne, opiekowałam się tobą. Czy to nie wystarczy?

– Wystarczy? Nie rozumiesz, co mi zrobiłaś?

Przyglądała mi się uważnie. Wiedziała, że łamie sobie głowę.

– Bo cię przygarnęłam?

– No więc nie zostałam zgwałcona, mój mąż nie zrobił dziecka innej kobiecie i dlatego wszystko musi być ze mną w porządku? To właśnie mówisz? Że nie mam prawa być zdenerwowana?

– Nie to miałam na myśli. Chodzi o coś innego. – Pochyliła się w moim kierunku, jakby pewna bliskość dawała jej więcej władzy nade mną. – Nigdy nie znałam nikogo bardziej normalnego niż ty. Jesteś silna. Odporna. To mi się udało.

– Uważasz, że jestem normalna, mam? – Wyplułam słowo „mamo” jak pestkę z wiśni. – Uważasz, że dorastałam w normalny sposób? Mieszkając w samochodach, przyczepach i motelach? Nie chodząc do szkoły? Równie dobrze mogłabyś zamknąć mnie w szafie.

– Robiłam to dla ciebie. Wszystko, co robiłam, było dla ciebie.

Ona najwyraźniej wierzyła we własne opowieści, ale ja wiedziałam lepiej. Kobieta, która spędziła pół życia, ukrywając się pod przybranym nazwiskiem, nie budzi się po prostu któregoś dnia i nie zaczyna mówić prawdy. Wątpiłam w każde słowo,

które wypowiedziała. W każde.

– Nie ludź się – rzuciłam. – Niczego nie robiłaś dla mnie. Chroniłaś siebie samą. – Wstałam i spojrzałam na nią z góry. – Nie wiem, czy mogę ci wierzyć. Rozejrzyj się. Tam są groby, które pozwalają sobie mieć odmienne zdanie.

– Dahlio...

– Zabiłaś moich rodziców.

– Zrobiłam to wszystko dla ciebie – upierała się. Przyznała się w ten sposób do morderstw, natomiast fakt, że popełniła te zbrodnie ze względu na mnie, miał czynić je mniej strasznymi i zasługującymi na mniejszą karę.

Oto co wiem na pewno. Po potwornym gwałcie i stworzeniu duplikatu samej siebie, Quinn poślubiła mężczyznę nazwiskiem Nolan Creel, właściciela dużej niegdyś farmy w Aurorze. Wiedziała, że jest bezpłodna, ale nie przestała marzyć o dziecku i nie traciła nadziei. Zawarła układ z czymś lub kimś, przy pomocy kobiety imieniem Aella, lecz coś poszło nie tak; dziecko Tain urodziło się martwe. Moja matka była w oczach Quinn nie dzieckiem, ale dziecinnym stworzeniem, Quinn ją kochała, przymknęła oczy nawet, gdy Tain zaszła w ciążę z jej własnym mężem. Gdy się urodziłam, Quinn chciała się dogadać, była gotowa pójść na ustępstwa, lecz Nolan znów ją zawiódł. Zamierzał odebrać jej wszystko i zapłacił za to najwyższą cenę. Mając do czynienia z kobietą, która nigdy nie byłaby zdolna się mną zaopiekować, i z mężczyzną, który spędzał życie wśród owadów, chrząszczy i świerszczy, postanowiła zabijać, aby dostać to, czego chciała.

Moje uczucia do niej wciąż są niejednoznaczne, ale ciągnięcie mnie ze stanu do stanu, zmuszanie do życia w samochodach i motelach, niepozwalanie na pójście do szkoły to całkiem inna sprawa.

Najbardziej mnie boli – wiem to na pewno – że w latach, które nadejdą, wciąż nie będę mogła dojść do ładu ze swymi emocjami

i być może zawsze już tak pozostanie. Najgorsze ze wszystkiego jest to, że będę musiała z tym żyć. Wina, którą przypisuję Memphis, nie zawsze wydaje się niewybaczalna, czasem jednak to przekonanie utrzymuje się dostatecznie długo, by przejść w nienawiść. Całe moje życie, każde pojedyncze wspomnienie stanowi nagromadzenie momentów, słów, które sprawdzałam w ciężkiej encyklopedii. Teraz wiem, że próbowałam nadać sens temu, czego żadne dziecko nie potrafi zrozumieć, a próba wypełnienia pustych miejsc, pozostawionych dzieciom przez dorosłych, kończy się wykrzywionym obrazem wszystkiego wokół.

Moje przedostatnie wspomnienie o Memphis jest następujące: po tym, jak przyznała się do zabicia mojej matki, choć w gruncie rzeczy nie czuła się winna, przyglądałam się Memphis wchodzącej po schodkach na werandę, pokonującej bez trudu stopnie, jeden po drugim, krokiem młodszej kobiety, z lekkością, która przydawała jej siły. Wydawała się wstrząśnięta, a ja chciałam zerwać z niej maskę, by zobaczyć prawdziwą Memphis, kobietę, którą była dawno temu, kobietę, która została przeniesiona przez próg tego domu, która trzymała w ramionach dziecko na plaży w Galveston. Czułam wstyd, ponieważ jej nienawidziłam, wiedziałam jednak, że jeśli będę słuchała jej słów, przyglądała się bacznie jej uśmiechowi, oczom, może uda mi się coś dostrzec. Chcę wierzyć, że Quinn wciąż tu była, tak jak zawsze.

Memphis zniknęła w dniu, w którym skończyła opowiadać swoją historię.

Gdy dziennikarze odjechali, wróciłam do domu, a jej nie było. Po prostu. Jej ubrania zostały w szafach, torebka na kuchennym stole, po całym domu były porzucane jej rzeczy, ale sama Memphis zniknęła.

Po raz pierwszy w życiu otworzyłam jej torebkę. Pilnowała tej torebki jak oka w głowie, może dlatego narobiła tyle zamieszania, gdy zgubiła ją tamtej nocy. Zawsze ją miała

w zasięgu wzroku i teraz mogę sobie wyobrazić, jak bardzo spanikowała, gdy zauważyła, że torebka gdzieś przepadła.

W środku jest portfel, sfatygowany, wytarty. Jest portmonetka, a w niej zwitek banknotów dolarowych i trochę monet. I stare zdjęcie, czarno-białe, pożółkłe ze starości, popękane na wierzchu. Na fotografii są dwie kobiety – patrzą na siebie roześmiane. Rozpoznaję Memphis, opiera się o płot, wiatr rozwiewa jej loki. Druga kobieta jest niższa i bardzo szczupła, niemal wychudzona, lecz wydaje się silna i zdeterminowana. Siedzi bokiem na płocie, z jedną nogą opartą na poziomej żerdzi. Ma długie, rozwichrzone ciemne włosy. Zdjęcie jest tak stare, że nie widać wyraźnie jej twarzy, wiem jednak, że patrzę na Memphis i Tain i że jest bardziej niż prawdopodobne, że to jedyne zachowane ich zdjęcie.

Kobiety patrzą na siebie czule, są sobie bliskie, śmieją się tak, jakby na świecie nic poza nimi nie istniało. Ich ręce są trochę nieostre, być może wyciągały je do siebie w chwili, gdy robiono to zdjęcie.

Memphis zacierała po sobie wszystkie ślady, zniszczyła wszystko, co mogło ją zdradzić, podpaliła dom. A jedyną rzeczą, którą uznała za godną zachowania, była ta fotografia.

Po aresztowaniu Bordeaux Bobby oddał swoją odznakę. Niczego mu nie zarzucano, mój udział w sprawie teczki z bransoletkami, o ile wiem, nie wyszedł na jaw. Między znalezieniem przeze mnie bransoletek a wybudzeniem się Kayli ze śpiączki wszystkie części układanki wskoczyły na swoje miejsca.

Początkowo szukano Memphis na terenie farmy, na nieużywanych drogach i w mieście. Potem kierowanie akcją przejął szeryf Goode. Zdjęcie Memphis opublikowały lokalne gazety, wielu mieszkańców miasta dołączyło do grupy poszukiwawczej. Zaczęliśmy od farmy; rozstawieni w szeregach w odległości półtora metra od siebie rozgarnialiśmy i badaliśmy ziemię kijkami na całej łące, aż do lasu. Nie znaleźliśmy żadnego

śladu. Ani tego dnia, ani następnego. Po miesiącu przypominały o niej tylko ogłoszenia ze zdjęciem wiszące na drzwiach miejscowych sklepów.

Nie powiedziałam tego nikomu, wiedziałam jednak, że ona nie żyje.

Wiedziałam, ponieważ tej samej nocy zobaczyłam ducha Memphis Waller.

Stary zegar w pokoju dziennym przestał tykać, wszędzie panowała cisza. Nie było słyhać żadnego dźwięku, nie śpiewał ani jeden ptak, nawet drapanie pazurów Tallulah po twardych deskach podłogi nie zdołało się przebić przez gęstą ciszę, która zapadła w całym domu. Zrobiło się zimno, szybko zmarzłam i wtedy ogarnęła mnie pewność, że Memphis nie ma już między żywymi. Spojrzałam do góry i ona tam była, stała na podeście schodów, zaledwie sekundę czy dwie, piękna, w swej żółtej sukni.

Uśmiechnęła się, po czym zniknęła. To moje ostatnie wspomnienie o Memphis Waller.

\*

Teraz, wiele tygodni później, gdy desperacko szukam odpowiedzi na krążące mi po głowie pytania, pojawia się Tallulah i trąca mnie nosem. Do zachodu słońca zostało jeszcze kilka godzin, zabieram ją więc na codzienny spacer. Tallulah truchta ścieżką na skraju łąki i co kilka kroków zerka na mnie, jakby chciała się upewnić, że jestem w pobliżu.

Patrzę na nią i zdaję sobie sprawę, że już niedługo jej pysk będzie zupełnie siwy; jej łapy już nabrały lekkiego srebrzystego połysku. Tallulah celowo często się zatrzymuje i węszy, długo wdycha każdy pojedynczy zapach. Od czasu operacji jest powolniejsza, nie możemy już zapuszczać się podczas spacerów zbyt daleko. W dole brzucha, w miejscu, z którego usunięto

zmumifikowane szczenie, ma wystrzępioną bliznę, sierść tam nie odrosła. Takie właśnie jest życie, jak sądzę. Wszędzie ciemne i głębokie dziury.

Zbliżamy się do lasu. Gdy przekraczamy linię drzew, czuję zapach czarnej, żyznej ziemi i całych pokładów igieł sosnowych. Tallulah nerwowo węszy, a gdy ją wołam, nie zwraca na mnie żadnej uwagi.

W powietrzu unosi się jeszcze jeden zapach, dziwny w tym miejscu, trochę słodkawy. Tak hipnotyzujący, że Tallulah obwąchuje ziemię, co kilka metrów zmienia kierunek, krąży dookoła, a potem wraca do miejsca, z którego zaczęła.

Obserwuję ją przez pewien czas, a potem patrzę w górę, zastanawiając się, czy ludzie zawsze to robią w lesie, patrzą do góry, gdy ziemię pokrywają skarby, takie jak splątane korzenie, żołędzie, szyszki sosnowe. Drzewo, które mam przed sobą, jest osobliwe, wysokie, ma gruby pień o średnicy może z półtora metra i splątane gałęzie zwisające nisko nad ziemią.

Coś przykuwa mój wzrok. Podchodzę bliżej i dotykam krótkiego, zwężającego się ku górze pnia, który tak wspaniałomyślnie podtrzymuje malownicze sękate gałęzie i konary, rozrośnięte prostopadle do głównego pnia. Na tle zieleni miga mi coś żółtego, przysuwam się do drzewa. Początkowo pojawia się tylko myśl, że ten żółty kolor jest tutaj nie na miejscu; tak samo pomyślałby fotograf na widok kardynała szkarłatnego w stadzie wróbli.

W koronie dębu, wysoko, powiewa na wietrze kawałek żółtej tkaniny.

Widzę go, potem znika mi z oczu. Mam wrażenie, że to coś w rodzaju wizji, i przychodzą mi na myśl wszystkie duchy, które mieszkają na farmie – żaden z nich nie jest dokuczliwy ani zły, po prostu tam są, jakby należały do tego miejsca – a potem obraz robi się wyraźniejszy i ukazuje mi się ciało w żółtej sukience.

Niczym w tetrisie kawałki układanki zaczynają spadać na

właściwe miejsca. Na tym drzewie jest Memphis. Siedzi na gałęzi, oparta o pień, jakby to wielkie drzewo udzieliło jej najlepszego schronienia. Patrzę na ciało i nie dostrzegam w nim nic ludzkiego, najmniejszego śladu życia. To zaledwie rozkładający się kształt w żółtej sukience. Sukience z opowieści Memphis, tej, którą kupił jej mój ojciec.

Słyszę jej głos. „Gdy jeszcze mnie kochał”.

Memphis jest przewiązana sznurem w talii i na szyi, a ja wiem, co się stało. Wiem, że ona nie miała siły dłużej odmawiać tym drzewom, zaroślom i poszyciu, że las wzywał ją już od jakiegoś czasu. Przez całe życie Memphis dręczyło pragnienie śmierci i spełniła je, gdy opowiedziała do końca swoją historię.

Kora pod moimi dłońmi jest szorstka i spękana, lecz mocna, niemal niezniszczalna. Ten żyjący dąb przechowuje głos mojej matki, a także jej niechętnie rozdawane pocałunki, do których była zmuszana. Przyciskam ręce do pnia i słucham szeptu liści, wiatr szeleści nimi delikatnie, jakby chciał powiedzieć Memphis, że ktoś tu jest, ktoś po nią przyszedł i nie zostawi jej w tym gąszczu, w tym piekle.

# Epilog

Tak dużo się dzieje – Bobby, Bordeaux, zniknięcie mojej matki – że początkowo nie zauważam naprawdę istotnej rzeczy.

Pewnego dnia czuję w stodole gorzkawy zapach. Gdy przerzucam bele siana, one rozsypują się w pył, a wyschnięte żółte kwiaty i ich pyłki wpadają mi do nosa i pokrywają mnie całą cienką warstwą czegoś, czego nie potrafię nazwać. W pierwszej chwili myślę, że to atak, lecz potem pył osiada i nic więcej się nie dzieje. Czekam cierpliwie na to, co się stanie, spodziewając się, że ziemia wypadnie z orbity, mózg mi się zagotuje albo zamienię się w warzywo – i dalej nic.

Ataki zupełnie ustąpiły, ku wielkiemu zdumieniu doktora Wagnera, który nazwał to „prawdziwym cudem”. Nie zastanawiam się nad tym zbyt dużo, ale zachowuję czujność. Gdy czuję, że coś jest nie w porządku, tracę równowagę, słyszę szum powietrza i unoszące się nad farmą brzęczenie, czekam na atak, ale on nigdy nie przychodzi. Ten dar, jeśli w ogóle był to dar, zniknął, i cokolwiek jest wart, spełnił swój obowiązek – wszystko, co było ukryte, zostało ujawnione.

Po odejściu z policji Bobby zamieszkał ze mną na farmie. Zastanawia się, co zrobić ze swoją przyszłością, lecz los podejmuje decyzję za niego. A w rzeczywistości za nas oboje.

Było jesienne popołudnie. Bobby od tygodni pracował w stodole, przerabiając ją na stajnię; wymieniał zbutwiałe deski i budował pojedyncze boksy dla koni. Nie liczyliśmy na to, że pensjonat dla koni zrobi z nas bogaczy, mógł jednak zapewnić stały dochód. Spełnialiśmy już większość wymaganych



warunków – mieliśmy padok i pastwisko, kosiarkę, koryta i miejsce na magazynowanie pożywienia – i przygotowaliśmy stajnię na przybycie inspektora, który miał wydać pozwolenie na prowadzenie biznesu.

Zamiatam podłogę w stajni, gdy nagle z zewnątrz dolatuje do mnie dziwny zapach, stęchły i niezdrowy. Odwracam się i widzę przemykający nisko nad ziemią cień. Powłóczący tylną łapą. Opieram szczotkę o wrota do stajni i wychodzę na zewnątrz.

Stoi tam jakieś zwierzę – czy to pies? – którego łysa skóra wygląda jak z kamienia. Sparaliżowana zastanawiam się, czy to wszystko mi się nie wydaje. To suczka i sądząc z jej rozmiarów, jakiejś dużej rasy. Zupełnie nie przypomina psa, raczej wyschniętego skorupiaka.

Im bliżej podchodzę, tym smród staje się silniejszy. Wracam do stajni, a ona idzie za mną. Gdy Bobby schodzi z drabiny, pies zwija się w kłębek przy belach siana w jednym z boksów. Wyciągam z kieszeni smakołyki Tallulah, oboje z Bobbym siadamy w pobliżu i próbujemy nakarmić suczkę biszkoptami. Nie ucieka, nie wzbrania się, myślę jednak, że bardziej z wyczerpania niż dlatego, że nam ufa. Zważywszy na jej stan, jestem przekonana, że przyszła tu, by położyć się i umrzeć.

Bobby bez słowa podsuwa jej smakołyki, nie nawiązując z nią kontaktu wzrokowego. Psina początkowo się waha, potem przysuwa się do nas i zaczyna skubać biszkopta, wreszcie ochoczo prosi o więcej. Idę do domu po wodę, a gdy wracam z miską, Bobby głaszcze jej łuszczącą się, pokrytą parchami skórę. Zwinięta w kłębek suczka zapada w sen z głową na kolanach Bobby'ego.

Weterynarz proponuje, że uśpi ją za darmo.

– Ona cierpi, tak będzie dla niej lepiej – zapewnia, ale przypomina mi się Duch, suka z opowieści Memphis i jej martwo urodzone szczenię. Mam przed oczami przyczepę Aelli oraz Quinn, desperacko próbującą dotrzymać umowy w sprawie

dziecka. Odmawiam. Następne tygodnie spędzamy z Bobbym, namawiając biedactwo do połykania lekarstw i smarując je specjalnym balsamem, który ma uleczyć jego stwardniałą skórę i złamane serce.

Wiele tygodni później psina wciąż kuli się ze strachu, słysząc nagły hałas, wzdraga się przy najlżejszym poruszeniu, zaczyna jednak wracać do swej właściwej postaci; skóra jej się wygładziła, a złocista sierść, choć niechętnie, zaczyna odrastać. Ale najważniejsze, że chyba polubiła naszą czułą opiekę. W końcu zmienia się nie do poznania, staje się uroczym stworzeniem o złocistej sierści, patrzącym nam w oczy i machającym ogonem w czasie zabawy z Tallulah. W oczach wciąż ma smutek, dziedzictwo przeszłości, o której nic nie wiemy, ale jest na dobrej drodze do lepszego życia. Daliśmy jej na imię Jaskier.

Mamy teraz nie tylko pensjonat dla koni, lecz także schronisko dla chorych zwierząt, przyjmujemy psy, kozy i kurczęta.

Za każdym razem, gdy wyglądam przez okno kuchenne, gdy przechodzę przez podwórze, widzę trzy groby pod cyprysem, te wzgórki przypominają mi o dziedzictwie farmy. Postanowiłam, że zostawię przeszłość za sobą, że nigdy nie pójdę na policję i nie powtórzę nikomu, oprócz Bobby'ego, ani słowa z opowieści Memphis. Przez pewien czas pozwalałam sobie na nienawiść wobec niej, potem odpuszczam. Zanim Memphis popełniła zbrodnię przeciwko mnie, sama padła ofiarą zbrodni. I choć wiem, że nie sposób zrozumieć bólu odczuwanego przez inną osobę, chcę powiedzieć, że jej ból był o wiele większy, sięgał o wiele dalej w głąb niej.

Jesień się kończy, dni stają się coraz bardziej ponure, a wpadające od czasu do czasu przez okna promienie słońca są jednocześnie lśniące i pełne cieni.

Z czasem dziwne wydarzenia na farmie ustają; nikt nie stuka już do drzwi, nie tłucze się po domu, nie słychać więcej cichych kroków na górze. Ulotne widmo Tain nie przemyka już przez

farmę, a duch Nolana nie kuśtyka w stronę szopy. Skończyły się dreszcze, które przechodziły mnie niczym prąd elektryczny, i mam wrażenie, że wszystkie duchy znalazły wśród nas spokój i nie czują potrzeby nękania żyjących.

Farma wydaje się odmieniona. Nie jest to nagła zmiana – a przynajmniej my tak tego nie odbieramy – ale pewnego dnia uświadamiamy sobie, że to miejsce nie emanuje już przygnębieniem, przytłaczający nastrój się rozwiął, teraz pachnie tu końmi i słycać szczekanie psów.

Zimowe dni zaczynają się od porannej mgły, która podnosi się i spowija wszystko, budynki, polną drogę prowadzącą do szosy. Zawisa nad łąką, otula drzewa w lesie.

Wszystko i wszystkich ogarnia spokój.